

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

# Na Skalnym Podhalu

*Ku mej kołysce leciał od Tatr  
o skrzydła orle otarty wiatr,  
o limby, co się patrzą w urwisko,  
leciał i szumiał nad mą kołyską.*

*I do mej duszy na zawsze wlał  
tęsknot do orlej swobody szal  
i tę zadumą limb, co się ciszą  
objęte wielką, w pustce kołyszą.*

(z II. serii Poezycji)

## PRZEDMOWA

Opowiadania *Na Skalnym Podhalu* powstały między rokiem 1901 a 1912. Pierwszym napisanym luźno opowiadaniem było *Jak wzieni Wojtka Chrońca*; pomysł cyklu rozpoczął się od drugiej opowiadki *Halny gazda*, opowiadanie *Ku niebu*, drukowane o wiele dawniej, zostało do *Skalnego Podhala* na nowo opracowane.

Pierwszym moim w ogóle drukowanym utworem, w r. 1886, była góralska powiastka *Rekrut*. Pisałem jeszcze inne, ale mi ich drukować nie chciano; były to forpoczty *Podhala*.

Opowiadania *Na Skalnym Podhalu* są wyłącznie snute z mojej własnej wyobraźni. Te, które są oparte na tematach ludowych (*Dziś tu cicho*, *Notatka o polskim chłopie*, *Śpiący rycerze*), mają dołączone odnośne wyszczególnienia; gdzie, jak np. w *Sobku Jaworcarzu*, *Kubie Pudrasowym*, *Jakubie Zychu*, znajdują się wtrącone ustępy oryginalnej opowieści ludowej, dają również odnośne wzmianki. Zresztą czy to *Orlice*, czy cała opowieść o "zimowych pannach", czy *Babski wybór*, czy *Jak baba diabła wyonacyła*, czy *O Panu Jezusie i zbójnikach*, w ogóle wszystkie, poza wskazanymi, opowiadania są wyłącznie moją własną inwencją. Podaję to dlatego, że od samego początku starano się obalić nie moje *Podhale*, ale moją pracę twierdzeniem, że są to przeważnie spisane i powtórzone, słyszane przeze mnie lub nawet czytane w cudzych rękopisach, góralskie powieści i legendy.

Doszło do tego, że żądałem przed siedmiu laty, aby mi wytoczono proces o przedstawienie za swoją cudzej własności. Czekam dotąd -1.

Co do pieśni, są one ludowe, oryginalne i moje własne. celowo utworzone na wzór ludowych i kombinowane jedne z drugimi. Odróżniać je byłoby za wiele roboty.

Dziś i tak ze śpiewających ją mało kto wie, że strofa marszu *Hej idem w las, piórko sie mi migoce!* nie jest pieśnią chłopską, ale początkiem mego wiersza o czterech strofach.

Zaznaczyć także muszę i zaznaczam jak najwyraźniej, że między *Skalnym Podhalem* a dzisiejszą góralszczyzną, zwłaszcza zaś dzisiejszym Zakopanem, nie ma żadnego związku. Ci, nie z inteligentnych, ale inteligentniejszych współczesnych górali, którzy myślą i mówią, że "to jest o nich pisane", mylą się najdokładniej. To jest pisane w wyobraźni i z wyobraźni o ich przodkach, ich pradziadach i dziadach, ich ojcach ostatecznie tu i ówdzie – ale nie o nich. Z dzisiejszą góralszczyzną i zakopiańszczyzną nie ma tu nic wspólnego.

Nie ma także moje *Podhale* nic wspólnego z całą, bez wyjątku, literaturą góralską, która wydała dotąd tak świetne i znakomite dzieła, jak Witkiewicza i Orkana. Witkiewicz patrzy na góralszczyznę jak oczarowany przybysz, Orkan jak miłujący syn. Na Podhale nie przybyłem - urodziłem się na nim; z górali nie pochodzę. Moje stanowisko jest inne.

Wskazuję też tu, że dzieło moje *Legenda Tatr (Maryna z Hrubego i Janosik Nędza Litmanowski)* jest szóstym i siódmym tomem *Podhala* i że w następstwie winna być razem we wspólnej księdze wydana.

Z początku dodawałem do poszczególnych tomów objaśnienia gwary, potem zaniechałem tego, gdyż *Podhale* prawie nie było czytane. Zresztą słownik góralski jest przygotowywany przez inteligentną sekcję "Związku Góralskiego"; zostanie wydany.

Zdaje mi się, że użyłem kiedyś porównania, iż do gwary góralskiej mam zamiłowanie, jak oficer kawalerii do konia. Staralem się ją objąć jak najwszechstronniej i zachować jej pierwotną czystość, nie odrzucając jednak jej dawnych naleciałości ze Słowaccyzny i niemieckiego (od osadników niemieckich), a to dlatego, że to stanowi część jej charakteru. Są tu wyrazy także łacińskie, rumuńskie i perskie. Gwarę moją niechętnie ocenił bardzo słusznie ktoś z nowotarzan, że "tak mówiono lat temu pięćdziesiąt". Żałuję, że nie mogłem słyszeć gwary sprzed lat stu i dwustu.

Pisowni nie zachowuję ściśle jednolitej: rządziłem się tu często słuchem. W alfabecie naszym brak liter pośrednich między literą a i o, między literą y i i. Bez tych liter pisać po góralsku nie można.

Z nadzwyczajną racją wspomniany nowotarzanin ów nie chciał czytać *Podhala*, które mu ktoś w rękę cisnął. Myśli popularyzacji mego *Podhala*, podjętej przez inteligentną sekcję "Związku Górali", nie wypadało mi się sprzeciwić; jest to jednak podług mnie najzupełniej chybione przedsięwzięcie. O ile ja osobiście, zresztą przypadkowo, bom się o te wiadomości nie starał, mogłem odnieść wrażenie, opowiadania *Na Skalnym Podhalu*, są uważane przez ludność góralską, która je czytała, za cudactwa i śmieszne i głupie zmyślenia, o niej wypisywane. Góralszczyzna jest przecież góralowi znana - a **"t a k n i e b y ł o"**. Nic takiego nie było naprawdę. Nie miałem nigdy najmniejszej intencji pisać z myślą o chłopach góralskich jako czytelnikach. Tym mniej o tym właśnie typie chłopów, który jeszcze nie jest człowiekiem zdolnym pojąć, co czyta, a już czytuje. Dla nikogo nie pisałem *Podhala*. Pisałem sam dla siebie.

I dla nikogo więcej. W ogromnym lesie pięciu tomów *Na Skalnym Podhalu* i dwu tomów *Legenda Tatr* ja sam słyszę szum drzew.

Nic mnie też nie martwi, że moje pisma góralskie są niezmiernie mało wzięte i znane wśród publiki; byłoby źle, gdyby było inaczej. Czterech tylko powinienem mieć słuchaczy: mego Ojca; Seweryna Goszczyńskiego; pierwszego proboszcza zakopiańskiego, księdza Józefa Stolarczyka, i nieśmiertelnej tatrzańskiej pamięci doktora Tytusa Chałubińskiego. - Przy wielkiej wiatrze gdzie u wierchu w Kościeliskach albo Chochołowskiej Dolinie mógłbym im czterem opowiadać te powieści, a oni by słuchali, rozumieli i czuli.

5 października 1913 r.

(1) Dodać należy, że niektóre moje opowiadania, np. *Babski wybór*, *Zwyrtała*, są opowiadane obecnie przez chłopów jako ich własne.

## STARA KSIĄŻKA I STARA PIEŚŃ

W pokoju mrok. Świeca się pali. Na stole leży historia średniowieczna Gindelyego, fizyka Sołdeckiego, jakieś książki łacińskie, greckie, parę tomów Słowackiego w lipskim wydaniu Brockhausa. Mam zupełną gorączkę. Usiłuję pisać, jakieś mi się obrazy tworzą w głowie, ale wiersz mi idzie tępo, nie mogę sobie dać rady z oktawą. Dobieram słów, które, chciałbym, żeby były świetliste i przejrzyste jak kryształ? łamią mi się trzy rymy oktawy. Męczę się, jednak czuję dziwną jakąś gorączkę i coś mię jakby podnosi w górę. Po prostu nie mogę wyłamać tego, co chcę napisać...

Przedemną leży stara książka w czarnej okładce: jest to *Dziennik podróży do Tatrów* Seweryna Goszczyńskiego.

...Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,  
Co świat dziwożon nawiedzić mogą.  
Alabastrowe wszystkie opoki,  
Najdroższy kamień leży pod nogą...  
Wielkie pod niebo są nasze skały,  
Perłami rosy toczą się nasze,  
Nasze potoki jako kryształy,  
A jak noc świeże bory i pasze,  
Bo u dziwożon nasz kraj się kłuje,  
Bo u nich każdy źródło się poczyną,  
Bo je wypieszcza, bo im wartuje  
Dzika, podziemna, lecz hał rodzina...

Jestem w jakiejś halucynacji, w jakimś śnie wyobrażeń. Nie mogę wyłamać oktaw, ale pełen jestem obrazów i światła. Czuję, że kocham Tatry do zapamiętania się, że mi ich trzeba do życia, że jestem ich synem i że one są jakieś zupełnie inne, jak mi się dotąd wydawały; że tam nie tylko można spinać się i na łbie stawać nad przepaściami, nie tylko wyleźć na Wysoką, nie tylko słuchać jak się Wala cienko drze:

*Tak mie tatuś wyryktował,  
Co jek doma nie nocował,  
Nocowalek ne przyloskak  
Przi kobyłce o dwók nozkak! -*

ale że tam jest jakiś olbrzymi czar, coś niewypowiedzianie cudownego. Goszczyński otwarł mi ten świat; otwarł mi oczy.

Jest temu bardzo dawno - parę dziesiątków lat. Wtenczas zacząłem pisać wiersze, pamiętam dobrze.

Kiedy miałem lat dziewięć, złapał mnie lecącego w Strażyskach z uboczy do wyschłego koryta potoku, gdzie byłbym się na nic rozbił; on mię potem do poezji pchnął.

Z moim ojcem kolegował w rewolucji listopadowej. Wyemigrowawszy w 31 roku za granicę austriacką, siedział na wsi u Tetmajerów w Mikołajowicach, potem w Łopusznej pod Nowym Targiem, siedział długo z Ojcem moim dożgonną zawiązał przyjaźń i do nas na wieś przyjeżdżał jako starzec już i sławy wielkiej człowiek \ Siwy był, rycerski miał wyraz twarzy; choć wówczas przeszedł już był siedmdziesiątkę, krzepki był, odważny i silny. Pracował jeszcze. Miał dziwne wstrząśnienia głowy i ramion wskutek wady sercowej; lubił chodzić samotnie na dalekie spacery.

U nas w Ludzimierzu było ślicznie. Dunajec szedł przez wieś popod sam dwór. Były ciche pola, kamieńce puste, wieczorem od torfowego ognia chmura dymu nad wsią, wielki dzwon na Anioł Pański; były rozlewiska wodne, odmęty spokojne, nieruchome, przeraźliwie głębokie i głuche; były moczary, koła i obłędy wodne, i torfowiska przepastne, karłowatą sosną zarosło. Był las smrekowy, pusty, milczący, gdzie tylko szumiał wiatr. Były zarośla i zagaje tajemnicze, trwożące, gdzie się księżyc krył i skąd się patrzył jak upiór z wody wylazły, z mętnych topieli Dunajca. Były na koniec z jednej strony góry Beskidy, z drugiej Tatry, cały łańcuch, jak stalowy mur.

*W wieczornym mroku; we mgle szarej,  
idzie przez laki i moczary,  
po trzęsawiskach i rozłogach,  
po zapomnianych dawno drogach  
zaduma polna, osmętlica...*

*Na wodę ciche cienie schodzą,  
tumany się po wydmach wodzą...*

*Na Anioł Pański biją dzwony...  
Szare się dymy wolno wleką  
nad ciemne dachy, kryte słomą..  
Na Anioł Pański biją dzwony...*

Godzinami wędrował Goszczyński samotnie. W ten wieczór cichy rozplonęła mi dusza. Był przyszedł przedtem niedawno do "śtukmalarni" (Szkoły Sztuk Pięknych) dziś już nie żyjący długi, chudy Wojtek Topór z Hrubego, z włosami na ramiona, w pasie szerokim; zamówili go w lecie w Zakopanem za modela. Opowiadał "haj, haj, bars cudne rzeczy!" Jak to raz przyszli

na halę zbójnicy, trzy kobzy grały, kiedy "dołu" szli. Jak niedźwiedź we Wircheichej kamieniami "prał". Jak "oreł" wybierał owce juhasom w Muraniu.

Znalazły się jakieś stare fotografie Nowobilskich z Białki; ów słynny Józek Nowobilski, ostatni może w wielkim stylu baca na Podhalu. Jakieś stroje dawne, dawniejsze, dziś Już nie noszone. A była jeszcze przedtem jedna przedziwna noc. Poszliśmy z moim bratem i nieboszczykiem Staszkiem Walczakiem ze Skibówki - no, po prostu raubszycować na kozy we Wielką Turnię. Doszliśmy na noc do Małej Łąki. Tam całą noc gwarzył nam stary (nieboszczyk już) Budz z Gronia. Nosił jeszcze ośmnastowieczne warkoczyki przy uszach. Opowiadał, że kiedy się "złe" odezwie w lesie, nie trzeba mu się odzywać nawzajem; do trzeciego razu zawoła, kiedybyś mu odpowiedział, przyjdzie. Wtenczas trzeba serdak włosem do góry obrócić, strzelbę pod kolano kurkiem na dół i strzelić. Ale komu się złe odezwie. złe wróży. Szedł Staszek Walczak na robotę na Węgry jesienią, kiedy z hal już zegnali. Nocował w lesie pod Pyszną. Zahuczało coś w lesie jak sowa, ale to nie była sowa. "Hej, wiemy, że nie". "O haj!"

Zahuczało drugi raz. Nie odezwał się. Kiedy na drugi dzień koło tego miejsca przechodził, włosy mu na głowie stanęły. Żeby się był odezwał, byłoby zahuczało trzeci raz i przyszło.

Nocowaliśmy na Małej Łące w sierpniu. W październiku "odebrali" Staszka do wojska. W grudniu się zastrzelił.

Ileż to już lat temu?... Było ognisko ogromne, jakaś gruba Kaśka, która nam zęby pokazywała w uśmiechu. Chcieli mi jej "pożyczyć", śmiali się. Miałem coś szesnaście lat...

A potem wpadła mi w rękę książka, która ma dla mnie serdeczny urok. Jest to *Dziennik podróży do Tatrów* Goszczyńskiego.

Goszczyński nie umiał - niestety i ku nieodżałowanej szkodzi! - przedstawić dawnego górala. Zdaje się, że nawet zamiar taki nie powstał nigdy w jego głowie. Notował wprawdzie pieśni górskie, ale wszystko to, co kładzie góralom w swoim *Strasznym strzelcu* albo *Sobótce* jako cudzysłów w usta, nie ma albo wcale, albo prawie wcale typu czy charakteru. Widocznie nie miał odczucia chłopca, ani nawet pamięci, bo że chciał i odczuć, i zapamiętać, to widoczne. Nie potrafił nawet zaobserwować dokładnie wymowy. Ale co jedno odczuł, co zrozumiał, co pamiętał, to fantastyczny świat ducha ówczesnej góralszczyzny. Goszczyński do tego miał specjalne usposobienie. Przede wszystkim wierzył. Wierzył po prostu w tak zwany nadprzyrodzony świat i pisał:

*Ależ bo wówczas, ziemio staroświecka,  
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były.  
Grały widomie niewidome siły  
I pilnowały człowieka jak dziecka...*

Jemu "dziwy nie były dziwami i widomie mu grały niewidome siły", podobnie jak Mickiewiczowi. Ta strona duchowego życia Podhalan zajęła go przede wszystkim, ta go znalazła wyjątkowo usposobionym i - prawdziwy romantyk - chłopca kochał teoretycznie w stosunku do sztuki, a rozumiał, czuł i umiał odtworzyć naturę i świat fantazji chłopskiej.

Te też ustępy w jego *Sobótce*, te w *Dzienniku* są najwięcej warte. Wówczas zabobonna czy raczej dawna wiara Podhalanów była już na wymarcu, ale jeszcze nie była wymarłą, jak

teraz; "widywano" jeszcze mnichów, widywano na polach Łopuszny trupa głowę, co się toczyła i goniła ludzi po drogach, wierzono w króla węzów. A przede wszystkim byli tacy, co nie "słyszeli". ale którzy sami „widzieli”. Goszczyński więc znał juhasów, którzy widzieli rybę o kociej głowie, porywającą owce znad Morskiego Oka, a osobliwie czarne. Znał ludzi, którzy widywali dziwożony. A przyjmował to wszystko z najlepszą wiarą, jako fakty, bo opowiada: "Kilkanaście lat temu widywano jeszcze to straszidło - dziwożony mieszkały tam a tam, w takiej a takiej grocie" itp.

Ten też świat nadprzyrodzony umiał w swoich poematach przedstawić, jak to tylko romantycy, i to najwcześniejsi spośród nich, umieli. Zarówno w Zamku Kaniowskim, jak i w Sobótce jest pod tym względem mistrzem.

A cuda wówczas opowiadali mu chłopci o górach, o skarbach w nich zakopanych, o pieczarach lśniących od złota i diamentów. Tatry nie były jeszcze tak "obite", "odeptane", jak są teraz. Jeszcze miały w sobie mrok, tajemniczość, nawet dla ludzi, którzy je znali, jak jakaś stara świątynia pogańska albo stary święcony pogański gaj musiały ją mieć dla ludzi, którzy je znali, dopóki pogaństwo kwitło. Zdolność wiary w cuda, w rzeczy nadzwyczajne - stwarza je i wywołuje.

Goszczyński, przybywszy w Tatry, dał się porwać i ogarnąć niesamowitemu urokowi tych gór; pisze o miejscach, które są "obwiane tajemniczością straszną i niezaprzeczoną". ...Może to być dziwne dla niektórych, dla niego nie jest bynajmniej". "Dostyc być prawdziwym chrześcijaninem - powiada - aby sobie rozwiązać tę zagadkę... Mamy kościoły - mówi - pod władzą ducha Bożego wyłączną; muszą być także miejsca, gdzie wyłącznie zły duch panuje. Nasz lud czuje to na pewnych mieszkaniach, a my możemy widzieć na pewnych miastach, na całych narodach, uległych mniej więcej złemu lub dobremu duchowi". Przez ten mistycyzm Goszczyński bierze cały ten świat, z którym się spotyka, a który mu niesłychanie silnie przemawia do duszy, podobnie jak Mickiewiczowi przemówiły do duszy guślarskie obrzędy litewskie i wiara w nad-zmysłowy świat, jak weń wierzy lud. Ci też dwaj z poetów polskich stanowią pod tym względem osobną dwójkę. może, a nawet z pewnością tak indywidualną i tak charakterystyczną, jak w żadnej innej literaturze. Mistycyzm Mickiewicza przede wszystkim dotyczy ducha ludzkiego; mistycyzm Goszczyńskiego przede wszystkim natury.

"Cóż to jest, góry - powiada - ta dziwna potęga przywiązana do was? Owa tajemnica, która was uświęca najświętszymi chwilami życia ludzkości? Skąd to jest? dlaczego to jest? Jakikolwiek są tego przyczyny, nie są one materialne; tak ogromne skutki dla ducha ludzkiego nie mogą iść z przyczyn niższych, materialnych... Tajemnica ta musi kryć się w owej waszej części, której zmysłami dotknąć nie możemy...", "w tym - mówi - co podnosi . was nad poziom ogniami podziemnymi, wybuchami jakichś tchnień nieznanym, niedocieczonym w swojej pierwszej przyczynie, potęgą jakichś wysiłen tajemniczych. jak natchnienia wielkiego ducha podnoszą człowieka w czynach wyższych nad poziom ludzkości. Może coś być w was, co ma związek z nadzmysłową istotą człowieka. niezależny, różny od wpływów fizycznych, a zatem silniejszy, bliższy i ściślejszy".

Pod wrażeniem gór Goszczyński widzi w sobie "płomień, nie mający nic wspólnego z materią, nie zależący od otaczającej go sfery materialnej", widzi swoje uczucie "więcej roztopione, więcej rozlewające się, pełniej gorejące, silniej bijące ku górze, ku światom wyższym" - to jest doznaje tych wrażeń, jakie w górach opanowują ludzi, idących ku nim nie tylko dla celów turystycznych, sportowych lub dla mody. Niezmierna, niesłychana szkoda, że czy to warunki życiowe, czy jakie inne przyczyny, nie dozwoliły Goszczyńskiemu tego

wszystkiego, co w górach czuł, wypowiedzieć w wielkim i godnym Tatr poemacie, którego dotąd nie ma.

Mówiąc o "artyzmie" górali, mówił Goszczyński to, co się po latach 70-u bynajmniej nie zestarzało, co tylko dziś dopiero może być dobrze zrozumianym. Mówi: "Lud nie zna się na formach, ale dziwnie zna się na duchu rzeczy? może nie znaleźć formy odpowiedniej swoim pomysłom prawdziwym, poczuciom pięknym, ale też fałszowi nie daje formy ludzkiej prawdą, nie poświęca formie ducha prawdy... Jego sztuka, jego literatura ma tę wyższość nad naszą, że utwory jej nie są martwe, jak nasze posągi, obrazy, poematy - przeciwnie, żyją, działają, wiążą się z życiem ludu, stanowią część żyjącą, działającą jego życia..."

"Lud prosty wierzy w to, co tworzy, nie igra ze swoim utworem, ze swoją sztuką, nie rozkoszuje się nią, ale skoro wchodzi na jej pole, to z potrzeby poważnej, dla celu poważnego... Jeśli pieśń ludu tęskni, skarży się, narzeka, boleje, cierpi, to był ktoś dotknięty istotnym nieszczęściem, przyciśniony szczerym smutkiem, obarczony cierpieniem, a tak rzeczywiście i silnie, że musiał nadmiar stanu wewnętrznego wylać na zewnątrz w pieśń".

W końcu korona obserwacji, którą nad ludową sztuką zrobił, obserwacja wspaniała i przepyszna: "Kiedy my musimy - powiada - nasze pomysły przylepiać do kawałka papieru lub płótna, wdłubywać w bryłę kamienia, tłem utworów ludu jest cała ziemia rodzinna, cały kraj rodzinny, niebo rodzinne, a nawet i piekło, kiedy tego potrzeba, zgoła cały świat widomy i duchowy. Jak to jest olbrzymie w porównaniu do naszych robót! Chcesz zdarzenia w obrazie? Oto tym obrazem jest cała okolica, nie pędzłem skopiowana, ale żyjąca tchem wieków. Trzeba mu posągów dla wypadku lub człowieka, to całą górę w posąg zamienia... Jeżeli puści w obieg jakie uczucie pod postacią pieśni, to wszystkie głosy ludu, wszystkie serca grają jej muzyką..." itd.

Zatrzymałem się dłużej nad tą starą książką, o której dziś już nawet antykwariusze czasem nie wiedzą. Wiele jest w niej rzeczy wypowiedzianych nam już może obcym stylem, ale zawsze jednakowo prawdziwych, jednakowo niezmiennych. To, co Goszczyński pisze o pieśni ludowej, to czuje każdy, kto ją słyszał, kogo obchodzi ta pieśń. Tam żadne słowo nie było położone na próżno, bo wszystko było potrzebne u ludzi, "którzy nie mają potrzeb zbytkowych".

Lud przechował pieśń w dosłownym tego wyrazu znaczeniu. Nie ma u niego poezji deklamacyjnej, która się nazywa pieśnią, jest to tylko pieśń istotna, śpiewana. A pieśń ta, jak to Goszczyński zauważył, łączy się z życiem, jest nim. Patrzcie na tego starego górala. Zagrali mu nutę staroświecką, szeroką, bujną, śmiałą, od której duch się dźwiga. Dźwignął się i on, bo się trochę był "przynapił" i legnął dać spoczynek siedmdziesięcioletnim kościom. Dźwignął się, słucha. "Panie! powiedźcie mi - mówi - co to jest za krew w człowieku?! Jo, kiedy uslisem muzykę, to jaze rosnem!" - i podnosi ręce w górę, jak stary orzeł stare skrzydła. Już jest przed muzyką, już tańczy. A przypomina mu się coś - ta nuta, staroświecka, dawna, coś mu przypominała. Taniec niekoniecznie jest objawem i wpływem wesela. Taniec może być rzeczą smutną i widziałem starych chłopów, którzy bardzo smutno tańczyli. Taniec góralski nie jest tyle przelewającym się za brzegi momentem wesołości, ile potrzebą wydania z siebie nadmiaru energii, temperamentu, bujności, "natury, chuci", jak to Podhalanin nazywa po swojemu. Podhalanin się w tańcu nie weseli, ale zapamiętuje, unosi i upaja. Jest to jakiś strasznie stary i pierwotny taniec. podobny do tańca dzikich ludów; ma on swoją formę "wojenną", jak u Indian, a ma nuty i formy takie, że może wyrażać największy smutek i

żałość. Nuty do tańca bywają w formie jakichś żałobnych zawodzeń. Mówię tu naturalnie o tym tańcu, którego nie tańczy się na pokaz dla gości i który istniał dawniej.

Musiała być jakaś dziewczka piękna i czarodziejska. Musieli się schodzić gdzieś popod szopy albo pasali razem i tam się zalubili. Bo była jego "freirką", była mu kochanką,

*Ej, powiedźcie, powiedźcie, ej tej mojej freirce,  
Ej niek ona sie wyda, ej za kogo sama fce!*

Musiała go zdradzić, musiał się o tym dowiedzieć. Może z wojska przyszedł na urlop, może był dwa, trzy dni, poszedł do karczmy albo na wesele, tam się dowiedział, że mu nie jest wierną.

*Ej powiedźcie, powiedźcie, ej tej mojej freirce...  
Ej freirecko moja, ej uciekoj do pola,  
Ej by de nie zabiła, ej prawa rącka moja!*

Jest to zgrzyt, jęk; ten stary chłop siedmdziesięcioletni ma w tej chwili w sobie serce dwudziestoletniego parobka, taką ma siłę pamięci, taką świeżość krwi, taki jeszcze ogień w żyłach.

Podnosi się do góry, palce zakrzywiają mu się w powietrzu jak szpony orłowi. Nuta jest tak ponura i dzika, jak smrekowy las, taniec tak ponury i dziki, jak jesienny wiatr, wrażenie udziela się wszystkim. Stary Tomek Gadeja odtąncowuje swoją przeszłość, swoją młodość, on odgrzebuje ją swymi nogami, wydziera ją czasowi i śmierci, on tańczy swoją wściekłą, młodzieńczą krewkość i swoją starą, siedmdziesięcioletnią żalobę po niej.

*Ej wirsycku, wirsycku, ej dalbyk cię ozłocić,  
Ej kieby się mi mogła ej moja młodość wrócić!...*

Prawie że łka. Zatacza się, bo jest "przynapity" trochę, na muzykanta, obejmuje nas wszystkich, ściska i powiada do mnie: "Ej, panie, mojej młodości mi zol!"

Robi się bardzo smutno w izbie. Naprzód wszystkim nam się przypomina, że "i my się miniemy po małućkiej kwili"(1), a potem, że nam jest lub będzie żal przede wszystkim tego, czegośmy nie użyli, a temu staremu Tomkowi Gadei żal jest tego, co przeżył. My mało przeżywamy, my tylko wyobrażamy sobie, co byśmy mogli, co byśmy byli mogli przeżyć, a on żył! Żył tak, jak mu było żyć najwłaściwiej, najwrodzeniej. Kochał się, chodził na Liptów i Orawę rozbijać, bił, śpiewał, tańczył i szukał przygód, ponieważ był namiętny, silny, odważny i awanturniczy.

Ta ukochana moja śpiewanka zbójników:

*Ej jo se pijem dwa dni, ej jo se pijem trzi dni,  
Ej jo się o piniondze ej nie turbujem nigdy!*

A przy tym to, co odznaczało raubritterów całego świata: ogromna godność, poczucie honoru, powaga i to dostojeństwo, jakie wyrabia w człowieku przekonanie, że się nie lęka śmierci, że jest śmiały i tej śmiałości swojej świadomy i pewny.



*Ej a kiej mnie złapiom, to jo budem wisiał,  
Na wiersku jedlicki budem sie kołysał!*

*Ej obróćcie mnie, mistrzu, ockami ku drodze,  
Nieć jo sie napatrzem tej zbójeckiej chodze! (ścieżce)*

Pogarda życia ma swój osobny, najwyższy urok. Ci chłopci, którzy tu pili i tańczyli, a tam. o dwa kroki czyhała na nich śmierć lub sami ku niej szli, odwagą tą kupują sobie sympatię.

*Abo mie zabijom, abo mię obwiesom,  
Abo mie ptoskowie po wirskak ozniesom...*

Jest fantazja w tych ludziach, szeroka, słowiańska? zbójnik, jak pije. to tak płaci, że aż go "aniołowie święci do nieba weznom". Ma pieniądze-skąd wziął, to wziął- i zna, "co je jest wart", "kielo warce":

*Ej, kiebyk ja wiedział -*

(powiada, widząc z daleka szubienice) -

*Na wtore) byk wisieć miał, Od dolu do wirsku pozwybijać byk ju dał.  
Ej od dolu talarami,  
A do wirsku dukatami,  
A na wirsku złotu kawku,  
Hań połozem moju gławku!*

"Pana" wieszają!

Opowiadania starych chłopów robią wstrząsające wrażenie. Ten spokój, z jakim taki chłop powiada o śmierci, o zabitych, porąbanych, postrzelonych: "Ja ta wiem, bo ja ta nieraz s tem robieł" - pozwala się domyślać, co za rzeczy ten człowiek przeżył. Opowiada zazwyczaj zresztą bardzo dyskretnie. Nie chwali się i zawsze większą część zatai. "Oni ta wiedzom między sobom" - a zresztą co komu do tego.

Do niedawna zachowane życie instynktów, pierwotny las. ścięty, wbity w ziemię, przysypany cienką warstwą piasku, którego dopiero z czasem wiatr naniesie tak, iż las przepadnie pod nim bez słyhu i śladu.

A co człowiek wyobraża sobie, że byłoby "piękne i charakterystyczne", to tamci ludzie robili.

Taki zbójnik, kiedy się ukrywa przed pościgiem żandarmów gdzieś u znajomego bacy na hali, w nocy do szałasów przychodzi, a we dnie zabiera ze sobą spomiędzy juhasów jakiego muzykanta, idzie gdzie na ubocz między kosodrzewiny albo do lasu, legnie i każe mu grać. To znowu wbije ciupagę w ziemię i koło niej tańczy. Opowiadania Podhalańców są pełne plastyki. Od razu się widzi zbójnika, który "seł ku muzyce ode dżwirzy tańczący. Portki, za łaskom, miał zielono wysyte, serdak biały, kapelusek z takim małym skrzelem z kostkami, pas nabity klamrami i mosiężnymi guzami po pazuchy, bez ramie torbke, z pasem nabitym gwoździami. Fajke se w gębie trzymał, ciupage w garzci. Polaniarze (kościeliszczanie) krzyżwe hłopy, ale ten ponad syćkik skakał. Tęgi shrubść, urośniony w sobie, kie cupnon, to sie widziało. ze dyle połomie". Tak jeden z białczańskich zbójników przedstawił się kiedyś tam młodzieńskiemu

Bartkowi Obrochcie (2) i tak mu został w pamięci. Przeszedł taki chłop przed oczyma chłopca jak duch, jak mara. Jeżeli szedł na jaką wyprawę "na Węgry", mógł tu po swojej stronie tańczyć ostatni raz.

*Mikulas, Mikulas, ty se bystre miasto,  
Do tobie przestrono, ale z tobie ciasno!*

mówi stara zbójcka pieśń o liptowskim mieście Lipto Sent Miklos.

Ludowa pieśń wypowiada to wszystko, Chłopak, który się czuł w sile, musiał iść na zbój.

*Darmo wy mnie, darmo, do skoły dajecie,  
Se mnie zbójnik budzie, darmo nakładzecie!  
Nie bedem ja gazdom, nie bedem rolnike,  
Ino bedem chodził, zbójckim hodnike!*

Jest to zresztą powód do dumy i radości.

*Z mojego Janicka bedzie se tys zbójnik,  
Bo se przetorowoł do Luptowa hodnik!*

daje mu się tylko dobrą radę:

*Ucies-ze sie, ucies, mój Janicku, ucies,  
Kie cie łapać pudom, do wirsycka uciec!*

i "cieszył się" on, i "cieszyli się" z nim inni: rodzice, ciotki, stryjowie, siostry, kochanka. Toteż taki stary chłop, kiedy sobie te czasy przypomni, a „przy napity je trochę”, płacze i płaczą ci, którzy tych czasów już zaledwie tylko zasięgli najwcześniejszą młodością. Ludowa pieśń wie wszystko, ona zachęca:

*Nie bój sie, Janicku. nie bój sie tego nic,  
Orawskiego Zamku, łuptowskik siubienic!*

zresztą zostanie ci sława:

*Janickowe imie hodzi po dziedzinie,  
Janicek zaginon, imie nie zaginie!*

Wiadomo, że Achilles przenosił żywot krótki a sławny nad długi a "niehonorny" „Hłopu umierać w pościeli niehonorna rzecz" - mawiał stary bohater, Sabała.

W takim czasie zeszli się jedni "ludzie na wymarcu" z drugimi ludźmi "na wymarcu". Ostatni żołnierze polscy spotkali się z kończącymi się "starodawnymi chłopami" na Podhalu.

Z takich czasów pochodzi Seweryna Goszczyńskiego jedna z najdroższych dla mnie książek, *Dziennik podróży do Tatrów*.

(1) W ośm lat później zabił się Klimek Bachleda, u którego wtenczas mieszkałem i umarł Gadeja.

(2) Bartok Obrochta, sławny skrzypek Chałubińskiego.

## ZBÓJECKA CHAŁUPA

Pewnego razu. w początku listopada, straszliwy wicher halny, szalejący trzy dni i dwie noce, wyłamał tyle drzew w Tatrach, że miejscami całe ubocze gór zawalone były łomem smrekowym, spośród którego tylko gdzieniegdzie sterczał buk, z przemrożonym, czerwonym liściem, ostały na głębiej idących w ziemię korzeniach. Potem przyszedł deszcz, potem śnieg, a potem ku końcu listopada chwyciło nagle w nocy tęgie zimno.

W tę noc dwaj bracia Łuscykowie z Bukowiny. Józek i Staszek. Jędrak Kośla z Pardółówki i Hilary Pitoń z Kościelisk przybyli na polankę w głębokim lesie pod Koszystą. Szli oni z daleka, ze Spiżu, i dość ciężko nieśli, obrabowali bowiem sklep żydowski nie tylko z pieniędzy, ale i z rozmaitego towaru, z płócien i sukna, które się mogło dobrze Żydom nowotarskim sprzedać, a nadto Kośla niósł na plecach sporą sarnę, którą mu się udało kamieniem w Białej Wodzie, trafiwszy w sam łeb. zabić. Na podziw on kamieniami rzucał, a jeszcze tę sztukę posiadał, że kucnąwszy i ujawszy się rękami za wielkie palce u nóg, potrafił na wysoki stół wyskoczyć. Biegał też tak. że gdy chwycił psa za ogon, mógł go ścigać, ile chciał. Nosił on przydomek Kośla Wartki albo Goniec. Ale zwano go także czasami Horny Jędrak, nie wiadomo, czy dlatego że był bardzo dumny i wyniosły, czy też dlatego że mało co w dolinie, a zawsze prawie w górach siedział. A może z obu powodów.

Miał on twarz jasną jak słońce, pociągłą i zawsze uśmiechniętą, a skaleczyć człowieka znaczyło u niego tyle, co zamachnąć się ręką. Wysoki był i gibki jak sosna. Dwie śmierci ludzkie miał na sławie.

Starszy Józek i młodszy Staszek, bracia Łuscykowie, chłopcy były tęgie, szerokie w barach, ogromnego wzrostu. smagłe na twarzy. Nosili włosy długie z kieckami, czyli warkoczami od skroni po ramiona, w kieckach zaś powplatane mieli szkiełka i świecidełka. Włosy mieli czarne, zawsze starannie smarowane masłem, a byczki młode brali na plecy jak owce. Mieli zwyczaj, że sobie świecili na drogę, podpalając jaką chałupę na kraju miasta lub dziedziny, gdzie rabowali w nocy. Dlatego nazywano ich Łuscykowie Jaskrawi.

Czwarty, Hilary, czyli Filary, Pitoń z Kościelisk, chłop był średniego wzrostu, nosił zaś przydomek Przewijac, przedziwnie się bowiem umiał przekręcać pod ciupagą i różne sztuki potrafił dokazywać łamane. Blondyn był o kręconych włosach, nieznównany złodziej baranów i wołów po polanach, a przy tym grywał na piszczałce, czym uprzyjemniał długie marsze i noclegi w pustkach.

Hersztem, czyli harnasiem tej bandy, był najstarszy i najroztropniejszy Józek Łuscyk, wychowany w szkole nieboszczyków już Józka i Jaśka Nowobilskich, ze słynnego równie ze swej starożytności, jak i ze zbójowania, sołtysiego rodu z Białki, których imiona zawsze ze czcią wspominał i często wieczne odpoczywanie za ich drapieżne dusze odmawiał.

- Niek im ta Pan Jezus siedm dwaścia ozbityk sklepów i troje śmierzci ludzkiej odpuści! Fajne były hłopy! - mawiał.

Staszek Łuscyk wiatr na polance złożył, ale zimno gryzło takie, że trudno było wytrzymać. Księżyc jasno świecił, ogląda się Pitoń po powalonych drzewach, skrobie się w głowę i mówi:

- Hej, kieby to tak ś nik hałupa urosła! Byłoby się ka zagrzać! Popatrz! na niego bystro Staszek Łuscyk.

- Wies ty. Filary, ona by tu mogła wyrosnąć wnet Nie trza nic, jino pookrzesywać konary, pnie przykrócić i desek na daf. Przydałaby się taka hałupa i nieroz.

- E dy tu nie prec do traca w Porominie po deski - odzywa się Kośla, podnosząc głowę znad sarny, z której zdejmował skórę, a oczy mu się zaświeciły na myśl, że i w najtęższe mrozy niekoniecznie trzeba będzie siedzieć w ojcowym domu na Pardółówce.

- Wiecie, hłopy, tak zimno, biermy się do roboty - mówi Pitoń. - Hoćby skrony zagrzenia.

Józek Łuscyk bardzo przychwalił zamiar. - Będzie się gdzie i nieraz przenocować, i bydłę, gdzie spod Murania, w razie potrzeby przetrzymać i - Bóg to wie, co może być - i czas dłuższy, gdyby tak wypadło, poza ludzkimi mieszkaniem przesiedzieć. Miał on dobrze w pamięci te straszne noce, które przed kilkunastu laty z Jaśkiem Nowobilskim w grocie Magurskiej musieli przetrwać, bo na nich hajducy niedziccy obławę jak na wilków zrobili. Odmarzły mu wtedy dwa palce u lewej ręki. które odciął siekierą.

- Takie to było jak z drewna; położył na pniaku, odcionek - opowiadał.

Pomysł chałupy w borze, przez który przedrzeć się mógł prócz nich i im podobnych, tylko niedźwiedź i wilk, wydał mu się doskonałym.

Nie trza będzie już śpiewywać:

*Na zielonym bucku listeczki bielejom -  
ka sie dobrzy hłopy bez zime podziejom?...*

- Sam tes Pan Bóg nagodził drzewa i skoda zmarnić - mówił. - Pół roboty ubyło, bo nie trza rubać. Niekzeby kielo telo daru Bożego nie zgnije.

Gdy więc Kośla zajęty był sprawianiem sarny, trzech drudzy jeli ciupagami okrzesywać konary i wierchowce smreków leżących. Nazajutrz Staszek Łuscyk i Kośla poszli kupić desek w trachu w Poroninie i sprowadzili je pod las, w tajemnicy, dokąd je wiozą. W lesie trzeba je już było wlec, bo wóz nie miał którędy jechać.

Na wieczór przecie, wzięwszy się we czterech do roboty, deski mieli na miejscu.

Koślową sarnę jedli, wódkę, przyniesioną z Węgier. wyśmienitą borowiczkę, od której oczy bieleły, pili, mieli gwoździe, młotki, cieślice, wszystko, co trzeba. Zmordowali się robotą, ale byli w doskonałych humorach i Pitoń już grał na piszczałce, a Staszek Łuscyk już się szykował do tańca, kiedy Józek się zamarkocił i rzekł:

- Ej, hłopycy, zabacyli my jedno. Piły ni mamy. Jakoz będziemy drwa rzezać abo i deski?

Więc ponieważ kupować piły już im się nie chciało. bo dużo pieniędzy minęli, a pożyczanie gdzie w okolicy we wsi zwróciłoby uwagę: Wartki Kośła i Staszek Łuscyk wybrali się zaraz w drogę i ukradłszy dwie piły w tracy, powrócili z nimi przed ranem.

Następnie Józek Łuscyk przeżegnał miejsce, na którym chałupa miała stanąć, uczynił sobie również krzyż na czole, złożył ręce i odezwał się w te słowa, z oczyma ku niebu:

- Panie Boże Wsekmogący, w Trójcy Swientej jedyny, Panie Jezusie Przenajświętszy. ukrizowany, Duhu Swienty. Matko Boska i Wy syscy Święci Pańscy Janiołowie, bądźcie nam na pomocy, coby się nam robota wiedła i powiedła, coby przy niej ani ś niej nijakiego nieszczęścia nie było. ale Tobie. Panie Boże, na kwałe. ludziom na pożytek coby ta hałupa się wzniesła. a błogosławieństwo Boskie coby ś niom wse było, coby zaden s nas nie chorował, coby nijakiej zdrady nie było ani nijakie bydle, koń, krowa cy bądź co ze statku, cy to owca, dojka, jarka abo co fce, niek bedzie, cy to ze Spisa, cy ode wsi, cy ka bądź inendej ukradzione, nie skapało, ale coby my się haw zdrowo howali, pieniondze mieli i Twoje Boskie Imie, Ojce Przedwiecny, falili: tak nam Panie Boże w Trójcy Swientej Jedyny i Ty Panjezusicku Przenajświętsy dopomóż. W Imię Ojca i Syna i Duha Swientego. Jamen.

Po czym niedługo chałupa na polance pod Koszysztą była gotowa. Ludzie nazwali ją Chałupą Zbójecką.

I darzył Bóg jej budowniczym, zdrowi byli. pieniądze ludzkie mieli, ale i im przyszło na koniec kolejno, a niedługo.

Józek Łuscyk, herszt bandy i główny budowniczy, bo się najlepiej na budarce rozumiał, zawisł najpierwszy za żebro na haku w Mikołaszu Liptowskim i póty wisiał, aż zgasł, i tam leży. Staszek, brat jego młodszy, umarł na zapalenie płuc, napiwszy się wody, zmęczony pościgiem straży celnej granicznej, gdy się z tytoniem ku Galicji przekradał. Umarł we wsi. Pitoń urwał się u kraty wiśnickiego zamku, gdy uciekać próbował, i odpadłszy z wysokości. rozbił głowę na miejscu. Na cmentarzu wiśnickim pochowany. Wartki albo Horny Kośła ostatni zeszedł ze świata. Zginął on w Staroleśnej Dolinie przy Niżnich Stawkach od kuli spiskiego strzelca na polowaniu na kozy. Tam leży.

Pochował go śnieg, a na wiosnę orły ciało rozniosły. Tak się czterej budowniczowie Zbójeckiej Chałupy skończyli.

Ale chałupa widziała potem wiele jeszcze rzeczy. W niej odbyło się sławne, a tak tragicznie zakończone wesele Zośki Mocarnej z Polan, ze słynnego z siły rodu Mocarnych, od tego, że nad moczaryskami siedzieli, wiodących nazwisko, która najtęższych chłopów waliła, drzewa w lesie ścinała, a mając około lat trzydziestu, stowarzyszyła się z bandą zbójecką Franka Topora Huciańskiego z Hrubego i stała się postrachem zatatrzańskich dziedzin murowanych. Nigdy ona nie zaznała uścisku miłości. bo się każdy bał z nią zespolic. Gdy jednak zasłynęła bogactwem z łupieży, a brała dobra zdobytego, ile chciała, gdyż się nikt z nią o to targować

nie śmiał, chciwy, choć nie biedny Kuba Pitoń Jaśkowy z Molkówki w Polanach począł się o jej rękę ubiegać. Odradzali mu ludzie, a i ona sama mówiła: Kuba, daj pokój, bo nie zdoles - ale on, łakomy bogactw, nie zważał na odrady. Że się Zośka nie bardzo chciała w kościele chochołowskim pokazywać, bo tam we wsi zamożnemu i szeroko spokrewnionemu gaździe, Michałowi Tylce, świeżo parę koni ukradła, przyszedł jej pomysł w dobrze sobie znanej Zbójeckiej Chałupie wesele odprawić.

Jechał tedy cały orszak weselny spod lasu konno w głąb, ze śpiewaniem i muzyką. Na objuczonych koniach wieziono beczułki z winem i piwem i cała puszcza odwieczna napelniła się gwarem, któremu wtórowało dalekie wycie niespokojnych wilków. Zośka wysypała na wesele talarów kotlik. Grzmiały pistolety i strzelby, zapalono watrę, której ogień bił pod same wierchowce smreków, a luną spłynął jak pożar. Ale Kubie pękły ku ranu trzy żebra dolne, jedno z prawej, dwa z lewej strony. i tam. gdy go dla bólu wielkiego i bezdroża zawieźć do rodzinnych Polan na Molkówkę nie było można, do trzeciego dnia skończył.

Pochowano go w lesie i postawiono mu krzyż, a długo słynęło przysłowie: Wzion się jak Kuba Pitoniów ku Zośce Mocarnej.

Ona zaś żałowała go bardzo i mówiła, że nic nie była winna, że się z nim chciała obejść jak najostrożniej, ale ją na malučką kwileckę dojeno - i mas.....

Tam też w Zbójeckiej Chałupie kryło się przed krzykiem i klątwą ludzką nieszczęsne rodzeństwo, Jaś i Te-resia Słodyczkowie z Zubsuchego, ona lat siedmnastu, on dwudziestu, którzy wbrew Boskim prawom i człowieczym instynktom zakochali się w sobie i uciec z rodzinnej wsi i z domu macierzystego musieli. Tam małeńką dziecinę. zgasała od zimna i głodu, gdy sami nim przymierali, pod starym smrekiem pogrzebli, a Jaś, który do szkoły w Nowym Targu chodził, korę z drzewa odłupał i następujący napis na tym nagrobku wyrzył:

*Haw spocywo  
małe dziecko niekrzcone  
umarło od mrozu i ze mace mleka  
w piersi brakło  
nie karz go Boże piekłem  
bo Ci przecie nic niewinowate  
Amen*

Długo ten smrek z tym napisem stał. aż go piorun roztrzaskał. Różnie z tego wróżyli ci, co świadomi byli: jedni, że Bóg chciał dać poznać, że prośbę przyjął i choć niechrzczone, dziecko do nieba wziął; drudzy, że chciał pokazać, iż tak w ogniu piekielnym gorze, jak ten smrek zgorzał od piorunu.

- Bóg jako Bóg - mówiła stara Gadejka, ich stryjna - taki je jako orzeł po niebie. Wtoz wie, ka zamyśli? Nie przeciwi sie mu hmura ani dysc. Ka fce: polecie. Taki tys i Pan Bóg - ślebodny.

Tam w Zbójeckiej Chałupie Wojtek Samek z Zakopanego, zacięty strzelec na niedźwiedzie, zwany "Widowacem", bo mu się przedziwne rzeczy i jakich nikomu drugiemu widzieć się nie zdarzało, pokazywały (on to widział rybę z baranią głową w Morskim Oku), widział raz w nocy październikowej, podczas pełni, straszliwego jeźdźca Tatr, rysia na karku jelenia, jak przelatywał przez polankę popod Zbójecką Chałupą, niesiony wichrem przez zrozpaczone

zwierzę. Słyszając z daleka jęk i ujrawszy straszliwe zjawisko, zląkł się zrazu Samek, bo myślał, że widmo, i nawet krzyż Pański uczynił, a jeleni przemknął i znikł w gęstwinie.

Tam widział on także rozpaczłą walkę niedźwiedzia z wilkami, których było pięć. Bór cały trząsł się od ryku i charkotu, a kurzawa młodego śniegu wzbijała się nad kupą zwierząt w powietrze. Niedźwiedź zaskoczony znienacka nie zdążył uciec do lasu ku drzewom i wilki go przysiadły. Samek patrzył z drzwi Zbójeckiej Chałupy, z dubeltówką w ręku, na tę walkę. Było mu skóry niedźwiedziej żal, ale był ciekawy, kto zwycięży. Niedźwiedź bronił się mężnie, a cofał się ku lasowi spomiędzy młodych smreczków. Aż się wojenna dusza Samkowa radowała patrząc, gdy potężny zwierz wspinał się na tylne łapy i machał mocnymi ramionami, rycząc i sapiąc. Ale zręczne wilki uskakiwały w bok, a drogę do lasu zagradały. Już jeden, uderzony w głowę, runął z jękiem na śnieg, wylewając juchę rozdartą paszczą; już drugi z rozprutym pazurami brzuchem wyleciał wysoko w powietrze i padł tarzać się we własnych krwawych wnętrznościach; gdy największemu z wilków udało się z tyłu na niedźwiedzia skoczyć i poza uszy wbić mu kielce w kark. Wtedy drugi wilk uczepił mu się gardła, a trzeci również na kark skoczył. Przyduszony i zdławiony niedźwiedź upadł, rozkrzyżowując łapy. Teraz uczynił się jeden potworny kłęb ciał i taki jęk, ryk i charkot, pomieszany z wyciem dwóch obok konających wilków, iż Samkowi strzelba drżała w rękach od przejmującego wrażenia. Może pół godziny zeszło na przewracaniu się potwornym walczących zwierząt, które splątały się tak, że trudno było jedno od drugiego odróżnić. Wreszcie niedźwiedź, zagryziony, przestał się bronić, a wilki, czerwone całe od posoki z ran, poczęły szarpać jego mięso i chleptać krew. Wtedy Samek dwoma strzałami zabił dwa, a trzeci uciekł.

Opowiadał on to, wróciwszy do domu, w ciepłej izbie wieczorem, jedząc dymiącą bryję, obficie polewaną gorącym słodkim mlekiem, a uważnie słuchała go żona, z gazdowskiego rodu Sobczaków, trzech synów dorodnych i trzy piękne córki o wysokich piersiach i krasnych twarzach, które płótno tkwały na krosnach, póki dniało, a teraz siedząc, ta na ławie, ta na konewce, owa na krzeselku, poopierały okrągłe brody na rękach i słuchały jednej z tych cudnych opowieści, które tatuś z gór przynosić byli zwykli. Słuchali także dwaj kumotrowie, przyjaciele i towarzysze Samkowi, wielcy polowacze. Jasiek Walczak ze Skibówki i Maciek Tatar od Tatarów, popijając wino węgierskie, które przed nimi postawiono, i pykając z fajek dym gęsty i duszny. Jutro mieli się oni wraz z Samkiem wybrać ku Zbójeckiej Chałupie po skóry pobitych zwierząt, które choć potargane w walce, nie traciły wartości, oraz po mięso i sadło niedźwiedzie, wielce we wszelkich chorobach zbawienne, o ile nie zniweczą bogatego łupu inne wilki, rysie, lisy, kuny i ptaki drapieżne.

Tam miał też Samek przedziwne widzenie, po którym powiadali, że choćby jaki zły był, do nieba pójdzie, gdy mu Pan Bóg taką rzecz za życia ujrzyć pozwolił; ale on zły nie był.

Nieszczęście chciało, że wybrawszy się z dwoma towarzyszami w Mięguszowieckiej Dolinie świstaki ryc, natrafił on tam na siedmiu strzelców liptowskich i dostał kulę w bok. Nie byłby on jej dostał, bo mieli czas uciekać, i dwaj jego towarzysze uciekli gdzieś ku Koprowej Przełęczy, ale wojenna dusza Samka nie chciała ustąpić z placu bez strzału i bez okazania Liptakom, że oni syćka dziady, a Polacy hłopy - i zatrzymał się, by nahrubsego wziąć na cel. Bóg jednak nie pobłogosławił, bo strzelba nie wypaliła, czy proch na panewce zamókł, czy co, a natomiast jeden z liptowskich strzelców wpakował mu kulę pod żebra. Z nią ustąpił Samek z pola, świadomy, że ustępuje honornie, i przeszedł, ciekąc krwią, Mięguszowiecką Przełęcz, przeszedł od Rybiego het popod Wołoszyn, nie jedząc i nie pijąc, bo nie było co, wszystko bowiem przy świstaczej jamie zostało, aż go nareszcie za Waksmundzką na perci

znużenie zmogło i o to tylko duszy swojej prosił, aby zeń nie uciekła, nim się do Zbójeckiej Chałupy dobije. Tam też padł na cetynę po ostatnim czyimś legowisku, zbójników albo strzelców, i został.

Wtedy - ale Boże hroń od gorącki z rany, jino z Boskiego dopuszcenia - dało mu się widzieć, czego żaden góral nigdy nie widział.

Słaby był tak od upływu krwi, że ani ręką, ani nogą ruszyć nie mógł, gdy nagle zdało mu się, a było to po zachodzie słońca, ciemnawo, bo mglisty był dzień i padał deszcz - że się jakiś cień pojawił we drzwiach, choć były zamknięte, a zaraz potem drugi. Jeden stanął po lewej stronie drzwi, drugi po prawej.

- Śmierć - pomyślał Samek - ale na kigoz by diaska dwie przisły, dy jedna całemu światu, królom, biskupom i dochtom, nie dopiero hłopu poradzi, anik tes tego nie słyszał, coby dwie jakie śmierci beły abo coby we dwók osobak hodziela...

Ale się zaraz dorozumiał, kto to przyszedł, bo ten cień, co na lewo przy drzwiach stał, powiada: Duso ludzka, podź ku mnie.

A ten głos był taki, jakby kto na niesmarowanej osi zgrzypiał.

- Oho! - pomyślał Samek i wzdrygnął się. - Dy to diabeł, a to drugie pewnie śmierć abo jaki pomocnik.

Ale w tej chwili odezwał się ten cień, co po prawej stronie drzwi stał: Duso ludzka, podź ku mnie.

A ten głos był tak, jak sygnaturka w kościele.

Uradował się tedy Samek, bo poznał, że to nie pomocnik diabelski ani nie śmierć, gdyż ci by takiego pięknego głosu nie mieli. A i to go cieszyło, że się cień ten wydawał o wiele jaśniejszym niż drugi. Wpatrzył się w nie dobrze Samek, oczy on miał bystre, strzeleckie, i rozeznał wielkie skrzydła nad jednego głową i nad drugiego, ale ten jaśniejszy miał takie, jak jaskółcze, a ten drugi takie, jak nietoperz. Wiedział już Samek, że to anioł i diabeł.

- Przisli po mojom duse - mówił do siebie. - Wtoz tu bedzie mocniejszy?

Diabeł powiada: Duso ludzka - mojaś! A anioł zaraz: Nie twoja, ba moja!

- Moja!

- Nie twoja! Zaczęli sie wadzić.

- Kradł - powiada diabeł.

- Złodziejstwo hłopska rzec. Nie ukradnie ten. co nie potrefi - odpowiedział mu anioł.

- Pił.

- To za swoje. Cyś mu pozyczał?



- Rad dziewczki widział, kie parobke beł.
- Dy byś je i ty rad widział, kieby cie jino fciały! Nie bój sie!
- Nie spowiadał sie jus cosi ze trzy roki.
- To ksiendzowa sprawa, nie twoja. Jest hań pleban w Hohołowie od tego.
- Kie sie ozezłości, klnie.
- E to na tobie I Dobrze robi.
- Świętym nie dowierza.
- Tak tys i oni jemu. Wiem dobrze, bo my towarzisia. a tyś ku nim za podogonie!

Zgniewał sie diabeł na to, rusza ku Samkowi ode drzwi.

- Podź, duso ludzka! Bierem cie! - zgrzypi i widły skądś zza siebie wziął, i mierzy ku Samkowi.

A anioł do niego: E beskurcyja! Sto diabłów zjadło! Cos by ja za janioł beł, cobyk ci haw rady nie dał!

I łap za widły ręką.

- Beło sie cemu przypatrzeć - opowiadał Samek - bo choć janioł beł, widno po nim, bucny, ale diaboł tys nie słaby. Co sie ten z widłami siepnie ku mnie, to go zaś drugi zatrzymie. Ino mi to dziwno beło, ze nijakiego hałasu nie robili. Gadać gadali tak po ludzku, ale coby co udrypcili, to juz nie. Nic słyhno nie beło. - Na koniec anioł wydarł diabłowi widły i wyrzucił przez dach do pola - śladu w deskach nie było, tylko się trochę zasmędziły - a wtedy się diabeł zwyrtnął i buch we drzwi. Uciekł.

- No, duso ludzka - rzekł teraz anioł do Samka - wybronilek cie.

- Bóg ci tys zapłać, janiółecku - odpowiedział Samek.

- Jakos, Wojtek? Fces iść se mnom do nieba?

Poskrobał sie Samek poza uchem, bo mu się jeszcze nie chciało ze świata schodzić, miał dopiero pod pięćdziesiąt lat, a głównie żał mu było tego niedźwiedzia z białą okową na szyi, co w Ciemnych Smreczynach siedział, i wesela u Sobczaków pod Gubałówką, na które proszony był, a tu takiej osobie nie rzecz się sprzeciwiać. Skrobie się więc za uchem i mówi: E cobyście mi by telo zelzyli, cobyk jino hań ku jednemu niedźwiedziowi zalecieł - - niekze ta jus to wesele u Sobczaków bedzie wase, jak ni moze inacyj być.

Nie mówił mu ta, jaki ten niedźwiedź abo ka, bo co sie ta janioł na strzelectwie rozumie.

A on powiedział: No, to niekze sie stanie według słowa twego. Ostańze jesce i idź na tego niedźwiedzia.

I wzniósł się na skrzydłach, i wyleciał przez dach.

- Anik sie go nie zdążył spytać, jak mu na imie, cy je Serafin, cy Herubin, cy jaki. anik mu nie podziękował, wyjechało to bez dań w pole, jino migło.

Ale ta widać inacyj Pan Bóg umyślił, jako on se mnom ukwalował, bok i tego niedźwiedzia zabił, jino mię po tej kuli popuściło, i na weseluk beł, i dotykcas zyjem, i moze jesce bedem zył nie jeden rok ani nie dwa.

Dziwniejszego widzenia nie miał Samek, choć on z Mnichem jednej nocy przy Hińczowym Stawie sie spotkał. Ale to widziadło nic do niego nie mówiło, tylko przechodząc mimo zaświeciło mu kagankiem w twarz i poszło dalej.

- Tak byś pedział, co nie kraca, jino płynie, hoć nogami rusa pod tom sukniom. Brzode ma w pas. a ocy tak, jako bielmem powlecone. Kaptur na nim. do śpicu, co ukrocy, to sie mu to na głowie huzia. Kaganek se niesie w rency cyrwony, piekny. Widziałek go iść het dołu ku Popradzkiemu. Zaraz potę Wag wylał, co sie w Roziembergu troje ludzi utopiło i pies.

Tam, w tej Zbójeckiej Chałupie, spoczywało raz pięcioro ludzi, którzy dwa woły i barana juhasom w Koperszadach pod Hawranem ukradli.

Był tam Michał Kamiński z Białego Dunajca, który nawet do kościoła w Poroninie z nożem o krzywym ostrzu za pasem chadzał; był Klimek Zarucki z Zubsuchego, młodzieniec o twarzy gładkiej i tak delikatnej, że prawie kobiecej, który siedm siostr Michnianek jedną po drugiej uwiódł i z tego słynał, a przy tym biegle zbójował;

był Jasiek Wala z Walowej Góry, który umiał płot tak wysoki, jak był sam, przeskoczyć, głośny tancerz i złodziej; była Zośka Mocarna, wdowa po Kubie Pitoniu, i Joachim Topór Jasica z Hrubego, jej stryjeczny stryj, stary, ośmdziesięcioletni chłop, ale krzepki jeszcze i śmiały, a do podchodów pod woły jedyny, zwany Gackiem, że nocami wędrował wiele.

Uwiązali oni woły przy ścianie, okręcili im pyski szmatami, aby nie ryczały, złożyli ogień i zarznęli barana, aby się posilić. Zajęła się gotowaniem Zośka, ale Kamiński na to nie czekał, tylko surowe mięso nożem krajał, solą tego posypywał i do ust kładł, a co kęs zżuł. przechylał flaszkę z wódką i pił, a pił tak, że nim głód zaspokoił, półtorej flaszki było próżne. Tak on to "warzył w sobie". Ale nie było po nim znać, bo był chłop silny i zdrowy.

Kiedy się już mięso ugotowało i wszyscy się najedli, poukładali się koło watry i zapalili fajki, a Zośka tak, jak inni. I mało kto taki potrafił kłęb dymu puścić, jak ona.

Gwiazdy już poczęły wychodzić na niebo i świecić przez dziury dachu do wnętrza.

Lipcowy był wieczór, ciepły, wiatr polatywał od gór, szumiąc po lesie tak wesoło, jakoby się cieszył własnymi skrzydłami i lotem.

Joachim, czyli Johym Topór Jasica Gacek, leżał blisko ognia, bo on się chętnie już i w niechłodną noc grzał. Chował on bardzo staroświecką modę, bo jeszcze na szyi wieniec z kamyków i kostek nosił, a na głowie czapkę baranią wysoką, śpiczastą, pookręcaną rzędami muszelek. Głowę miał podobną do głowy starego puchacza, gdyż oczy miał ogromne, wyłupiaste, i bokobrody zapuścił, które mu się strzępiły koło twarzy w długich kudłach.

Pamiętał siła pradawnych rzeczy, a za młodu pamiętał jeszcze łuk na ścianie w chałupie, z którym jego przodkowie na polowanie niegdyś chadzali. Umiał on do swojej późnej starości przedziwnie toporkiem rzucać, tak że tę gałąź odciął, którą chciał, i tylko mu jeden nieboszczyk Horny Kośła w swoim czasie mógł w tej sztuce sprostać.

Zostawili mu ojcowie niejaki majątek w roli i statku, co się w lecie na Hali Waksmundzkiej, a jesienią na polanach koło Toporowych Sławków pasał, on go zaś przyczynił, ale głupio zrobił, bo dzieciom, gdy dorosły, wszystko rozdał, a złe dzieci, miasto go chować, jak przyrzekały, wyгнаły go z domu. Tułał się więc i najwięcej zbójników dzierzył, bo choć stary był i siły już wielkiej nie posiadał, mógł z młodymi w zawody drogi odbywać, a nawet biec, i ogromne miał doświadczenie w kradzieży, którego od wczesna i w długim życiu nabył.

- Mnie nie było ośmnast rokók - mawiał - kiek już poza bucki ku dobrym hłopcóm skoczył, tak mie matura ku temu ciągała. Otukno mi tak beło w doma siedzieć, kiek slišał kogo na zbój iść, co raty! Beł przy Stawuk Gąsieni-cowyk baca, Jano Byrcarz, co proci Maćka Gąsienice w Zakopanem siadował, ś nimek pirsy raz poseł. Ten nijakiej broni ku sobie nigda nie brał, jino sękowiec, ale kie sie ozpajedził - hej! moi ludkowie! wykopyrtneno sie ta kiela siumnyk siuhajók od nieho. Nie beło hetmana nadeń!... Ś nimek pirsy raz po zbójú hodzował. Dawno...

Tego wieczora Johym Gacek markotny był.

- Dzieci me wyгнаły, włócem sie nocami. Gacke me zowujom - mówił. - Miałek śtyry córki i pięci synók, troje pomarło, seścioro zyje, jedna córka i synowie. Wnukók, prawnukók be z pół kopy lebo i wiencyj. Haj. Z końca me howali, zyciek miał dobre, kak sa prziseł do wto-rego, tamek siedział. Cok se zywnie zamyślał, dawali mi. Hej, nie wybyło dwa roki, odmieniło sie. Wygnali me. Ja se to z ik młodości myślał: Nie będzie to z tego nic, bo się to ani do strzelectwa, ani do złodziejstwa nie brało, ba ku roli, ku koniom, drwa przy domie rubać, siano kosić. Ku nicemu godnemu sie nie brali. Myślał se: Jeden-ze przecie musi na świecie cymśi być, cosi konać. Hej! nie daj Boze! Sytka pošli na rolom - gazdy. Na dziadka macierzyńskiego sie podali. Siejom, skrudlom, orajom - ale hłope być, nie ik rzec! Wygnali mie. Hańbis nas, padajom, ty stary zbójú, złodzieju! Eu, kieby ja beł nie krad, nie mielibyście wy każdy po kóniu i po trzi krowy, synkowie! Dość-ek kyrpcók zdar na wase dobro, a wysyj dwaścia rokók, wraz rahujący, w hereściek siedział. A co mi kijók wycieni na Luptowie, na Orawie, na Spisie, w Nowym Targu - wysyj tysiąca! Nie mielibyście wy dziś być na cym gazdami, kieby nie ja! Haj! Ja i od Kroatók, i z Bośnije dudki nosieł. Jak padnie, to im samym jesce byćki wywiedem! Niek sa warujom! Miśko, jest ta jesce palenka?

Podał mu Kamiński flaszkę? pił.

Splunął, usta rękawem obtarł: Dobra! Daj jesce! Pił.

Odstawiał od ust i mruczał: Niek sa warujom, niek sa.

Strzegom, synkowie! Na jutro na rano moze bycek haw być! Haj!

Pił. Twarz mu się zaczerwieniła, ogromne, wylupiaсте oczy koło krzywego nosa napęczywały jakoby blaskiem,

wąskie, podłużne, schylone ku dołowi po kątach wargi zaczęły drgać.

- Hej, synkowie, gazdowie! Ciepło wami Baba pościel grzeje. Haj!...

Poczęło mu się mieszać w głowie.

- Hej, nie było to, jako Łuscykowie Jaskrawi, Józek i Stasek... Ci to, co ton Hałupe Zbójeckom pobudowali... Były hłopy!...

*Dobrzy hłopczy byli, ale się mineni,  
i my się minieme po maluńskiej kwili...*

Łuscykowie Jaskrawi... Łune urobili roz takom, niedaleko Kokawy, co całe niebo spłoneno... Haj!... Łuscykowie Jaskrawi... Hej! Kieby by jednego w Hrube puścić, ku synkom ku gazdom... Baba pościel grzeje - wiera! - byłoby i jasno!... Nagle zerwał się z legowiska.

- Idem!

- Ka? - spytali towarzysze.

- W Hrube!

- Po co?

- U dzieci nocować. Bądźcie zdrowi, ludkowie moi! Nim się obejrzel, wyszedł. Zachrząścił na patykach koło chałupy, zaszeleścił na trawie – przepadł w lesie.

Śpią Kamiński i Wala, noc głucha, kiedy Zośka Mocarna, co obok Zaruckiego, bo on miał żebra jak ze stali, leżała, trąca go i mówi: Klimek, pożrej no! Łuna lebo co na niebie? Dy przecie jesce nie świta! Ka to Wóz na niebie wysoko!

Popatrzył się Klimek, powiada: Łuna. Kasi gore. I zasnął.

Ale Zośka Mocarna widziała przez szpary w dachu, jak łuna rosła i objęła niebo przerażającą czerwienią, od któ-rej gwiazdy gasły.

- Jaskrawyk Łuscyków Gacek wspominał - myślała - i wywspominał. Kasi blisko gore.

Nazajutrz dobrze dniało i Michał Kamiński narzekał właśnie, że mu Gacek wieczorem wódkę wypił, gdy stanął on we drzwiach Zbójeckiej Chałupy. Wydawało się, jakgdyby mu się przygarbione już plecy wyprostowały, a w oczach jarzył mu się blask.

- Widzieliście?! - spytał zadyszany, ale podniosłym głosem.

- Witajcie, krzesny ojce. Co my mieli widzieć?

- Nocował przy dzieciak. Widzieliście?

- Jakoz my mogli tustela widzieć?

Ale Zośce wzdrygnęło się serce w piersi na tę myśl, która jej przyleciała do głowy.

- Łuna?! - zapytała.

A stary Gacek kiwnął głową z tryumfem i odrzekł:

- Luna!...

A potem dodał: Dwa gazdowie, synkowie, pośli! Zrobiło się cicho w Chałupie Zbójeckiej, nawet Michał Kamiński rozwarł szeroko powieki, choć on się mało czemu dziwować lubił.

- Podpaliliście?!

- Haj. Zasełek ku Jędrzkowi, burzem na oknie: - Wto? - Ja, ociec. - Idźcie w diabły! - Idem ku Jaśkowi, bo to zaraz, jedno przy drugim. - Wto? - Ja, ociec. - Kiz was diasi! Idźcie ku Jędrzkowi! - Juzek beł. - No to idźcie w diabły! - Juzek dali nie seł. Gorzałka mi tyz kręciła w głowie. Eu, myślem, nie pudem ja juz za wode, ani ku Staskowi, ani ku Kubie, ani ku Johymkowi, ani ku Marynie, ba haw przy was ostanem. Pockajciez - gazdy. A tu mi Łuscykowie Jaskrawi, nie-boscyk Józek, co go za pośrednie zioebro w Mikułasie powiesili, i nieboscyk Stasek po głowie tańczujom. Hej! Przewiedliście meę wy bez rozummy, synkowie, wy dwa starsiejsi, kiek was częsciował! Wezmem pilno hubke, krzesiwo - podpalilek. Zagorzało w ocymieniu!

Odwrocił się od drzwi ku dolinom i wyciągnął rękę.

- Gazdy! Dziady! Wygnaliście mnie, hańbis nas, pada jom, ty stary złodzieju, ty zbóju! Synkowie I Pomsta na was, co ja sie poniewirać musiem! Teraz bedziecie głode mrzyć - gazdy dziadowskie! Pogorzecy!

I trząśł suchą, wyschniętą ręką w stronę wsi, a oczy mu świeciły straszno i wąskie, podłużne wargi drżały. Tymczasem zaś Kamiński sznurował kypce i mruczał:

- Sytko dobrze, krzesny ojce, jino cobyście beli syćkiej gorzałki wcora nie wypili. Nie ostało nic...

Już się potem Chałupie wzięło ku końcu. Poczęto lasy popod Koszystą ciąć, pastwiska wyrabiać, szopy budować w pobliżu.

Opustoszała Chałupa Zbójecka, nie naprawiał jej nikt. Jednej jesieni wiatr halny zerwał dach i potrzaskał, ściany potem zaczęły butwieć i gnić. Narosło wkoło rozmaitego zielska i przez szpary w ścianach poczęły się wsuwać zielone, ponure liście łopuchu, a potem trawa i błękitne, szafirowe goryczki poczęły wewnątrz rósć. Mchy i wilgotne porosty opęzły pnie w ścianach i osiwiły je bladą zielenią. Zasiał się koło nich rdzawy, smutny szczaw i ciemne, senne pokrzywy. Niskie ściany jęły ginąć w lecie w gęstwinie roślinnej, a w zimie pod nasypem śniegów z każdym rokiem więcej i więcej. Inny wichor halny zburzył dwie ściany, południową i zachodnią; dwie drugie w parę lat później zwały się pod ciężarem śniegu. Łopuchy, trawa, szczaw, pokrzywy; błękitne i szafirowe goryczki i białe konwalie górskie zarosły z wiosną rozwalone pnie. Ziemia jęła wchłaniać butwiejące i gnijące drzewo i po kilkunastu latach nie pozostało ze Zbójeckiej Chałupy śladu.

Przetrwała o niej tylko pamięć wraz z imionami Łuscy-ków Jaskrawych, Hornego albo Gońca Kośli z Pardółówki, Zoški Mocarnej z Polan, Samka Widowaca strzelca, żałosnego

rodzeństwa Jasia i Teresi Słodyczków i starego Gacka Topora Jasicy z Hrubego, który się na złych synach pomścił.

## O MARYSI "DALEKIEJ"

Jasiek Mosiężny grał na skrzypcach ślicznie, a i śpiewanki umiał składać, że szeroko daleko o drugiego takiego. Z tego grania i śpiewania zasłynęło jego imię precz, bo go równie dobrze w Maruszynie i Krauszwie, jak w Dzianiszu i w Kościeliskach znali, a że to kobiety lgną do takich ludzi, co o nich sława po świecie chodzi, jako to powiadają: Ka się świci, babę chyci - więc też i do niego lgnęły dziewczki, a i z bab pojedna dobrze oczu za nim nie wypatrzyła. On ta też nie był od tego, jak to chłop, ale sobie po większej części z nich mało co robił. A i wydawać się za niego chciały bardzo bogate dziewczki, ale on o to nie dbał, choć sam nie miał nic, tylko to, co wygrał tymi skrzypcami na weselu albo w karczmie, albo co zarobił przy ciesielce, przy trazu, przy stolarstwie, bo do wszystkiego zdatny był.

Ale to już taka natura w tych muzykantach. Co mu się nie podoba: daruj mu, nie weźmie; co mu się upodoba, duszę za to by dał - choćby diabłu. Nie ma co z takimi narabiać, bo to takie, jak głupie.

I mało ten Jasiek Mosiężny zagrzeł miejsca we swojej wsi, skąd rodem był. Ciężko on się włóczył, zwłaszcza latem, kiedy powyganiali na hale. Uświadczyłbyś go i w Pańszczycy, gdzie poronianie pasali, i w Gąsienicowych Stawach przy zakopianach, i zaś znowu przy miętusianach na Miętusiej i w Chochołowskiej Dolinie, i w Zuberskiej przy Orawcach. Znali go wszędzie, przyszedł, grał, śpiewać rozmaicie nowo nauczył. A gdzie przyszedł, tam go wnet dziewczki, ba i baby, nie to po licu, ale i po rękach całowały i klękiwały przed nim jak przed obrazem. Takie szczęście miał. A on się najwięcej z tego śmiewał po trochu, a choć ta dość i latał czasem za tą sprawą, nikt nie wiedział, co mu w sercu gra...

Ale kiedy sam był, tak ażeby nikt go nie usłyszał, gdzie wysoko we wierchach albo gdzie głęboko w lesie, to sobie wyciągnął gęśle spod pachy, przygrał sobie, a zaśpiewał na taką swoją nutę, odmienną, jako po wsiach góralskich na Skalnym Podhalu śpiewują - a to szło jakoś tak:

*Idem, idem między wierhy - -  
graj mi, skrzypko, graj! -  
a patrzem se dookoła,  
jak syroki kraj.*

*Patrzem, patrzem dookoła -  
brzęc mi, skrzypko, brzęc! -  
a wzionbyk to serce moje  
do obidwók ręc.*

*Wzionbyk, wzionbyk serce moje --  
zwoń mi, skrzypko ma! -  
a cisonbyk komu do nóg,  
kieby było ka...*

*A cisnonbyk tej dziewczynie -  
nieś sie, skrzypko, nieś! -  
co sie gdzieś kryje, howa,  
hej, obdalno gdzieś!*

*Ej cisnonbyk, choćby pukło -  
płyńże, skrzypko, w gmlę! -  
ale ino tej jedynej,  
co sie zwidzi mnie,...*

*Nie mas ci jej, nie mas ci jej -  
grajze, skrzypko, graj! -  
ino ocy moje lecom  
het na świata kraj...*

Jakoś to tak szło, ta śpiewanka Jaškowa.

I zapoznał się ten Jasek z Marysią Chochołowską z Kościelisk, co pod Ornakiem pasła.

A ta Marysia Chochołowska bardzo dziwna była i nikt takiej drugiej dziewczki nie widział.

Nieraz siadzie na kamieniu albo na pniaku, zapatrzy się, to i pół dnia przesiedzi? w domu w izbie albo gdzie popod ścianą samo to. Niebieskie miała oczy, mgliste; niby patrzy nimi we świat, ale dobrze widno, że nic na nim nie widzi. Odezdziesz się do niej, zaraz to głowę dźwignie, uśmiechnie się, a tak słodko mówi, tak mile, jakby miód w serce kapał. Do tańca pójdzie, na wesele przyjdzie. będzie się z parobkami i przyśmiewać, ale to znać, że jej to nie w głowie, że gdzieś indziej jej myśli. A najlepiej lubi się gdzie samotnie za krowami albo się w komorze zamknąć w domu. To się wtedy położy na trawę albo na łóżko, oczy przymknie i leży. Nazywali ją Marysia "Daleka", że to daleko gdzieś od świata odchodziła.

A byli i tacy, co ją brać chcieli, bo ładna dziewczka była, wyrośnięta jak kwiat, gospodarna, skromna i majątna. Ale ona dziękowała, a nie chciała.

- Poproś me ty na swoje wesele z inom, a je cie zaś bedem pytać na mój pogrzyb - mówi i uśmiecha się tak smutno, jakżeby wiedło ziele, a tak jasno, jak woda w potoku.

Było jej już dwadzieścia trzy lata i tak trwała.

Ej, kiedy ją ten Jasek Mosiężny muzyka pod Ornakiem poznał, nie poszedł on już więcej tego lata ani ku poroniankom ku Pańszczycy, ani do Zuberskiej Doliny ku orawskim pannom. Został w Kościeliskach i tam siedział, a najraczej sobie przyśpiewywał:

*Pociesenia nie mam, w polu go nie siejem,  
Pocies-ze mnie, Maryś, skąd sie nie spodziejem.*

I poziera na tę Marysię Chochołowską, ale co ona na niego spojrzy, to mu skrzypce w rękę zedrzą i ustaje grać, jakby mu palce zmarzły.

Dopiero pasterka jedna z drugą: Hej! Zakohał się nas Jasicek w Dalekiej Marysi! Pozal sie go tes, Boze!

A zazdrość je brała, bo dziewczka to to jest takie, szelma, że choćby czasem i sama nie chciała, to będzie o drugą zazdrościć. Są niektóre inne; ale mało.

A ta Marysia temu Mosiężnemu niby nierada nie była, owszem, tak się mogło czasem zwidować, że go i dosyć rada ma, ale ile tego lubienia było: tego wyrozumieć nie mógł. Gadała z nim, grał, to słuchała, czasem go i zagrać poprosiła sama, a czasem cichuteńko szepnęła: Zagrajze mi o tym Janicku, co wołki pasał...

I zaraz jej bladość na twarz wychodziła. Więc on grał na nutę - znacie ją:

*Kie ja sobie wołki pasał przy zielonym gaićku,  
Przisko ku mnie swarne dziewce: Co tu robis, Janicku?  
Co ja robiem, to ja robiem, to tu o mnie nik nie wi,  
Ino jedno swame dzićwce, co nikomu nie powi.  
A jak powi, to niek powi, to powi sama na sie,  
Bo mi sama powiadała: Hybaj. Jano, na rose...*

Grał, mógł grać godzinę, dwie, nie odmieniając, a ona słuchała, tylko coraz bledsza była.

A potem mu powiedziała "Dzięńkujem ci" - i poszła.

I gdzieś się wtedy tak kryła, że nikt jej potem wypatrzyć nie mógł.

- Ej, Jasiu! nie wygras ty se Marysi! - mówiły mu dziewczki.

- To wolem jej grać choć tak, jako was ściskać - on odpowiadał.

- Ej Jasiu! Skoda cie!

- A choćbyk umarł la niej, nie skoda.

- Nie twoje przeznacenie ś niom.

- Ale jest Przemienienie Pańskie cudowne na niebie. A potem, kiedy poszedł, kiedy sie cisnął gdzie pod smreka, twarzą ku ziemi... Przecie aż żal było chłopca!...

Stary juhas, Stasiów Szymek Tyrała, chłop mądry, bo i kapralem u cesarki Tereski przy dragonach był, raz tak powiada, kiedy tak na tego Jaśka muzykę pod smrekiem leżącego patrzy: Te muzyki to jakiesi całke ine ludzie...

Som jest dziwtóre mądre, ale mało, a jak się juz utrefi głupi, to cały diaboł!

Beł u nas w reimencie w trzeciej skadronie trompeter, fajny hłop. Cek, jakosi sie tak cudnie nazywał. Niedopil cy jako? A na imie mu było Karol. I co nie zonaceł, kie zalubieł jednom dziewczke, służke, we Widniu: beł do Dunaja z mostu!

- Tu mas! - krzyczy Antosia Mardułowa, co jej dopiero na siedmnasty rok szło. - I utopił się?!

- Wyciongli go mało zywego. Pyta sie go wachmistrz, bez co telo zgłupiał, a on pada: Je ze mnie nie fciała dziewczka, cok jom zalubieł.



- I co sie zrobiło potę, krzesny ojce?

- Ino go puścili ze spytała, beł drugi razi Ale juz lepi wymierzał, bo go już węcyl nie znašli.

- Hej! Panjezusicku!

- A grać to tak umiał, ze sam feldmarsiałek Laudon ras mu dwa talary śrybłem na manibrak dał. Nawet beł na tego Jaśka Mosiężnego trohe podany w ocak.

- Ej! fciałaby ja tes, coby mie wto tak miełował - mówi Antosia.

- A cóż byś mu za to dała? - śmieje się stary Szymek.

- E co wam juz nic pote, krzesny ojce! - parska Antosia niestropiona, a wszyscy do śmiechu.

I szedł dzień za dniem, tydzień za tygodniem, nie odmieniało się nic. Marysia Daleka słucha Jaśkowej muzyki, ale nic on jej nie bliższy.

- Spytajze sie jej - mówią dziewczki - cy cię rada widzi abo nie?

- Kie nie śmiem.

- Oześmiel sie! Cyś nie hłop?!

- A jak mi powie: nie?

- Pudzies ku inej.

- Wieral Wolałbyk się tu zapaść!

- Nie bluźnij!

- Ej! ani mi niebo nie cudne, ani mi piekło nie strasne!

- Takeś sie to wej zakohał?

Ale on już nic nie rzekł.

Aż przyszedł raz dzień słoneczny, tak rzeżwy i tak bystrej pogody, jakiego jeszcze tego lata nie było. Wstał Jasiek Mosiężny rano, podniósł głowę do góry, popatrzał na niebo, po turniach, i mówi do siebie: Prawda! Cyk nie hłop?! Niekze sie to już raz abo tak, abo tak odwazy!

I idzie prosto ku Marysi, spotyka ją: stoi nad potokiem schylona, spodnica między kolana wciśnięta, nogi od łydek na dół gołe - pierze.

- Marys! - mówi. Marysia się wyprostowała.

- Co?

- Marys! Nie mogem juz dluzzej wytrwac. Mielujem cie.

A ona sie zaczerwienila i zaraz pobladla bardzo.

- Mielujem cie - mowi Jasiek. - Za zone byk ciebral...

A ona trzesie glowa smutno, ze: nie.

- Nie? - mowi on, a znac, ze mu pociemniało w oczach.

- Nie.

- Nigda?

- Nigda.

- Ostatnie slowo?

- Ostatnie.

Ledwie mu głos wyszedł: Cemu? Ja cie tak kocham, jak Boskom Moc...

- Ja juz tak ostanero. Wiekuiście. Nie wydam sie za nikogo... nigda...

Odwróciła się, schyliła i poczyną dalej prac.

Chcial do niej jeszcze mowic Jasiek Mosiężny, ale mu nie odpowiadala. Łzy mu się do oczu cisną, cisną, choć nie był chłop płaczliwy: zdzierzył je, nie puścił z oczu na lico, ale mu się zdawało, że mu wszystkie w serce skapały, jak widział cynę rozpaloną kapiącą we walcwerku w kuźnicach.

Odszedł.

Ale już potem Marysia Daleka była całkiem dla niego inna. Unika go, czasem co przykrego powie, ani go o granie nie prosi, ani kiedy gra, posłucha. Tak jakby jej co złego zrobił: wieje od niej lód.

Więc gryzło to nieszczęsnego Jaśka, bo cóż on zrobił? Że powiedział, że ją kocha? Czy ją zniewolił? Czy jej się napierał ze sobą? Na jedno słowo odstał tak, jak kiedy piorun konar od jodły odstrzeli. Nie chciała go – zabrał się.

Myśli i myśli - co za przyczyna może być? Bo że się on jej nie zwidział: dobrze, może to być. Ale żeby za nikogo wydawać się nie chciała nigdy, taka dziewczka ładna, zdrowa, młoda - niepojęcie...

Coś, coś tu musi być...

Czy nie łyzy ciężkie jakie...

Dy nie darmo śpiewają:

*Umrem, matko, umrem, choć mie nic nie boli,  
Kie mi to nie dane, co ku mojej woli...*

A źle mu było tak, że sobie rady dać nie mógł. - Hej - mówił. - Juz byk był wolał pary z gęby nie puścić... Cok jej zrobił? Cok jej zrobił? Dyciek jom nie obraził, dyciek jej nie ubliżył...  
Moje kohanie...

I tylko szedł gdzie w las i grał. A grał tak, że aż Antosię Mardulową przy krowach raz tyle to granie wzruszyło, że na cały głos płakać zaczęła.

- Cegoz ty płaces, dziewczce? - pyta się jej stary Szymek Tyrała.

- Bo... Ja... Jasiek tak gro... krzesny ojce...

- No to niegze ta!

- Kie mi tak lu... luto... co ra... raty...

- A cegoz ci wej luto?

- Abo jo w... wiem... krzesny... ojce...

- Cy cię potę ku niemu nie podciągo, smarkulo? - śmie się Tyrała.

A Antosia zaraz łzy połknie i zaperzy się: A kaby mie

podciągać miało? Ku wom? Widzieliście kogo suhy karpieł gryźć? Co?

Póki jeszcze pogoda była, tłukł się Jasiek ze skrzypcami po lesie i wytrzymywał, jako mógł. Ale kiedy przyszła lejba, przyszły chmurne, posepne dni kujesienne, przykurzył po wierchach śnieg, zapadła mgła, ciemność po dolinach: ledwie mu dusza od żalu nie uciekła. Bo ani go kochać nie chciała, ani wiedział, czym jej dokuczył, czym ją zraził, co jej złego zrobił? Już nie wiedział, co gorsze:

to pierwsze czy to drugie? Za jedno by był życie dał, drugie życiem odkupił... Tak...

Raz po południu Marysia jakaś niezdrowa była, krów

nie wygnała, widział ją, że do szałas, gdzie jeść gotują, weszła. Wszedł za nią.

Watra była malutka, ledwie tlejąca? ciemnawo.

Nie mówi nic, siadł pod ścianą na ławie, ona na stołku siedzi, nie patrzy nań.

Czas uszedł jakiś, oni milczą; zdjął Jasiek skrzypce z kołka w ścianie, brzęknął palcem po strunach. Brzęknął

znowu raz, drugi. Na koniec zadzwonił na strunach palcami:

*Kie ja sobie wolki pasał przy zielonym gaićku,  
Przisko ku mnie śwarne dziewce: Co tu robis, Janićku?...*

A Marysia w płacz. Zatlumiła go zrazu, ale potem buchnął z niej jak ogień.

Porwie się Jasiek z miejsca: Marysi Co się stało? Cegoz płaces?

A ona łka.

- Cegoz płaces?!... Twoje łzy mi jak kamienie... Powiedz! O co zał mas do mnie? Ja już se rady nie wiem dać! Cojek ci zawinił? Cymek cie ukrzywdził? Marysi

- Hej, nie zawiniłeś mi ty nic, nie ukrzywdziłeś mie ty w nicym... Ino po cożeś to wej zabrzącał na strunak?...

- E dyjek to przecie nie raz, nie dwa grawał, a nie płakałaś! - mówi Jasiek.

- Ale nie trza było - - teraz... - mówi Marysia. Zamyślił się Jasiek - myślał chwilę - cisnął skrzypce na ziemię, nogą kopnął. Bierze ręce Marysi, całuje.

- Przebac - mówi.

- Z nicego. Cożeś ty winowaty? Nic - ona odpowiada.

- Bez cożeś się na mnie gniewała?

- Nie gniewała ja się, nie... Nie wyrozumies ty temu nigda, nigda...

- Nie gniewałaś się?! - krzyczy Jasiek, podnosząc na nią oczy.

- Nie... Ino mie serce ozbolało... Znowu się łzy poczęły pchać do oczu Jaśkowi Mosiężnemu, ale je zdzierzył.

- Z cego cie ozbolało? - pyta się.

- Hej kiebyś wiedział... Bolało mie, bolało, ale cicho. a teraz mie ozbolało głośno...

- Za mojom przycynom?

Ale Marysi znowu łzy buchnęły z oczu, snadź niepamiętna już na nic, zawodzi szlochając: Ej kohałak go, kohała!... Ej kohałak go, kohała!.... - I słania się, jakby zemdleć miała. Ledwie się o ścianę oparła, a Jasiek ją podtrzymał.

- On se to tak śpiewał, przy koniak... Ja sie go to pytała: co robi, a Cajówna Zosia wiedziała o nim... Ej kohałak go tez, kohała...

Mówić jej nie dało, ucichła, a Jasiek Mosiężny po rękach ją, po kolanach całuje. Nieruchomo się stało w szafasie, tylko niebieski płomyczek tańczy po palenisku.

- Nie kciał mie - mówi Marysia po czasie. - Wzion ten Cajówne, Zosie, ożenił sie. Nie mówiłak mu nigda nic, ale on wiedział, ze ginem. Hej, kie ik do ślubu wiedli - - w kościele w Hohołowie - - ej, kie ik wiedli...

- Maryś!

- Nic. Zmogem sie. Wiedli ik... Ja tak stała - na boku... Kie im ksiondz ręce wiązał...

- Maryś!

- Nic. Związał im ręce ksiondz, piestronki zamienili, ześlubował ik, zaprzysięg - juz on był jej... Wyseł z kościoła, pod piórem, stążki na nim cyrwone przy cuze, ona we wieńcu... Hej Jaśku! Bedzies sto lat żył, nie dożyjes...

- Maryś!

- I takek ostała. Ostałak tam pod kościele, koło muru. Nie widział mię nik... Pojehali... a zagrali mu na jego nute. na samo ten... Przestałak hań do rania... Prosiłak Boga, coby przywołał ku mnie śmierć - ale nie przisła... I zaślubowałał se, zaprzysięgła: Jak was ksiondz związał stułom i sprzong na wieczność, tak ja Ci ślubujem i przysięgam, Boze, kieś mi tego szczęścia dać nie racył, ze mie nigda nie powiedom do ołtarza we wieńcu, nigda, nigda - Jino mie do trumny tak włożom, jakak jest...

- Maryś!

- A on pojehał ś niom, ka sie przizenił, do Długopola. Widziałak go jesce pote kielu razy, a najwięcy w Ludźmirzu, na odpustak, bo oni ta vse jezdzujom, bo to od nik blisko i parafija. Umyśnie hodzem... Juz scwarty rok... I bedem hodzić...

- Nie boleśnie ci to?

- Boleśnie... Ale by go przynamniej widzem... Dzieci majom... dwoje... Takie majom bure ocy, jak i on... Widziałak... Hoć to jej dzieci, całowała byk je po tyk ocak... Ej Jaśku!...

- Ej Maryś!...

- I tak już ostanem, na wieczność, z tym bólem...

- A cos teraz s nami będzie? - mówi Jasiek.

- Idź ode mnie, opuść mnie - mówi Marysia. - Nańdzies inom. Nikomu przy mnie szczęście nie rośnie. Taki juz mój przeklęty los.

- Hej! Ten to lód od tobie wiał!... A lubis mie? Hoć trohe?

I ujmuje jej ręce, a ona je ścisza palcami i ku piersi przysuwa, i mówi: Lubiem. Bars lubiem.

I wyrwała się, i uciekła z szałas.

A Jasiek został tam i nie ruszył się, aż pasterze przyszli i tak go znaleźli, jak umarłego.

- Co ci sie stało, Jasiek? - pytają się.

- Nie kciał mie Pan Jezus wzionć, niegze mie weznom diabli! - on mówi i wyszedł.

Szuka Marysi, znalazł ją, w szopie, krowy dojącą. Świeci się kaganek przy niej.

- Maryś! - powiada Jasiek. - Ja cie tak nie opuscam, nie kcem opuścić! Ja nie jest taki hłop, cobyk sie spierał, cobyk cię przemóc fciał, gwałte kciał brać. Kiebyś była biedna, kieby ja był bogaty... Ale tak - jak mie nie kohas, cos ci po mie?... Co ci ta te moje skrzypce i ten hyr o nik po świecie!... Prasnonbyk ci je do nóg i to moje serce okrwawione, i ten mojom miłość serdecnom!

Ale ja de tak nie opuscam, nie pozegnam. Tyś mi tak jak świenta, jak kiebyś spomiendzy janiółów zestompila ku mnie na ziemie. Ja jest sam na świecie, jak ten suharz jaworowy pod Jarzombcom w polanie. Ni maro nikogo nikany, gram ludziom, a mojemu sercu jino wiater gra. Bydź mi za siostrę!

I pochylił się ku jej kolanom, objął je, a ona postawiła skopiec z mlekiem na ziemi i kładzie mu rękę na głowie, i mówi: Ja juz nikomu nie mogem nicem być - mnie sie jino jedna śmierć znacy. Ozendźmy sie. Idź ka inendej. Ostaw mie s tym bólem w sercu...

- E, Maryś, Maryś! - on mówi. - Bóg świci, kiebyk

ten rane twojom móg na siebie wziąć, coby jino tobie beło lepi. było dobrze...

- Idzi Mnie sie juz nie patrzy we świecie nic - jino trumna...

I podała mu rękę, i pchnęła go lekko ku drzwiom. Zakręciło się Jaśkowi Mosiężnemu w głowie, załamało się w piersiach.

Idzie, idzie w las, ku Tomanowej, sam nie wiedzący, dokąd. Nareszcie siadł pod smrekiem, nad lasem już ciemno było całkiem, a kurzył śnieg z deszczem i mgła góry przykryła. Wyjął skrzypce spod czuchy, patrzy na nie i powiada: Hej skrzypce! Coście wy mi wej dały w zyciu? Coście wy mi wygrały? Co nie fcam, to sie ml w garzcie pha, za co byk duse dał, to nie moje... Coz mi s was, kie mi szczęścia wygrać nie umiecie, coz mi ten hyr po dziedzinak... Hej skrzypce!...

I pociągnął smyczkiem po strunach, choć kurniawa szła z wierchów, i tak przyśpiewywał:

*Idem, idem miedzy ludzi -  
graj mi. skrzypko, graj! -  
serce moje obumiera,  
a ty, zycie, trwaj!*

*Serce moje obumiera -  
brzmij mi, skrzypko, brzmij -  
nie nasiał mi Pan Bóg szczęścia,  
nie wyrośnie mi!*

*Nie nasłał mi Pan Bóg szczęścia -  
słyńże, skrzypko, słyń -  
a ty Maryś, moja Maryś,  
gińże z bólu, giń!*

*Gińże z bólu, giń z cierpienia -  
grajże, skrzypko, graj! -  
zakopiom cie s twoim bólem  
pod zielony gaj...*

I zrozumiał Jasiek Mosiężny muzyka Marysine zaślubienie, a tak mu się zdawało, że oczy jego lecą w jakąś przepaść straszną, w otchłań niezgłębioną. – Hej! Ten to łód od tobie wiał! - powtarza, a wydaje mu się, że mu przy tej myśli ziemia całkiem spod nóg niknie od żalu nad Marysią i nad swoim kochaniem. - Mogłoby nam tyz być dobrze! - myśli. I zdawało mu się, że słyszy, jak Marysia Daleka, leżąc twarzą ku pościeli na szopie, szepce:

O serce, serce! O serce, serce!...

## II O WÓJTOWEJ MARYNIE

*Ta wójtowa Maryna hodzi sama do młyna,  
A ze młyna du domu, nie da monki nikomu!*

śpiewywali o Marynie Kruźlowej z Rogoźnika, a potem przyrosło jeszcze drugie tak:

*Ta wójtowa Maryna hodzi rada do młyna,  
A wójcicek Macicek pokazał jej hodnicek...*

ale to później, po weselu, bo on jej istotnie pokazał jak trzeba chodzić po świecie.

Była to dziewczka, jakiej nieprędko drugiej w okolicy.

Czy w Ludzimierzu na odpuszcie, czy w mieście albo w Czarnym Dunajcu na jarmarku, nie było chłopca, co by się za nią nie obejrzał, nie było baby, co by się jej nie przypatrzyła świdrem. Wysoka, prosta, głowa do góry, brwi jakżeby uczernione, wysoko nad oczami, gęste, grube i połyskujące, czoło gładkie, oczy szafirowe, ogromne, nos prosty, usta czerwone, małe, broda okrągła, włosy czarne, świecące, jakżeby kto je wypolerował, a tak wielkie, żeby się okryć niemi mogła jak zapaską. Dopieroż te kolory na twarzy przypalonego rumieńca na smagławej skórze, dopieroż ta szyja wysmukła, bujna, te piersi, co tak jakoś zuchwale pod gorsetem tkwiły, aż drzenie brało patrzeć, to wcięcie w pasie prześliczne, te biodra odsadzone, gibkie, pełne, a całe ciało jakby z miękkiego żelaza urobione. A głos!... Kiedy zaśpiewała, zdawało się, że świat stopnieje... I kiedy szła, to choćby ciżba była największa, nie potrzebowała mówić: Pąkcie się! - każdy się jej ustąpił, tylko spojrzął.

Ale ono się ta jej i tak znaczyło...

Bogata to była dziewczka, pyszna, zuchwała i nieużyta. Ojciec, wójt, stary Bartek Kruzel, co się do niego nazywało do Białego Marcina jeszcze z dziadka, wdowiec: ją jedyną miał i nic za nią nie widział. Było gruntu z pięćdziesiąt morgów, lasu z pięć, gazdowstwo strasznie grube i młyn. A to Marynisko, żeby kto kropki mąki nie ukradł, ciągle pilnowało młynarczyka i ciągiem do młyna chodziwało, aż jej zaczęli śpiewać o tej robocie, ale do oczu nikt nie śmiał. Bo takie oczy miała, jak żary rozpalone, tak jakobyś we wodzie ogień roziskrzył. Kiedy spojrzała na człowieka - chyba że mu siedemdziesiąt lat było, żeby go nie przejęło do szpiku. Jeden parobek z Ostrowska, co z winem jechał, kiedy ją zobaczył, oparł się o wóz plecami i stąpić przez chwilę nie mógł. a mowę to mu całkiem odjęło, tylko usta otworzył. Ona się uśmiechnęła i przeszła mimo, a on potem powiada: Diablica się za babe przeoblekła czy jako?! Ale kieby takie w piekle były, fciałby ja hań gorzeć po same usy!...

Nieradzi ją ludzie widzieli za nieużyteczliwość i za pychę. Było jej już dwadzieścia lat, ale się wydawać nie chciała ani nikt nie słyszał, żeby jakiego kochanka miała. Nikt się nią nie pochwalił.

- Nie bees się to wydawać, Maryna? - pytała się jej ciotka.

- A jest haw wtory godny ku mnie? - odpowiedziała.

- A wies, jako to śpiewujom:

*Cemuz ty, dziewcyno, nie kces na mnie patrzeć?  
Jak ja cie nie weznem, nie weźnie cie ślalcic!*

- A nie śliszecie ciotko, co opowiadał stary Budz jako to królewic przyjechał ku kołodziejównie?

- Bajki! Coby cie nie to królewic, ale jaki sprosty góral nie przespał!

- Niedocekanie wase!

Ale jej się oczy zjarzyły i zęby ścisnęły, boć przecie w takiej dziewce grała krew! Ino ją ta pycha, ta podufałość trzymała jak na łańcuchu. To to wołała ścierpieć i odrzec się, za czym dziewczkom dusza do gardła lezie, aż im dech zapiera, niż tej natury swojej popuścić. Takie to było.

I dopieroż musiało się stać, że się ten Jasiek Mosiężny muzyka z nią spotkał...

A to tak. Nie mógł on się odzalić Chochołowskiej Marysi, w której się kochał, choć już lat parę zbiegło, może ze trzy. Nie szedł więcej w Kościeliska, nawet się mało co po Zimnym albo Skalnym, jak to je nazywają, Podhału włączył, ba się więcej doliną wsi trzymał. I już nawet mniej grywał, tylko się więcej robotą trudnił, ciesielką i przy traczu, ale kiedy grał, to jeszcze sto razy piękniej niż przedtem. Dość powiedzieć, kiedy go Cygani węgierscy do bandy chcieli, co nawet w samym Budzynie i w Peszcie grywali. Nie chciał.

Dowiedział on się, że u Gąsiorka w Rogoźniku robota przy drzewie jest: zgodził się.

Tu dziewczki, baby rade, bo już o nim słychowały (jak to o tym Janicku, co taki słynny z urody był, a tak smutno dla nieczulej dziewczyny skończył), że to muzyka, jakiego nie ma drugiego



we świecie. Ale jak powiadali, że on przez te trzy lata nijakiej sprawy z żadną kobietą nie miał. To i tam, w Rogoźniku, tak na te rogoźniczanki patrzył, jak na gawrony na smreku. Tyle go obchodziły.

Niedługo to jednak trwało. Powiada mu Kuba Gąsiorek, ten, co tracz miał:

- Wies, Jasiek, kiebyś taki dobry był, a zaniós jarcu do Białego Marcina zemleć.

- Dobrze. Zaniesem.

A stary Gąsiorek się przy śmiechu je i pyta: Widziałeś młynarecke?

- Ze wtorom?

- Wójtowom córke?

- Nie.

- No to sie waruj, bo cie zji.

- Ej kie mie ta dosiela nic nie zjadło, to mie ta jus i nie zji.

- Waruj sie! mówiem ci. Scepan Symcyków z Ludzimirza do Peštu bez niom wywędrował. Kuba Gąsiorek, haw naski, rogoźnican. pije tak, co ani rady, Jahymiak Wacław, ten Kasin, tak jak ogłupiał. Ja sam, hociiek stary, kie jom widzem, to jaze mi gra w usak! Bucna dziewczka jak las!

- Nie bojem sie.

- Cy mas co od uroku?

- Mam.

Tu stary Gąsiorek ogromnie się rozciekawiał. Nachylił siwą głowę z długimi kędziorami i pozaplatanymi warkoczykami od skroni ku Jaškowi i pyta się: Ze co? Ze co? Coz mas? Nie przezradzem cie. Powiedz mi!

- E co ta mam, to ta mam - nic wam po tem.

- Nosujes przy sobie?

- Wse nosujem.

- Ka? W opasku?

- A moze to i być, kieby ino dość syroki był.

- Jako to? Nie rozumiem.

- Hej ojce. wiecie - - kieby taki syroki był, coby serce przykrył. Kaz ten jarzec?

Popatrzył na niego stary Gąsiorek; pyta się:

- To się na serce przykładają?

- No.

- Jakże to? Przylepia się? Czy jest jakiś plaster?

- Nie przylepia się, ba trza połknąć. żeby do serca weszło - mówi Jasiek.

Stary Gąsiorek przykrzywił głowę: Jakosi cudnie mówisz - powiada. - A ukazesz mi to? Czyby i ja nie połknąć?

- Ej, musielibyście jechać w Kościeliska jechać, żeby zobaczyć, jakie to.

- Tam jest stela?

- No.

- A ktoś ci to dał?

- Coś się ta tło ożpytuję! Kaza to zboże? Stary Gąsiorek pomilczał trochę, potem się rozśmiał i rzekł: Rychtyk - co się ożpytuję, kie ja mam haw na głowie nalepsze odcynienie na seliniejakie uroki.

I pogłaskał się po siwych włosach.

- Podź Jasiek, wsujemy jarcu do worka.

A w Jasza muzykę w chwilę potem jakżeby piorun trzał.

Idzie, niesie worek na plecach, przychodu ku młynowi, a tu przed młynem stoi Maryna wójtowa.

- Do młyna? - pyta się.

Popatrzył Jasiek na nią, nogi mu się ugięły, zbieła na twarzy, choć godny worek na plecach dźwigał. Tak w niego uderzyły Maryniny oczy, jak błyskawice.

Ona się tylko uśmiechnęła, że ledwo przemknęło po wąskich wargach, i patrzy na niego z góry, śmiało, a on tak przed nią nachylony z tym workiem.

- Podź - mówi - odbieramy.

Oddał Jasiek worek młynarczykowi mleć.

- Tyś niepił, nietutejszy? - mówi Maryna. - Tyś ten muzyka Jasiek od Gąsiorka?

- No.

Nie dwoi mu nic, tylko tak do niego mówi: ty, jak do pasterza.

- Przyjdź jutro rano po monke.

- Przyde.

Chciał jej powiedzieć: Ostańcie z Pane Boge - ale ona się nie spojrzała już więcej na niego i poszła od młyna przez łąkę ku domowi.

Zabrał się i Jasiak wracać.

A tu jak zadzwoni Marynin głos!... Jak się rozlegnie

po powietrzu:

*Lelijo, lelijo, skądś sie tu wziena?  
W dolinak urosła, w górak sie ozwiła...  
Daj mie, matko, daj mie, kie ludzie pytajom:  
Kie lelija kwitnie, wtedy jom targajom...  
Daj mie, matko, daj mie, kim mi krasa minie –  
Wte lelija wonie, kiedy sie ozwinie...  
Daj mie, matko, daj mie, bo ja jak w polu kwiat,  
Wiater mnie oderwie, poniesie mnie we świat.  
Ani, matusicko, nie bedzies wiedziała,  
Ka ci sie lelujka z ogródka podziiała?...*

A to tak śliczny śpiew był, tak słodki, tak cudny, jakżeby dziecku do snu.

I nie mógł ten Jasiak Mosiężny pojąć, jak potrafił z takiej dziewczki, co się widziała taka zuchwała i pyszna, taki miły, taki pieszczący głos wyjść? Przebiło go to na wylot przez serce, bo przecie sam muzyką był i on to czuł lepiej niż inni.

Idzie, ogląda się, a ta przez łąki sunie, w żółtej szmatce na głowie, w białej koszuli, w czerwonym gorsecie i w czerwonej zapasce na ciemnej spódnicy, taka mieniąca, jak sama łąka od kwiatów, a taka świetna, jak pochodnia. I zapatrzył się.

A ta śpiewa z daleka, jeszcze słodziej, jeszcze śliczniej:

*Janickowa nuta hodzi po dziedzinie,  
Jako te owiecki po kosodrzewinie...  
Janickowe imie nigdy nie zaginie,  
Jako se wirsku, tak se i w dolinie...*

Rozlega się głos, a jemu serce taje. A ta śpiewa jeszcze:

*Przyjdź, Janicku, śmiało, kie w okienku siano;  
Kie w okienku słoma, to matusia w doma...*

Podskoczyło Jańkowe serce.

Zaś ona, śpiewająca, znikła w wierzbowym gaju, co pode wsią rósł.

Jaśkowe serce drży, a on sobie myśli: Hej co by ta! Tak se ino śpiewała... Kaby taka dziewczka ku mnie!. Ani sie nie popatrzyła...

Tak sobie nic dowierzający szedł ku traczowi Gąsior-kowemu, a wszystko mu drgało na wewnątrz.

\*\*\*

- No, jakże ta? - pyta go Gąsiorek. - Oddałeś ten jarzec mleć?

- Oddałem.

- Młynareckie widziałeś?

- Widziałem.

- No i co?

- Nic.

- Nic?

- Nic.

- Wybroniło cie to, coś połknęło w Kościeliskach?

- Kaz som jest te deski, co my je mieli rzezać? - mówi Jasiek.

- Oho! - pomyślał stary Gąsiorek. - Wybroniło cie ta wiera, kieś taki do roboty nagły! Idze jeszcze wypij by półkwaterek tej medycyny! - A głośno rzekł:

- Deski? Deski som jest nagotowane, jino biercie! Ale sie mi tak widzi, co ci sie dziś rence bedom trzęsły?

Jasiek nic nie odpowiedział i poszedł deski rznąć. Zaś stary Gąsiorek udał się wóz smarować kołomazią, bo się na jarmark do Nowego Targu wybierał, i kręcąc koło na osi. mruczał: Smielowanie Boskie, co to wej w tej dziewczce za cary?! A nie jino w tej, ba całke w kobietach!

Co je to przecie, cy to ta głowa, cy to ta noga, cy co inkse, cy syćko wraz? Ale kiebyś dopad, tobyś zjad. Hej co, kiek wej juz stary! Siedemdziesiąt mi minęło na Jakuba... Ej, kieby sie mi tak by dwadzieścia lat wróciło!... Ale co już przeżył, to już przeżył, co jak widział, to jak widział, widziałem i Jantóske Kurnotke, i Kasie Długopolskom, i moja niebożycka piersa zona fajna była, i Kaśka Walka spod Brzegu, pojedna by ci była dobrze serce nie urwała od bątowny. ale jak takiej przecie nie widział, jako ta Maryna wójtowa. Słychowałem ze starych ludzi o wrózkach, co na szkody ludziom czyniły; takie to to musiało być. A kiebyk nie wiedział, czyja jest, kiebyk nie znał jej ojca, matki niebożyckiej, kiebyk nie wiedział, kie jom do krztu świętego do Ludzimirza nosili, kto jom trzymał: pedziałyby, że kto kto co? Skąd to między ludzi zlało? Z jakiej planety lebo z piekarni wyszło? Jakiesi to carcie kwiaty sie temu na wargi

i na ocy zamieniły, bo ik tu takik na świat nijaka jesce baba nie wydała ze sobie... Haj...  
Wyonacyłek wóz godnie maziom, nie bedzie skrzypiał, nie bedzie sie Małgorzata prać znova  
ode złości po siedzisku. Hej! Kiz mi tez diasi przeklenci kozeli młodom babe brać?! Skaranie  
Boskie! Kieby mi sie tes by dwaścia roków wróciło!... Wola Boska...

Tak stary Gąsiorek, co traczył miał, mruczał do siebie, wóz ze strachu przed drugą żoną,  
Małgorzatą, gorliwie smarując.

A Jaśka muzykę już roztopiało na wewnątrz. Rzeze deski, piłuje, a w oczach mu uroda  
Marynina stoi, a w uszach mu jej śpiewanie gra - Marysia Chochółowska. Marysia Daleka,  
była jak miód. a ta tu jak ogień. Zamamiła go śpiewaniem zrazu, przychlebiła mu się potem -  
ale na co? Bo że ona to nie bez przyczyny śpiewała, tego był pewien. Musiała go widzieć  
gdzie, w kościele najprędzej, musiał go jej kto pokazać. I takom mu stuka pokazała!...

Nieszczęsny ten Jasiek Mosiężny takie serce miał:

trzysta bab mu się mogło rzędem u szyi wieszać - on nic; ale jak na swoją utrafił - bądź  
zdrów! Już w nim ani żyły, ani żebra nie było - wosk.

Tu bez niom zgine! - myślał.

A co by poprógować? - myśli znowu.

Ej! Ty ta co ś niom wyprógujes! - mówi sobie. - Nie twoje szczęście!

Tamek ni miał szczęścia, może tu mi Pon Jezus pozegna...

Nie takim On nie pozegnał, jakoś ty...

Ej! kieby jom jesce uwidzieć!...

Dy jutro pudzies po monke...

A Marysia hańta, Hohółowska?...

Lecz pamięć Marysi Chochółowskiej w trudnym, ale artystycznie wrażliwym Jaśkowym  
sercu spełza nagle, jak obraz na deszcz wyniesiony.

- Marysia? Daleka?... Kieby mie beła fciała... Ale przecie ona nikogo nie fce - nigda...

I to ogromne słowo przygasiło w Jaśku wewnętrzną rozterkę.

Tego dnia, wieczorem, w lipcu to było i pogoda iskrząca, długo Jasiek grał na piszczałce  
wierzbowej, bo on na wszystkim grać umiał, siedząc na pniaku do rąbania drzewa na  
dziejnińcu, a stary Gąsiorek, leżąc na pościeli, mruczał do siebie: Piskaj, piskaj - - bedzies ty  
jesce lepi piskował, nie bój sie... Dzieńkować Bogu, Małgorzata śpi... Fała tys Bogu  
Nawysemu... Piskaj, piskaj - - juz ci dusa dziurami wierbowemi wylazi - - patrzeć, jino ci  
bedzie po całym ciele hipkać, jak ptak po gałęziak... Ej, Boże daj, coby sie Małgorzata by nie  
obudziła do rania... Kieby sie mi tak dwaścia roków wróciło...

Ale Jasiak Mosiężny tej nocy mało co spał. Aż przed świtaniem usnął twardo i śniło mu się, że idzie procesja, a w tej procesji Marysia Chochółowska - i odwraca ku niemu twarz - on z boku stał - i powiada mu: Ej Jasiu! Taki już mój przeklenty los!...

I znikła a jego tak coś cisnęło, jakby w przepaść leciał. Nazajutrz idzie rano do młyna po mąkę, a czym bliżej, tym mu się goręcej robi. Stoi Maryna we drzwiach.

- Niek będzie pokwalony - mówi Jasiak i uchyla kapelusza.

- Na wieki wieków. Amen. - odpowiada Maryna.

- Jest monka?

- Jest.

Sama mu ją odmierzyła, wydała, a co raz, to go niby nieumyślnie łokciem zawadzi, spódnica muśnie. Nie bardzo śmiał na nią spojrzeć, ale kiedy pojrzy - - jej oczy na nim, a tak jarzące, jako świece przy ołtarzu. Ciarki po nim przeszły.

- Hej! Nie twoja tu robota! - myśli sobie.

Aż kiedy się już zabierać miał, powiada mu Maryna:

- Jasiak, wiesz, parobkak od koni wyścigała. Cybyś się nie zgodził do nas?

- Ja?

-Ty.

- Ku wam?

- No.

Patrzy na nią: stoi przed nim jak zorza.

- Fcielibyście mnie? Naprawdę?

- Ze ba haj! Coz byk ci miała figle pleść!

Jaśkowi się aż jasno i ciemno na raz zrobiło w oczach.

- Zgodzę się.

- Podziękuj Gąsiorkowi. Sprowadź się do nas.

- Mówiliście z wójtem? z tatom?

- Tata ta sytko robi, co ja kcem.

- Od kiedy?

- Hojby od dziśka.

Wraca Jasiek do tracza podziękować Gąsiorkowi, a Maryna siadła na progu i śpiewa:

*Pojżrem na jednego, pojżrem na drugiego:  
Ni mas ci tu, ni mas, Janicka mojego...  
Miłość, moja miłość, miłość ta przekłeta,  
Zamknena mi serce na zelazne pęta...  
Zbuduj, jaskólecko, na hali gniazdecko,  
E pocies-ze, pocies, to moje serdecko...  
Jaskółka na hali budować nie będzie:  
W tym moim serdecku wiecna załość będzie...*

Takie nuty biegły za Jaśkiem, tęskne, dźwięczne, rozpuszczone na świat jak brzozowe gałęzie, jak migotliwe sieci pajęczne jesienne, i szumiały nad Jaśkową duszą, i opłatywały ją, aż mu krew z nóg i z rąk do piersi zbiegała. Tak się głosiły za nim śpiewki Marynine.

*Kalina malina rosila korale - -  
Kohajze mnie, hłopce, kohajze mnie stale...  
Z kaliny maliny zima spluce cerwień,  
Ale ty, hłopcyno, serca mi nie odmień...*

leciało za nim.

- Zji cie to dziwcencisko - gwarzy Jaśkowi stary Gą-siorek, wypłacając mu zasługi.

- Niekze mie już i zji! Wiecie, jako Janosik mówił, kie go umęcili i wisać mieli? Kedsce me. upekli, to me už i zjedzce! - odpowiedział Jasiek.

I nastał dlań dziwny czas.

Maryna. jak królowna, chodzi koło gospodarstwa i we młynie, a on koło niej jak koło królowny. Nigdy słowa, nigdy nic. Schnie Jasiek, jeść nie może, spać nie może, morduje się, widzi mu się, że żeby jej spódnice dopadł, toby z nią ślub brał - a tu nic. Tylko jej te oczy błyszczą, jak gwiazdy rozpalone, tylko te piersi w gorsecie chcą koszulę roztargać, tylko się te biodra kołyszą jak fale na Rogoźniku. Odchodzi Jaśka całkiem moc nad sobą. rozbiera go tak, jak choroba.

Ale mu tak nieśmiało było, że kroku ku Marynie postąpić nie mógł na sobie przemóc. Więzгло mu wszystko w gardle i w piersi.

Aż raz, rano, myśli sobie: Co sie tu bedem trapił! Cisnem to syćko i pudem w carty! - I tak postanowił.

I zdarzyło się, że przyszło podczas obiadowania dziecko do Krużłów, taki malutki, trzyletni chłopczyk od Filomeny Komperdowej, krewnej nieboszczki wójtowej.

- Po coześ prziseł?- pyta się go stary Krużel.

- Po jabta - mówi dziecko.

- A rad mie widzisz?

- Rad.

- A ten dziewczynę lubisz - pyta się go wójt pokazując palcem na Marynę.

A chłopczyk powiada: Nie lubię.

- Nie lubisz mnie? - pyta się Maryna.

- Nie lubię.

- Ani kropkę? Ani krapkę?

- Nie lubię.

- Ani telecko? - i pokazuje mu koniuszek palca, i uśmiecha się, a tak ślicznym, tak pieszczotliwym głosem mówi, że się zdawało Jaśkowi, że się fukse na oknie pochyliły ku niej kwiatkami i słuchają.

- Ani telecko?

A chłopczyk myśli i powiada: Telecko.

Zaś Maryniny oczy świeciły się jak ciche gwiazdy po-zachodnie.

I Jasiek muzyka został przy wójtowych koniach. I było raz tak, że młynarczyk zachorował i Jasiek go zastąpił; zepsuło się coś przy kole - naprawiają z Maryną. Czuje Jasiek na plecach swoich jej piersi wyniosłe, czuje jej oddech gorący na karku, czuje ją całą schyloną nad sobą. Myśli sobie: Nie wytrwam, niek co kce będzie! Obyrtnem się, hycem jom bez pół, by raz pocałujem w te usta różane, by raz przitulem ku sobie...

Ale mu odwagi brakło. Bo on był taki: pierwszą lepszą dziewczkę ujął nie pytający, a co mu się podobało, to mu odejmowało moc. I tak przy sobie długo stali; jemu ręce dygotały przy naprawie koła, a jej się włosy niedobrze zaplecione rozsypały koło głowy i po Jaśkowim karku błędziły. Ale co sobie pomyślał: Niek co kce będzie!

Obyrtnem się! - to mu brakło tchu w piersiach, w sercu odwagi.

Naprawili młyn. Zdawało się Jaśkowi, że Maryna jakoś dziwnie popatrzała na niego, nim wyszła.

- Ej, kiebyś była nie ta! - myślał gryząc wargi. - Nie taka piękna, nie taka pysna, nie taka bogata!... Ej, kiebyś była nie ta!...

Ej! żeby była nie ta... Żeby choć taka piękna, taka pyszna, ale nie taka bogata... Cóż ona przede wszystkim pomyśli? Że mu te pięćdziesiąt morgów pola, te pięć morgów lasu, te konie, te krowy, te owce, ten młyn więcej jeszcze, niż ona sama. pachną. I spojrzy na niego tak, że on by tego nie zniósł...



Prawdę mówił stary Stasiów Szymek Tyrała, że te muzyki to jakiesi całke inne ludzie, że choć som jest dziwtóre i mądre, to jak się już utrefi głupi, to cały diabeł - boć przecie każdy, kto by się z taką Maryną żenił, myślałby naturalnie przede wszystkim o jej majątku, a potem dopiero o jej urodzie, i nie cudowałby się temu nikt, ani ona sama. Ale Jasiek był z tyk, co som nie jest mądre.

Kieby była biedna... Ale tak...

Żeby go kto był z chłopów albo bab mógł usłyszeć, jak tak rozmyślał, byłby mu był powiedział: Przecieś taki głupi, jak cap!

Wkrótce potem zdarzyło się, że Jędrzej Kruzel, strycny ujek Maryny, wydawał córkę za mąż.

Gra Jasiek na weselu, przy nim sekunda i basisty basujący. Dziewki jak sarny, jak kwiaty, ale gdzie im ku Marynie!

Jasiek gra, a nie widzi nic, tylko ją.

Przyszedł na to wesele Maciek, syn dawnego wójta rogoźnickiego, Bartłomieja Fita, którego nazywali Wójcickowym Macickiem albo Wojcickiem Macickiem. Właśnie on od wojska wrócił od ułanów, czerwoną miał czapkę na głowie, niebieski kabat na sobie; przystojny był parobek, zgrabny, tęg i niebiedny.

Kiedy zakrzeszał na drobną nutę rogoźnicką, to się widziało, że iskry piętami skrzese. choć w kyrpcach był.

Do polki Marynę ujął - ej! kiedy się zaczęli nosić. Był on we Widniu i w Prešburgu. i w Ołomuńcu, tam się z austriackimi siacami, z czeskimi holkami nauczył tańczyć. Na Marynę łuny biją, a ten ją wpół objął, przyciska. po powietrzu nosi. A łuny biją i na Jaśka.

Poprosili do jedzenia. Noc była późna. Wyszedł Jasiek w pole, oddechnąć, bo się i graniem zmęczył, ale to nic, ba mu się serce rozerwać chciało od żalu, zazdrości, od bólu, od gniewu. Grał pod ścianą, grał, aż się włosienie ze smyczka sypały, a ten przyciskał, a ten nosił, a ten tulił ku piersi! Ej! tysiąc diabłów zjadło!

Idzie koło takiej szopeczki małej i słyszy za ścianą taki głos szeptem:

- Musis!

A to mówił mężczyzna.

A drugi głos mu też szeptem odpowiada: Nie musem! A to był głos kobiecy.

- Musis!

- Nie musem!

- Ba musis!...

Uśmiechnął się Jasiek, oddalił się. pochodził dobrze pół godziny po polu i wraca do wesela. Patrzy: ani Maryny, ani Macicka nie ma.

Zimno i gorąco mu się zrobiło. Wyleciał z sieni, łap za kamień spod nóg, ścisnął w pięści - a wtem Marynę spotkał. Poznał ją, bo światło z okien padało.

- Kaś beła?! - pyta jej się i zastępuje drogę. Wzdrygnęła się Maryna. zatrzymała się, potem chce iść dalej, a nie odpowiada. Ale Jasiek już nie ustąpił. Chwycił ją za rękę, ścisnął, przybliżył jej oczy do oczu.

- Kaś beła?! Gadaj!

Szarpnęła się Maryna, zmarszczyła, brwi aż się jej zbiegły pod czołem, ale potem rękę w jego ręce wolno zostawi i mówi mu łagodnie: Puść mnie. Jasicku. co ci się stało? Coz mi tak zastempujes jak zbój, a przecie wiem, że mnie rad mas. No to ci powiem, kak beła. Bełak w doma buty przebuć, bo mie gnietły te nowe.

- Nie bełaś w sopce?

- W jakiej sópce?!

- W tej hań, przy sadzie!

- W ujkowej?

- No!

- Nie!

Ścięła usta, ściągnęła znowu brwi. Złakł się Jasiek, że ją zgniewa. Puścił, słowa nie rzekłszy. Weszli do izby; ona naprzód, on za nią.

Już siedział pod ścianą, już grał, kiedy znowu Marynę w ciżbie zobaczył. Błada była. nie tańczyła.

- Bez cos nie tańcys? - pyta jej się, kiedy koło niego blisko stanęła.

- Noga mie boli. Ognietło mi. A Wójcicek Macicek ciska mu w chwilę potem trzy szóstki do skrzypiec i śpiewa po góralsku:

*Mozes sie pokazac, dziewczce, kas sie skryla,  
Cyjes taka siumna, jakoś wcora byla?...*

I tańczy z panną młodą.

Jasiek gra, aż struny zgrzypią, ten tak śpiewa, tamta nie tańczy, pod ścianą blada stoi - - chce Jasiek grzmotnąć skrzypce o ziemię, skoczyć, porwać Maćka pod gardło - - ale to może on ino tak tylko śpiewał, może to nie oni byli, tyle dziewczek, tyle parobków na weselu, tyle się ich rozleciało koło domu podczas kolacji - - i dzwoni mu, i dzwięczy w uszach i w sercu jej głos:

- Przecie wiem, ze mie rad mas... Bełak w doma buty przebuć... Jasicku...

I nie wyszło cztery tygodnie, już miał być ślub Wójcickowego Macicka z wójtową Maryną. Chciał Jasiek prasnąć wszystko, uciec w diabły, ale co raz Maryna do niego. Zagras mi, Jaśku, na weselu...

I zostawał.

A Macicek przychodził do Krużłów dzień w dzień, zawsze wesoły, zawsze uśmiechnięty, zawsze rad. Raz, kiedy Maryna coś przy wieczerzy zuchwale odpowiedziała ojcu, powiada jej: Wies, Maryna, to se zapamiętaj: Jakbyś mnie kie tak odpowiedziała, to byk cie tak wyrzezał tam, ka trza, co za trzi dni nie siednies!

Zaświeciły się Marynie oczy - właśnie jedli kwaśnicę - odwiedzie rękę z łyżką i powiada: Ej! byk cie teraz zaraz nie pacla w kufe!

A Maciek pięść w kułak: Pacnij!

Patrzą na siebie chwilę, spuściła Maryna głowę, wzięła się do jedzenia.

A stary Krużel, wójt, powiada: Tak trza, panie świenty. Kie baba do cie z grabiami, to ty do niej z cepami, kie baba do cie z nozem, to ty ku niej z kosom. Tak trza, panie świenty! - Bo on ta takie miał porzekadło.

A w Jaśku Mosiężnym ginęło serce.

Ku nocy idzie on przez dziedziniec, a Maryna siedzi na pniaku koło obory i płacze.

- Cegoz płaces, Maryna? - pyta jej się z tkliwością i przerażeniem, bo ją pierwszy raz płaczącą zobaczył.

- Bo mie bedzie bił.

- Wto?

- Macicek.

- To sie zań nie wydaj.

- Jagze? Kie on fce.

- A to ty mozes nie fcieć.

- Ni mogem.

- Zalubiłaś go?

- Nie - alek tak, jak zacarowana.

- Ty?!

- Ja... Milczą.

- Tyś była wte w sopce? Na weselu?

- Ja...

Siadł Jasiek ciężko obok.

- Ja wiedział potem, ja cuł, ze to ty... Maryna płacze.

- Maryna, słuhaj - mówi Jasiek po chwili -- po coś mie ty haw godziła?

- Boś mi sie widzioł.

- Ja?!

-Ty.

- Po coz mi ty to mówis - teraz?! Panjezusie Nasłodsy!

- Widziałeś mi sie... bez ten hyr, co o tobie po świecie seł. Gadali o tobie.

- A teraz?

- A teraz nic. Przepadło.

- Przepadło?!

- Na zawse.

- Cemu?! Bez co?!

- Boś mi juz teraz tak, jak nic.

- Cemu?! Ja by ci przecie przy nogak leżał. Ja by ci przecie wierny był jak pies!

Ja by do tobie patrzył, jak do gwiazdy...

- Mnie sie tys to w tobie nie podoba - miękiś.

- Tamten ci lepsy, co cie bedzie bił?

- Ale je hłop.

Złapał się Jasiek Mosiężny za głowę obu rękami.

- Maryna! Lepi mi było tego nie pedzieć!... Rany boskie!

I kołysze nieszczęsną głową, i żalść go ogarnęła rozpaczna.

A ona mu powtarza: Miękiś był. Cemużeś mie nie hycił. cemużeś mie nie stusił pod garło, tak jako on? Teraz ja jak zacarowana.

- Hej! To tak trza było! - mówi do siebie Jasiek muzyka. - Hej! To tak trza było... A ja nie wiedział...

I wali się głową ku kolanom.

- Jesce kiebyś mie był wte, kiek ze sopki sła, tak nie puścił. Kiebyś mi beł nie uwierzył, kiebyś mie beł ku ścianie przypar, kiebyś mie beł wycion! Aleś ty mię zaraz puścił, jinok ci słowo rzekła. Ej! co za hłop taki?! pomyślałak se - mówi Maryna.

- Tobie bić?! Dyć-eś przecie wiedziała, że cie tak rad mam, jak zycie własne! Więcy!!

- Nie wiedziałak! Myślałak se: Lubić mie lubi, ale kieby mie kohał, to by sie przecie ku mnie brał! A ja nie jest taka, cobyk piersa ozdзираła ku komu pazdury. - I Maryna podniosła dumnie głowę.

A Jasiek kołysał się w bólu: Hej! To tak trza było!... A ja nie wiedział... A teraz co?

- Przepadło.

Nagle porwał się Jasiek: A cobyk go zabił?!

A Maryna: Toby cie zaparli do hereštu i powiesili, a hoćby nie, ja by i tak nie posła nigdy za tobie - - mięka w tobie dusa, dziecięca, nie hłopska.

- Ja na tobie tak, jak na królowom patrzył...

- A on mie po parobsku przyniewolił...

Pokiwał Jasiek głową. - Hej Maryna! - rzekł po chwili. - Przyniewolił ta i ja sieła dziewek. Aleś mi ty była za piękna i za stokrotnie miała...

- Jakiesi w tobie dziwne serce...

- Dziwne. Coz teraz s nami bedzie?

- Nic. Ja juz straciła do tobie wolom. Miękiś. Jasiek wstał.

- Bydź zdrowa!

- O nie! Musis mi na weselu grać.

- Za nic!

- Jasicku! Dy mie przecie rad widzis... Grał mi be-dzies. Nie krzywdź mie!

I Jasiek został i grał.

Grał trzy dni i trzy noce, bo takie wesele stary Krużel wyprawił swojej córce bogaczce. Grał tak, aż mu struny nie zgrzypiały, ale pękały, i cały nowy smyczek się zdarł. Grał tak, aż mu skóra z palców złaziła, aż mu się pięta od przytupywania poczęła obierać, a z włosów przez trzy dni i trzy noce woda się lała. Grał tak, aż się ludzie dziwowali, a jemu się zdawało, że mu dusza wlaźła do skrzypiec i że on ją smyczkiem smaga, smaga i smaga,

a mówi jej: Miękaś! miękaś! miękaś!... dziecięcaś, nie hłopska!...

Przez te trzy dni i trzy noce Marynino wesela nie wziął do ust nic prócz wina i wódki. Pił i grał.

Nad świtaniem trzeciej doby skończyło się to wesele i to Jaśkowe granie.

Nie pożegnał on się z nikim, nie chciał już nikogo widzieć, rzeczy zostawił tak jak stał, ze skrzypcami tylko pod pachą wychodził z Rogoźnika.

I spotkał starego Gąsiorka, jak koło płotu swojego chodził i żerdki nowe zakładał. Był i on na weselu, krótko, bo rad był, że tam Małgorzata została i że sobie bez niej w domu wypocznie.

Jasiek się nawet nie odezwał, mija go, ale stary Gąsiorek mu rękę na ramieniu położył.

- Nie pozdrówkas mie to nawet, starego? Ani Pana Jezusa nie pokwalis? Kaz idzies?

- Do świata!

- Do świata? Skrony tego wesela? A nie padałek ci:

Waruj sie, bo cie zji. Ono cie wej i zjadło.

- Ostańcie z Pane Boge.

- Boże cię prowadz. Hej wies, ono cie wej to dziewcencisko i zjadło. Ale Macicek se taś niom rady da. Przypatrzył ja sie mu dobrze. Fajny hłapik. Na takom to trza rzemienia od portek, nie a strun i smycka. Tyś mięki.

- Ostańcie z Pane Boge.

- Z Panem Bogem. Nie bydź markotny. Moze cie i Pan Jezus ustrzóg, bo ty byś haw przy niej zginon.

Jasiek już szedł gościńcem, a stary Gąsiorek mruczał:

Strasecnie cłek moze zgłupieć bez kobiete. I to sie wej przecie fajne hłopcysko widziało, do rzeczy i sprzętne do wsyćkiego, i ku tracu, i ku koniom, i ku młynu, a grać to juz wiedział doimentnie. I tak go wej ono wyonacyło... Miłość... Hm... Cy to ta głowa, cy to ta noga, cy co inkse, cy syćko wraz... Ale kiebyś dopad, tobyś zjad... Hm... Ej, kieby mi sie by dwaścia roków wróciło...

Zaś Jasiek Mosiężny muzyka szedł borami lasami ku Węgrom, a mówi do siebie sam: Ej głupi! Ej głupi! Nie trza sie było obytrnonć wte we młynie? Małoś razy móg?! Dy sama

cekała, dy sama fciała... Ej głupi!... Ej głupi! Jaka to dusa we mnie?! Na mój prawdu, ja sie jej sam cudujem! Co nie fcem, to sie mi w garzcie pcha, co byk fciał, to nie moje, a co by miało mojim być, to ja zaś nie uhycem, nie ujmiem... Cyk zacarowany? Marysi Hohołowskiej ni mógek brać, sponiewierałek sie bez niom godnie; ten jek móg - przemarniłek... Hej! Cy to pote nie te gęśle mie urzekły? Cy nie ony mie wiadom, ka nic po mnie, a duse mi zmiękcyły, co mi dziewczka mówi: Nie hłopska twoja dusa, ba dziecięca!... Ni mas, ni mas przy nik sęcścia! Hej! Cy nie ony mie urzekły?!... A kieby nie ony, toby mie beła ku koniom nie godziła... Gadali o mnie... Bez to!...

I taka go na skrzypce załość wzięła, że podniósł rękę do góry, w której je trzymał, i chciał nimi o pień grzmotnąć - - ale potem przypomniało mu się, że to przecie wszystko, wszystko i jedyne, co na świecie ma... Że on nie ma nic więcej... Nic, tylko te gęśle i ten z nich hyr po świecie...

I zagrał, ale nie tę swoją nutę ani nie żadną inną żalosną, tylko wyciął w struny smyczkiem, aż brzękły wszystkie naraz, i zaciągnął czarnodunajecki marsz:

*Hej idem w las - piórko sie mi migoce,  
Hej idem w las - dudni ziemia, kie kroczę,  
Ka wywinem siekiereckom - krew cyrwonom wytoce,  
Ka obyrtne ciupazeckom - krew mi spod nóg bulkoce!...*

Tak grając szedł ku Węgrom i już o nim więcej nie słyszeli swoi ludzie.

Mówili jedni, że ku bandzie cygańskiej przystał, co go przódziej zwerbować ku sobie chciała, inni, że się utopił we Wagu, inni, że się rozpił i umarł, a inni jeszcze powiadali, że się ze zbójnikami aż gdzieś w Siedmiogrodzkich Górach stowarzyszył. Nikt nie wiedział na pewno. Został po nim tylko hyr we świecie i ta śpiewanka:

*Janicek zaginon, imie nie zaginie...  
Janickowe imie hodzi po dziedzinie...*

## GAZDA HALNY

Szedł wieczorem Jędrzej Pazdur w góry, jak często bywało; bo on rad swoje gazdowstwo nocami obchodził.

Miał on gospodarstwo dość spore we wsi, w Cichem Poronińskim, pod czternaście korcy pola, półtora morga lasu, chował krowy i konia, ale nie to go cieszyło; hej, jego cieszyło inkse gazdowstwo, hań w górak.

A nie był to ten kierdelek owiec, co się mu paś w Małolące, nie, ino to były te góry, ten smrekowy las, ta woda, a kosodrzewina po upłazach.

Dziwowali się temu ludzie i mieli go za przygłupiego, bo on mało co kiedy o roli albo o bydle radził, tylko ciągiem: co się ta we Wierhcichej, a co sie ta w Jaworowej Dolinie dzieje?...

Idzie Jędrzej, patrzy do światu, noc była jasna, miesiąc wyszedł zza Kosistej? w pełni był. Zajaśnił się na lesie pod Żółtą Turnię i pyta się Jędrzeja: Ze po coześ haw prziseł tak nieskoro, Jędreku?

A on mu odpowiedział:

- Bo ja jest halny gazda...

Idzie w górę do Zawratu, ku Pięciustawom, a myśli sobie: Hej miły mocny Boże! Jako się im tes ta bez zime gazdowało przeze mnie? Kosodrzewiny popod Wołosyn cy tes przybyło kielo telo?... To to jego gazdowstwo najmilsze. Wonieje to, a do słonka się iskrzy jak złote.

Przyległ na chwilę, zadrzemało mu się. A tak się mu śnije, że się naokoło niego wszystko, wszystko staje zielone, jako na wiosnę bywa, kiedy się ziemia poczyną weselić.

Obudził się, chłodny wiaterek ku ranu, przejaśniła się noc, tylko w Kościelcu popod turnię gruby cień.

Wstaje Jędrzej, przetarł oczy śniegiem, rąbnie stupaje do przełęczy, stanął na niej.

Prawie namieniało na świtanie.

Patrzy się: wierchy takie jak ze mgły, gdzieś tam od Lodowego przebiccia, różeje świat. I wyszedł taki skrawek światła, jakżebyś skrzele od białego kapelusza wystawił. Patrzy Jędrzej, ono się dźwiga to światło, taki obłoczek różany, leciuteńki, cihučki. I wyjechało takie słońce, jakoby się porosiło kasi w dolinak, jakieś mokre, wilgotne, wypłynęło tak do pół spoza turni i pyta się: Ze po coześ ty haw prziseł, Jędreku, tak rano?

A on mu odpowiedział:

- Bo ja jest halny gazda. Wziął się potem na dół ku Pięciu Stawom. Lepiej mu się szło niż do Zawratu, bo od południowej strony śniegi już wytajały, mało gdzie co zawadził, zbiegł wartko ku stawu Pod Kołem. Zamarzniony.

- Nic tu po mnie - myśli Jędrzej. - Niek se ta lód gazduje, kie je taki sparty. Telo jego.

Spojrzy dalej - hej! Wielki Staw czerni się między skały.

- Staweczku! Staweczku! - woła Jędrzej. - Tuś?! A ono mu tak zaszumiało z tej wody:

- Hej, gazdo! Witajcie! Nie było was tós dawno!

- Jakoz ci sie ta drzemało pod lode? - woła Jędrzej.

A staw mu gwarzy:

- Dobrze. A tak sie mi śniło, co syćko bedzie zielone.

- Ej tak i mnie! - mówi Jędrzej. - A radeś, ze ci ku niebu widno?



- E! Dy to u mnie tak, jak nawonniejszy kwiat! - mówi Staw.

I tak tam oni radzili do siebie.

Poziera Jędrzej? rozwidniło się. świetleje po niebie: słucha - idzie po kosodrzewinie szum. pocieplał wiatr.

- Będzie jehał śnieg - myśli se.

A tu ono tak gra od turni, jakosi tak, że się Jędrzejowi gardło ścisnęło i łzy mu do oczu naszły. Wyciąga ręce ku Wołoszynowi i krzyczy:

- Hej! gazdowstwo moje kohane! rodzone! prześlicne!...

Pogląda po Wielkim Stawie, pogląda po Przednim, aż się zadziwował: Kiele som tes! A Sikława huczy mu. wali się z grzmotem ku Roztoce, i potoki lecą z Wołoszyna. a taki z nich szedł śpiew, jak z dzwonków.

- Wody mam dość - mówi.

Weźmie kosodrzewiny kitkę w rękę. pomacał.

- Pieknie zrosła. Nagodził Bóg urodzaj, ni ma co pedzieć - mówi. - Wiaterek duł, oduhował, toz to rosło jak zyto. Ino by trza ten śnieg pouprzątać dolinami, ale to sie ta wartko zrobi z wiesnom. Turnie sie juz tes pozwydobywały kielo telo ze śniega, śmiejom sie do słonka jak nowe...

Gdzie spojrzy, wszystko jego: tu wody, tam góry? świecą mu się stawy, zieleni trawa, oczyma ledwie objąć może to swoje gazdowstwo.

Wszystko wydało mu się po myśli.

- Bogatyk jest - rzekł. - Tu sie mi w Piącistawak, dziękować Bogu. wydarzyło tego roku dobrze.

A potem się Jędrzej zabrał ku Miedzianemu na Spiglasowe Perci.

Zestraszył kozy. Rad widział Jędrzej kozy, ale go to mierziało, że się go bały.

- Diabłaście wy zjadły kany dziś! - mówi im. – Dy wam nic złego nie robiem, cegoz sie mi boicie?

Zasmuciło mu się serce, że się go te kozy boją, na jego gazdowstwie. - Tak jako zające w kapuście! - pociesza się.

A nad Stawami wyszedł dzień i przezłociły się ciemne turnie Murów Liptowskich.

Jasność zalała dolinę, rozwidniło się w okrag, co jaze cud radość.

- Hej! grajom tes wody do słonka! Ciepło im, ciesom sie - myśli Jędrzej.

Cud! radość!

Obrócił się na perci plecami ku Miedzianemu, ku śniegom, i patrzy: woda gra, mieni się. telo na niej farby, jako w tęcy. a wiatr leci doliną, rozpiął skrzydła, topi śniegi, aż się zażółciły popod Krzyżne. Gdzie już pierwszej stajały, trawa rośnie, zieleni się, młodziutka, wiosenna. a potoki się z niej sączą na dół strugami jak pręgi szklane. Jakisi Idzie młody deh dolinom, jaze duk w cłowieku rośnie!

Takie to było prześliczne Jędrzejowe gazdowstwo...

\*\*\*

Już go nie opuścił.

Tego dnia, kiedy wieczór nastał, wielki księżyc po pełni, wyszedłszy nad wierchy, zaświecił już, na czerniejących pośród śniegów co stromszych skałach i potem począł wolno oświetlać zanurzone w mroku straszliwie puste doliny, zaćmiewając się tu i owdzie na turniach i w żlebach, jakby się światło błąkało w bezdrożach. Szumiały w ciemności nocnej wody bo już mróz nie ścinał ich lodem. Pustkowia zaumarłe napełniały się żywym, ciepłym powietrzem. Zdawało się, że się wzrusza coś w górach. Już nie było zastygłego spokoju zimy - szła wiosna.

Kiedy blask księżyca począł spływać po białych upłazach Miedzianego, nagle olśnił głowę i ramiona Jędrzeja Pazdura, wystające ze zwału śniegów.

Musiała się oberwać lawina ponad nim i przysypała go w pędzie.

Śnieg utknął w głazach, pośród których Jędrzej stał, i nie zniósł go niżej, a tylko ogarnął po ramiona, tak iż tkwił w nim twarzą obrócony ku przestrzeni. Mdlejące już, nieprzytomne otwarł Jędrzej oczy na księżyc. Ciepły wiatr gnał deszczowe obłoki; huczały strumienie wiosenne - usłyszał. Nie czuł bólu, nie czuł śmierci. Popatrzał jeszcze raz dookoła zaszklewającymi się oczyma. -

Hej! wiosna idzie - szepnął - syćko, syćko będzie zielone...

## KRYSTKA

Było takie przedpołudnie późnego września, kiedy Krystka poznała Jaśka.

Słońce się het po polach rozlało, zimne i czyste, na Tatrach zakwitł mróz białomodrym złodniałym szronem, a światło od nich szło ostre, jak w zimie od szyb kościelnych. Na lasach światła mgła, a tak drży, jakby dzwoniła.

Po polach owsy w grzędy kładzione, pozłociste.

Od młodych, rozsianych smreków pada zbity, potężny cień; od olszyn i brzoź polotny i świetlany. Gdzie biegnie płot, miejscami świeci się górną żerdzią jak z polerowanej stali; gdzie jedzie daleko fura ze zbożem, to jakby płynęła cicho na własnym cieniu. Gdzie wody strużka, to żywe diamenty.

Cicho przelatują ptaki.

Po rżyskach, po żółtej ścierni bydło się pasie. Krowy włączają za sobą swoje widmo albo nagle stają w słońcu jak z mosiądzu. Czasem krowa zaryczy. czasem cielę beknie. Tu owdzie pasterz czy pasterka zaśpiewa. Popod las dzieci ogień kładą, dym prosto w górę leci, siwobłękitny, płomieniem targany od dołu w czerwien jaskrawą. Potoki szumią w dole w zagajach, jednogłośnie, wiekuiście.

Cisza zaszklona w powietrzu i słońce iskrzące, zaostrzone na zalodniałych. zamrożonych Tatrach, prześwietne, przebujne po świetle.

Krystce było wtedy szesnaście lat. Paśla krowy. Leżała sobie na darniowym kopczyku granicznym w polu. między ściernią owsianą, zawinięta w chustę pasiata, czerwoną i żółtą, trzymała se bicz w rękach i śmigała nad głową, na wznak leżąc nogami w dół, które jej się prawie do kolan spod podwiniętej spódnicy wysunęły.

Dziwnie jej było koło serca, jakby ją coś łaskotało pod pazuchy, a razem piersi chciało rozerwać. Trze się raz po raz o darń plecami, posuwa się, poprawia się. nie może się wygodnie ułożyć, coś jakby ją podrywało i wzruszało jej plecami to do góry. to na dół. Aż sobie zaśpiewała na całe gardło:

*Kie jino dziewczynie piętnaście lot minie,  
darmo jej pilnować, bo za hłopcę ginie!...*

a tu coś zazberczy jej nad głową i odzywa się do niej ostry, męski głos: - Cóż se ty tak śpiewas, dziewce?

Ale Krystka nie odpowiedziała, bo jej się tak jak zalsniło w oczach. Stał nad nią chłop, parobek, jakby ze słońca zszedł. Świeci się na nim blacha na piersi, świeci opasek od klamer, świeci ciupaga w rękę i kółka przy niej przyprawione na toporzysku, świeci się biała czucha na ramionach i świecą się czerwone parzenice na portkach. a spod czarnego skrzydła świeci się twarz rumiana i takie oczy niebieskie, jak goryczki o rosie. Zapatrzyła się Krystka do znaku; on to widzi i uśmiecha się:

- Coz sie tak przypatrzujes do mnie? he?

Krystka była cięta z natury, otrząsa się z olśnienia.

- E boście mie zestrasyli - mówi.

On się znowu uśmiecha:

- Cy jek taki brzydźki? - pyta się.

- Co by ta! Aleście mi zezbyrceli nade głowom.

Cysto piekniek sie przelękla.

Chłopiec powstał chwilę, widocznie mu się Krystka trochę spodobała. Popatrzyła na niego bystro, prosto w oczy.

- Daleko idziecie?

- E ta idem. k a ta idem... - A potem dodał: - Ku

Stawom. Som ta jest jesce owce.

- Ej, kiele to pióro macie! - mówi Krystka. bo się właśnie nachylił i od pióra cień padł na ściern.

- Z orla. Fciałabyś je?!

- Cos mi po nim? Kaz sobie prziprawiem? do smatki?

- Tu - rzekł chłopiec i zawinął jej ręką około piersi.

- Siedzciez!

Odepchnęła go łokciem, aż mu ręka w tył poleciała, ale ją dreszcz przeszedł przez całe ciało, osobliwie przez plecy.

- Cyś poświęcana?

Nadrabiał miną, ale był zmieszany. Krystka zaczęła czuć się zupełnie śmiałą. Chciała mu powiedzieć coś, co by go ośmieszyło, ale gdy spoglądnęła na tę twarz rumianą pod czarnym skrzelem, zza którego sterczało pióro długie i pośmigłe na wietrze, nie chciało jej żadne słowo ostre wyjść z ust. On to poznał i znowu się uśmiechnął:

- Myślałby wto, ześ taka zła. I siadł przy niej na kopczyku.

- Mam cas - rzekł.

- E dy rano - odpowiedziała Krystka czując, że jej tak jakby miękło ciało.

- Jakoś se to śpiewała, kiek haw seł? Krystka zdziwiła się sama, bo uczuła, że się wstydzi, co jej się nigdy nie trafiło.

- Zejeście przecie słiseli.

- Jakos to było?

- Zabacyłak.

- Cybyk ci nie przibacył?

- E jako? - i zapłonila się Krystka, i odchyliła głowę na bok.

- E tak! - i parobek objął ją wpół przez chustę pasiata, i przygarnął ku sobie.

- Skądżeście? - spytała po chwili Krystka.

- Z Gronia.

- A coż wy macie przy Stawak za owce? Dy hań zakopanie, nie grońscy! I nieufność przejęła jej umysł góralski.

- E, tagek ci ta jino pedział. Ni mam ja hań owiec nijakik - rzekł chłopiec.

- Ba co?

- Ba jino przeńdem hańtędy, bez Liliowe.

- Ka?

- We Wierhcihom. Mam sie ta z kimsi uwidzieć. Oczy mu błysły chytrze i zawiesiście. Popatrzyła Krystka po nim: miał dwa noże wetknięte za pas i pistolet.

- Ej ha! - pomyślała. - Dy to zbójnik!...

I zaraz wielki podziw i zachwyt weszły jej do serca.

- Kie zaś będziecie wracać? - spytała.

- Moze tak o tydzień abo o pieńć dni. Bedzies haw paść?

- Bedem.

- A jakos ci na imie?

- Krystka. A wam?

- Jano. Das mi gemby?

Krystka się zarumieniła mocno i schyliła twarz ku piersiom, potem się uśmiechnęła i spojrzała spod rzęs.

- Das?

Szepnęła cicho: - Dam.

Więc Jasiek objął ją wpół i pocałował i zaraz ogromna lubość wpłynęła jej w żyły.

A kiedy szedł od niej ku lasowi pod górę, prosty, wysoki, biały od świecącej czuchy, z długim, pośmigłym na wietrze piórem za kapeluszem, zebrało jej coś w piersi i rzuciła mu w głos:

*Zol mi cię, zol mi cie, drogi jaksamicie,  
jo cie nie odzolem, pokił moje życie!...*

On zaś jej odpowiedział już z lasu:

*Nie płac, freirecko, choć jo na zbój pude,  
jino proś u Boga, to jo twoim budę...*

I długo jeszcze głośił się zza lasu jego śpiew, coraz dalszy, coraz cichszy, aż począł niknąć i topnieć w głu-chości mroku drzewnego. Tak odszedł od niej gdzieś tam w osędziałe od szronu Tatry, w mróz, w pustkę, w samotnię straszną jesieni, wesoły, śpiewający, o rumianym licu, ubrany jak na święto, świecący od mosiądzu i od zbroi na sobie.

Naokoło Krystki zrobiła się cisza.

\*\*\*

W skwarne popołudnie czerwcowe szła Krystka w las smrekowy pod Wołoszynem. co nad halą rósł. Dzełęgały z daleka spizowe dzwonki owiec.

Szła Krystka i śpiewała:

*Wianku lelijowy, spodei z mojej głowy,  
pudzieś dołu wodom - nie zejńde sie s tobą...*

- Ale nie załujem - pomyślała w duszy - i śpiewała dalej:

*Juhasy, juhasy, dyc się Boga bójcie,  
zgubiłak wionecek, dyc mi go powróćcie...*

- Wrócilibyście! Psiogłowce zatracone! - rzekła półgłosem.

*Dydek sie taila, taić sie nie bedem,  
gotuj kołysecke, jo pieluski bedem,  
gotuj kołysecke z drzewa limbowego,  
a jo pielusecki z rąbka bielonego...*

- Ej wiera! Ka zaś ta! Tak źle nie ma! - zaśmiała się. Posłuchała chwilę - z daleka podzwaniały dzwonki w odstępach, rzadko i niegłośno. I zaśpiewała z czułością:

*Ino cie, Janicku, siwe ocka zdobiom,  
rence kata zjadły, nierade nic robiom...*

- E, dy mu ta nie trza. Mało to jest srybła po oraw-skich miastak, po luptowskik sklepak?

*Cemuz ci sie, hłopce, piórko nie migoce?  
Doleś je freirce za zólte warkoce...*

- Ej raty! Migotało sie mu ta, migotało, kie my sie piersy raz ześli na pastwisku. Bedzie już trzy roki hnet, na jesień...

*Kohojze mnie, hłopce, jakoś mie zapocon,  
niek ci sie za inom ocyccka nie tocom...*

- Dałaby ja jej! Sto diabłów zjadło! Tu jej śmierć! Tupnęła nogą i znowu po chwili zawiodła przez tęsknotę słodką i wielką:

*Abo se przydź ku mnie, abo mi sie przyśnij,  
e bo ty nie wyjdziesz nigdy z mojej myśli...*

- Ka on tes? Maryjo, Maryjecko! Ka on tes? Miał tu dziś być przy sałasak...

A wtenczas z góry, zza turni, z leśnej perci, którędy owce rano chadzają w upłazy, dał się słyszeć ostry, męski Jaśkowy głos:

*E dy jo se śpiewom, hocioz se nic ni mom -  
ptoskowie śpiewajom, hocioz nic ni majom...*

- Jasicku! Jasicku! - krzyknęła Krystka i z wyciągniętymi rękoma pobiegła ku perci pod górę. A on śpiewał dalej:

*Hej wolny jo, wolny, jako ptosek polny,  
hoć jo na ślebobdzie jak rybka we wodzie...  
Uha!  
Kiebyś miała rozum i po temu zdanie,  
tobyś mnie howała za samo śpiewanie...*

i wesoły, pyszny, dumny ze siebie i strojny, wynurzył się ze smrekowego boru, biały od stóp do głów i świecący.

- O mój Jasieck - szepnęła zadyszana Krystka, rzucając mu się na szyję. - Najmilsy! Złoty!

- Jak sie mas? - odrzekł Jasiek. - Głodnyk jest. Jest ta zyntyca abo kluska w sałasie?

\*\*\*

Wieczór sierpniowy, pogodny, bezmiesięczny, nabity gwiazdami. Pod Wołoszynem kołysze się las śmigle, jednostajnie? szumią smreki w uboczy, jakby zaczarowane na szum.

Spojrzyć w górę: gwiazdy na nich, na gałęziach, jak złote ćmy, wyklęte na ten las z jakiegoś złotego świata. Spojrzeć wyżej, z polanek leśnych: gwiazdy na turniach jakby góry, w kamienie drogie czarowane, zakwitły.

Idzie Krystka przez las i ręce łamie.

Leją się jej łzy z oczu i warkocze stargane spod szmatki jej na ramiona opadły? idzie, a rozpacza.

A kiedy jej już serce pęknąć chciało od bólu, wtedy jej się otwarło, jak tama na grobli w czas powodzi, w piersi śpiewanie żałosne. I wydarł się jej głos:

*Moje serce płace, ozpuknie sie we mnie,  
co jo na Janicka cekom nadaremnie...  
Moje serce płace, dobrze nie zamiero,  
co sie moja krasa darmo poniewiero...*

Echo szło; Krystka nie wiedziała, skąd jej się biorą te nie słyszane nigdy słowa. Siadła na kamieniu, skryła twarz w ręce i zaczęła płakać. A potem, kiedy jej znowu pierś rozerwać chciało, wydarł się z niej znowu głos:

*Nie bedem, nie bedem syroko pościelać,  
bo sie juz nie bedem Janicka spodziewać...  
Siano na pościeli łzą by się rosiło,  
scęście odebrane by sie mi przyśniło...  
Scęście odebrane, niescęsno godzina,  
jo by nie dożyła do biołego rana...*

Echo szło przez las. Dźwignęła się Krystka i szła za nim. A w piersi jej wstały nienawiść, gniew. I zawyla jak las szeroki:

*Kieby jo wiedziala, co mie to zaboli,  
prosilabyk Boga, cobyś zgnił w niewoli!  
Coby ci w noc ciemnom carty droge zasły,  
coby ciało twoje kruki w polu znasły!  
Kieby jo wiedziala, ze ty nie bedzies mój,  
sama by jo wila na garło strycek twój!...*

Echo jęczało po lesie, a Krystka wyla dalej, jak suka rozwścieczona:

*Pockoj ty, Jadwisiu, dziewce malowane,  
jino jo hań zajńde popod twoje ściane!  
Pockoj ty, Jadwisiu, siwe ocka w tobie,  
jino jo hań zajńdem tej nocy ku tobie!.  
Pockoj ty, Jadwisiu, siwe w tobie ocy,  
jako sie krew z tobie po lesie potocy!  
Potocy potokem, potocy sie rzekom –  
jako cie do truchły bielućko oblekom!....*

Zacisnęła pięści, porwała się dalej iść, w las, w las!... Wilgotne paprocie biły jej o nogi, chrzęścił jej pod stoparni chrust i wrzos.

Echo ryczało od jej śpiewu, a stary baca Michał Zwijac w Rusinowej Jaworzynie, któremu bębnowało za uchem i spać nie dawało w nocy, dźwignął głowę z pościeli, nadśluchiwał i dziwował się sam do siebie. Kiz ta diasi tak holofiom po lesie? Cy sie im ukotwiło w piekle, cy jako?

Tymczasem Krystka wracała ku szalasom pod Wołoszynem. Grzmiały jej w piersi żal i zawziętość straszliwa. Nie szła, ale leciała przez las od Rusinowej Jaworzyny, ku której przybłądziła w górę. Gięte ramionami i piersią gałęzie smreków, bita biodrami kosodrzewina



po drodze rozchylały się przed nią z szelestem i szuszczeniem; czasem chlupła woda w młaczysku. Gdzieś rogacz spłoszony zatętnił po gąszczu i przepadł. Krystka z wciętymi w wargę zębami gnała przez las ku hali. Świeciło się od szałasów, które tonęły w ciemności w potężnym mroku pniów i obwisłych ku ziemi szerokich konarów i gałęzi. Psy zaczęły Krystkę i przybiegły ku niej z wesołym ujadaniem i merdaniem ogonów? kopnęła najbliższego, aż zaskowyczał, i przypadła ku szałasowi, skąd się przez szpary w ścianach jarzyła watra.

- Jest hań wto? - krzyknęła ku drzwiom.

- Ja jest - odpowiedział z wnętrza Jasiak. Stała we drzwiach. Z niskiej, czarnej, od strony watry rozjaskrawionej izby szałasnej buchnął ku niej

dym i gęsta, duszna woń smolnego ognia, wilgotnych szmat i nabiału.

- Sameś tu? - spytała, patrząc po ławach w cieniu.

- Sam. Sytka pośli na sopy spać.

Weszła przez wysoki próg. Jasiak siedział na ławce i ręce grzał nad ogniem.

- Zimno ci?

- Jakosi mi rence zmarzły, bieda ozgrzać.

- Cemużeś nie przy Jadwisi? Ona by cie ozegrzała hnet!

Jasiak uśmiechnął się szyderczo, spojrzał do góry na stojącą nad nim Krystkę i rzekł spokojnie:

- Bak ta fciał i na tobie zajźreć.

- Ja cie nie potrzebujem haw! - krzyknęła Krystka. - Słisys? Nie potrzebujem tobie haw!

- Ba ka? - uśmiechnął się Jasiak. - Na sopie?

Na Krystkę uderzył pąs i oczy jej się zaszklily łzami? chwyciła go za ramiona dłońmi.

- Jasiak!

Popatrzał na nią z flegmatyczną ironią z głupia frant i zapytał:

- Co?

Krystka rzuciła się przed nim na kolana. Trącona nogą gałąź we wstrze prysła iskrami pod powałę.

- Jasiak! Nie kohałak cie?

- E ta było, co ta było - odparł, poprawiając toporzyskiem od ciupagi sajty płonące; ogień wzburzony zawarczał i zapienił się zarzewiem.

- Nie kochałak cię? - mówiła Krystka, raczej jęcząc. - Nie byłak ci wierną za te trzy roki? Tyś był pirsy, tyś był ostatni. Nie goiłak cie, kie cie Wawrzek Miętusów zacion obuhe do głowy? Nie ratowałak cie, kie cie dunajcanie przysiedli na weselu? Nie zastompiłak we dźwierzak ziandarom, kie cie przišli do nas sukać, coś pokrad piniondze w Hohołowie? Jesce mam niebieskie ciało, co mie wtorysi kolbom durknon, kimeś okne uciek do pola z komory. Nie sukałak cie, kieś odpad z kozom na grzybiecie z turnie w Miedzianem? Juześ cysto pieknie zamarzniony beł. A dobrze mie wte kulka luptowska nie przebiła. Jasiek!

- Co fces?

- Cos za to mam? Cos za to mam? Co?

- Korale i pięć dwaścia talarów.

- Ej kiebyk je haw miała! Tu byk ci je prasła, w ten watre!

- Zje to by sie ziskrzyła.

Ta Jasiek wyjął z kieszonki od serdaka fajkę i zaczął z niej drutem wygrzebywać węgliki i popiół z tytoniu.

Krystka, klęcząc, objęła go wpół i przysunęła usta ku jego twarzy.

- Jasiu, Jasicku - rzekła boleśnie - źle ci było za te trzy roki?

Jasiek wytrząsł węgliki i popiół na dłoń, wydobył macharzynę z tytoniem i nakładł go ku nim.

Krystka patrzyła mu w oczy:

- Jasiu!...

- Co? - rzekł Jasiek, splunął na tytoń i począł go mieszać na ręce.

- Nie pudzies więcyl ku niej? Prawda?

- Ze ka?...

- Ku Jadwidze...

Jasiek wepchnął tytoń, zmieszany z węglkami, do fajki, wsadził ją do ust, wyjął z watry płonący patyk, przytknął żar i przyklepał palcem, pyknął kilka razy, rzucił patyk we watrę i cyknął w ogień śliną. Krystka przysiadła przed nim na piętach i patrzyła nań jak w dziecko swoje.

- Jasiu - ozwała się półgłosem - co fces, to ci dam.

- E dyś mi już heba syćko dała? - przyzadrwił Jasiek.

- Bedem cie opiekunować jak matka. Nie bees nigda nic robił...
- Ej ja ta i teraz nie moc robujem.
- Bees miał syćko tak jak pan! Mieso ci warzyć bedem dzień na dzień.
- Ej wiera. - I Jasek znowu cyknął ze zębów śliną do ognia. - Coz mi das jesce?
- Na zapowiedzi dam!
- Z kimze to?
- Jasek? Nie bydź taki okrutny! Jak cart! Jasek wstał z ławki.
- Ka idzies?
- Ka mi sie podoba - odrzekł spokojnie. Krystka objęła go znowu przez pas.
- Nie kochałak cie? Nie bośkałak cie? Nie tuliłak cie? - mówiła pieszczotliwie półgłosem. - Kieś prziseł, toś był mój. Przisełeś w nocy, inoś malućko zburzył na oknie abo popod ściane, cyk ci kie nie otwarła? Przisełeś w zimie, hoć jak zimno beło, cyk nie skoczyła ku tobie w kosuli? boske? Wse jek cie witała jak zbawienie! Jasiu!
- I Krystka dotknęła mu czołem kolana i objęła nogi.
- Janicku! Jasiu!
- Ale Jasek się zniescierpliwiał trochę, szarpnął i cofnął się ku drzwiom. Krystka nie puściła mu nogi i powlekła się na ziemię.
- Puśćze mie!
- Nie puscem cie! Tyś mój! Tyś mój! Tyś mój!
- Ja jest tego, co mi wola! - rzekł Jasek niescierpliwie.
- Kyrpce ci bedem całować! Nie fces mie więcyl?
- Całuj! - odparł Jasek. - Dycieś mie nie kupiła, cobyś mie wiązała jak bycka.
- Kupiłałak cie! I na wieki!
- Cym?
- Sercem mojem!
- Baj to! - skinął Jasek i zabierał się ku drzwiom. Wówczas Krystka zerwała się na nogi i krzyknęła:
- Stój!

Głos był tak wściekły, oczy Krystki tak zapalone, że się Jasiek zatrzymał.

- Stój! - krzyczała Krystka. - Powiedz mi! Co ci się wzięło u tej warguli? Czy jest bogatsza jako ja? dziadula zatracona! Czy jest gładsza na licu? Czy jest sumniejsza? Co ci się w niej spodobało nade mnie? Inoś jom uwidział pierse to lato, już cię ku niej ciągnęło! Inoś się hańbię zrazu! Ty! Cym cię ona zamamiła ku sobie? Ty! Czy ja nie jestem dziewczyna jak się patrzy? Co?

I stała przed nim z chustką opadniętą na ramiona, z roztarganymi włosami, ze świecącymi, czarnymi oczyma i łuną na smagłej twarzy.

Jasiek w kapeluszu na bakier, z fajką w ustach, opierał się pod bok na ciupadze.

- Co ci się wzięło w niej nade mnie?!

- Siwe oczy.

- Oczy siwe?

- Haj.

Krystce zapaliła się jeszcze więcej twarz i tak jak piorun przyleciał i zawisł jej między brwiami czarnymi.

- Oczy?! - krzyknęła znowu.

- Haj - powtórzył Jasiek niedbale, a niecierpliwie. Piorun przeżył się między brwiami Krystki, ale twarz

jej zmieniła się i w uśmiechu zabieliły jej się między wargami drobne, ostre zęby.

- I ty ku niej chcesz iść?

- Ja hań idem, ka się mi chce.

- Pewnie! Na mój sto prawdę! Kiebyś się te oczy na siwo pomalować mogła! Coś im robić? Nie zesiwiom ci w głowie. Ni masz rady nijakiej! Ale poczekaj, Jasiu, nie bądź, ja ci jom haw przywiędem. Kieś ci tak do rozumu pedziął, to już mądre. Siejdziesz haw w sałasie, przywiędem ci jom doraz!

Porwała wielką żagiew palącą się z ogniska.

- Ciemno! Poświecę ci!

Jasiek przekrzywił się na ciupadze i patrzył na Krystkę trochę zdumiony.

- Co chcesz zrobić, Krystka? - spytał.

- Przywiędem ci jom! Bees jom haw miał w sałasie.

- Krystka?

- Siedź! Doraz haw beemy obie. Kieś mi do rozumu przemówił, to ja już mądra.

I z płonąca, ogromną żagwią, jak pochodnia, wybiegła z szałas, przez szpary widział Jasiek po świetle, jak szła ku szopie Jadwigi, o kilkanaście kroków.

- Jadwiga leży na sopie - pomyślał. - Cy jom będzie wołać ku mnie albo co?

I siadł spokojnie na powrót twarzą ku wiatr. Krystka dobiegła szopy Jadwigi. Pozberkiwały z niej dzwonki krów na noc zamkniętych. Jadwiga siedziała na progu od pola.

- Coś hań? - spytała, widząc ogień żagwi, zbliżający się ku niej.

- Nie śpis to jeszcze, Jadwiś? - ozwała się Krystka.

- Nie. To ty, Krystka?

- Ja.

- Po cożeś haw przisłaś z tym ogniem?

- Po tobie.

- Na co?

- Pudzies się mnóm.

- Zje ka? Kazbyk miała iść?

- Ku Jaśkowi.

- Ku Jaśkowi? On haw przydzie sam - odcięła się Jadwiga.

Krystka pomilczała chwilę, potem rzekła dziwnym głosem:

- Siwe masz oczy, Jadwiś?

- Jakiego mam, takiego mam. Coś tobie do tego?

- Jadwiś! Siwe masz oczy?

- Kiz ci carci do moich oczu?! Siwe czy bure, coś ci po nich?!

- Jadwiś! Siwe twoje oczy?!

- E, to się im przypatrz!

- Pokaż!

- Idź, skądś przisłaś! Co chcesz ode mnie?!

- Pokazze je, to ocycki!

- Krystka! Cyś ogłupiała?! Co fces?!

I Jadwiga dźwignęła się z progu, i stanęła twarz w twarz przed Krystką, czerwieniejąc od ognia nad sobą.

- Co fces?!

- Ocy twoje fcem! To! - krzyknęła Krystka i palnęła ją płomieniem żagwi po oczach.

Straszliwy, góry wstrząsający wrzask rozdarł mrok leśny i noc. Psy zaszczeły przeraźliwie, a echo wrzasku rozleciało się na przestrzeń, jakby skały zawyły naokoło. Za tym wrzaskiem poszedł drugi i trzeci; polanę nappełnił jęk przeraźliwy, okropny, wytargany z wnętrzości.

Jasiek wyskoczył z szałas i pobiegł ku szopie.

- Co sie haw stało?! - wołał. - Krotni miliońscy! Coz sie tak dre? Co...

Głos mu uwiązł w gardle. Krystka trzymała za rękę tarzającą się po ziemi i ryczącą Jadwigę i świeciła nad nią wirem iskier z żagwi. Ujrawszy Jaśka, krzyknęła:

- Tu jom mas! Haw mas siwe ocy! Przypatrz sie! I machnęła ku niemu ogniem.

- Coś jej zrobiła? Niescężnico?!

- Co?! Podpaliłak jej ocy jako mek! - zaśmiała się Krystka, aż zabrzmiało po lesie.

Pobudzeni ludzie zaczęli wynurzać się z budynków i biegli ku miejscu, skąd słysać było jęki i krzyki i błyskał płomień w powietrzu. Ale Jadwiga nagle przestała jęczeć i miotać się po kamieniach i gnoju; musiała zemdleć z bólu.

- Podpaliłak siwe ocy jako mek! - powtórzyła Krystka, puściła rękę Jadwigi i cisnęła dogasającą żagiew precz od siebie.

Stało się cicho i ciemno.

Wówczas podeszła ku Jaśkowi, który stał nieruchomy od grozy, owinęła oba ramiona około jego karku, mocno, sprężysto, przesiłając, i przygięła mu głowę ku sobie. - Teraz ty bedzies mój! - rzekła dzikim półszepem. - Teraz ty bedzies mój!

A on się pochylił ku niej, zniewolony, ale nieoporny. Krystka ujęła go za rękę i powlekła w ciemny, lekko szumiący las.

## JAK WZIENI WOJTKA CHROŃCA

Jakubek Huciański dymał co tchu do góry, a pokrzykiwał sobie:

- Ej wiera! powiem mu! Ej wiera! powiem mu! Jakubek Huciański miał już czternaście lat i rozumiał doskonale, że tego, iż Wojtek Chroniec, który "dezenterował" z wojska, siedzi u nich na hali - nie należy nikomu opowiadać, ale również zdawał sobie z tego doskonale sprawę, że to, iż Kasia Pęckowska, Wojtka freirka, tańczy w karczmie z parobkami, Wojtkowi opowiedzieć należy. Pędził więc co tchu w górę, a pokrzykiwał sobie:

- Ej wiera! powiem mu! Ej wiera! powiem mu! Pędził też co prawda i dlatego nader pośpiesznie w górę, że się ogromnie bał niedźwiedzia, który zeszłej nocy "narobił mięsa" na polanie.

Las się skończył, smreczki zaczęły rzednąć, prześwieciła polana, zalana światłem księżyca.

- No! tok jus haw - powiedział sobie Jakubek. Po czym zaczął wołać na psy: - Tu! tu! tu! tu! - a te, poznawszy głos, z hałasem pobiegły ku niemu, a że Waruj, wielki jak cielę, wsunął mu się pod nogi. Jakubek go okraczył, łap za obrozę i z niezmiernym szczekaniem zajechał na nim przed bacowski szałas.

- Ej, żeś tyś wartki! - powiedział mu baca. - A przyniożesz syćko?

Jakubek wyjął z torbki paczki habryki, swabliki i palenkę.

- Syćko jest, coście kozeli.

- Naści - rzekł baca, dając mu wielkie miedziane cztery centy.

A w tej chwili dźwignął się Wojtek Chroniec, który leżał pod ścianą na cetynie, sięgnął w pas i dał mu srebrnego cwancygiera z Matką Boską.

Jakubek zauważył, że dwa razy do Wojtka przyszedł jakiś nieznajomy chłop, okrutnie wielgi, że coś gwarzyli po cichu z bacą, po czym Wojtka nie było raz ino noc, dzień i noc, raz cosi śtyry dni, a po powrocie miał masę srebrnych pieniędzy, cwancygierów, talarów, nawet złote dukaty, z których dał po jednemu dwóm niemowom, juhasom z Muru, braciom Hajackom, Michałowi i Kubie, chłopom, z których każdy potrafił trzy centy(\*) żelaza w zębach udźwignąć, a na plecy choćby i po ośm centów. Ale to były chłopcy spokojne i nic nikomu nie robiły złego. Jeszcze Kuba, choć był niemy, umiał na piszczałce grać do cudu, a na trombicie, aż echo grało.

Jakubek tak uważował, że Wojtek Chroniec skądinąd tego śrybła i złota nie przynosi, tylko zza Tatrów z Luptowa, a ów wielgi chłop nie kto inny musi być, tylko wysłannik zbójników, z którymi się Wojtek stowarzyszył.

Ale o tym nie gadano. Uważował tylko Jakubek, że baca, jego stryk, w niezwykłej miał Wojtka estymie, chował go najlepiej, a czasem powiadał:

- S tobie, Wojtek, będzie kiesi cosi!...

Wiedział też Jakubek, że się Wojtek z Kasią Pęckowską chciał żenić, nawet ona dwa razy u niego była na hali» bo Wojtkowi nieporada było iść do wsi skrony tego dezynterunku.

Słyszał też Jakubek, jak zaprzysięgała Wojtkowi, że do karczmy chodzić nie będzie, tańcować nie będzie, a zwłaszcza z Bronisławem Wałęcakiem z Kośnego Hamru.

Oburzyło się wielce serce Jakubkowe, gdy kupując habrykę i palenkę ujrzał Kaśkę tańczącą polkę z tymże Wałęcakiem, a nie tylko to widział, ale i to, że ją Wałęcak objął w ciżbie wpół i dwa razy pobośkał w same usta, a raz w lico.

Jeszcze się więcej oburzyło serce Jakubkowe, kiedy poczuł Wojtkowego cwancygiera w ręce. Stoi więc przed nim i powiada:

- Wojtek! Pedziałybyk ci cos!

- Co?

- Kasia tańcy.

Wojtek jak się porwie z cetyny:

- Tańcy?!

- Tańcy.

- Ka?

- W karcymie pod kościołem.

- Widziałeś?

- Widziałek.

- S kim?

- Z Wałęcake.

Wojtek hop z posłania na równe nogi. Boso był, hipnął trochę na iskry z watry, ale nic na to nie uważa.

- Prawde mówis? - chwycił go za ramię.

- Na mój sto prawdu!

- Ne!

Cisnął mu Wojtek talara; Jakubek schował. Potem Wojtek hip ku ścianie, łap za kierpce, obuwa się.

Dwa olbrzymie Hajacki. siedzące nieruchomo na niziutkiej ławeczce przy wotrze, ze schylonymi ku ogniu głowami, w czarnych, smolnych koszulach, z pasami nabitymi mosiądzem pod pachy, z włosami spadającymi ku ramionom, podnieśli głowy do góry i



spojrzeli na siebie. Z czarnych, osmolonych i ogorzałych twarzy błysnęły im tylko niebieskawe białka oczu.

Wojtek się obuł.

- Ka idzies? - spytał go baca.

- Hań.

- Waruj siei - przestrzegał baca.

- Nie starajcie sie. Na rano bedem.

- Boze cię prowadz.

- S Pane Boge. Podali sobie ręce.

Wojtek wziął ciupagę i wyszedł z szałas. Dwa olbrzymie, czarne Hajacki dźwignęły się z ławki i kiwnęły bacy głowami.

- Idziecie ś nim? Skinęli potakująco.

- Jako fcecie.

Niemowcy wyszli z szałas, zabierając powcinane w ścianę ciupagi.

- Na kigoś diaska mu to pedział? - zwrócił się baca ku Jakubkowi.

- Jagzek ni miał pedzieć, kiek słisał, jak ślubowała, co tańczyć nie bdzie? Jesce jom nabarzyj pytał skrony tego Wałęcaka.

- Hej, bedzie hań mąt! - rzekł baca półgłosem i wygarnawszy zapieczoną fajkę z węglików, począł z niej pykać i pogrążył się w zadumę.

Wojtek gnał. aż mu piarg spod nóg fyrczał. Przeleciał polanę, przeleciał las, nie słyszał Hajacków za sobą. dopiero ich na gościńcu usłyszał. Ale się nawet nie obejrzał: gnał dalej.

Dopałł wsi, wartko ku karczmie, spojrział oknem: tańczy Wałęcak dookoła, a Kasia mu boczkuje.

Wałęcak właśnie przystanął przed muzyką i śpiewa:

*Kiebyś ty tak za mnom, jako jo za tobom,  
bylibymy, Kasiu, kazdom nocke z sobom!*

A stary Bartłomiej Huciański, bardzo wesoły chłop, dośpiewuje mu z kąta:

*E dy ona jino lewdy temu rada,  
coby to słonecko nie świtało nigda!*

A wszyscy w śmiech.

Wszedł Wojtek do sieni, z sieni we drzwi. Dwaj Hajacki za nim do sieni. Trąca go ktoś.

- Jak sie mas, Wojtuś?

Obejrzał się: Florek Francuz, niemłody, chuderlawy, mały, brzydki, bogaty chłop, który się ogromnie w Kasi kochał, a nie mając żadnych danych na rywalizację z Wałęcakiem albo Wojtkiem Chrońcem, roznieawidził Wałęcaka. Kie ni mógł on, niek jom biere Wojtek!

- Witajcie - powiada Wojtek.

- Is, co sie hań robi?!

- Zje co by sie miało robić?

- Kaśka tańcy z Wałęcake.

- Po tok tys haw prziseł.

- Ej przy sam Panu Bogu! Wojtuś!

- Bedzie ta, jako bedzie.

- Tu mas mojom renke! Hoćbyś trzi dni kciał pić: pij! Krowe przedam, konia przedam - pij! Wojtuś! Serdecko moje! Na mój dusiu! Pij!!! A kis to diasi przyšli s tobom?

- Juhasi murzańscy. Hajacki. Niemowy.

- Ej wiera! Kiele som tys! Kieby ja teli był! Sprościłby ja tys Wałęcaka!

- Nie bójcie sie! Mam go i ja sprościć.

- Ej raty przeraty. Wojtuś! Pij pote, kiele kces! Łąke w Oblazie przedam, pole przedam, dom przedam: pij! Wojtuś! Serdecko moje! Ni mogek ja, bier ty! Bier, bier, bier! Wrrr!!!

Tu Florek Francuz warknął jak pies, aż się zapienił. wbił paznokcie w dłoń Wojtka i trząsł się cały, a przestępował z nogi na nogę jak kogut.

- Is jom hań?

- Widzem.

- Bośkajom sie, ściskajom sie, shadzajom sie! Wojtuś! Wrrr!...

Tu Florek Francuz schylił głowę i złapał zębami rękaw od koszuli Wojtkowej.

- Wojtuś!

- Co?

- Bedem ci syćkie dzieci do krztu trzymał! Zapisem Im cały majontek! Bedem im tak, jak ociec! Bij!!!

I popchnął go do izby. Dwa olbrzymie Hajacki przysunęli się ku drzwiom.

Wtem struna skrzypkowi pękła: przerwał się taniec. Kasia ujrzała Wojtkę. Zmieszała się strasznie, zaczerwieniła. choć już od tańca czerwona. Nie wie: czy iść ku niemu, czy nie? co powiedzieć? Zbliżyła się na koniec, wyciąga rękę i bąka:

- Wojtuś? Tuś?

- Hawek - odpowiada Wojtek. Wałęcak pijany, rozgrzany, stoi obok; wyciąga on też rękę ku Wojtkowi.

- Zdróweś, bracie?

- Zdrów.

Wstrząsnęli sobie dłonie, aż trzasło.

Skrzypek pociągnął po strunach: może grać. Wojtek zdejmując szerokim ruchem kapelusz przed Wałęcakiem, kłania mu się nisko, przyklęka przed nim na kolano, podnosi głowę do góry i powiada:

- Bracie, ustąp mi.

Wałęcak potrząsa głową hardo:

- Nie, bracie!

- Ustąp mi, pytam cie, bracie.

- Nie, bracie!

- Nie fces?

- Nie kcem.

- Zapłacem ci trzi tańce.

- Nie kcem.

- Bracie...

Ale Wałęcak już stoi przed muzyką i śpiewa:

*Nie próguy sie, hłopce, w tyj karcmie nawrócić:  
jest haw lepsi hłopcy, mogliby cie skrócić!*

A Wojtek Chroniec odpowiada mu, udając, że śpiewa wesoło:

*Abo mnie zabijom, abo jo kogosi,  
bo sie mi cuprina do góry podnosi!*

Przystanął Wałęcak, spojrział na Wojtkę, Wojtek na niego. Patrzą, uśmiechają się, a grożą sobie oczyma, aż z nich świececzki lecą. Chłopi już miarkują, że tu "cosi będzie"; odsuwają się trochę, grupują między sobą. Już się baby porwały ku swoim chłopom, stają przy nich, dają sobie znaki, gotują się, bo coś haw będzie.

Muzyka gra, Wałęcak tańczy. Tańczy ozwodną nutę dookoła, ale mu jakoś nie idzie. Nie chce skończyć, choćby na złość i przez pychę, a jednak staje przed muzyką i ochrypłym głosem śpiewa do zwyrta:

*Mój konicek kaŝton  
podkowickom trzasnon  
na orawskim goŝcińcu;  
mnie sie serce kraje,  
ohoty dodaje  
ku mojemu dziewczenciu!*

Puszcza Kasię popod rękę, chce objąć wpół i zakręcić w powietrzu na zakończenie, wtem Florek Francuz daje Wojtkowi kułaka w bok i szeptem mu:

- Wojtuś!

Wojtek rzuca się naprzód; chwytą Kasię za warkocz, zawinął, jak rżnie o ziemię! Aż jęknęło, ani nie pisnęła nawet.

- Ty suko! Takie twoje śluby?! - krzyczy Wojtek i kopie ją w piersi.

Wałęcak zgłupiał, gębę otworzył, oczy wybałuszył. Wtem przypadł Staszek Pęcowski, brat Kasi, z boku, z krzykiem: "Bij! zabij!" - i łap Wojtkę za gardło. Oprzytomniał i Wałęcak: dalej do Wojtki.

Pięciu czy sześciu parobków, przyjaciół i krewnych, jeden ze stołkiem, drugi z jakimś tłuczkiem, trzeci z dzbanem glinianym w ręku, lejąc sobie piwo na głowę, sypnęli się ku Wojtkowi, ale w tej chwili ludzie we drzwiach rozmiotli się na dwie strony jak otręby w żłobie, kiedy krowa na nie dmuchnie, i dwaj olbrzymi niemowcy, czarni i świecący od nabitych mosiądzem pasów, podnieśli opalone, nagie do pachy, w opadających juhaskich rękawach ramiona. Jak się młoty wała w kościeliskich kuźnicach, podnosząc się bez hałasu, a grzmocąc z łoskotem, tak się niemo dźwignęły i zachręściły na głowach ludzkich dwie ich pięście. Z ciżby wydobył się jęk i wrzask. Błyskając niebieskimi białkami i wydając jakieś gardłowe rżenia, murzańskie niemowcy miotali chłopami naokoło siebie jak snopami w polu.

Dobrze, że nie rąbali, bo Jezus Maria!

Wojtek Chroniec zaś przygniótł kolanami powalonego przez siebie Wałęcaka i dławił pod gardło; obok padła ciupaga.

Ludzie zaczęli się cofać i uciekać z karczmy; muzycanci stłoczyli się przerażeni w kącie ku ścianom. Murzańscy juhasi gnali ciżbę w sień i koło Wojtka zrobiło się wolniejsze miejsce. Wtedy przysłizgnął się ku niemu Florek Francuz i trącił go w ramię.

- Wojtuś! Potem warknął:

- Wrrr!!!

Wtedy Wojtek złapał za ciupagę, wstał, zamachnął się i rznął obuchem w łeb Wałęcaka, aż mózg wyprysnął. Potem drugi, trzeci, czwarty raz, gdzie trafił.

A Florek Francuz za każdym ciosem podskakiwał w górę i skrzeczał jakimś nieludzkim, jastrzębim piskiem:

- Bij! Jo ci go na funty zapłacem!

Wojtek bił.

A w kącie piszczał Florek Francuz:

- Wojtuś! Wojtuś! Hi, hi, hi!... - podskakiwał i dreptał nogami.

Nagle Wojtek ustał się pastwić, porwał z szynkwasu flaszkę wódki, przechylił - wypił całą. Potem parsknął i spojrzał dookoła. Wałęcak jak mięso, Kasia podeptana, pokaleczona, zaduszona, zagnieciona w tłumie, we krwi na ziemi. Muzycy w kącie nie mają którejdy wyjść.

- Grajcie! - krzyczy ku nim Wojtek.

- Grajcie! - powtarza i ciska im z pasa garść talarów.

- Grajcie! - dźwignął ciupagę. Skrzypek prędko przykręcił kolek, pociągnął smyczkiem. Wojtek staje przed nimi i śpiewa:

*Zagroj mi, muzycko, jako mi mos zagrać,  
bo po mojej śmierci mozes sytko zabrać!*

Tańczy. Ślizga się we krwi. Kopnął na bok Wałęcaka. Kasię odwlókł Żyd zbiełały ze strachu pod ławę. Z ciekącymi po twarzach podrapanych i potłuczonych strugami krwi, dwaj Hajackowie, dzierżąc ciupagi przy ramionach, stoją we drzwiach. Florek Francuz w kącie podryguje, pokrzykuje i pogwizduje.

Wojtek tańczy, przystanął, śpiewa:

*Gęślicki mi grajom, basicki basujom,  
na moje nozecki racioski gotujom!*

Tańczy, ale krew go uchodzi, dostał i on niemało w bitce, chwieje się, zaśpiewał jeszcze:

*Krzesajom śubienice, krzesajom z jedliny,  
hej skroś tego kohanio, skroś jednej dziewczyny!*

I opadł na ławę. Siadł.

- Żydzie! - woła.

Żyd trzęsie się ze strachu.

- Co pon herśt kazom?

- Daj papir, pióro i tego, jako to się nazywo, co sie pisa?

- Jatramynt?

- Rychtyk, jatramynt. Wartko. Naści za to! Cisnął talara.

Przyniósł Żyd papier, atrament i pióro.

- Pisaj pon, bo ja nie umiem - powiada Wojtek. Żyd zamaczał pióro.

- Pisaj pan, jako beem mówiel:

Do pana postenfirera ziandarów w Nowym Targu. Ja, Wojtek Chroniec Sobuścyn, dyzyntyr z piersego pułku ułanów, meldujem, jakok zabiś Kasie Pęckowskom skrony przeniewierstwa i Bronisława Wałęcaka Borkowskiego, bez co mi sie gardła hycił, i prosem, coby mie przyśli brać. Mozom przyńść śmiało, bronić sie nie bedem.

Podpisajcie mie: Wojtek Chroniec Sobuścyn. Amen. Poślijcie to woze, coby sie przywieźli wartko z miasta.

A wy, hłopczy - zwrócił się do Hajacków - biercie sie w pole, by was tu nie zabili abo nie hycili. Jest ta godnie śrybła we węzełku, a dwa kotliki nowiućkik cwancygierów zakopane w Ozpadłej Dolinie, ka sie spod wanty woda leje, jako sie od suhej limby dwa strzelania pudzie na prawo, a pote półtrzecia strzelenia dołu na lawom renke. Podzielcie sie, a rućcie ta ćwierć kotlika bacy, za co mie hował bez lato. Biercie sie hore!

Wyciągnął ku nim rękę; uścisnęli się.

- Icie s Pane Boge!!

Niemowyy popatrzyli na niego, wyszli.

- Zydu - powiada Wojtek - zywa je jesce?

- Wto?

- Kasia.

- Jo ani nie chcem patrzeć... Tyle krwi!

- Ej, nie zyje, nie zyje! - zapiszczał Florek Francuz i zalał się łzami.

Potem rzucił się na ziemię, zaczął bić głową o podłogę, wydzierać sobie włosy, tarzać się, wć, wyć i jęczeć rozpaczliwie.

A Wojtek Chroniec opuścił głowę na piersi i szepnął:

- Morzy mie sen...

Potem jakby w półśnie zanucił z cicha:

*Ej wiaterku od pola, wiaterku wierhowy,  
kie ci sie uhycem, sto buków przeskocem!  
Ej wiaterku od pola, wiaterku spod turnie,  
kie mie wisać pudom, postronek mi urwij!...*

Opuścił głowę jeszcze niżej i zmorzył go sen.

## ŻELAZNE WROTA

Był chłop z Zaskala, nazywał się Tomek Wierchowlec. Pokłopotcił on się z sąsiadami o miedzę, przyszło do procesu, włóczył się po sądach, gospodarstwa nie pilnowały na nic się stępił. A jeszcze kiedy z wyrokiem przyszedł, ubili go sąsiedzi tak, że mało żywy został. Pół roku chorował, do reszty majątność utracił. Nie dość na tym? nie wybyło dwa tygodnie, jak się ze słomy - bo już i łóżko Żyd zabrał - z podłogi podniósł, przyszła burza, strzelił piorun w chałupę, chałupa poszła z dymem. Nie było w niej co jeść, ale był przynajmniej dach nad głową. Spaliła się i stodoła, w której tylko wiatr pogwizdywał wesoło, i obora, z której Żydzi krowę wywiedli. Nie zostało nic, tylko płot naokoło zagrody.

- No, tok jus teraz dziad - rzekł do siebie Tomęk.

A potem rzekł: Ludzie tu i Bóg proci mnie. Cisne ten ziemie. Pudem we świat.

I poszedł, nie bacząc na żonę i na dzieci ani na nic. Przebrał się przez Tatry na węgierską stronę. Tam widział on więcej słońca, więcej zboża i wcześniej się złociło, kiedy na granie, pasając owce w Goryczkowej, wybiegał. Stamtąd też furmani wino wozili i pieniądze. Poszedł tam.

I przystał do służby do jednego bogatego pana na Liptowie; zgodził się ku owcom. Pasie je, pasie, co lato w prawe ramię Mięguszowieckiej Doliny, w Złomiska, wygania, a jesień, zimę, wiosnę przy dworze przesłuszy, owce zimując, drzewo rąbiąc, w ogrodzie kopiąc. Płacę miał dobrą, wiedło mu się.

I tak zeszło lat czterdzieści.

Był już stary Tomek Wierchowlec, liczył sobie blisko ośmdziesiąt lat; siły go jeły opuszczać. Już się od owiec dawno do wołów przeniósł, ale i ta służba była mu ciężką. Jednej nocy, kiedy - bo już mało sypiać mógł - przed wołarnią siedział, w miesiącu sierpniu, podczas wielkiego przelotu gwiazd, gwiazda z nieba lecąca tuż nad jego głową zagasła.

- Oho! Tu i śmierć - rzekł do siebie Tomek.

I dopiero pierwszy raz się zastanowił, że on nie będzie leżał na ludzimierskim cmentarzu, gdzie od wieków, prawieków ojcowie jego leżą, bo do tej parafii Zaskale należy. Będzie leżał na Liptowie, za Tatrami.

I smutno mu się zrobiło.

Wygnał on pamięć o Polsce z duszy. Nie chciał myśleć o swojej klęsce, o krzywdach, o nędzy, o chorobie, o Żydach, o żonie i dzieciach, które może tym samym Żydom wodę noszą, było mu dobrze, słońca było więcej, zboża więcej i wcześniej dojrzewało, odpędzał myśl o Polsce, aż ją i wygnał z duszy. Zapomniał.

Dziesiątki lat nie przysła mu już do głowy.

Ale teraz, kiedy zobaczył blisko przed sobą śmierć i zastanowił się, że nie na ojcowistym cmentarzu będzie leżał, ale tu na Liptowie w dziedzinie, na obcej ziemi: poczęła mu się swoja ziemia do oczu cisnąć.

I wezmą mu się roztaczać przed oczyma: nowotarski bór, zaskalskie gaje, ludzimierskie torfowiska i kamieńce, rogoźnickie łąki. Weźmie mu się więc przed oczyma bystry, pełen zielonych głębin Rogoźnik, szumiący, wartki Dunajec, jasna Lepietnica spod Lasku od Trutych, skąd żonę miał. Weźmie mu stawać przed oczyma stary ludzimierski drewniany kościół z dzwonnica między lipami i stary ludzimierski drewniany dwór z murowanym śpichlerzem, gdzie w piwnicy w sklepieniu hak był na wieszanie opryszków wbity. Wezmą mu się przypominać tamtejsze odpusty, na które ludzie z Orawy i od samych Myślenic przychodzili. I wezmą mu się przypominać maruszyńscy tancerze sławni, dziewczki śpiewaczki z Gronia, lasy na Beskidzie po Kluczkach i Gorcu, dzieci, jak na świętego Mikołaja z brodami z konopi, w długich kozuchach ojcowych chodziły, zjazd koło Gapkowej chałupy ku wodzie, olbrzymi jesion na Walosowych polach. I weźmie mu się przypominać matka i ojciec, rodzinna chałupa, żona i dzieci, rodzinna mowa i własna muzyka - i zapłakał. I taka go tęsknota ogarnęła ku Polsce, że chciał woły rzucić i iść - - ale było daleko...

- Hej! by jom tyz hoć raz uwidzieć jesce, ten ziemecke świentom! - rzekł do siebie i myślał.

I tak, jak było, w nocy, wstał z progu i począł się wspinać od wolami ku górze, zrazu pomiędzy kosodrzewinę, wrzos i łopuchy, po trawie, potem po mchach, po głazach - - szedł ku turniom, które nazywają Żelazne Wrota; na prawo od nich Batyżowiecka Grań, na lewo Ganek. Z której bądź tam przełączki popatrzy.

Szedł o głódzie, nogi go bolały, w plecach jakby szydłem wiercił, pot mu oczy zalewał - ledwie się włókł, ale szedł. Głazy przed nim rosły, rosły, stawek mu się zaświecił popod olbrzymią mroczną górą Kończystej gwiazdami odbitymi i tak zapadł poza nią, jak ptak, kiedy w dolinę zleci. Szedł dalej.

Na rano, na świtanie spojrzy na ziemię swoją, na Polskę.

Poczęło słońce świtać.



- Hej! Kieby ino gmły nie było! Hej! Kieby ino grnły nie było! Cobyk by raz jesce ten świentom ziemecke uwidział przed śmierzciom!... Bo ani jus nie wiem, cy sie wróce... - szepce do siebie Tomek.

Ale na Liptowie czysto, będzie tak i nad Polską - jasno.

Wiatr się zerwał poranny, zarzucił Tomkowi włosy na oczy, zalał mu je pot. Zimny prąd go przebódlł przez piersi i ramiona, musi być już na przełęczy. Odgarnia włosy ręką, przeciera oczy – ha!... przed oczyma jego stoi czarna ściana skały Garłucha, która tu świat zamyka. Nie widać za nią nic.

Patrzy Tomek z rozpaczą - na próżno. Na prawo, na lewo niedostępne, skrzesane igły Żelaznych Wrót, przed nim przepaść i poza nią czarna, niewzruszona ściana Garłucha; zwałała mu się na oczy jak noc.

- Hej! - jęknął. - Takieście to wy wej, Żelazne Wrota?!...

## JAK SIĘ MICHAŁ ŁOJAS POWIESIŁ

Zej ta było, jako było, a co będzie, som Bóg wie!... Tak mówił Michał Bulczyk Chowaniec Łojas Kośla z Kośnego Hamru. A potem sobie zaśpiewał:

*Ej hłopiec jo, hłopiec juhaskiej natury!  
Ej jak se podpijem, podskocem do góry!*

I podskoczył.

Idzie, cała dolina jego, bo jest mocno pijany. Tu więc o pień zawadzi, tam kamień kopnie, raz na prawo, raz na lewo, tu się chybnie. taro przetoczy - i tak "cała dolina jego". A księżyc się patrzy spoza Goryczkowej Czuby i przysiągłbyś, śmieje się bezkurcyjo.

- Hej, dobrze ci sie hań prześmiewać tamstela! Kiebyk cie haw blisko mioł! Wypoliłbyk ci też w ten świeconcom kufe!

Tak powiada Michał Łojas i łup bokiem o pniak smrekowy. Utrapione te perci od Kalatówek do Kondratowej, tyle na nich smreków, jak czego dobrego.

- Las! Wiera mi tes! Cyk go siał abo co?! Stanał, zatrzymał się, poprawił kapelusz, odwiódl pięść, ale wesoło.

- Co? Cy jo nie jest Mijał Bulcyk Howaniec Łojas Kośla z Kośnego Homru? Co? Mozek nie jest? Co?!

Ale mu się nikt nie sprzeciwił. Posłuchał chwilę, poczekał, jak na śmiałego chłopą przystało, nikt się jednak nie odzywał. Więc poprawił jeszcze raz kapelusza i kroczył dalej, pogwizdując. A potem sobie przytupnął i zaśpiewał:

*Spodobały mi sie u zajonca us-i,  
u jelenia rogi, u dziewczyny nogi!*

Po chwili rozpoczął monolog:

- Upiłek sie. Nie ma co pedzieć. Upiłek sie. Ale bez cok sie upił? Bez niebłogosławieństwo boskie...

*E dy jo se pijem i to mi nie skodzi!  
Pudem dołu drogom, Pon Bóg mi nagodzi!...*

E, mnie by ta Pon Bóg kie nagodziel! Onacyłek ta, jakok móg, i cozek wyonacył! G...!

Hej nic, ino to!

Woroł mi sie... Bezera! Wrodoś!... Woroł mi sie... Zaołoł mi na groniku mało rahować by pół morgu. Głobiś! Nie tak hłopczy, ale kiebyk go haw spotkoł! Doroz by spod na ziem!

Woroł mi sie. Cos mu bedem robiel? Pudziems do prawa? Cyk sie nie prawociel bez półcworta roku pokrony tego gruntu po cioce? Cozek wyprawociel?

*Styry dudki dala, coby tańcowała -  
Styry dudki wzieni, ona stoi w sieni!...*

Telo mos!

A jesce to nic, co mi sie woroł, ale s tom sopom! Przecie, kie mi jom wiater przyniós, to sopa moja! Som Pon Jezus pedzioł: Bier, Mijale, co Bóg daje! Wiater prasnon sope na moje, to sopa moja! Bo jakos beło? Prziśel wiater halny od wierhów i przeniós sope z Frankowego pola na moje. Tak my mieniali: jemu ostoł plac pusty po sopie, a mnie urosła sopa na pustem. Cy jo jest temu winowaty? Nie jo robiel ze sopom, ba wiater. Co on mo teroz narabiać se mnom? Bił mnie tak, co sie widziało, ze mi zyły wytardze. A jo sopy broniel, bo mi Pon Bóg sope tak, jako z nieba spuścić. Cozek wybroniel? G....!

Skarzyłek. Ej bajto! Oni by ci co kie prziznali! Ani mu za ten bitke nic nie wsuli, bo, pado, swojego bronil. Juźci swojego! Kie na moim gruncie stało! Ba!

Stryła im do boku s takom sprawiedliwościom! Drzewiej nie było nijakik sądów, beło lepsi. Stryła im maciery!

*Ej! Pirwejek se śpiewoł, teraz płakać muse,  
co jo sie tak marnie poniewierać muse!...*

Heba sie obwiesić abo co... Wselikniejako progował na świecie - ej! kabyś ta!...

Tu Michał Łojas Kośła rozrzewnił się nad sobą i łzy mu napłynęły do oczu.

*Co jo sie tak mamie poniewierać muse!*

dodał żałośnie.

- Abo baba. Siute stworzenie zawdy diabli pote! Uwa-rzi ci, opiere cie, prowda, ale ci tes da siustu, nie bój sie!

Kiebyk ino kielusek wypieł, jus wie! Teli nos mo! Przyńde du domu - bełł mie w łeb! Kieby ino pieńściom, ale co dopadnie. Ty huncfucie! ty łajdoku! A dy przecie Pon Bóg tak stworzeł gorzołke, jako i świenconom wode. Syćko Jego i z Jego miłosiernej ręki, z mocy nowysey pohodzi. Bóg miłosierny, coby sie opiekował s nami do samej śmierzci, pokił nie pomremy. W imie Ojca i Syna i Duha Swientego, Ojce nos, wtoryś jest w niebiesiech, świenć sie Imie Twoje...

Tu się Michał Kośła mocno zatoczył, wpadł na jakiś wykrot i siadł na nim, między korzenie. Niedługo poczał przytupywać, przykiwywać głową i przyśpiewywać:

*Diabła zjadło z buciskami,  
kiedy mie tak uciskały!  
Jak sie weznem do ozprawy,  
ozpierem je popod ławy!*

Gwiznął po juhasku, aż zaleciało gdzieś w Kondracką Kopę.

*Hejze ino po francusku!  
Trzymajze jom na łańcusku!  
Diabliz ci jom utrzymajom,  
kie sie jej tak napirajom!*

Rozśmiał się i ze strasznym już temperamentem, wałąc obu piętami w ziemię i przykiwując głową jak opętany, śpiewał coraz siarczyściej:

*Jo se ligom pod kolibom,  
przijdze ku mnie, gęby ci dom!  
Gęby ci dom, gęby ci dom,  
jesce ci sie na co przidom!*

Nie mógł już wytrzymać, zerwał się z miejsca, świsnął przez zęby raz. dwa, przechylił głowę w dół, przycisnął kapelusz ręką, tupnął nogą i hyc krzesać drobnego, piętą o piętę, obu piętami w powietrzu. Tak sobie trafił nutę pod nogę, jak mało kiedy sam Szymek Krzyś utrafi! Krzesze i krzesze, aż mu żwir pod kierpcami skrzypi - mało tego! Po hajducku!

*Hej ni mas to. jako zbój!  
Padnie listek, to sie bój!...*

Nosi się koło ziemi, podskakuje, co podskoczy, to się wytnie rękami w pięty, hyc na lewo, hyc na prawo, tylko kapelusz przyklepie ręką, hujt, hujt przez zęby, aż się cały zapocił. Tupnął nogą na zakończenie i dłonią uderzył w ziemię, aż jękło:

- Cy jek nie tonecnik?! Piersy we świecie? Co?! Ale mu nikt nie przytwierdził, a natomiast zmija zgryzot znowu zaczęła mu pełzać po piersiach.

Tańcuj! Tańcuj! - myśli. - Ty ino tańcuj! A tam ci sie Franek Bartusiów worał, pół morgu ci zabrał, po ciotce gruntuś nie wyprocesował, szopę ci wiatr z Frankowego na twoje przeniósł,

nie dość, że ci szopy nie przysądzili, jeszcze cię Franek zbił i nie mu za to nie wsuli w sądzie w mieście, bo, powiadają, swojego bronił. Tańczuj! Tańczuj! Ty se ino tańczuj haw, kies obdalno od domu. Żeby cię tak baba zobaczyła! Dałaby ci! Stołek nie stołek, kijanka nie kijanka! A ty dziadu, ty obwiesiu! To, co ci się patrzy, wybronić nie umiesz, w sądzie się sprawić nie umiesz, alebyś tańczył, alebyś pił! Może ci się jeszcze zwidziała Bronka Ustupska? Co? Ty! Mózek nie uwazowała, jakieś do niej ślepie tracił na kowolowym weselu? Tyś ku niej! Prawie! Łeb ci zesiwała. brzoda się już hnet będzie trzęsła. Ej wiera! Jaki mi! Tyś ku dziewczkami Parobecek!...

Tu się tak Michał Łojas własnej myśli i jej dokładności przestraszył, aż się obejrzał. Ale na szczęście nie było nikogo. Był sam na wylocie z lasu od Kalatówek ku Kondratowej.

- Prowda jest - rzekł po chwili. - Prowda jest. Winowatyk. Kundziu, som ci to powiem: winowatyk. Mało co, to się napijem. Ale ty temu nie rozumiesz, bo to wiesz jako powiadajom: łłopski rozum, babskie mięso. Jo już jest taki. - Tu zmienił głos. - Co jo się nie mom za swoje napić, co?! Cyk ci ukrod?!

Tu mimo woli chwycił się za głowę i przygiął ją, jakby otrzymał cios. Pomacał się; nie boli.

- Pacnena abo nie? - mówi do swojej duszy. - Nie cujem, a tak się mi przecie widziało, zek dostał?...

Ale druga zmija, odmienna, poczęła pełzać po piersi Michała Bulcyka Łojasa. Ej moi mili! Dziewka ze tez, ta Broncia!...

I poczęło się Michałowi Łojasowi przypominać, jak ją widział raz w polu przy wiązaniu snopków, w koszuli była tylko i w spodnicy i w chustce na głowie. Wiatr ciepły wieje koło bioder, co się ona schyli, to ją owinie, aż oczy piecze; co się wyprostuje ze snopkiem, to piersi wystrzelą pod koszulą jak kwiaty na wiesne. To ją znowu w tańcu widzi, to do kościoła idącą w żółtych butach orawskich, to jak krowy pasie pod Lasem Krupowskim, to jak len rafie, a śmieje się. a śpiewa, a śliczna...

Ej sto Bohów do nieho! Dołby jo ci bobu!...

Ale cóż? Stary jest. sześćdziesiąt mu blisko, sam córki ma dwie. obstarne już, a nikt tego nie chce wziąć. Co by też i brał?! Biedne to. a brzydkie, a złe! Cołke na matkę podane! Trza to odziewać, żywić, wadzi się tylko w izbie, a wymaga, a pomstuje, a krzywdzi się, czasem i matkę bić pomoże! Diasi ta po takim gazdowaniu! I splunął - tfu!

Na jednego moc! Franek go krzywdzi, baba poniewiera, dzieci złe, tu go szarpia, tam go biją - prawda, że diasi po takim gazdowaniu!

- Co jo mogem wygazdować? Heba śmierć - mruży Michał Łojas Kośla, od razu bardzo smutny.

- Co jo mom jeszcze na świecie robić? Nie zebyk już tak nie miał co do gemby abo na się włożyć, to, kwalić Boga, jeszcze nie. Ale co to za z-icie takie? G.... nie z-icie! Dziadek, co po pytaniu hoduje, przódziej mo pokój i zadowolenie, jako jo, co je jęk przecie z dziada pradziada gazda!

Tuk w Kondrotowej, dobrze mi. Napilek się w Homrak, śpiewom se, tańcujęm se, co fceć, robiem. Co by sie i nie udziało. coź mi ta, kiek haw, nie przy domie. Ale hań - niek ino zajńdem. Zgryzota mie uhyci jako kot scura. Hoćby sie jako bronieł, nie jego moc! Bedem sie zaś ci-skoł po wyrku nie śpiący, bo jus ani spać, ani jeść nie mogem. Baba bedzie brzęceć, córki brzęcom - diasi mi po Takiem gazdowaniu! Heba sie obwiesem abo co?...

Ta myśl mu się chwyciła głowy.

Idzie i kalkuluje, palcami kiwający: Obwiesem sie - - nie obwiesem sie - - obwiesem sie - - nie obwiesem sie...

Tu przypadkiem trącił łokciem o rękaw zawiązany od czuchy, którą miał zarzuconą na ramiona, i poczuł coś twardego. Sięgnął - flaszką! Ucieszył się! Pilno flaszkę dobywa, jeszcze w niej kropka wódki. Zapomniał.

Chlust - wypił.

Skrzesiło go, to jest przybyło mu energii, ale nie ochoty do życia.

*Pierwej mie ciesyło śpiewanie i granie,  
Teroz oplakane moje gazdowanie!*

zaśpiewał smutno.

Obwiesem sie - - nie obwiesem sie... Obwiesem sie - - nie obwiesem sie...

Idzie, zatacza się, cała dolina jego, a powtarza sobie w myśli. Na koniec porwała go największa złość na Broncię Ustupską. Uderzył piętą w kamień, cisnął kapelusz. zdarł i czuchę ze siebie i buch nią o ziemię! Taka go złość porwała, aż mu w gardle zagrało.

*Ty, dziewczyno strojno - mówi - bedzies na rok dojno,  
bedzies miała hłopca i mleka dwa skopca! -*

Bęc pięścią w pniak. Skręcił w smreczki ku Pustej Dolinie.

- Syćko mi do jadło! Wto mi kazuje z-ić?! Wto tu mo mi co oskazować?! Cy jo nie jest Mijał Bulcyk Howaniec Łojas Kośła z Kośnego Homru?! Z dziada pradziada gazda?! Cy jo nie mogem robić, co mi sie zwidzi?! Co?! Co mi wto mo do oskazowania?! Co?! Jo nie musem!

I chybotął się po lesie, mruczając: Obwiesem sie - - nie obwiesem sie... Obwiesem sie - - nie obwiesem sie...

A złość, wściekłość na życie ogarniała go coraz większa. Już się pienił i rzeził ze złości. Na koniec stanął pod smrekiem, na który padał księżyc tak, że aż się pień bielił od światła, i począł wyciągać pasek, przewleczony przez spodnie w pasie i opuszczony w dół z tyłu, z guzem mosiężnym. Wyciągnął, poprawił spodnie, przesunął przez klamrę i zaczepił na konarze.

- Smreku - krzyczy. - Obwiesem sie na tobie! Słisysz?!

Ale smrek milczał.

- Słsysz?!

Ni stąd, ni zowąd rozrzewnił się Michał Łojas Kośla. Obejmuje pień drzewa ramionami, przyciska usta do kory i powiada: Moje drzewo kohane! Unieś ze mnie też by na kwile, niekże sieta już pocię i urwiem. My tak, jak bracia. Na tobie bije śnieg, dysc, bodas wto o cie uwadzi, pierun, kie fce, strzeli do tobie, wiatro tobie huzio, marne twoje żywobycie, jako i moje. Moje drzewo kohane! tak se haw będziemy wroż biedzili. Ino ty ku górze wierchowce, jo se zaś ku ziemi pientami. A cobyś mnie nie strzepnon, już dojndem. To ta nie będzie długo trwało, bo to, wiós wej, człowiek nie drzewo. Mało mu trza. Kiela to będzie koło tobie robota, kim cie zetnom! Tu trza siekiery, tu trza piły, tu trza hłopów, wto wie nie jakiego sprzętu, a przy człowiekowi to ta niewiele. Pasek z portek - dość! Przyńdzie bogienka, dziwożona, będzie się pytała: Zje coś to wisi? Czy zaś nie spyrka świńska albo nie sadło, cybyk se zaś nie uciena kóndeczek dzieciom? To ty jej powiedz:

Uhyłże ten copecke cyrwonom z głowy, mojaś ty, bo to wisi nie spyrka ani nie sadło, jino człowiek krzcony i pobożny, Mijał Bulcyk Howaniec Łojas Kośla z Kośnego Homru, z dziada pradziada gazda. I zadzierzgnął sobie pasek na gardło.

## DZIKI JUHAS

Był jeden taki Juhas z Jurgowa, strasznie dziki, a nazywał się Bronisław Luptowski - uhlarz, czyli węglarz, bo taki czarny był na twarzy, jakby z węglami w lesie robił, tylko mu niebieskie, ogromne oczy spod rzęs świeciły na białkach. O nim opowiadali, że kiedy na kogo spojrzał, choćby jaki śmiały chłop był, nie dotrzymał i cofnął się. Psy owczarki, człeku po pas, które do wilka same skakały, a i ku niedźwiedziowi, jak ich było przy szalasach trzy, cztery w kupie, szły: tylko się przed tym Luptowskim kurczyły pod siebie, a z daleka warczały, kiedy na jaką obcą polanę zaszedł. Siłę też miał taką, że dwie podkowy na raz łamał jak pręt z osiki, a kiedy go zamknęli w areszcie w Nowym Targu - właśnie w kierpce orawskie z obcasami obuty był - tak się bawił, że skakał na piec, co tam był niski, a z pieca na podłogę i za każdym razem obcasy po same pięty w podłogę wbił. To tak zdiurawił ten areszt, że się wszyscy stróżowie, komisarze i sami sędziowie zeszli i dziwowali, a ten najgłówniejszy sędzia nie mógł wytrzymać i dał mu papierka za tę sztukę, choć szkody narobił. Tak docyfrował podłogę, co cud!

A zły był taki, że o bądź co kogo prask w pysk albo kopnął. To się ten też nim obejrzał, to już do góry nogami świat zobaczył. A zaś kiedy go chuć taka dopadła, to odbiegł wszystko i zatracił się gdzieś w lasach, że ani słychu widu o nim. Co robił: nie wiadomo. Czy po zbójku chodził, czy gdzie tak się tylko błakał: nie wiedzieli ludzie. Jeżeli po zbójku chodził, to sam, bo się z nikim nie stowarzyszał. Ale on też ta za kierdelik zbójników starczył.

- Hej! Kieby Janosik jeszcze żył - mawiał czasem - poprógowaliby my się, wtory by był za hetmana? Bo z wami, dziadami, coś ja będę robił? Heba byk wami w stodole młócił?

Ale to się mu tak gadało, bo każdy wie, że nad Janosika nie było chłopca i że on turnie plecami dźwigał, a kiedy skoczył, wierchowiec jodle urąbał ciupagą, a drugiej odstrzelił z pistoletu,

czego ten juhas dokazać by nie potrafił. Ale żeby się był ku Janosikowi na drugiego zdał: to pewna.

W zimie on w domu u ojców robił, bo bardzo robotny był, a w lecie juhasił w górach, w Jaworowych Sadach. A choć czasem owce odleciał i gdzieś się tłukł po Tatrach, rad go baca Ustupski widział, bo juhas to był, kiedy się wziął paść, że szeroko po świecie szukać. Owce się przy nim tak upały, jak ulegałki. Niedźwiedź się też nie miał co bardzo ku nim ze Szerokiej Jaworzyńskiej z kosówek podkraść, bo on czujny był jak pies, a już dwa sprzątnął. Nie flintą ani w oklepce, broń Boże; jednego kamieniem ogłuszył i rękami udusił, drugiego widłami żelaznymi przebił.

Nie było już później takich mocnych ludzi.

Byliby go ludzie lubili, bo był świecny chłop, przystojny i zgrabny i przemowę miał miłą i do rzeczy, ale to mu chybiało, że strasznie gwałtowny był i że go coś roznosiło od serca. To się mu też uchylali i nazywali Dzikim Juhasem. Zabił on już w bitkach troje ludzi, ale się ta o to wtedy nikt bardzo nie starał.

Dziewki go się też bały i uciekały przed nim, a kiedy którą za rękę ujął. to już była jego.

A tak powiadali o nim, że i oczami tak splątał dziewczę nogi, że drgnąć nie śmiała, tak właśnie, jak mówią o ptakach i wężu. Toteż miał on kochanek tyle, ile chciał, bo mu tam i w drogę wchodzić przy nich nikt się bardzo nie śpieszył, ale sam mawiał o sobie: Ja mam telo freirek. kielo sysek na smreku, ale coby mie kohała wtora, to nie.

On ich też nie kochał. Dziś był przy tej, jutro przy tamtej, zaś się wrócił, zaś nową znalazł. Co chciał, to miał.

I co się nie zrobiło, zakochał się ten juhas w dziewczce, co pasła krowy pod Muraniem. Co się mu stało, nikt nie mógł wyrozumieć. Ale się tak odmienił, jakoby mu kto duszę wyjął i inną włożył. Coby mu się pierwej oczy były zaiskrzyły, a zęby zaświeciły we wargach, to się teraz tylko uśmiechnął i odwrócił albo poszedł dalej. Owce wyganiał w tamtą stronę, ku Muraniu, a choć na cudzym pasł, nikt mu się tam nie sprzeciwiał, bo nikt nie wiedział, czy się to uśmiechanie może nie skończyło albo nie skończy od razu? Pasł, gdzie chciał. Wyganiał owce w Murań, a juhasom tamtejszym mówił:

- Idźcie paść w Syrokom Jaworzyńskom.

- Kie sie boimy wasego bacy.

A on się uśmiechnął:

- E, juzek go pytał, coby wam nie bronił.

To śmiało szli, bo już wiedzieli, że ani papier z urzędu tyle niewart, co ta prośba.

I tak nie było krzywdy ani niezgody.

A ona dziewczka pochodziła ze Zdziaru, gdzie sławne są z urody kobiety. Nazywała się Agnieszka Hawrańcówna i nie uwierzyłby nikt, tak się na tego Bronisława Luptowskiego patrzyła, jak na pniak. Nie mógł sobie z nią nijakim światem rady dać.

- Jagniś - mówił jej - nie bedzies mie lubiła? A ona mu mówi:

- Nie.

- Bez cos tak?

- Bo sie mi nie widzisz.

A on tak do niej mówił, jak do obrazu świętego, a ona do niego, jak do psa. I cóż mu tam było po tej sile i po tej tęgości?!

Inną to byłby za rękę ścisnął, ażby jej pręgi czerwone poza pięść wyszły - i tuś! A tu to się tylko patrzył jak do nieba, a matka tak mało kiedy do dziecka się ładnie odezwie, jak on do tej Agnieszki. I gdy wtedy ludzie widzieli, że tyle zmiękł, to żeby się go byli nie bali z pamięci i żeby nie to, że nie wiedzieli, czy to tego długo będzie, toby był który niektóry wnet mu pięścią między oczy za co dawniejszego zapłacił.

Dośmielała z nim ta dziewczka w straszny sposób. Nie na szopę wieczorem, ale go w dzień do szalasu puścić nie chciała, choć ludzie byli, a kiedy wlaźł, jak jej nie było, wyganiała go potem w pole:

- Co tu fces?! Tyś niepili! Idź ku swoimi Co tu mas do roboty pomiędzy nas? Wynoś sie! Ty diable! A on nic, tylko na nią spojrzał tak, jakby pacierz mówił, wstał i do pola szedł. Ludzie mówili: dobrze mu tak, ale niejednej dziewczynie go tak żal było, żeby go była rada przytuliła ku sobie. On jednak już nie widział żadnej, tylko tę Agnieszkę Hawrańcównę ze Zdziaru.

I tak się stało, że się zeszli raz ku wieczorowi w upłazie pod Muraniem, ona z krowami poniżej, on z owcami powyżej. Przyszedł ku niej, pyta się:

- Das mi siednonć przy sobie?

- Teloż, byk cie nie widziała.

- To mie juz tak cierpieć nie mozes?

- Nie mogem.

- Ale bez co przecie? Dy tu jakasi przicina musi być!

- Jest.

- Jakaz?

- Bok ślubowała Jędrzkowi Hawrańcowi, co przy kilysjerak służy.

Dopiero jak on się porwie, jak krzyknie:



- To bez to ino! Hej, a ja myślał, że wto wie co! I złapał ją na ręce, tak jak jagnię, i niesie w górę ku owcom, w turnie. Ona. czy oniemiała ze strachu, czy taka cięta była, ani nie krzyknęła; nie było też ta po co krzyczeć, bo kto by tam był za nim szedł...

Wyniósł ją na płasienkę ku owcom, położył na ziemi, klęknął nad nią, powiada:

- Mojaś!

- Nie twojak!

- Tu cie zrucem z tej turnie w przepaść!

- Nie zrucis!

- Nie?! Wto cie obroni?

- Ty sam!

- Jo sam?!

- Twoja miłość!

I dopiero wtedy stało się, czego nigdy przenigdy nie widywali ludzie na świecie. Puścił ją; kiedy skoczy, kiedy chwyci owcę najbliższą - cisnął w dół! Latał po upłazie, wyżej trzydziestu owiec, co je wygnał, zepnął na kupę, tak jako z dwóch pięter. Zrobił się wał z tych pobitych owiec. Taki wściekły był.

Ona się tymczasem zerwała z ziemi i uciekła do szalasów.

Kiedy już z tymi owcami skończył, musiał zesłać. bo legł piersiami do góry i już noc nadchodziła, a jego jeszcze tam znać było, jak się czernił na trawie do miesiąca. Nie wiedzieli ludzie, co robi, czy omdlał, czy co, ale się bali iść ku niemu zaglądać.

Do rana też nie było z niego szlaku znaku i nigdy on już więcej pod Murań nie przyszedł.

Myśleli zrazu i w Jaworowych Sadach, i tam, że się może do wojska dał, bo właśnie przyjechali do Lewoczy rajtarzy cesarscy z werbunkiem, ale to się nie stało tak.

W nocy on się dźwignął z tego leżenia i przykradł się ku szopie Agnieszczynej, co na kraju pod pagórką stała; psy nie szczekały, bo go znały dobrze. Ujmie z pagórka w ręce kamień, co by go i trzech chłopów ledwie podjęło, wzniosł nad głowę - wiedział, w której stronie Agnieszka sypia - tu! tu! byłby dach zgniótł i ją zabił. Zamierzył się raz - spuścił ręce; zamierzył się drugi raz - to samo; za trzecim razem cisnął kamień w bajorko. I tylko sobie powiedział po cichu: Ej Jagniś! Jagniś!....

Taki chłop! Byłby przecie wszystkie szopy mógł rozmieść ze wszystkimi juhasami w nich!

I tak jakby się sam siebie bał, skoczył w las. Z lasu w kosodrzewinę, w upłazy, przeleciał Przełęcz Jaworzyńską, skiełznął na dół, w ten bór stary, co wtedy popod Rówienki rósł. Tam smreki bywały grube jak filary w kościele, a konarami obite do ziemi, że mało spod nich do

nieba było widno. Paproci, wszelijakiego ziela, szczawiów, łopuchów, traw: wyżej kolan. Gąszcz straszny. Pnie z pniów rosną, noga klęśnie w próchnie, tramy, kłody, bale nawalone pomiędzy głązy jedno na drugie, a wszędzie mech zielony, zawilgły i mchy wiszą z konarów, siwozielone, długie jak brody. A między drzewami żółte, wysokie kwiaty rosną - to się czasem tak zaświeci zza gałęzi, żebyś rzekł, złego co patrzy na cię, aż się wzdrygniesz. I cicho tak, jak wiatru nie ma, że ani szmeru. Wody nawet w potoku nie słyszać z dołu. Głuchy bór, jak trup.

Tam on się zatrzymał, ten juhas Luptowski, a jeszcze była tęga noc, bo on ta sporo mógł chodzić.

Obaczył się w tej puszczy i powiada: Hej lesie! lesie! Abo ja, abo ty!

Co mu to do myśli przyszło?! Czysto oszalał!

Złapie jeden konar - pociągnie - trzask! ukruszył. Złapie drugi, trzeci, młode smreczki, łamie, targa, z korzeniami rwie. Do starych smreków ze zębami skacze, korę z drzewa wydiera, aż mu krew z pianą z ust bryzga. Huk, trzask, łomot po lesie, że strzelcy, koziarze ze Zakopanego, co tam niedaleko nocowali, myśleli, że się niedźwiedź gdzie pod Żabiem, bo tam radzi białczanie zastawiali, w oklepiec złapał i ku Rówienkom go przywlekl. A niedźwiedź w oklepcu strasznie las łamie. Ale się bali tam iść, że noc.

Ku ranu ustało hałasieć.

- Zmordował sie biedak - mówią strzelcy - trza ku niemu iść zajrzeć, cyby go jako nie ożpętać, kie mu sie tak w tyk zelazak cnie...

Idą, stanęli, jak żeby im kto po oczach siarką chlusnął. aż im strzelby zadygotały w rękach, a Tyrale podobno i wypadła.

Tu nagruchotane konarów, drzewek, łom, skręty, zwał, aż się polanka w lesie zrobiła z widokiem; tam, pod smrekiem, człowiek w potarganej koszuli juhaskiej, z poszarpanym pasem, cały we krwi. z polepionymi od niej włosami, podrapany, z dziurami po ciele, jakby go kto na bronie włóczył. Dobrze się namyślali, co zrobić, czy przystąpić, czy uciekać, tak ich strach zdjął.

- Nic, jino sie diabeł wściek - powiada Capek.

- Abo się mocował z jakim duhem i zmóg go - powiada Tylka.

- Ej l - mówi Tyrala z Kościelisk, bo on ta rad w takie rzeczy wierzył - ja wiem! Cy je pote nie ten, co grzyhy

swoje, jako zywe mieso. na ramieniak nosił i zembami targał?

- Abo cosi kogo pobiło? - mówi Capek

- Abo wto wie, czy pote diabeł cłeka nie udusił ka i haw nie prasnon? - powiada Tylka.

- El - mówi Tyrała. - Ze coż by haw do rania ś nim po lesie jeździł?! Cy ty myślis, ze to tak, jako w karcymie, kie sie dwa weznom wodzić za łby? Zły duk nie potrzebuje, jino cie tknąć! Durknie do tobie palce - toś już hań!

Ale stary Jędrzej Sieczka, mądry chłop, nie gwarzy nic, tylko patrzy i siepnie się:

- Co ta pleciecie figle! Fafrosy! Ja tego hłopa mam skądś znać. Pockajcie no! Słonko prawie zaświeciło jasno, przypatrzem się mu.

Przyjdzie, patrzy, krzyknie:

- E dyc to Dziki Juhas z Jurgowa! Widziałem go nie raz i nie dwa! Nie tak, ale musiał ogłupieć i nik haw tego montu nie narobił, jacy on sam. Zdziurawił się pięknie piersi, syje, gębe. rence na sękak. Taki je jak sito! Ale co się mu stało? Ludzie na świecie!

- Ale że to był hłop! - mówi Tyrała, bo się już dośmielili wszyscy za Sieczką ku niemu podejść.

- Dziki Juhas? Luptowski? Ja go znał - powiada Tylka. - Ten, kieby cie był do garzci dopad, tobyś był hnet w powietrzu zembami pięty gonieł! Widziałek go na jarmaku w Lewocy. kie se konia na ramieniak nosieł jak jarke.

- Hej, spotkałem go i ja kielka razy - mówi Sieczka. - Raz se na śpas koło młyńskie zahamował renkom w Saflarak. My prawie jehali z miasta. Młynarz leci - ki się diabli zrobiło?! - jaze się przezegnał, a ten trzymie i śmieje się wereda. Co mi das? - pada - to ci puscem. Musiał mu dać dwa cwancygiery. jino że to nie biedny cłek, ten Kamiński w Saflarak.

- Ojce Siecka, sliście! - odzywa się Tylka. - Mnie się widzi, że on żywy jeste! Drga!

Nachylił się Sieczka, a on właśnie, ten juhas, oczy otworzył i szepce: Hej, co mnie zmogło? To dwoje: dziewczka i las...

I umarł.

## **JAK JASIEK Z USTUPU, HANUSIA OD KRÓLÓW I MARTA UHERCZYKÓWNA Z LIPTOWA ŚPIEWALI W JEDNO SŁONECZNE RANO KU SOBIE**

Jasiek z Ustupu szedł z Ciemnych Smreczyn ku Zaworom. Z lasu on wychodził czarnego, gdzie taka głusza leżała, że aż bojno było posłuchać. Nic się tam nie odezwało, tylko dzik zasuścił w maliniakach, jelen zbeczał gdzie przy wodzie krótkim, urywanym, gwałtownym be-kiem albo cietrzew zafurczał w gałęziach. Na prawo od Jaśkowej drogi huczała sikława z

Niżniego Ciemnosmreczyńskiego Stawu w Piarżystej Dolinie. Tam kóz moc. Po Pośrednim Wierchu, po Cubrynie, po Liptowskich Murach chodzą kierdelami jak owce.

*Kozicki, kozicki, wtoređyz hadzajom?  
W Dolinie Piordzystej, tam one bywajom!*

jest śpiewka.

Sucha, od piorunu uwiędła, czerwona limba popod Zawory rośnie, tam idzie Jasiek z Ustupu, a śpiewa po wesołemu, ze zbójecka. Ale od zbójeckiego wesela do szubienicy zawsze nie precz. Co zbójnik krok ukroczy, to ku niemu śmierć krokiem bliżej. Tak on śpiewał:

*Ej moja freirecko, nie załuj mi gemby, Ej bo mi juz śmierztecka wysycyrzuje zemby!  
Ej moja freirecko, nie załuj mi dudka, Ej bo mi juz hań zwoni na zomecku klódka!  
Ej moja freirecko, nie załuj mi licka, Ej bo mi sie hań z wiersku iskrzy siubienicka!  
Ej moja freirecko, nie trzymaj mie w sieni, Ej bo mi juz na truhle ten jedlicke ścieni!  
Ej moja freirecko, ni załuj mi ciała, Ej bo mie pohowajom, ty bedzies płakała!...  
Ej ha!...*

Myśli on sobie tak śpiewając o Hanusi Królownie, która się w nim mocno zakochała i niczego mu nie odmawia, owszem, sama się tuli i choć się wstydzi, nie może westchnień miłosnego pragnienia zatłumić, kiedy są ze sobą na szopie przy Gąsienicowych Stawach. Tam ona pasie krowy piękne, cisawe i czarne, siwe i czerwone. Nazywają się Brzezula. Cisula, Kawula, Łaciata, bo wiele na niej łąt białych, czarnych i żółtych, Siwula i rozmaicie jeszcze inaczej. Piękne to są krowy, dobrze się pasą i dużo dają mleka. Miło jest patrzeć, kiedy pozberkując spizowymi dzwonekami, stąpają po zielonej trawie i mchach pomiędzy kosodrzewiny, skubią trawę i mech lub ległszy rzędami, przeżuwają połknięty pokarm. Poją się one w czystym potoku, co z Zielonego Stawu spod Swinnicy płynie, a na noc zamykają do szopy, na strychu której jest posłanie Hanusi. Zaszła ona teraz het aż na Liliowe, poziera ku Tatrom i śpiewa kochająca:

*Janickowa krasa rada owce pasa,  
we dnie po dolinie, w nocy przy dziewczynie...*

(Ale obecnie odbiegł on owiec w złodziejskim interesie na Liptowie koło Hradku).

*Nie było, nie było nad wirsyk zielony,  
od orawskiej strony cisem porośniony.  
Nie było, nie było nad Jasia mojego,  
kiek go uwidziała z wirsku zielonego.  
Kiek go uwidziała, jaze mi zagrzmiało,  
to moje serdecko skrzydłem sie mi stało.  
Skrzydłem sie mi stało, skrzydłem poleciało,  
na Jaśkowej ceście słońcem zajaśniało.  
Pozierojcie, dziewczki, pozierojcie w pole,  
jako se Janicek idzie między skole.  
Darmo wy sie, dziewczki, w niego wpatrujecie,  
bo on ino jedne mnie widzi na świecie!...*

Wiedziała ona, że ku Jaśkowi wiele dziewcząt we wsi serce obraca. Nie wiedziała jednak, że w polanach popod Krywaniem, pod Doliną Ważeczką, skąd widać wysoki, pochylony, zielony szczyt Krywania, potargane turnie Ostrej i Krótkiej i wyniosły, zębaty grzbiet Soliska, gdzie rosną ogromne trawy, człowiekowi pod pachy, i moc ziół i kwiatów bujnych i woniejących, swobodnym słońcem z ziemi dobytých: piękna i smutna Marta Uherczykówna (z pokolenia tych Uherczyków, z których jeden Janosi-kowym towarzyszem był i przy jego boku w walce z żołnierzami cesarskimi zginął) serce swoje i młode i gibkie, i pachnące żywicą ciało ofiarowała Jaśkowi na miękkich mchach w podkrywiańskim lesie, w południową spiekotę słońca, kiedy moc ludzi odchodzi, a członki same się wyrrywają do uścisku. Opowiadał on jej o swoim bogactwie, jako mu się sto własnych owiec po Kościelcu pasie, strzeżonych przez psy wielkie i silne, których jest sześć. I tym bogactwem ją zalśnił i przyniewolił. Naprawdę zaś miał on owiec sześć, a psa żadnego. Ale używszy jej skuszonej opowiadaniem krasy, odszedł i co miał powrócić, nie wrócił. Więc piękna i smutna Marta Uherczykówna, której lica smagłe wyhodowała zimna woda kryniczna z Ważecznego Potoku, a kragłe, czarowne biodra wykołysał wiatr z Krywania wiejący, zna swoją dolę i śpiewa pełna żalu:

*Hej Krywaniu, Krywaniu  
wysoki!  
Płyną, lecą spod ciebie  
potoki! -  
Tak się leją moje łzy,  
jak one,  
hej łzy moje, łzy niezapłacone...  
Hej Krywaniu, Krywaniu  
wysoki!  
Płyną, lecą nad tobą  
obłoki -  
Tak się toczy moja myśl,  
jak one,  
hej te myśli, te myśli stracone...  
Hej Krywaniu, Krywaniu  
wysoki!  
Idzie od cię szum lasów  
głęboki,  
a mojemu idzie żal kochaniu - -  
hej Krywaniu, Krywaniu, Krywaniu!...*

Zaś Jasek z Ustupu, rad z siebie i wesół, jako zwykle parobek góralski, któremu się wszędzie równo zdaje i który się nie czuje idąc, wyszedł był właśnie na Zawory i pogląda ku polskiej stronie. Mało ma już drogi? przekiełźnie po zboczu pod Walentkową, śmignie po trawach popod Swinnicę i już jest na Liliowem, skąd widać szalasy przy Stawach Gąsienicowych i szopę Hanusinę, gdzie jest słodko spać, a słodziej jeszcze nie spać. Rozejrzał on się wkoło i tak sobie zaśpiewał, aż zahuczało po Gołych Wierchach nad Wierchcichą i Koprową Doliną:

*Hej! na mojej polanie sto owiecek stanie!  
Ty, moja dziewczyno, pozieroj se na nie!  
Ej polana nie moja, owiecek nie było,  
Ej ale mie śwarne dziewce zalubilo.  
Kohala mie jedna w podkrywiańskim lesie,*

*Druga mi od Stawów serce w piersiak niesie!  
Cekojze mie, Martoś, w Wążeckiej Dolinie,  
Bo mi Hanka z zolu dobrze nie zaginie!  
Wyzieraj mie, Hanuś, przy tym Comym Stawie,  
Bo mi pod Krziwaniem kwiołek zrós na trawie!  
Kany sie wywine, kany sie obróce,  
Jedne se pociese, drugom se zasmuce!  
Nie bedem pas owiec, nie bedem robiel nic:  
Minon mie Mikulas, cos mi powie Wiśnic?  
Ej niek mi ta powie, jako mu sie fcialo:  
Mojej fantazyji siedem zomków mało!  
Powiadali na mnie: Popuść fantazyjom!  
Jo jej nie popuscem, hociaj mie zabijom!  
Niek mi kat sablicku na oselce brusi;  
Dy i orel w niebie jedno zginonć musi.  
Bruśze mi, kacicku, sable na oselce:  
Lepi brusi dziewce serce swe o serce!...*

Tak on śpiewał, bardzo śmiały i nie dbający o wiele, ani o dziewczyny, których Pan Bóg nasiał po świecie jak jodeł, ani o życie własne, które i tak zabierze, a dbający tylko o honorność i uciechę życia. Tak śpiewali ku sobie w jedno słoneczne rano Jasiak z Ustupu i jego kochanka, Hanusia od Królów, i piękna i smutna, woniejąca żywicą, Marta Uherczykówna z Liptowa, która na mchach podkrywańskich swoje młode ciało z miłości omglewające oddała.

## FRANEK SELIGA I PAN BÓG

Był chłop, Franek Seliga, na bani w Magurze robił; rudę kopał. Piękny był taki, że kiedy wsią szedł, kobietami potrzasało. Dumny też był z tej urody strasznie, rozzuchwalony, a Jeszcze i z tego się pysznił, że się ze szlachty wywodził, bo takie jest opowiadanie o Seligach i Zychach z Witowa.

- Jo jest ze ślakty - mówił.

- E, jesce wte Cygani nie kradali, kieś ty ślakkice be! - śmiali się z niego.

I był w Kuźnicach pan Walewski, rachmistrz, który miał córkę Anielcię, tak śliczną, jakiej jeszcze na świecie nie było. Spodobała się ta panna Walewska Frankowi Selidze.

- Ta by sie ku mnie równała - mówił - teloz by nas z jednego saka wyjeni, jak dwa pstrągi.

I co już pierwiej elegant był, to teraz temu miary zaczęło nie być. Czucha na nim czarna, długą, szeroko czerwonym sznurkiem bramowana, portki niebieskim sznurem w dziewięcioro wyszyte, kiedy najgrubszy gazda jak już w pięcioro dał wyszyć, to się sam po sobie oglądał? kerpce jasne, żółte, kapelusz z maleńkim skrzelem z kostkami, pióro z głuszca za nim. Do kościoła do Nowego Targu w niedzielę panna z ojcem jeździła; tam Franek Seliga taki strojny

chodził. Najgorzej, kiedy było błoto, bo już nie wiedział, jak iść. Więcej uskoczył z kamienia na kamień, niż upiętkował. Ale on był lekki.

Ustał pić, ustał palić, nic, tylko pieniądze składa, a stroi się. A w kościele, u świętej Anny w mieście, żeby nie wiedzieć ilu ludzi było, potrafi on się przepchać ku ławce, w której panna Walewska z ojcem siadała.

Już tam Panu Bogu on się wtedy nie uprzykrzył. Mało wiedział, gdzie jest, tylko se głowę podźwigował w górę, że to jest taki cudowny, a popatrywał na pannę. Ona się też ku niemu czasem znad książki spoglądała.

A Franek sobie to najlepiej tłumaczył, bo strasznie po-dufały i wszystko o sobie trzymający był.

- Zalubiła mnie - mówi. - Nie mogło inaczej być.

- Wto?

- Janiela.

- Jaka Janiela? Mostowego?

- Baj to!

- Wietrznego Kuby?

- Baj to!

- Krzeptowska?

- Baj to!

- Ze to wtoraz by haw beła? Maćkowej Bronci wydana, Staseckula wydana, na Gładkiem obstarna, nie ku tobie - - je kaześ ty haw jesce wtorom Janiele nalaz?

- To je nie jest dziewczka, to je jest panna.

- Panna?

- Panna.

- E dyś ty hłop.

- Baj to! Ja jest ze ślakty.

- Hej! Z takiej, co z obory wykiduje!

- Niegze ta!

- Ale powiedze, Franek, nie gadaj głupstwów: wtoraze to ta Janiela, co cie zalubiła?

- Walewska.
- Z Kuźnic?
- Ba haj.
- Cyś ogłupiał?
- Nie ogłupiałek.
- Ona by cie miała zalubić?
- A ino.
- Cy cie odymiło?!
- Nie odymiło mie ta nijako.
- A hojby i tak belo: bees jom brał?
- Bedem.
- Eć! Dadzom ci jom! Kiebyś hoć organistym był abo cosi kajsi. Ale coześ ty! Sprosty hawiarz i telo.
- Alek piekny do cudu.
- No jużci prawda, to ci ni ma co pedzieć, diaboł się tobom nie ocielił, ale skondze wies, ze cie zalubiła?
- Poziera ku mnie.
- Iści! To i liska poziera na grule, a nie bedzie ik jadła.

Przyjdzie Franek do Kuźnic w sobotę po wypłaty czy kiedy, to już tak wypatruje, to już tak študeruje, czyby jako tej Anielci nie zobaczyć? Bo i ona się jemu strasznie w serce zakradła. No i tyle wyśpekulował, że się do niej przecie nabiżył i czasem nie czasem jakieś słowo przepowiedział. Ona to choć niby panna była, to tam znowu bardzo od niego nie odlatywała; w sukieneczynie tylko w niedzielę i we święto chodziła, zresztą spodnica na niej zwyczajna, na głowie chustka, a buty ta też nie zawsze pod nią cupkały.

Boso się jej zdarzyło wylecieć nie raz i nie dwa. Tylko że jej już nie można było mówić Anielciu, ale panno Anielo, bo ojciec za rachmistrza służył i tak przykazywał.

Póki to tak było na daleko, że się tylko ku sobie spoglądali, to nic, ale poszła raz Anielcia na borówki w Olczysko w jedną niedzielę i tam się za nią Franek Seliga przykradł, bo on do tego jedyny był. Hej! były już usta na ustach, ręce poza plecy - - wydarła się.

Dopiero się teraz Franek Seliga wściekł, bo się tego jeszcze dowiedział przy tym, że ona by się za niego i wydała, tylko żeby ojciec pozwolił.



Ale nie upłynęło parę dni. potrafiła mu Anielcia odkazać, że ojciec słyszeć o niczym nie chce, że jej upatrzył krawca w Sączu i że tam ją wyda za męża. I tak jeszcze powiedział, że choćby mu się świat cały do nóg walił, to go to nie zmieni i na Pana Boga się przysiągł, że z tego nic nie będzie. Gniewał się strasznie, krzyczał, powiedział, że ją do lamusa zamknie, gdzie pieniądze chowali, a Franka jak psa zastrzeli, żeby się tylko nabliżył.

I czy ją do lamusa zamykał, czy gdzie indziej, dość, że jej od tego czasu Seliga nie widywał, a tylko przez służącą wiedział, że ona go kocha i że do niego tęskni.

Bardzo mu to podchlebiało, ale go i żal brał okrutny za nią.

I tak mu jeszcze odkazała, że ludzie tu nie pomogą, chyba Pan Bóg.

Hej wiera! - myśli Franek. - Dy Pan Bóg wsekmocny, kiebyk Go pięknie popytał, cyby mie tys jako nie spar w tej biedzie?

Nie było kościoła blisko, jeden w Chochołowie, drugi w Szaflarach, ale była kapliczka murowana z mosiężnym daszkiem, a oko Opatrzności w niej, wyrobione z drewna i pomalowane.

Stało to przy drodze.

Idzie Franek ku kapliczce, zdejmując kapelusz, klęka i tak się modli: Panie Boże, jakbyś mi dopomógł w tem strapieniu, to ja ci telo srybła do kościoła w mieście okfiarujem, kielo do obu garzci nabierem. Skond bedzie, to bedzie, cy ze ziemie wykopiem, cy z morza wyłowiem. cy z Luptowa prziniesem, cy z kase hamerskiej ukradnem: to sie Ty jus o to nie staraj. Nie Twoja głowa w tem, jino moja. Tyś ta jest wsekmogoncy, to Ty to w ocymieniu sprawić mozes, kiebyś ino fciał, ale ja jus i do tyżnia , pocekam, cobyś jino sprawiël, a pytam cie bars pieknie, odmien serce w panie Walewskim, coby sie nam nie przeciwieł. Amen.

Wstał i poszedł.

Kopie rudę, kopie, czeka, ale nic. Tyle mu służka doniosła, kiedy w sobotę z bani zeszedł na dół, że się pan Walewski jeszcze raz rozgniewał na córkę, że ją i wybił po plecach "lajstokiem".

Tydzień właśnie minął.

Idzie Franek znowu pod kapliczkę, klęka, zdejmując kapelusz i tak mówi: Panie Boże, tydzień minon. Cok przyobiecał, dotrzymiem. Jakeś ta moze cems i inem zatrudniony beł, niegze jesce bedzie do tyżnia. O tydzień zaś zejndem z banie dołu. Barz Cie pieknie pytam, ale nie śpasuj, bo se mnom śpasów nie ma. Kiebyk nie wiedzioły ze sytko mozes, tobyk Cie na telo nie nukał, ale kie mozes, to mozes, uróbbe, bo tu przecie nie idzie o nic, jino o scyńście. Amen. Upłynął tydzień, nie dowiedział się Franek Seliga, aby się serce w panu Walewskim odmieniło.

Idzie trzeci raz ku kapliczce, klęka, zdejmując kapelusz i mówi: Panie Boże, kiebyk ku Tobie z próznemi rencami seł, to hej, ale dyjek Ci przecie przyobiecał i dotrzymiem. jino sie haw robota w jesieni skońcy. Nie trza długo cekać. Wiemy jus o jednym Zydku przy Popradzie w

harendzie. Pytam Cie barz pieknie i zaś Ci jesce tydzień przycyniem. ale nie śpasuj, bo se mnom śpasów nie ma.

Amen. Wyczekał się Franek; nic.

Idzie tedy czwarty raz do kaplicy, zdejmuje kapelusz, I już nie klęka i mówi: Panie Boże! Cożeś tak na uwziętego se mnom? Nie bedem Cie już pytał więcył, bo widze: darmo. Wadzieł sie tyz s Tobom nie bede, boś na niebie, wysoko, a ja nie oreł. Ale Ci nic nie okfiarujem, a jesce Ci na despet zrobiem, kieś taki nieusłuhany. Kle na uwziętego między nami, to ja ta tyz cosi kajsi warcem!

Ułożył kopczyk z kamieni, wypinał się, podważył ciupagą daszek i strącił go z kapliczki na ziemię.

## JAK SIĘ JÓZEK SMAŚ POJECHAŁ WYŚLUCHAĆ

Józek Smaś Solicarz od Mrowców z Olczy wielki to był strzelec, a, większy jeszcze zbójnik, zaciekły i zajadły, bo nie z potrzeby, ale z ochoty. Ale największy był on bezbożnik. Nigdy na "Pokwalony Jezus Krystus" inaczej nie odpowiedział, tylko: "Niekze ta, niekze ta" albo "Niekze se bedzie. Ja Mu sie nie prociwiem" - co mu nawet nie krócej, ale dłużej niż "Na wieki wieków. Amen" wychodziło. Jeżeli jako strzelec równał się ku Jankowi z Jurgowa, który od Hawrania przez Litworowe aż *po*

Kościelec kozy niszczył; jako zbójnik ku Jankowi z Brzezawicki, o którym śpiewali:

*Na wysokim wirsku krzesom siubienicki,  
Wtoz hań budzie wisioł? Janko z Brzezawicki! -*

to jako bezbożnik całkiem on był jancykryst. A co przy tym było dziwne, że był bogaty gazda i wszystko mu się wiedło, do wszystkiego szczęście miał. Nijakiego waloru bieda ku niemu nie miała. Tak mu się wiedło, jakby mu Pan Bóg umyślnie błogosławił, a on nigdy może nawet w kościele nie był, chyba wtedy, kie go kścili.

Nie, żeby już tak do imentu nie wierzył, ale nic o tym wszystkim wiedzieć nie chciał.

- Ja ta nie widzem - mówił - coby sie Pan Bóg do mnie wrazoł, cos ja się Mu ta bedem popod ręce płał? Zasiejem - zeżre mi; nie zasiejem - nie bedzie nic. Pojem - nie głodnyk; nie pojem - to sie mi jeść fce. Zyjem, bok sie urodził; umrem, bo przydzie śmierć. Wiem, ze góry som jest niemale, bok bez nie seł; wiem, ze drzewo twarde, bok je rąbał; wiem, jako ogień pali, woda gasi, ale o Panu Bogu lemze telo wiem, co o tym królu, co se ta we swojej stolicy kasi władze. Ja ta ku temu, co ku mnie nie idzie, nie wartki.

Dufny to w siebie chłop był, obrotny, mądry, a strasznie śmiały.

Mimo tej bezbożności ludzie go kochali, a to dlatego, że dobry był; nikomu krzywdy nie zrobił, pomógł w strapieniu. mądry był do rady i mowny, a już jak jakie dudki skąd do chałupy przyniósł, mógł pić kto chciał i ile chciał. Nie z samej Olczy, z Pardółówki, z Hrubego, ale ze Zakopanego, z Poronina, z Murzasihia, z Cichego, i z Bukowiny ludzie się schodzili do karczmy, gdzie pić lubił, kiedy się zwiedzieli, że z pieniędzmi przyszedł. A on się w tym cieszył i często nierzadko komu na krowę, na konia, na siacie dał.

Ale się wiedło i przewiedło. Niemłody już był, bo miał koło 55 lat, zaskoczyła go przy Zmarłym Stawie pod Polskim Grzebieniem na polowacze kurniawa, wiatr, śnieg, mróz; trzy dni i trzy noce pod skałą przesiedział, bo iść niesposób. Tyle dobrze, że jeść tam jako tako ze sobą miał. Przyszedł do domu, rozniemógł się. Dopiero się teraz zaczęło odzywać: w grzbiecie łapa niedźwiedzia, co go nią zdzielił pod Rohaczami, nim na drzewo zdążył uciec? w kolanie, w prawej nodze, kamień, co się gdzieś w Młynarzu urwał w żłobie i w kość trafił; w boku żebra potłuczone, co go Spiżacy przy Pięciu Stawach Węgarskich oklepcami na kozy dotłukli; w głowie dziury od bitek z młodości. Zaczęło łupać po kościach, wiercić, łamać - bieda było wytrzymać. Spadł z ciała, zesłał, trudno było z pościeli zleźć.

Niedźwiedzie, świstacze sadło, czy to na wewnątrz, czy smarowane, nic nie pomogło.

Przyszła baba stara Katarzyna Magierka od Janików, okadziła go - nic. Przyszła druga baba, jeszcze starsza, Trzebuńka, zamówiła, zaczęła - nic. Nie pomógł i Kubuś Bednarz, co mu już sto lat było, choć mu owce, krowy, konie pod rękami zdrowiały.

Dopiero się zejdał baby sąsiadki radzić: siadły koło łóżka.

- Ej kumoterku, kumoterku, jus wy ta wnet dojńdziecie, dojńdziecie - powiada jedna.

- Hej, swoku, nie wiemy wam jus poradzić nijako - powiada druga.

- Niwto haw jus nie poradzi, moi mieli, jedna śmierć - powiada trzecia.

- Ej, kumoterku, kumoterku, trza by o dusy myśleć.

- Coby zaś pote późno nie było, swoku.

- A wtoz wie? Nieraz tak bywuje - może by i popuściło by kielo telo po komuniji świętej.

- Wlery, dobrze padacie, kumosicko. Cobyście tyś, kumoterku, dali sie wysłuchać.

- Przed Matkom Boskom cudownom w Ludzimirzu.

- E dy ta jest i w Odrowążu, padajom, cudowna - odezwał się Smaś, któremu się Odrowąż lepiej podobał, bo dalej, a to już zbójcka i myśliwska natura. Jak iść, to daleko.

- Hej, moi mi mieli! Ona ku ludzimirskiej ani za kuharecke nie warce!

- Jedźcie, swoku. wysłuchajcie sie!

- O jedźcie tys, jedźcie, kumoterku. a pilno, ponagłajcie sie, bo cas!

- Jedźcie, jedźcie, moi mieli!
- Diabeł ku wam nie będzie miał przystępu, a on haw nie prec będzie!
- Hej. dobrze padajom kumosicka, oni ta wse mądrze radzom. Nie prec, nie prec!
- Kiek haw wcora z domu sła, moi mieli, takie mi carne kocisko spod nóg smygło. Jazek sie wzdrygła!!
- Diabeł nawoli w kota.
- Ej, kumosicko, widowali go jus ludzie i w psiej skórze.
- Ale sie mu za kota obrócić naracej widzi.
- Je cos ta takiemu? Co fce, potrefi. Diabeł i diabeł.
- Kie Symek Mrowca konał, to sie zaś objawił za wilka. Tu! tu! popod hałupe przesel.
- Ej raty!
- A po cymze go poznali, co je nie wilk prawdziwy?
- Ej ci juz wiedzieli, co poznajali! Pono w nurze miał ogień. W nocy to było.
- Ej raty!
- Nie wysłuchał sie to stary Mrowca?
- Nie dowieźli mu ksiendza. Konie staneny w zaspak.
- Ej! wiecie! to ta juz nie wto iny sprawiel, jino jacy on, ten wilk.
- Tak tyś ukwalowali sytku. ze nie co ine, jacy on.
- Hej! Panjezusicku nasłodsy!
- Maryjo Przecysta!
- Syscy janieli, jacyście ta ka jino po niebie!
- Kumoterku, kumoterku! jedźcie się wysłuchać! Nic już s was! Ino patrzeć!
- O nic! nic! Zbledliście! Pół was ubyło! Skapiecie!
- Jedźcie, jedźcie moi mieli, ono wam ta juz nie przepuści tem raze.
- Wiera ze nie!
- Ej nie!

I jak zaczęły nad nim jajczeć, a biadkać, a sklamrzyć, zdecydował się Józek Smaś do Pana Boga do Ludzimierza jechać.

Uchwalili na odpust, ósmego września, w samo Narodzenie Najświętszej Panny.

Ustały deszcze, co tego sierpnia lały bardzo, zaraz się Józkowi lepiej zrobiło, przestało go tak strasznie łupać po kościach.

Wstał z pościeli, umył się, włosy masłem wysmarował, czysto się obłókł, kapelusz nowy, czucha nowa, serdak nowy, portki, kerpce, jak na wesele. Radowały się baby, co go namówiły i jechać z nim miały? żony już nie miał, wdowcem był. Ale się dopiero zadziwią! - bo tu przed chałupę zajeżdża wóz, a we wozie skrzypkowie dwaj, basisty - jak na wesele! A dopiero gęby otwarły, kiedy Smaś pistolety dwa za pas, noże dwa, do garści ciupaga, a przez ramię flinta.

- Zjeć, bójcie się Boga, kumoterkul Cos wy robicie?!

- Diabłów zjadło, swoku! Dy to przecie nie na kozy!

- Ani nie w Luptów, na dudki, moi mieli! A Józek Smaś oparł się na ciupadze i powiada: Nigdy -jek ja nie seł inacyj ku niewtoremu panu: dziedzicowi, derektorowi, kaserowi, kupcowi abo co fciało, niek beło! A dy przecie, padacie, Pan Bóg nawięksy ze syćkik! A hoj ta po inksym interesie ku Niemu jade, niegze mu nie ublizem, ze telo ku mnie nie płaci, co hojwtory dziedzic abo i gazda, abo i Żyd psia para, cok ku nim we zbroi seł. Niegze Mu to nie bedzie krzywo, niek se nie krziwdzi. A ze to sie mamy jednać, to muzyke bierem, coby wie-dział, ze nie załujem na ten zgode i zapłacem. A niegze i to wie, ze kie On gazda na niebie, to ja ta tes niezgorsy na swoim, w Olcy. Moze On mi pierunem zagrzmie, to ja Mu zaś basami dam odbrzęceć. Haj!

I pojechał. Na jednym wozie na przodzie muzyka, na drugim on z babami.

Patrzą ludzie, dziwiają się, przejechał wsie kunowotarskie, na Zaskalu skręcili do Ludzimierza, jadą. Raniutko wyjechali, dobrze na czas zdążyli. Ludzi moc, odpust ogromny, krzyk, gwar, ścisk - a co kto spojrzy, to się dobrze nie przeżegna! Tu muzyka na przodzie, za nią stary chłop, siwy, pistolety za pasem, lufa mu się zza ramienia świeci, patrzy śmiało jak orzeł, choć widno po nim chorobę.

- Je cos to takiego?! - pytają się jedni drugich. - Wtoze to taki?

- Jakisi Podhalan, z tyk skrzidlatyk, be ka z Wirhbukowiny abo od Kościeliska - mówią inni.

- Z flintom jedzie.

- Moze jaki leśnicki wto wiś skąd?

- Zeć tu niejeden leśny abo leśnicy prziseł, a bez to przez flinty.

Dziwowali się, nie mogli na nic myśłą przyjść.

Zajechał Smaś przed kościół.

Tłum koło niego. Czarno- i białodunajczanie, szafarza-nie, z Ostrowska ludzie, z Pyzówki, z Wróblówki, z Podczerwiennego, z Koniówki, z Pieniążkowic, z Odrowąża, z Ochotnicy, z Niwy. z Lasku, z Klikuszowy, z Łopuszny, z Sieniawy, z Krauszowa, z Rogoźnika, z Długopola, z Maruszyny, z Morawczyny, z Rabki, z Nowego Targu, z całej okolicy i z dalsza, od Suchej, od Żywca, od Wadowic, od Myślenic i z dalej, z Orawy, ze Spiżu, od samego Kubina, od samego Kieżmarku. Tysiące. Ale między nimi wszystkimi Smasia z Olczy znać.

Mało w kościele miejsca było. księża słuchali i za kościołem pod lipami. Usłyszał jeden młody muzykę, bo Smaś ustawać grać bronił, porwie się ze słuchanicy, odrzepnął od siebie babę. co ją słuchać właśnie skończył, skoczy, patrzy - jak krzyknie!

Różnie ta skrzycał; żywy ksiondz beł.

Ustali grać.

- Coście wy za jedni?! - woła ksiądz. - Co tu chcecie?!...

Wyjdzie Smaś na przodek - baby za nim, kumoszki - zdejmują kapelusz i powiada:

- Nie wiem. jak ta do was mówić: jegomość, ociec cy jako, bo ja ta tego nie ucony, anik ta s tem nie rabiał, ba u mnie kościół Gierlak, a zwonnica Lodowe. Ale mie baby namówiły, wysłuchaj sie, padajom, tos tok się przyjechał wysłuchać. Jak wam wola. to ja gotowy.

Potruchlały baby sąsiadki, bo go uczyły przez drogę i co grzechy, i jak się spowiadać trzeba, i jak pięknie do duchownej osoby mówić, a ten tak po swojemu, ze zbójcka.

Ksiądz też oczy otworzył na tę przemowę, a ludzie dookoła aż się zakołysali tłokiem.

- Jagze? - pyta Smaś.

Kazał mu ksiądz broń odrzucić.

- To jus tak na raty kazujecie? - powiada Smaś. - E dy ja myślał, co mi tu w nawieńksym ryńštunku przyńść trza - ale niek ta juz bedzie, jako fcecie.

Rozzbroił się; oddał pachołkowi, co za nim szedł.

Ksiądz się kazał ludziom rozstać.

- Klękniycie tu - powiada do Smasia. Kląkł Smaś.

- Ja was haw nie zabawiem długo - powiada - bo tu widzem kieloro ludzi. Juz mie to kumoski ucyły, jakie to te grzyhy. a ja ik haw nie bedem miał korzec ani ćwierć. Lem słuhajcie.

Kraść-ek krad, alejek wse hudobnym dał z rabunku. Niejednemu jek nogi wprawieł, co dobrze sozrerobu głowom nie dopadnie. Teli zrós. Anik ta nigda we swojej stronie nie zbijał, ba ka inendej. po Wengrak. Bić-ek bił, alek sie nigda na słabego nie zruwał. Raz mie jedna we-reda. takie to małe beło, od wojska przisło. w łeb wyciena, tok - przepytujem pieknie ik miłość duhownom - za brzuk i za kosule na garle rękami ujon, obrócić to nogami do góry. wstawił do smrecków głowom dołu i posełek. Nie tknonek sie! Dzwierzęciu ja nie

wyrządzał nigda, nie okalicylek go, heba na polowacce. ale to myśliwskie prawo. Nie pokłamałek nikogo, nie zradziłek nikogo, wsejek wierności dotrzymował, cy my co ka ukradli i sowali. cy sie na bitke smówili, co cosi kajsi. Nigdyjek towarzysów. cy przy dzielbie po rabunku, cy przy świstakak, nie ukrziwdził. jescek ze swojego dołożył, jak to biedne było. Pić-ek pił, ale to s tego skody nijakiej nie bywało, ba jesce karcmarz zarobiel. Zabić cłowieka, to jek zabił, ale przez potrzeby nie. ba końcem trza było, bo sie to do bitki brało, a tu. sami dobrze wiecie, zbójnik ni ma wiele casu przy rabunku. I jus nie bacem, cy ta dwok, cy trzok, bo to było dawno. Pote mi sie jus nie trefiło kiel cas. Telo na mnie tyk grzyhów; mało, nie duzo.

I co się nie zrobiło: wyzdrowiał Smaś. Ale już zbójckiego rzemiosła zaniechał.

- Jesce mi nie tak to, co mi ta ten księżyk napedział, choć fajnie se mnom ugwarzeł, o piekle mi uradziel telo, co jaze cud radość było słuhać, ani ta pokuta, co mi jom wsuł, a godnie ta tego było wsute, do rozumu wjechało: jako to, cok ozdrowiał. Bo on mi ta, ten księżyk, gwarzi, gwarzi, jakie to ta diabły w tem piekle, jako duse warzom we smole, jako kllescami targajom, po klińcak włócom, a ja se myślał za ten cas: hej! selenie jako mie ta prógowało za zycia, to ja sie i tyk diabłów po śmierci nie bars bojem. Nie wiem, cy som jest ciętse hłopy jako śpiscy hłopi, a przecie mie ci w rencak mieli, a wyselek. Ty ta górala, a jesce myśliwego i złodzieja, diabłami nie stras, bo on dość diasków wse uświacy. Przydzie kurniawa we wirhak, zasuje cie; z niedźwiedzie sie sprógu-jes; Luptacy abo hajduki cię przisiednom: cy nie diabły? Ale jek se to meślał: jak mi Ty dopomozes, Panie Boze, co pozdrowieni, to jek Twój.

I ono sie wej tak stało. Swistace, niedźwiedzie sadło nie zdołało nic, babskie, hłopskie cary, zamówienia, od-cynienia nic, a On, Pan Bóg, zdołał. Tagek se pedział, kie mi ta ten księżyk nakazował, jako to Panu Bogu zbójectwo przemierzle: pozdrowis mie, Panie Boze, jus tyz więcył w Luptów nie pude. Nie bedem więcył zbijał, kie sie Ty w tym tak nie ciesys, ba Cie to wrodzi. Haj. Bedzies Ty se mnom dobry, tak tys i ja s Tobom. Ja wse taki był: kiek był s kim zły, to nie daj Boze! Jaze mi płomienie biegały po rękak. Kiek zaś s kim był dobry abo my udobrowali ze sobom, pojednali sie: to u mnie jedno słowo, tak jako i u Niego, hań w górze, nad obłoke.

## O BARTKU GRONIKOWSKIM RAUBSZYCU

Miał Bartek Gronikowski z Bukowiny "swoje" dziesięcioro przykazania, choć ik ta tak do znaku nie było dziesięć.

Ja jest twój las, cobyś po mnie hodziel, ka ci sie fce. Nie bees wołał leśnego nadaremno, ba go zaras śrutem po kolanak.

Pamiętaj, cobyś nigda przez dźwierza du domu nie przisel.

Nie požądaj ani scygła, ani wilgi, ani mysikrólika z cudzego lasa, ba jino to, co sie na plecy biere. Rabsicuj. ale tak, coby cie nie hycili. A oprócz tego wiele on miał porzekadeł - i tak:

Na swoim nabij - na cudzym zabij. W cudzym lesie strzelić - w hałupie się dzielić.

Z hałupiny w worek zarno - do hałupy z tęgom sarnom.

Nie tego dźwierz, co go licy - jino tego, komu kwicy. Telo baba, co i dźwierz - jino, ka trza, dobrze mierz - - i wiele podobnych.

Inni strzelcy się też od niego tych przysłów uczyli i tak sława jego nie tylko jako myśliwego, ale i jako poety rosła.

Bartek Gronikowski urodzony to był rabsic, czyli kłusownik. Nieduży, suchy, lekki, lotny jak ptak, gibki jak pstrąg, chytry jak lis, a zażarty do zwierzyny jak ryś. Nawet podobny on był do rysia z ruchów kocich, bo kiedy choćby po gościńcu na jarmark szedł, to tak lekko, jakby się bał stąpaniem co spłoszyć, a oczy, co mu bystro na wsze strony latały, widziały, zdawało się, w gąszcz leśny na trzysta sążni.

Nic Bartek poza strzeleckom robotom nie chciał znać, chyba z musu. Wiosna, lato, jesień, zima - co tylko mógł czasu wolnego od gospodarstwa dopaść, było co strzału warte czy nie było - hybaj do lasa z flintom! Czasem go i dwa. i trzy tygodnie baba w domu nie oglądała.

Ale choć koziarz był tęgi, najlepiej on lubił po lesie gazdować za sarnami, za zającem, za lisem. - W turniak wesoło, ale widno - mawiał. Dopiero w las kiedy się zaszył - tam jego życie, uciecha.

Każde zioło znał, każdy gatunek mchu, a lasy od Trsztyny na Orawie po Kieżmark na Spizu, od Gewontu po Gorce nowotarskie. Już on tam nigdzie nie zginął. Taki węch miał do lasu jak wilk albo i pies. Wyplątał się wszędy.

A las to był, las!

Koło Nowego Targu, koło wsi rąbywali, ale popod Tatry chyba tyle, co na opał w zimie po krajach. Popod Koszystą, popod Wołoszyn, popod Holice i Kołowy nikt go nie ruszał. Drzewa rosły z drzew, smreki, jodły, buki, jawory, a pomiędzy tym maliny dzikie, głogi, jeżyny, płatowiska wybujale, gęstwy, ostrokoły, sieci i wiązadła roślinne, paści. w których się usidlić było można, zagrząć w zbutwielinie, w zdradnej spróchnięcie, w zgniłych mokradłach, zdławić się w zwikłanych, ugibających się, a prężnych pręcicach, gałęziach, konarach, choinach, które się ugiwały pod naciskiem, ale nie dały rozerwać, tylko chwytaly w elastyczne sploty, wkręcały w siebie i otaczały jak węże duszące.

Tam było życie Bartka Gronikowskiego, tam jego uciecha!

Darł się między drzewa olbrzymie, mchami orosłe, jak niedźwiedź, przesuwiał się popod gęstwiny jak lis, przesadzał kłody zwalone i leśne potoki jak jelen, wietrzył lasem jak wilk, spinał się na jodły jak żbik, a kołysał się na wierchołku jak orzeł. Strasznie on to lubił: strzelbę wsunął popod kamień albo wepchnął w chuściaki. a sam i bez potrzeby na smreka albo na jodłę wlaź i dopiero się stamtąd patrzył. Koło niego las, las i las... Wierchowce tylko drzew tu ostro strzelające, czarne, gęsto zbite smreki, tam rozłożyste, zielone buki i jawory, opłynęło go to w krąg jak morze... A ponad lasami hale, upłazy jasne, szerokie i wierchy powyżej jeszcze strome, wyniosłe ściany krzesanic urwistych - - i wyżej jeszcze obłoki - - i wyżej jeszcze niebo... Tak się na smreku albo na jodle czasem i pół dnia przeokołysał Bartek



Gronikowski, a czasem i pół nocy, jak sęp. Patrzył do światu i pływał se po lesie oczyma, ze lepi i łosoś pletwami nie potrefi. A las albo stał cicho, jak zaumarły, albo się kołysał i szumiał, a wtedy kołysał się z nim wraz w jedną i w drugą stronę Bartek Gronikowski na smreku albo na jodle, podawał się za wiatrem i odginał wstecz i okrążał go szum, i unosił, ze lepi woda w Morskim Oku łososa na sobie nie huzia do słonka.

A wiatr chodził kołami. Czasem po jednej stronie lasu było cicho, po drugiej się drzewa w półkrąg pochylały, jak kiebyś kosą zajon. I czasem las cicho stał, a z daleka leciał szum, coraz bliżej, aż ogarnął drzewa i popłynął po nich jak jastrząb piersią i skrzydłami nisko po kłosach, kiedy ptaki łowi. Kłosa się uginają, a on z szumem polata.

Kiedy słońce jasno świeciło, że się zdawało, iż wiatr świecący leci, albo kiedy złota, radosna cisza leżała na przestrzeni, wówczas Bartek Gronikowski wdychał w siebie woń lasu, ostrą i rzeźwą, i tak mu było, jakoby płuca skrzydeł dostajały. Tak byś pedział, że ci hnetki z ciała wylecom i na skrzydłak śmignom. Ono sie wej i zoładek lekcejsy robi w człowieku, kiedy go tak wyhuzia na jedli, a zawonie mu lase. Hej ni mas to jako las, na syćkie biedy.

I on ci wej syćko tak, jak basy ku gęślom. Smutno ci - on ta tyś niewesoły; radeś - i jemu niemarkotno. Cihos - choćby sumiał, to tak jakbyś go nie słysał; śpie-was se - ej, juz i on głośny, choćby cihos stał. Takie ci to wej, jak sekunda muzyce? na jakim nute zamyślis, on tys ta hnet za tobom. Jakoz go wej nie bedzies rad widział? Dy ci ani baba, ani dzieci telo nie przihlebiom. Ka ta!

Turnie som nie jest takie abo i woda. Jakiesi to jest mocniejse jako człowiek, nie fce sie mu przyhylic - - ale las! Telo by ci kołyskom beł abo łózkem. Ono by ci tys i po śmierzci nalepi w nim beło. I za truchle by ci beł, jesce jakom! i modlełby sie nad tobom. Truchła przestrona, zywna, robaki by de nie zjadły, ba niedźwiedź, wilk, honorny dźwierz. a i dusa by sie radowała odlatujący, ze cie ta do bodaś jakiego, choć ta i świenconego dołu nie rucom, ba se bees leżał jako jawor, kie mu juz korzenie zetlejom abo go wiatier praśnie, wolnemi piersiami ku niebu, choć i nie zywy.

Znał Bartek Gronikowski zwierzynę leśną, jak jego baba pięć swoich gęsi przy domu. Do bodaj czego on nie strzelał, a nawet obyczaj strzelecki chował, że kotnych samic szcędził, na porę dość uważał. Chyba że już bieda w chałupie przycisnęła, jeść się chciało (na Bukowinie, wiadomo, ziarnko kłoska nie dogoni) - wtedy już nie wybierał. Sarna, zając: to to był jego najczęstszy strzał; do jelenia strzelał ze trzy razy, ale nigdy szczęśliwie. Mało było wrodniaków, trudno było i trafić na niego. Kozic nie rachować, już i dzików ze dwa, i niedźwiedzi coś pięć położył, była uciecha w domu, jedzenia długo, skóry się sprzedało - to był najlepszy strzał.

Kiedy Bartek Gronikowski miał już zwierzynę w torbie, sarnę albo zająca, kiedy już był spokojny: to się dopiero lubił przypatrywać zwierzęcemu życiu. Więc godzinami przypatrywał się dzikim kogutom albo głuhanom, które osobliwie za Tatrami od południowej strony około Krywania, poza Wołowiec, po skoruszynach, po jałowcach, po maliniakach siadywać lubią, strzegąc się orłów i jastrzębi z góry, nie dowierzając też kosodrzewinie i gąszczom leśnym, z których podkradały się rzutny ryś, zdradna kuna. krwiożerczy, podstępny lis i straszny, niespodziany, jak piorun wypadający żbik. Tam roztaczały one swoje przepyszne pióra, ogony w dwie strony rozgięte, skrzydła barwiste, wspaniałe; tam toczyły z sobą wojny, rzucały się jak oszalałe na poddające się samice i brały je pod siebie, jeżąc się całe w zapamiętałej namiętności miłosnej? tam wygrzewały się one w słońcu, jakby ośleple

blaskiem. Tam żerowały po upłazach dzikie gołębie, śmigle i ostrożne; zrywały się z furczeniem jarząbki i dzikie kaczki, wielkie, ciężkie krzyżówki i mniejsze, ściślejsze cyranki, przypadały na młaczyska i mokradła popod doliny, w bujne trawy, albo sterowały po Jeziorokach. Indziej, w Roztoce, wiedział on o gronostajach białych z czarnymi ogonkami, które wyslizgiwały się spod kamieni, ostre pyszczki i bystre oczki wysuwając naprzód. Nieraz przerwał on celnym rzutem kamienia albo i strzałem pogoń kuny za nieszczęśliwą wiewiórką z drzewa na drzewo, kiedy rzuca się ona z cukaniem, rozczapierzając ogon, na ledwo chwytną gałązkę. Wiewiórki miłował on nade wszystko. Już kiedy ją na drzewie zobaczył, gotów się był bez końca przypatrywać: jak ona się po pniu spina, po gałęziach przechadza, tu skręci główkę, tam się obejrzy, siądzie, ogonem się nakryje jak baba spódnicą na deszcz. Szyszkę w łapki - dopiero weźmie łuszczyć, łupiny ciskać, ziarno gryźć. Uciecha! Zastrzelił ich Gronikowski, ale tylko kilka, kiedy młody był i do bodaś strzału gorący; chował także parę w domu, ale mu tego żal było, to puścił zawsze po czasie. Tak i dziecióły lubił, szpiegował je przy robocie, jak ogonem do drzewa przyparte kuja zapamiętałe w korę albo, osobliwie na wczesną wiosnę, pogwizdując jak piszczalki, między gałęzie nieszybko przelatują.

Gdzie się sojka zadarła - słuchał; gdzie drozdy zadzwoniły - przystanął. Nie dla samego też ich cudnego świstania nieraz; gdzie drozdy ku końcu marca, w początku kwietnia gwizdzą, tam często słonka ciągnie. Rzadka ona w Tatrach i trudna do strzału na tle gór pod mrok wieczorny, ale przecie ich trochę Bartek dzieciom do chałupy przyniósł. Ale to był taki strzał na zabawkę, kiedy bardzo dużo prochu w rożku było. Najczęściej to sobie tylko leżał gdzie pod smrekami, zawabił na gębie, a potem słuchał, jak chrapią.

Lubił patrzeć wieczorem, zwłaszcza gdy mu się zdarzyło z wyższą patrzeć, jak w samotną pustkę u jego stóp, w stalowy, zimny mrok gór leci puchacz, ogromny ptak na puszystych skrzydłach, podobny do widma, które złowrogo wróży. Patrzył za nim, dopóki nie znikł, z jakąś trwogą zabobonną w sercu, i patrzył za nim jeszcze w pustkę, jakby się tam coś stać miało.

I do kóz, kiedy się podkładał, a bać się nikogo nie potrzebował, o strzał mu też na gwałt nie szło: to patrzył, jak się po upłazkach pasą, jak po turniach łążą, po urwiskach, po krawędziach, po spaszach chodzą, że się zdaje, już gdzie nie ma racicy wszczerbić. I dopiero wereda spogląda w dół, w przepaść przeokropną, jakby skrzydła miała, a to ma tylko nogi. Albo na skałkę wskoczy, że ledwie cztery nogi w kupie zmieści, i tak stoi i poziera naokoło, a gwizdże przez nos, jak co zobaczy albo zawietrzy. Widział Bartek Gronikowski, jak się od orla kozy bronią, zbijając w stadko, jak koza broni koźlęcia sobą zastawiając, jak podskakuje ku orłu z rogami; widział, jak czasem młoda, ale już za ciężka, aby ją mógł unieść, a silna kozica pędzi z grani na grani z przyszpilonym do jej grzbietu szponami orłem, tak szybko, aby mu się skrzydła w tył wywinęły od pędu i aby ją puścić musiał. I nieraz się zdarzyło Bartkowi zastrzelić kozę, która miała blizny w bokach od takiego chwytu.

Nieraz on i niedźwiedziowi patrzył blisko w oczy, kiedy ten na zadnich nogach stawał, kufę rozwierał i ślepiami jarzył, widział też, jak poza siebie między zadnie nogi ogromnymi kamieniami, kłodami drzewa, co złapie, ciska.

Ryś postrzelony koło Siwego Wierchu na Orawie rzucił się na niego z cisowego konaru tyle dobrze, że go Bartek na lufę strzelby w skoku podchwycił i tą lufą odbił. Skoczył jeszcze ryś z ziemi, ale już był słabszy i tylko mu ramię przegryzł, i pierś podrapał. Potem padł, był mocno strzelony, w brzuch.

Strzelby miał Bartek Gronikowski pochowane w różnych miejscach. Pod Wołoszynem, niedaleko Wielkiej Siklawy z Pięciu Stawów, miał dubeltówkę, pod Rohaczami miał drugą, dwie pojedynki rozmaicie jeszcze indziej. W strzelbach się kochał i jak jaką zobaczył, a zwidziała mu się, ostatnie ciele był gotów sprzedać, a strzelbę kupić. Babie tłumaczył, że inaczej nie może być. Przyjdą na niego donosy z Węgier od grafów Salamonów albo ze zakopiańskiego dworu przyjdzie rewizja, a tu jednej strzelbecki, jednego kapślika w domu nie masz!

Jest tylko klucz, co z niego dzieci strzelają... Strzegą na niego hajduki po drogach, a on sobie idzie z fajką w gębie i ciupagą w garści, jak sołtys białczański albo wójt z Poronina. Przecie go nikt nie będzie rewidował, że ma w opasku z prochem róg, we woreczku kulki i śrut jaki kto chce, zajęczy, kaczy, kapśliki przy nich, worek płócienny na zwierzynę, z pożywieniem na trzy, cztery dni pod czuchą. Idzie sobie i tyle, do lasu po gałęzie na opał albo za interesem. Ale przecie raz idzie w jaworzyńskie lasy na Spiż, raz w zuberskie w Orawę, jakżeby to było. żeby tylko jedną strzelbę miał? Musiałby więcej po nią latać niż z nią. Jeszcze by się i piąta przydała. Jest śliczne miejsce na schowanie w Hlińskiej Dolinie, pod samym Hrubym Wierchem - dziura pod skałą między smrekami, żeby i człowiek wlaźł, a nic jej nie widać. Sucha też taka, jak ziemniaczana nać...

Kiedy tak mówił, baba tylko wzdychała ciężko. Miłowała ona swoje cielęta, miłowała płótno, co je sama tkala, ale zaprzeczyć się nie dało, mało kiedy byli oni bez mięsa w domu, bez stuki, hasen s tyk strzelbów beł... Ale przy tej piątej, a była śliczna dubeltówka jak oko, to się już Bartek zmiłował nad nią; nie sprzedał jej ani cielęcia, ani płótna, tylko przesiustał za dubeltówkę pług, nowiuteńki, i piętnaście desek, co mieli nimi pobijać dach na szopie, bo ciekło.

Kiedy Bartek Gronikowski na polowanie szedł, zawsze ukląkł przed domem i pomodlił się pobożnie, a o dwie rzeczy Pana Boga prosił: żeby mu ze zwierzyną szczęścił i żeby mu dał szczęśliwie spotkać leśnego od grafów Salamonów z Jaworzyny, niejakiego Dobrowolskiego, rodem z Lipnicy Murowanej, Polaka, który za węgierską granicą do służby przystał. Miał on do niego złość wielką, a to z tej przyczyny, że go leśny podejrzewał i tropił, i choć nigdy Bartka ze strzelbą nie dojrzał, zawsze na niego jako na najgorszego raubszycza wskazywał. Raz się tak zdarzyło, że Bartek na węgierskiej stronie strzelił do rogacza, a Dobrowolski strzał usłyszał. Choć Bartek i strzelbę, i rogacza dobrze schował i dopiero na drugi dzień w nocy po niego sobie przyjść obiecywał, a sam obleciawszy wilczym pędem kawał lasu i przeskoczywszy graniczną między Węgrami a Polską wodę, z chrustem na ramieniu ku domowi szedł: Dobrowolski, którego strzał przywabił, kręcił się, kręcił, aż Bartka z chrustem spostrzegł, wodę przeszedł, jak był w butach, i ku niemu. Bartek nie uciekał, bo się czuł na swoim i nie chciał tym większych budzić podejrzeń.

Dobrowolski zdejmując dubeltówkę z ramienia, mierzy - stój!

Bartek stanął.

Dobrowolski do niego: Tyś strzelał! coś zabił?! gdzieś schował?!

Bartek się zaklina, że nie on, przysięga się. żeby mu tak obie nogi w ziemię wrosły (w takiej opresji Pan Bóg dobrze wie. że człowiek inaczej postąpić nie może), przysięga, żeby tu trupem padł, na swojego patrona i świętą Magdalenę, co mu na myśl przyszła - Dobrowolski nie wierzy. Porwała Bartka złość, że mu nie wierzy, kiedy się tyle przysięga, bo przecie

samym świętym nawet ubliża, których on na świadectwo bierze. Jakże to może być, żeby kto człowiekowi nie wierzył, kiedy się na swojego patrona i świętą Magdalenę przysiągł?! Krzyczy więc ze złością, że kto tu ma prawo do niego, kiedy tu nie Węgry, tylko Polska - i szarpie się. A Dobrowolski: że on mu pokaże Polskę i Węgry, buch go kolbą w plecy, chłop był okrutny, Bartek nieduży, związał mu ręce powrózką, buch drugi raz kolbą w plecy, w łeb. marsz za wodę i pogań go do Lewoczy, do sądu. Burzyło się w Bartku serce, że mało nie pękło, bo choć był winny, to jednak Dobrowolski, który go na strzale nie złapał, bezbronnego zobaczył i przysięgającego słyszał: powinien był go za niewinnego mieć. Całą drogę Bartek z tego stanowiska wychodząc, z najgłębszym wewnętrznym przekonaniem, że tak powinno było być: o swojej niewinności krzyczał i dowodził.

Tymczasem zaś Dobrowolski tłukł go kolbą, a ponieważ w sądzie w Lewoczy Bartka dla braku dowodów uwolnili, odprowadził go do granicy i znowu tłukł, ile chciał, tak że Bartek blisko miesiąc wstać z łóżka nie mógł. bo mu ciało ledwo od kości nie odpadało i dziury miał w głowie.

Nie uwierzył mu, obraził przez to, aresztował za granicą bez prawa, do Lewoczy gnał, pobił i poranił, o chorobę i koszty przypisał, lasu na czas pozbawił: poprzysiągł Bartek Dobrowolskiemu zemstę i to nie bele jakom! Postrzelić go albo zastrzelić - co to znaczy? Z jednego się wykuruje, od drugiego zaraz zginie, ani nie będzie wiedział, kiedy. Nie mógł się Bartek takiej zemsty odżalować, którą wykonał już na jednym strzelcu liptowskim, co mu dwa capy w okropną słotę i z niesłychanym trudem upolowane, kiedy Bartek na śmierć znużony przy nich usnął, ukradł. Dojrzał go Bartek z daleka i zapamiętał. Trzy dni się po górach nawłóczył. nic spotkać nie mógł, deszcz i grad go bił, ze śniegiem się urwał w Czubrynie, dobrze do stawu nie wjechał, ledwo życia nie pozbył, aż mu wreszcie Pan Bóg kozy nagodził i to tak, że od dwóch strzałów z dubeltówki dwa capy spadły. Ale duch się już ledwo w nim trzymał - a ten się podkradł ku śpiącemu i ukradł. Byłby pewnie i strzelbę zabrał, tylko że ją Bartek w ręce przez sen dzierżył. Ej! Przy samej ziemi! Kiedy go Bartek w dwa tygodnie później na uboczu pod Tomanową Węgierską zobaczył - kiedy się nie złoży, nie gruchnie! W samą głowę mierzył i w samą głowę trafił. Ale cóż - znalazł się jak głupek. Liptowski strzelec nie tylko się nie spostrzegł i nie zmartwił, że umiera, bo czasu na to nie miał, ale nawet nie wiedział i tego, kto go zabił, bo Bartka nie widział. Co to telo wypłacić kogo? Tak jak nic... Lesnego France Horwatha i hajduka Bunkosza zza smreków postrzelił, zabić nie chciał, tylko śledzenia za myśliwymi oduczyć, puścił im śrut po nogach - wyleczyli się; Bunkosz za służbę podziękował, zląkł się. ale Horwath jeszcze zażartszy potem był. Przepędził też kulę przez ramię jakiemuś leśniczemu z Kokawy. co go przy sarnach spłoszył, i strzelił za nim - chciał trafić, prawda, w szyję, ale nie trafił - ale cóż to wszystko było? Byle co - a z Dobrowolskim musiało być nie bodaś jako! Tu trzeba było czegoś dokonać, co hej!

I czekał na sposobność, czekał siedmnaście lat.

Aż wypatrzył przypadkiem, że Dobrowolski w lesie pod Holicą na wąskiej perci zastawił oklepiec na niedźwiedzia i co dzień tam wieczorem podchodził spojrzeć, czy się zwierz nie złapał. Chytrze się Bartek podkradł rano, ciężki kłot drewniany od oklepeca odciął, a żelazo przewłócił w gęstwinę na perć, w inne miejsce pod niską turnię, i zakrył tak, żeby śladu z niego nie było. Nie prawą» to lewą nogą musiał się Dobrowolski chwycić.

Takom sobie podnetę sam przigotował.

Legł za turnią w borówniaku i czekał. Kiedy pora, iż Dobrowolski mógł iść, się zbliżyła, Bartek gorączkowo szeptał: Boże daj! coby się dopod! ej Boże! daj, coby się dopod!

I tak się stało. Przerażliwy, nagły krzyk zwieścił Bart-kowi, o co Boga prosił.

Cicho, jak kuna, która się na zającą skrada, wczółgnął on się na turnię i wyjrzał zza głazu. Dobrowolski, jęcząc straszliwie, schylony wół, usiłował wcisnąć między że-laza, co się mu w łydękę zębami wcięły, lufę od strzelby, aby je rozważyć.

- Tuś! - szepnął Bartek.

I jednym rzutem, jak ryś na capa, spadł na grzbiet leśnego.

Nim się ten opamiętać zdołał, wydarł mu strzelbę z rąk, wyrwał kordelas z pochwy i precz odrzucił.

Po czym sam odskoczył i wyciągnął krócić z pasa, bo strzelbę na turni zostawił, i wymierzył mu w piersi.

- Panie Dobrowolski, terożeś mój! - rzekł. Dobrowolski zbiełał i wargi mu się trząść zaczęły.

A Bartek mówił: - Przisiedze, hoćjek się na swojego patrona i na samom świentom Magdalene przisieńgoł, wie-rzyć-eś nie kcioł, niewinnego mnie, cyk ta beł winny, abo nie, to lo tobie jek był niewinny, do Lewocys gnoł, kol-bomeś mie bieł - is teros! Cos bedzie?

Nie pomogły prośby i zaklęcia leśnego. - Hej! jesce byś mie kie ty dopod! - odpowiedział i straszną rzecz, o której, przywlekając w to miejsce oklepiec, myślał, wykonał. Groząc leśnemu krócić, ręce mu związał, "moze samo tem powrózke, co on mu wte", i ku olbrzymiemu kopcu wielkich, czarnych mrówek go podwlekl, po czym do drzewa przytroczył, a usta ziemią i błotem zatknął i szmatą przewiązał.

- No, teroz ze se haw stój do rania, kim cie towarzi-sia sukać pudom, panie Dobrowolski z Lipnice Murowanej. Jesce ta jaki wilcosek tym mrowcom pomoze. Bądźmy zdrowi! Is, jo cie ta nie bedem kolbom śturkoł, boś przecie nie bydle, ba człowiek.

Uklonił mu się kapeluszem i poszedł.

Przed świtaniem, kiedy się podkrał w to miejsce, aby Dobrowolskiemu, gdyby jeszcze żył, łeb obuchem ciupagi rozkruszyć, znalazł go ogryzionego do kości, znać. że nie tylko przez mrówki, ale i przez wilki. Prawie nagi krwawy szkielet zwiśał na postronkach w rozkopanym i rozrzuconym kopcu, z jednym piszczelem w czerwonych od krwi żelaznych obręczach oklepca, którego zęby aż się w kość wpiły.

Rozwarł Bartek oklepiec, szybko go na dawne miejsce odwlókl, kłot przywiązał, nastawił go, jak trzeba. A Dobrowolskiego szkielet zostawił, gdzie leżał, nic nie ruszył, pieniędzy, co miał przy sobie trochę, nic, tylko odrobinę tytoniu węgierskiego do macharzyny przesypał i prochu tak na trzy strzelenia z rogu do rogu. Potem przeżegnał szkielet i hip! do lasu, duchem gnał, aż się wieczorem nad Orawicami w reglach zatrzymał i zaraz, strzelbę schowawszy, do wsi zeszedł, niby to za zakupnem gęsi. bo tam chowali ich dużo i ładne. Rad by był fajnego gąsiora nabyć - szukał...

O nic się nie bał. Sądy się ani pytać nie będą. Wilki leśnego zjadły, pod noc sam w pustki chodził. O nic się nie bał. Bo i Panu Bogu bardzo ufał. Nie tylko, że mu On Dobrowolskiego w oklepiec wprowadził, ale jeszcze i wilki zesłał, które go zjadły tak, że ani szlaku znaku, co się zrobiło. Pan Bóg z nimi

Nigdy Bartek z powodu Dobrowolskiego snu niespokojnego nie zaznał. Sumieniowi zadośćuczynił, Pan Bóg mu przy Dobrowolskim pożegnał, pobłogosławił, a duchów też się nie lękał. - Te duhy, co po lesie abo po halak hodzujom - mawiał - som nie jest zawzięte. Zwiedzie cie, pokłamię cie drogami, cobyś hnet i przepad ka, zestrasy cie, to hej. ale coby sie ta zaś miało mścić, ścigać cie, jako te, jako ik to nazywajom, upiory, to nie. Ba na smentarz w nocy nie chodź, ale po coż byś hań i seł? Strzylał na smentarzu, choć sie ta prawda i hań dziwaśka zajonc albo liska trefi, nie bedzies, bo zawdy wsi blisko i grzych. A co w halak abo w lesie cłeka byś zabił, to mozes spokojnie hodzić. Gonił cie po śmierzci nie bedzie. Dyj tu niejeden strzelec, jako i Tylka z Dzia-nisa, trzok Luptaków na spaniu obuskem zabił, a bez to jesce dwaścia rok po polowacce hadzał. To ta nic. A jesce jak sie sprawiedliwie pomścis na kim - e, ani nie patrz poza sie!

Co rozmaite duhy, strasaki po Tatrak, to som jest. Wse-dej ik pełno, nie trza sukać. Mało sie ci zadrzimie ka w dolinie, ka pusto: oho! jus ci sie zła krew obzywa. Abo ci łańcuhe zezbercy nade głowom, abo ci ocy tak zasuje, jakoby ci sydzkie gwiazdy do nik spadły abo jakoby ci złotem zapróseł.

Dużo dziwnych rzeczy Bartek Gronikowski w górach doświadczył i opowiadał nieraz.

Ale co najcudniejszego ludzie od niego słyszeli, to historię b dzikim człowieku, choć nie wiadomo: dziki to był cłowiek cy waryjak?

Idem raz późnom jesieniom, śnieg przikurzował, bez Hale Królowom dołu. koło potoka - capu niózek tęgiego na grzibiecie, co jek w Granacie zabił - patrzem, ono sie cosi pluska we wodzie. E kis to diabli, co sie teraz kąpie, kie pokurzuje i zimno? Nablizam sie - we wodzie cłowiek z góralska odziaty, wieńce na nim z choiny, z kosodrzewu, z selijakiego ziela. Nie kąpie sie, ino cosi we wodzie suka. Nablizylek sie jesce węcyl - ja sie go ta nie bał, strzelbe miałek w gotowości - on łup do lasa. Ja za nim. Uciók mi na kwile, skrył sie między smrecaski młode - patrzem po kwili - jest je! Stoi, patrzy do mnie. Ja ku niemu mierze, krzyce mu: stój! bo bedem strzylał! - ale ino tak na śpas. bo cos byk ta miał do niego strzylać. On stoi, zobzierał mie, ocy miał wielgie, i obzywa się ku mnie, tak bez pół mówięcy, bez pół kieby śpiewał, tak: Ozgrzesys mie? Ozgrzesys mie? Serce woda niesie po zielonym lesie - serce woda wziena wodzicka studziena, tocy po kamieniak, tocy po strumieniak - kasi sie pod skałą krwawą rybką stało... Ozgrzesys mie? Ozgrzesys mie? - i zaś znova jako przódziej. Ja stał i słuhał, to tak dobrze ze trzi razy mi przepedział, w rzecy prześpiewał. cok sie wej, nie przymierzający, jak pacierza pieknie wyuceł i dosiela bace. Nieraz to sie mi wej i w nocy przyśnije abo sie mi tak samo od siebie zbacy, ka w lesie abo przy orbie w polu cy ka inendyj. Ozgrze-sys mie?... Ozgrzesys mie?... A tak załośliwie śpiewał, co jaze luto belo słuhać. Ja do niego gwarze: ozgrzesem cie, ino pódź ku mnie. Myśle, waryjak, trza na jego nute ś nim. Fciałek go do wsi na Bukowine przywieść, niek ta ś nim pote robiom, co uwazom. E - nie idzie. Pojdz, podź! On nic. Wyjonek kawalek oscypka, cok go miał

w tórbce pod boke, pokazujem mu - nic. Jesce sie cofie ku lasu. Wzionek, rucilek...

Cafnon sie jesce więcył. Popatrzał na mnie tak, jakoby sie co dobrego ode mnie spodziewał, a ja kiebyk sie nie nazdał, co on fce? Patrzy kwile i powiada: Ja do tobie hlebem, a ty ku mnie kamieniem, ja do tobie krwią, a ty ku mnie ślinom! - I patrzem, hyce on gałązke ze ziemi i przezegnał mie. Ja rzeke: Je cozek ci zrobieł, coś sie pogniewał? Jesce mie zegas! Ale on do lasa i przepad. Ja nie seł za nim, bo mi cap ciężał, a capu na dzikiego cłowieka siustał nie bedzies, bo cłowieka nie zjes. Haj. Zginon mi. Kasi sie ta jesce w lesie obezwał, je ale jek ni móg uznać, co mówieł. Juzek go pote nika nigdyj nie spotkał. Słysałeł później z pastyrzy, w Pańscy, ze go mieli widzieć, ale zuciekali, bo sie go złekli. Ja sie go ta nie bał. I posukowałeł go nawet kieniekie, kiek w tenta stroneż zasał, ale darmo. Kajsie sie beskurcyja straciła. Młody beł, nie beło mu nad pięć dwaścia roków. Odzienie miał z góralska, ale widno beło po mowie, ze je nietutejsy, ka od Krakowa abo z ka inendyj. Taki ci sie wej i cudak trefi w lesie. Ono by cie wej hnet i ogłupić zdołało. Hej! las, to je nie plotka...

\*\*\*

Pewnego razu rozchorował się Bartek na łóżnicę, na tyfus, po którym mu na czas jakiś jakby nogi odjęło, i z półtora roku w lesie nie był. Martwił się o strzelby, że się ordzew chwyci, głód był w chałupie, ledwie wytrwał.

Na koniec wyrwał się do lasu, ku Holicy, gdzie najszacowniejszą dubeltówkę schowaną miał. Znalazł ją, oczyścił, oskrobał, nabił i ruszył dalej w głąb - gdy straszliwy jego oczom przedstawił się widok, a stało to się tak nagle, że zdawało mu się w pierwszym wrażeniu, iż na oczy jego padł czar. Oto cała ogromna przestrzeń lasu leżała wyrąbana. Pookrzesywane z konarów drzewa leżały jak okiem sięgnąć zwalone.

Instynkt pchnął Bartka wstecz: cofnął się w gąszcz ze strzelbą.

Jak przed wężem jadowitym począł uciekać. Obleciał popod Holicę, popod Szeroką Jaworzyńską, uciekał od tego strasznego miejsca; gdy ku Żabiemu prześwieciło mu coś nagle między gałęziami i znowu wielką przestrzeń zwalonych drzew zobaczył. Więc począł uciekać wyżej, a teraz już zdawało mu się, że na każdym miejscu otworzyć mu się może ten straszny widok. Zrozumiał, że tak może być. Pierwszy raz w życiu nie wiedział, jak biec, zatrzymywał się, wahał, bał się w lesie...

Pierwszy raz Bartkowi Gronikowskiemu z Bukowiny stało się w tatrzańskich lasach ciasno...

Las aż ku samemu Rybiemu Jezioru wszędzie był cięty. Zaszył się więc Bartek Gronikowski w gąszcz i legł na ziemię. Język mu zesechł, oczy go piekły. Nieznane uczucie rozpacznej trwogi ogarnęło go. Nuż usłyszysz tuż za sobą stuk toporów, zgrzyt piły i trzask wałących się smreków... Co przyległ głową ku mchom, śmiertelnie znudzony i z sił opadły, dźwigał ją i nadśluchiwał... Gonila go pusta, łyśa przestrzeń. Jasne słońce, które na wyrębach zobaczył, napępniało go obrzydzeniem i wstrętem... jego, co się do słońca mógł i pół dnia gdzie w pustkowiu kołysać na wierchowcu drzewa.

Już nie było pustki w Tatrach. Nie juhasi, co tam kilka miesięcy przegazdowali po halach; nie strzelcy, jeden koło Lodowego na Spizu, drugi w Pośrednim Wierchu od Liptowa, trzeci we Wołowcu ku Orawie; nie leśni, tak samo rzadko rozsiani - ale Jakieś potwory zagaściły się w lesie, w odwiecznych, wiekuistych puszczech, niszcząc je i tępiąc gorzej ognia i wichru halnego. Bartok Gronhowski drżał i kurczowo strzelbę ścisnął w rękę. Już nie on był na polowaniu, ale na niego polowano, i to nie jakiś Horwath czy Dobrowolski, ale ścigała go,

tropiła łysa, pusta przestrzeń, ściagało go przekłete, straszliwe "...Widno", polował na niego "Świat". Bartek Gronikowski na podstęp miał podstęp, na kule kulę, wobec rąbania lasów uczuł się bezwładny: "skończył się!" Nie wiedział, czy tak jest, ale widział w wyobraźni walące się lub powalone już pod toporami potężne smreki w Koprowej Dolinie, szumiące, rozłożyste jawory pod Rohaczami, jodły śmigłe za Siwym Wierchem, za Syndlowcem. Całe Tatry, wszystkie lasy tatrzańskie mogą już tak leżeć, pnie obok pniów, konary i gałęzie w kupach, tylko odduziomce zostawione bielą się, bielą z ziemi, bielą do słońca, jak martwe kości. Skończyło się...

Wiatr, co szumiał od wierchów i kołysał ponad nim smreki, wydał się Bartkowi jakąś straszną, pełną żałoby muzyką, jakimś pogrzebowym śpiewem cmentarnym.

Pierwszy raz zasmuciło się Bartkowi Gronikowskiemu serce przy wianiu wiatru.

Nad lasem przeglądały turnie Żabiego, nagie, twarde i strome. Złość go na nie porwała. - Hej! Dobrze wam tam, wysoko! - krzyknął ku nim z podniesioną ręką. -

Wtoż wam hań co zrobi? Nie pudzie was we worku znosić do młyna mleć! Ale las!...

I tak już będzie zawsze - jutro, pojutrze, za rok, za dziesięć lat, za trzydzieści - bo nim tam smreki ścięte odrosną... Hej! Nie docka nik!...

Straszliwe, złowrogie, zgubne dla Bartka "Widno" spadło na lasy tatrzańskie z łoskotem toporów i pił, jak powódź z hukiem na pola zasiane. Zostanie pustka, pomarlisko...

Siedział Bartek pod drzewem, o pień plecami wsparty, i lamentował w duszy. Strzelbę trzymał w rękach, lufami do siebie, jak bezużyteczne narzędzie, jak rozbitek na łodzi sznury od steru, który bałwan zgruchotał.

Zapadał mrok. Wiatr pociągał ku jezioru.

Wtem zachrząściło i zaszeleściło coś w gęstwinie i naprzeciw Bartka, o kilkanaście kroków, wynurzył się z gęstwiny jelen. Wiatr szedł od niego - nie czuł.

Stanął. Począł się wpatrywać w Bartka, któremu mrok zatarł kształt, a który siedział nieruchomy pod smrekiem jak zaumarły.

Zaś Bartek Gronikowski spojrzał na jego wspaniałe rogi i szeroką pierś, kiwnął ku niemu lufami strzelby z rąk i ozwał się żałośnie: Cos teraz s nami będzie?...

Jeleń zawrócił się na miejscu i skoczył w gąszcz.

## JAK UMARŁ JAKUB ZYCH

Pewnego pogodnego rana w grudniu Jakub Zych rzekł do swojej żony Katarzyny z Zegleniów od Janika:



- Do dziśkak żył, a dzisiak umrem.

Działo się we Witowie.

Kiedy tak rzekł do żony, ona odpowiedziała:

- Ej nieboze, nieboze! I westchnęła.

- Kaśka - rzekł znowu Jakub Zych - wyżyłek godnie więcył jako dziewięćdziesiąt roków, może trzi abo pięć.

Ona westchnęła znowu.

- A tobie będzie blisko osiemdziesięci. Nie było ci jak siedemnaście, kieć cie brał. A mnie było pono trzidzieści abo mało co mniej, abo mało co wysej.

- Ej nieboze, nieboze!...

- Nie fciałaś się wydać za mnie, zek stary.

- Hej, hej! Boze...

- Ale cie prziniewolili, zek był bogaty.

- Hej, hej! Boze...

- Płakałaś...

- Hej, hej!...

- Dobrze cie ojcowie nie bili.

- Hej, hej!...

- Boś była jedynica i niebiedna, to ci sie widziało hodźco.

- Boze!... Kie to ta...

- Ale ja pedział: Jak mi dacie Kasie, to wam spłacem cały dług u Janików, a jak nie, to was podpole. Bo ja miał dudki.

- Hej, hej!

- Miałek dudki jesce po dziadku, Symonie, co piniondze kasi na kościół we Węgrak pokrad, i swoje własne, cok je z Węgier prziniós.

- Hej, hej!

- I maturek miał, i zdatnyk bywał. Byłbyk podpalił, jako jamen w pacierzu.

- Hej, hej!
- I tak mi cie dali, choć jek ta taki namłodszy ku tobie nie beł...
- Ej nie, nie beleś...
- A tobie sie widział Józek Huciański, co sie pote od zalu dał w lesie drzewu przywalić.
- Hej, hej! Boże!...
- Młody beł. Nie miał jak dwa dwaścia roków. Ładny beł.
- Hej, hej!...
- Wies, kielo to temu roków?
- No?

Kopa i trzi abo pieńć. Hej, hej! Boże...

\*\*\*

W południe Jakub Zych już się tylko samego mleka trochę napił, a potem legł na pościel i już nie wstawał.

Przyszedł do niego jego kumoter, ale o wiele młodszy, Franciszek Gombos.

- Niek bedzie pokwalony. Co ta slyhno? - rzekł

wchodząc. - Ludzie gadajom, kumotrze, ze bedziecie umierać.

- Niegze bedzie na wieki. Witajcie, kumotrze - odpowiedział Zych z posłania. - Ludzie gadajom prawde.

- Cy sie wam jako dało poznać?

- Od rania cujem. Zarazek ucuł, inok sie zbudziel. Siednijciez.

- Ono to wej trza. Dziś ty, jutro ja.

- Ej wiera, trza, trza.

- Wcora sie wam dało pocuć?

- Wcora? Nie. Jaze dziś rano. Inok sie obudziel, jesce nie świtało, zarazek wiedział, jeze ona juz nie prec - śmierć.

- Nie prec...

- Co robić?... Długok zył.

- Długo. Mało wto dziś tak.

- Dziś mało, ale prędzej bywało takik, co i sto roków zwysył, dość.

- Ba, drzewiej beło nie tak.

- Bajtoć! Twardo nie robili i grule nie gniły. Dwaścia rok miał, to jesce krowy pas, w długiej kosuli - hłopiec! I nie bedzie ci taki długo żył? Hę?

- Ba, ba! - przyświadczył Gombos.

- Nie sył mu tu nikt portek, jaz sie zenił. Doktorów nijakik nie znał tu wte nik. Ale tu nie umar, ino ten, co musiał. Nie tak, jako teraz...

- Ba.

- Syćko beło ine. Wóz. Dałeś za wóz nawięcył osiemnaście cwancygierów, hej, to cie przeżył. Prawda! taś nie uświacył w nim kłińca, zelaza, ba bosak. Ale ta prec nie jeżdżowali, to ta pobył.

- Pobył, pobył...

- Nie sukał haw do niego nik zadnej kołomazi ani smarowidła. Jehał, a pocon mu zgrzipieć, e, to wbieł grziba w koło i obyrtalo sie.

- Cos by nie... Wiera obyrtalo.

- Prędzej nie tak bywowało. Krzest. To kie ta juz barz źle beło, je to zaś i samy baby ukrzcieły z wody, i beło. Bo ta z tego hodzenia do kościoła tys duzo nie beło, nie, hodź ta i zaśli. Kie beła zima, mróz ostry - pod strzehe z niekrzconym nie wleżies, bo boginki na kumosce zaraz jadom w usyp, pod zwonami w babińcu tys nie ostawis, bo i hań najdom! Ba wcion kumoter ciupage w węgieł i s torbom zawiesieł małego na niej. Kim ta zapisali, kim sie ta kościelny obuł, ksiądz odział: ten jus na węgle spał twardy jak senk. Zamarz.

- Tak, tak bywało.

- Ale sie ta nik nie zabijał za nim. Wtedej go ta trohe zal beło, jak beł hłopiec i miał palce długie, boby beł na bace, owce doić i na gajdak grać dobry.

- Ej hal!

- Dali ksiendzu sijjne dwa dudki: zaśpiewał, pomo-dleł sie, hej! sowali i pošli du domu.

- Hm, hm!

- Całke inacej dawno beło. Dał cłek na Suhejgórze dwa dudki sijjne za funt soli - ale beł funt. Nie wazył

ta nik na mińcerzu, nie ściskał! Beła waga drewniana: na jednym końcu wanta, hej, jak łeb! To beł funt!

- Hej, hej! Tak wej ono bywowało, dawno, tak.

- Ba... Ale przeszło...(1).

Po południu się zrobiło Jakubowi Zychowi słabiej. Przyszła stara Tylkula, zamawiaczka. Starsza ona jeszcze podobno była od samego Zycha. Sprowadziła ją Zychowa. Siadła przed piec, jeła ciskać jarzące węgle na miskę krzyżem do wody z dziewięciu źródeł. Zych się przypatrywał spokojny z pościeli.

- Popuściło cie by kielo telo? - pyta się go żona.

- Coz mie miało popuścić? Dy mi haw wej nie od-cyni pięci rók ani pietnastu. Ja nigda nie chorował, to i nie z chorości, ba ino ze starości umrem. Daj ta babinie płótna i spyrki, co sie haw utańczyła z węgłami po próżnicy koło pieca.

- A coby my po ksiendza posłali, w Hoholów?

- Mnie go haw nie trza. Co ja mam z pahołke gadać, kie ja hnet z samym gazdom bede gadał. Ale to gazda nie taki, jako sie wej syćko zdajało Józkowi Smasiowi z Olce, co my wraz towarzisowali, jeze On taki na niebie. jako Smaś w Olcy. Kie wzieni nieraz uradzać ze Samke Wojtkę Widowacem ze Zakopanego, jakie to bedzie to gazdostwo, ze słońce ze złota, miesionc ze srybła, gwiazdy piniondze ozesute; dało sie słuhać, bo to były hłopy mowne i przyjemne, ino takie ba jaki. Powiadali, kie miesionca ubywało, a gwiazd zaś przibywało, ze go ubywa, bo Pan Bóg ś niego gwiazdy robi, "piniondze bije", gadali. A zaś kie go przibywało, to gadali, ze janiółowie rudy kajsi nagrzebli i przinieśli. Takie wej śniarze! Cok sie im nieras naśmiał!... Kieby kot swojego pana boga miał, to by go wymalował za kota, a przihlebiałby sie mu po kocemu, jako i my sie przihlebiame po ludzku. Tak i koń, tak i wąż, kazde stworzenie. Ze cłowiek sie za pana pocytuje sydźkiemu stworzeniu, zywinie i dźwierzowi, a oskazować lubi, toz to i ludzki Pan Bóg syćkiemu pan i nie robi nic, jacy władze.

- Bo i prawda, kumotrze - ozwał się kumoter Gombos z przekonaniem. - Władze On, władze.

- Dyj władze, wiem - rzekł Jakub Zych - ale nie tak, jak ludzie myślom. Kogo mierzi, ze sie ta jaki Bartek pobiel abo jaka Kunda przespała od Staska, e, to jus i Pana Boga musi mierzić. Bajto!

- A cos by to grzyhók nie beło? - rzekł kumoter Gombos z opozycją.

- Jest - odparł Zych.

- Sąd Boski strasny - rzekł Gombos.

- Strasny, prawda - odparł Zych. - Niebo sie bedzie gionć, a ziemia trzesceć. Janiółowie na trombitak grać bedoro, a góry i hale bedom sie ozwalować od głosu. Wte sie ta nik nie uhyli ani nie wykrenci. Ale Pan Bóg mondry, wie, ze hojby wto haw nie dziesieńć ani nie piętnaście, ale i pięndziesiont, i sto róków cosi kajsi onaceł, brojeł, to zaś co sto róków, to nie wiecność, co Spiska Turnia, to nie Tylkowe Kominy. Cyjsca sie bojem, piekła nie.

Rzekł kumoter Gombos delikatnie, ale z wewnętrznym własnym sądem i wiedząc, że mu nie będzie przeczone

na końcu myśli:

- Padacie, kumotrze, jeze sie piekła nie boicie - jakos? cyby go miało nie być, cy jako? Ale kazby diabły siadały, jakby go wej nie beło? Ady diabły przecie jest.

- Jest - odpowiedział Zych - i seliniejakie. Som Belzebuby. Astaroty, jazerni, jest diabły polne, wodne, leśne, hałupne, coby ludzi kusiły. Krzizem świentym sie im trza oganiać, bo sie go bojom. Strzegom na cłowieka wsędy!. Dy ik i haw w izbie pełno bedzie, sej sto abo i tysionc.

Wzdrygnął się kumoter Gombos, a żona Zychowa za-szeptala:

- Raty Boskie! Ponjezusicku nasłodsy, ratuj tyz! Maryjo Panno!

Zych mówił dalej: - Diabły kusom i trapiom. Straśnie som jest źli i zawzięci, wiera o to, bo od stworzenia świata prógujem jakom duse ludzkom do piekła wewlec i jesce zadnej nie wewlekły ani nie wewlekom, bo im mondrość Pana-Boska nie da.

- A dy ksiendza inacyj gadajom z ambony - rzekł Gombos.

- Niegze ta. Ksiendza wiedzom, podla cego jako gadajom. Mozom gadać, jako fcom - odpowiedział mu Zych.

- Ej! Oni ta wiedzom - rzekł Gombos. Odezwała się żona Zychowa: - Dyj sie ucom na to w seminaryji.

Popatrzał na nią Zych mądrze i powiedział:

- A wtoz ik hań ucy w tej seminaryji? Pan Bóg cy ludzie, samo tacy, jako i my? Umilkli kumoter Gombos i żona Zychowa.

Później dzieci, wnuki i prawnuki, co byli na miejscu, nie po świecie, zeszli się do izby Zycha, który miał umrzeć, aby go pożegnać. Myślał on o czymś widocznie i od czasu do czasu wodził zbiełymi ze starości, gasnącymi oczyma stuletniego sępa po obecnych, jakby między nimi szukał, wybierał. Kilka już razy tak oczyma przewiódł, a zawsze najdłużej się patrzył na Staszka Kojasa. syna swojej najmłodszej córki, Wikty, najulubieńszego wnuka, chłopca już dorosłego, pięknego, rozumnego, silnego i mężnego na podziw. Potem rzekł:

- Icie sytka do pola, a Stasek Wikcin niek haw ostanie. Wszyscy wyszli.

- Stasek, pojdze haw ku mnie - rzekł. Staszek zbliżył się do pościeli dziadkowej.

- Slys, dziecko - mówił Zych - wybralek tobie, boś mi ostomilsy ze syćkik i widzisz sie mi najfajniejszy. Smiałyś?

- Abo co?

- Mocnyś?

- Kazdego prasnem.

- Słuchajże. Koło kaplicki świętego Jana pod Nowym Targem, skoro pierse słońce na niebo wyhodzi, pokiela cień od kaplicki na trawę padnie, hań som jest sowane piniondze w kotliku, co my ik z Józkem Smasiem, z Łuscykami Jaskrawemi, Józkem i Staskem, i s twoim dziadke ojcowistym, Marcinem Kojsem, za Tatrów przynieśli i hań zakleni.

Ku wieczorowi zeslabł Jakub Zych do znaku. Wtedy rzekł do żony:

- Stara! podź.

Żona ku niemu podeszła.

- Przehel sie.

Przechyliła się, a on ją objął w ręce za ramiona i pocałował w oba lica; tak też i ona Jego.

- Bydź zdrowa, stara!

- Ej Kubuś, Kubuś!

- Ej Kasiu!

- Boże cie prowadź we wieczność.

- A bądź tobie, Kasiu, na pomocy przy skonaniu.

- A tobie, Kubuś, przim do kwały niebieskiej. Jamen.

- Tak i tobie, Kasiu, kiesi. Jamen.

- Jamen.

- Jamen.

Dzieci, wnuki i prawnuki, starzy już chłopci, siwi, stare już baby, posiwiałe, mężczyźni w sile wieku, kobiety w kwiecie lat, niektóre z dziećmi przy piersiach, młodzież dorosła, dzieci podrosło i nieletnie, i drobne, skupili się przy łóżku Zycha, a on im błogosławił. Potem powiedział:

Ostompacie sie - i wstał o swojej mocy. Tak, jak był, legł był na łóżku w kyrpcach, w portkach, w pasie, tylko guńkę zrzucił - i tak wstał i opierając się o ramiona i piersi tych, co go otaczali, poszedł, chwiejąc się, powoli ku oknu. Widno było Czerwone Wierchy, Kominy, regle witowiańskie, smrekami starymi porosłe, odwiecznym lasem, i polany pośród nich, wielkie równie śniegowe. Czerwone słońce świeciło na górach jak ogień i na niebie zamarzłym jak ogień gorzało. Wtedy rzekł Zych; - Niedźwiedź śpi cas i mnie. Ostańcie s Pane Boge, wy turnie i hale!

I postąpił parę kroków wzdłuż ściany, opierając się o nią ręką, ku półce, na której leżał jego stary, zbójceki nóż o krzywym ostrzu kończystym i z trzema bulkami mosiężnymi na końcu, zrobił nim trzy krzyże w powietrzu i trzy razy nim się przeżegnał. Potem schylił się, wsparty o stół ręką, i zrobił końcem noża na podłodze krąg wokół siebie. Wszyscy się ustąpili popod

ściany. W tym kole się położył, rękoma się wspierając o podłogę, na wznak. Leżał chwilę, przymknął oczy, westchnął kilka razy i umarł.

(\*) Na trzeci dzień do trumny go kładli, z jodłowych deszczek zbitej. A do trumny dali mu fajkę, krzesiwo, spinkę bardzo starodawną do koszuli i obrazek zbójceki na szkłe malowany, czym się najbardziej za życia cieszył.

Nie szła za trumną żadna procesja, za włókami z trupem, bo kościół był daleko, a śniegi wielkie i kopne. Włożył najstarszy syn osłony na włoki, w osłony trumnę, opasał się powrósem, wziął ku sobie siekierę i widły żelazne na wilki, siadł na trumnę, przeżegnał się i ruszył. Pilno patrzył, aby się koń gdzie wilków nie spłoszył i trumny z osłon nie wyrzucił, aby z niej co nie wyleciało, bo pamiętał dobrze, co ojciec nieboszczyk nieraz powiadał: - Kie wiezies trupa, a włożom mu do truchły, co wto za życia rad widział: fajke, tabak, korunke abo i obrazek jaki, niek cie Bóg broni, jakbyś mu co stracił, ten by ci dał! Stanie na hmurze, to siem ról gradem wybije. Wracaj sie i sukaj! Muis! Niek se ta ma. (\*) (2)

Tak umarł i tak na pogrzeb wieźli Jakuba Zycha z Witowa.

(1) Ustęp w gwiazdki zamknięty jest przeróbką góralskiego oryginalnego opowiadania.

(2) Ustęp w gwiazdki zamknięty jest przeróbką góralskiego oryginalnego opowiadania.

## ORLICE

Był chłop z Poronina, nazywał się Kuba Kopiński. Powiadali o nim, że mu nigdy deszczu nie trza, chyba w zimie. I prawda, że nie wiadomo, czego miał więcej: czy pola, przez które woda szła, czy wody, co szła przez pole?

"Kubie strasznie w powódź śmiało - mawiali chłopci - woda mu ta sama sie nie bedzie brać". Lał deszcz, to mówili: "Kubie gazdostwa przybywa". Jechał z pługiem, żartowali: "Uwazujze, byś co ka gruntu nie zahycieł, bo pług popsujes. Kuba jedzie wode orać, bedom pstrongi rosły!" Szedł z grabiami, to zaś znowu: "Jesce tys takiego nie bywało, co łososie grabiami hyce". Idzie Kuba z motyką: "Hej: idzie Kuba banie brać, bedom miały lipienie ka zimować!" Jedzie wozem drabiniastym: "Hej! by ci nie wyciekło! Racyj se putnie weź!" I takie inne.

Wodny Kuba go nazwali.

Gniewało to Kubę i bolało, te śmiechy ludzkie. Ale ludzie jak ludzie. Takie to jest, jak i psy; wlezie między tłuste miejskie owczarski albo gdzie ze wsi: dalej wszystkie na niego! Ani go jeden nie będzie bronił; najlepiej, jakby go tam jeszcze z drugimi nie targał. A i to nie z miłosierdzia, tylko będzie leniwy albo stary. Inaczej nie jest ani nie bywało.

Bolało to Kubę i gniewało, a i bieda dogryzała. A jeszcze kiedy mu córki dorosły, trzy córki jak topole: Róża, Ulka i Wikta - ani to temu co do gęby włożyć, ani oblec po ludzku. Matka tego żalu i wstydu nie miała, bo przy ostatniej, Wikcie, zmarła. Wychowało się to nie wiedzieć nawet jak? Ulce było dopiero dwa lata, Róży trzy. Na kozim mleku wyrosło - ej! baj to! jacy na wodzie!

Ale ród to ród. Kopińscy byli chłopcy jak buki, takie też i Capkule, co od nich żonę wziął. Baby jak wrota. Kiedy ci którego Capka dziewczka stanęła we drzwiach, nie próbuj przejść: choćbyś głowę pod ramię schylił. koło biodra się nie przeciśniesz. Spodnice to jaze podskakowały na nich w chodzie; młodzi mówili: od radości? starzy: od tęgości.

Zębami gwoździe kruszyły, a na siłę dobry parobek musiał być, żeby go za pasy o ziem nie prasły. Prawda, że za pasy zawsze chłop mięknie, a baba twardnieje. Ale przy dźwiganiu, przyszło snopki na wóz wykladać albo na stodołę ciskać, to się dało widzieć. Silne były Capkule.

I robotne, i obyrtne, i ładne. Na żony jak ulane. Ale będzie ci kto biedną dziewczynę brał? Chyba głupi albo sam dziad, co mu innej nie dadzą. Zeszły się wraz dwa dziady, nie trza nijakiej rady - powiadają.

Kopińskiego dziewczki prawe były Capkule: silne, robotne, zwyrtne i ładne. Tylko że w posagu miały kamieńca trochę, lasu nic. pola z półtora morgu, a i to jeszcze lada co, budynki żal się Boże. wody ile chcieć, po dwie koszule, po dwie spódnice, po jednej zapasce i szmatce na głowę, a na trzy jeden kozuch po matce. W zimę tylko jedna mogła wyjść. Będzie ci kto taką brał?

Nigdzie też nigdy nie szły, ani na wesele jakie, ani na zabawę do kogo - nie miały w czym.

- U Wodnego Kubę zawdy wesoło - żartowali ludzie - dziewczki nie potrzebujom nika lecieć. Dość se w doma udrypcom, kie zimno, a na brzuhak se przigrawajom. (Ze to im w próżnych brzuchach grało).

Nikt ich też nigdzie nie prosił. Kto ta dziada rad widzi. Dziad i dziad.

Często też na Kopińskiego dziewczęta, które po matce Capkulami zwano, zamiast Capkule wołali: dziadule. Płakały.

Siedział Kuba koło wody pod brzegiem, blisko Galicowej Grapy, w pustce. Domu naokoło nigdzie. Las - ale cudzy, gazdowski. Dorule, Chowańce, Galice, Pary: to to byli gazdowie. Chowali niejedną po kilkanaście krów, kilkadziesiąt owiec, po trzy, cztery konie. U Kopińskiego krowy nie było; jedna koza.

Dziewki się w lecie żywiły grzybami, jagodami, co po reglach zbierały. Ale w zimie, na wiosnę - raty! Po dwa i trzy dni nic do gęby prócz odrobiny mąki, wodą rozbełtanej. Jak raz Ulka ukradła u Chowańców kawałek placka owsianego, to było święto.

Rosły - powietrzem i wodą - dziko, jak jodły w lesie. Miesiące czasem człowieka nie widziały z bliska. Choć Róży było dwadzieścia lat, Ulce dziewiętnaście, a Wikcie siedmnaście: nikt ku nim nie szedł, żaden parobek. Chude były, nędzne, nie odziane, smutne. Choć ładne. Róża miała włosy czarne i oczy czarne jak iskry; Ulka i Wikta włosy jasne i oczy siwe, także jak



iskry. Kości miały smukłe, bujne, ale ciała na nich nie było, nie miało z czego rosnąć. Nie łakomił się na nie nikt.

One też tak, jakby woli Bożej nie czuły. Takie dziewczki o czymże by radziły? O parobkach radzą. Ale tu - trzeba było o głodzie i o zimnie radzić, żeby z głodu nie umrzeć, od mrozu nie umarznąć. Nie chwytą się woła Boża w takiej kondycji.

Ucła się w końcu Kubie ta bieda, a i śmiechy ludzkie - Wodny Kuba I Wodny Kuba!... Siem skaranie!

Jednego dnia, w jesieni, już z hał zegnali, co kto miał, mówi Kuba do córek: - Jadłyście co dziś?

- Borówki - odpowiedziały.

- Fce się wam jeść?

- Fce.

Pomilczał Kuba trochę.

- Zal by wam było tej hałupy - mówi.

- Abo co?

- Jakbyśmy sie ś niej ka wynieśli?

- Ka?

- Ze ka we świat.

- Ka?

- Na hleb.

- Ze kazby to?

Pomilczał znowu Kuba chwilę.

- Dziewkil - mówi po chwili.

- Co?

- Zabiercie ze skrzynie, co ta jest i ka ta co. Jakie smacisko abo płótno. Zróbcie węzelki.

- Pudzieme ka?

- Pudzieme. Pozbierały, co było.

- Tatusiu! - mówi Wikta. - Weznem ten obrazeczek po mamie niebozycce.

I zdejmuję obrazek ze świętą Genowefą znad pościeli

- Weż - powiada Kuba.

- A ja se weznem siekiere - mówi Róża.

- A ja koze - powiada Ulka.

- Ka pudzieme?

- Ino podźcie.

Wyszli. Zaparł Kuba drzwi od chałupy. Obejrzał się na nią - westchnął, splunął i machnął ręką.

- Podźme.

Poszły dziewczki za nim.

Prosto w brzeg, za wodę w pola. Na Pardółówkę, z Pardółówki w bór, w regle, poza regle w Tatry. Białą Wodę przeszli, ponad las, popod Zielony Staw, ku Żelaznym Wrotom. Rano było, jeść się ogromnie chciało, nie było co z domu wziąć, borówki tylko po drodze skubali.

- Tato, juz ni mogem dalej przez jedzenia - mówi Wikta.

- Cos ja ci dom?

- Ka to pudzieme, tato? Hań, w skale? - mówi Ulka.

- Hej.

- Zej haniok ani borówek ni mas - mówi Róża.

- Ni mas.

Umilkli. Koza się pasie na trawie; miele w zębach.

Wstała Róża z ziemi, bierze siekiere, idzie ku niej - łup ją w łeb obuchem.

Padła koza, ani zipla. Poderżnęła jej Róża gardło ostrzem.

- Tato! krzeście watre! - mówi.

- Koze-eś mi zabiela - woła Ulka.

- Dyjbyk tamok i tak nie wysła - odpowiada Róża i pokazuje na turnie.

- Luto mi bedzie za niom - mówi Wikta.

- Koza beła moja - mówi Ulka.

- Taka twoja, jak i moja! - odpowiada Róża.

- Ale ja jom z domu za jena!

- Beła naska, wspólna!

- Ale ja jom wiedła!

- Ale ja jom zabiela!

Zrobiło się cicho; strasznie dziko krzyknęła Róża.

- Nie kces jej to jeść, ino tata watre słozom? - mówi po chwili Róża i bierze się skórę łupić. Zacięła Ulka usta, a Wikta płacze.

- Dobrze Róża zrobiela - odzywa się Kuba, który tymczasem chrust na ogień zbierał - ja by jom som beł zabiela. Aniby hań nie wysła, ani jeść ni ma co.

- W te turnie pudzieme?

- W te.

- Coz hań?

- Węgry, Luptów.

- A hań?

- Bedzieme patrzeć.

- Pudziemó na robote? Służyć?

- Ja was nie na to hował, cobyście między ludzi sły. Kozę ze skóry obdarli, co upiekli, część zjedli, część ze sobą zabrali. Pierwszy raz dziewczęta mięso jadły.

- Smakowała ci štuka? - pyta się Róża Ulki. Ulka usta zacina, a Wikta mówi:

- Ej, juz nam nie bedzie becała! Zjeść jek zjadła i jesce bedem, ale mi jej zal.

- Hej, dziecko! - odzywa się Wodny Kuba. - Kieby człowiek fciał syckiego załować, co nie jest tak, jakoby miało być, hnet by morze wypłakał.

Westchnął, splunął i ruszył naprzód.

Z głazów w kosodrzewinę, z kosodrzewiny w skały, przyszło po żebrach nad urwiskami popod Litworową Turnię iść, zdawało się, że skała spod nóg ucieka.

- Tato! - woła Wikta. - Widzi sie, co odpadnem!

- Nie patrz dołu pod sie!

- Ej! Kiela tys to hań przepaść! - woła Róża i patrzy w dół.
- Pazdury sie fcom pięknie pozuruwać! - woła Ulka.
- Dzier-zcie sie! dzier-zcie sie! - napomina Wodny Kuba. - Bo wtora by haw durkła dołu, na prag sie zetre!
- Tak sie mi widzi, ze juz nóg ni mam! - woła Wikta. - Jakoby k leciała w powietrzu!
- Smierć pod tobom! Nie patrz pod sie!
- Hej! Hej! Joj! Jak leci - woła Róża, strąciwszy nogą głaz.
- Jak warcy!
- Ozbieł sie!
- Kiela to usypa za nim!
- Jak hucom!
- Jak dudniom!
- Turrr!
- Is! is! Woda!
- Staw!
- Jak sie świeci!
- Kielo to słońca na nim!
- Tato? Tato! Wicie? Staw!
- Widzem.
- Ka je ta w dole!
- Zywy byś nie doleciał!
- Ino sie cerni a świeci!
- Wiater od niego pociąga.
- Nie od niego, ba z turni.
- Tato! Tato! Icie?! Kozy! Kozice!
- Ka?!

- Hań! Haniok! Hore patrzcie! Ka ten upłazek! Taka płasienka zielona! - Widzem! Widzem!
  - Zje ka? Kaz som jest?
  - liii - hi - heu!...
  - Widzem! Widzem i ja! Ej wiera! Zenom tyz!
  - liii - heu!
  - Ino sie piarg kurzi!
  - Jedna, dwie, trzi, śtyry!
  - Pienć, osiem, seść, jedenaście!
  - Be z pietnaścioro!
  - Abo więcyl!
  - Be trzynaście!
  - E dy my ik już więcyl nalicyli!
  - Jedna dwaścia - ozwał się Wodny Kuba.
  - Is! Is! Jedna dwaścia!
  - Przepadły w turniak!
  - Teloż by ik nigda nie belo!
  - Tak i z błogosławieństwie boskiem bywuje - rzekł Wodny Kuba.
- Z żeber skalnych w upłazy, w żleb - po piargach, po rumowisku szli ku przełęczy.
- By sie haw przynamni głowa nie zawraca - mówi Wikta.
  - Tamoj sie widziało, co trza bedzie gwałte dołu odpaść - mówi Ulka.
  - Skrzidła by sie beły przidały - mówi Róża.
  - Cos to przy tym na smreka wyleść!
  - Abo na jedle!
  - Sto smreków by trza postawić jeden na drugim.
  - Tysione!

- Moze sto tysięcy? Wyszły na przełęcz.
- Tato! Rany boskie! Cy sie mi śni je?! - woła Róża.
- Luptów!
- Cos to hań? To białe?
- Miasta, dziedziny.
- Kiele pola!
- Jak hań jasno!
- Nigda u nas tak jasno słońce nie świeci!
- Kiela rówień!
- Na lawom renke Śpis, na prawom Orawa.
- Kiele lasy!
- A haniok? Góry?
- Niżnie Tatry.
- Wyse jak naskie?
- Nise.
- Kiele świat!
- Anibyś nie pedział, ze taki może być!
- Hej! Wielgi je tyz!
- Syrzyć! Zdłużć!
- Piekny je tyz!
- Hej, Panie Boże! Ze tys piekny!
- Wesoły!
- Jaz radość!
- Hań pudzieme? Dołu?
- Bedzieme patrzeć.

- liii - heę - heu!...

- Ginie głos.

- Strasna pustka dookoła.

- Kiele to turnie nad nami!

- Jak kościoły!

- Tędyj ino można przeńść?

- Nie. Więcyl takik przełacek w Polskim Grzebieniu Pojedli znowu koziny.

Wiedział Wodny Kuba o Batyżowieckiej Dolinie i o kolebie w niej, bo tam, młodym będąc, jedno lato owce liptowskiemu gaździe pasał. Dawno. Wykręcił spod Żelaznych Wrót poza Batyżowiecki Szczyt, uniżywszy się ku Kończystej, nad stawek mały, co tam leży; przeszedł grań; skielznęli na dół po ścianach. Słońce zapadać miało niedługo. Cała dolina liptowska poczęła się zalewać, tak jakby pozłacanymi fiołkami słońce prószyło. Gęsto. Znalazł Kuba kolebę; niedaleko stawu.

- Hawok bedzieme nocować, tato?

- Hawok.

- A jutro pudzieme dalej?

- Bedzlemś patrzec.

Noc i dzień wypoczywał Wodny Kuba ze swoimi dziewczkami. Już się i kozina poczęła kończyć. Po drugiej nocy rano popłoch się zrobił w Batyżowcach, we wsi. Z trzody, co się pasła popod Tatry, zginął wół. I popłoch jął się szerzyć po okolicy. To kupca wędrownego coś napadło w lesie, zabiło i obrabowało, to się do wsi albo i do miasteczka podkradło i zabrało, co mogło, to z trzody ginęły woły, krowy, owce.

Kto?! Co?!

Zbójniki z Polski spadły zza Tatrów na dziedziny, obrabowały karcznię albo dwór albo ukradły byczka - i uciekły, skąd przyszły, ale to siedziało w miejscu. Gdzie?

Już się i zimno zrobiło, a to siedziało. Grabież, mord spadały, jakby je turnie wyrzucały z siebie i znowu w siebie chłoneły. Okolica musiała drzeć - Batyżowce, Gerlachowce, Mięguszowce, Poprad, Sławków, Czorba.

Tymczasem dziewczęta Wodnego Kuby nabrały ciała, poubierały się w nowe koszule i spódnice, a w kolebie był schowek między kamieniami, umyślnie wyrobiony, w nim miedź, srebro, złoto, korale.

- Juz by my i gazdowstwo kiele tele kupili - mawiał Wodny Kuba. obrosły, czarny, smolny, leżąc przy ogniu między trzema swoimi dziewczkami. Siekiery przy nich, noże, nawet pistolety skradzione.

- Alek go pać! - mówi Róża. - Ino raz spad na ziem!

- Pać! go i ja!

- I ja! - chwali się Wikta.

- A tamtegoś nie fciała, kie my ci kazowały, co jescze żywy był.

- Do wszydźkiego sie trza przyuczyć - rzekł Wodny Kuba.

Ludzie widywali czasem po drogach starego, siwego chłopca i trzy dziewczki obdarte, bosc.

- Skądście?

- Z Polski.

- Dokąd idziecie?

- Bieda nas zenie.

- Zarobku szukacie?

- Zarobku.

Niejeden opatrzył, dał, nikt się nie domyślał. Siekiery były krótkie, pochowane pod płachty, króciące za koszulę. Tak się przewidywali. gdzie co ukraść można, gdzie jaki kupiec, karczmarz, bydło. Jak się nie dało ukraść bez mordy - mordowali. Spadali znienacka w nocy, nie

wiadomo skąd; przepadali w lesie jak widmo. Zostawał tylko strach.

Legiwał Kuba przy wotrze nocami, zatulał się w płachty i w kozuch i myślał. Dziewki twardo spały, ale on, stary, lichy już sypiał. Myślał więc o przyszłości. Tego wszystkiego do czasu było. Naprzód niezadługo przyjdzie zima - śnieg już przepadywał czasami - wtedy nikt nie wytrwa w kolebie w górach. Dalej ludzie spostrzec się muszą, kto to rabuje. Stare chłopisko siwe, trzy kobiety - dobrze, ale i to wzbudzi podejrzenie. Rabunki się powtarzają, mordów było ze trzy. Dobra nazbijanego już jest kielo telo. Trza do chałupy wrócić. Wyzimują się, a na wiosnę, niby na robotę pójdą, w rzeczy gdzie jaki kawałek gruntu kupią i nie wrócą więcej. Wyniosą się za Nowy Targ, za Obidową. Dziewki się za mąż wydadzą, tłuste, czerwone na gębie, zabrały się, aż miło spojrzeć. Wodny Kuba będzie Ziemnym Kubą. Przecie się los za wolą Boską odmienił.

A dziewczki żyły jak w ogniu. Nauczyły się biegać po turniach jak kozy. przez las jak wilki. Wicher im wypalił twarze, krew się im płomieniła pod czarną skórą, żar je palił. Pierwsza kradzież im zgrabnie poszła. Ojciec wołu w kosodrzewinie za rogi złapał, pysk szmatą



okręcić kazał, uwiedli go w gąszcz, obuchem w łeb raz, drugi, trzeci - zabiła Róża. Było jedzenia na parę dni, dopóki się mięso psuć nie zaczęło.

I napad pierwszy na drodze też się powiódł szczęśliwie. Idzie stary chłop drogą z trzema dziewczętami; nie bał się kupiec, choć las był. Biały dzień zresztą.

- Niek będzie pokwalony - mówi mu stary mijając i uchyla kapelusz.

Kupiec Niemiec musiał być, nie odpowiedział, tylko głową kiwnął, d w tej chwili stary się obrócił i buch go w głowę sękaczem. Kupiec padł. Stary mu poprawił raz, drugi, nożem dodzgał. Tego tylko Róża wycięła raz obuchem. Ale drugiego, karczmarza, już ona pierwsza nożem po gardle na spaniu przejechała. Kazała Wikcie dobić go, sama z Ulką i ojcem skrzynkę za pieniędzmi rozbijała; nie chciała Wikta. Ale przy trzecim razie, kiedy znowu wędrownego kupca napadli, już i ona raz mu obuchem w ciemię dała.

Różę opanował szal grabieży, a nawet mordy. Kiedy kilka dni nigdzie nie szli, usiedzieć nie mogła.

- Musem kie podpalić te dziedziny - mówiła, patrząc ze zrębu turni na miasta i wsie po Spiżu i Liptowie.

Już nie stary ojciec, ale ona bywała hersztem wypraw. Naprzód szła z siekierą pod płachtą, z pistoletami za koszulą. Ona broni dostała. Okradła sklep korzenny w Popradzie. gdzie i broń sprzedawali. Wśliznęła się oknem sama w nocy. wygiąwszy tyle kraty w oknie toporzyskiem, że się zmieścić mogła. Gdyby ją był kto usłyszał albo zobaczył, byłaby przepadła. Ojciec i siostry stali za węglem domu z przeciwka, gotowi do obrony, ale i do ucieczki. Gdyby się nie dało wybronić, lepiej jednej głowy, choć siostry i córki, odżałować niż swoje stracić.

Serca im dygotały w piersiach. To była najzuchwalsza, najśmielsza kradzież.

- Nie bałaś się, że cie przisiednom? - pytała Wikta.

- Ej! Ani roi do myśli nie przisło. Kiebyk się beła bała, nie bełabyk lazała.

W dolinie przy stawie, w lesie podczas napadu: zdawało się. że rosła. Kiedy pomiędzy ludzi szła, kurczyła się i gięła, pół jej ubywało. Bała się ludzi, nie cierpiała ich.

- Kasałabyk, kie między nik właze - mówiła - jaze mi zukwy skacom.

Ulka kradła najlepiej. Zawsze ona najwięcej przyniosła łupu, zwłaszcza pieniędzy. Nie uszło nic jej oka, niczego nie minęła. - Ulka ma w palcach światło - śmiały się z niej siostry, bo żeby najciemniej w jakim sklepie albo w komorze było, zawsze ona, co trzeba było, znalazła.

Ona była gospodynią w kolebie, ona gotowała, chowała w skrytce grabież, żeby nie zamokła, prała, ogień robiła. Jak odrobiła swoje, legła i spała.

Wikta, najmłodsza, leciała z innymi, bo się sama bała zostać w górach, ale się na wiele nie przydała. Unosiła w góry to, co jej ojciec i siostra do niesienia dali, ale sama mało co ukraść umiała. Kiedy stary Kopiński leżał przy wiatrce i fajkę paląc, w głowie plany na przyszłość układał, Róża ostrzyła noże na gładkiej skrzyżali albo suszyła proch, a Ulka koszule prała lub

pieniądze liczyła, co jej się nigdy nie sprzykrzyło, kładąc je w kupki dla rachunku; Wikta wypatrywała kozy, świstaki, przypatrywała się siwarnikom, jak koło stawu po kamieniach chodziły, ćwierkając, świergocąc, mentlom skalnym, co po turniach latały, i jaki tam ptak się pokazał. Śpiewać byłaby rada. ale ojciec głośno bronił, żeby gdzie kto nie usłyszał, choć sroga pustka była wszędy naokół; więc nuciła z cicha, co jej się przypomniało, i wyskała po cichutku: lii hi-heu!... Rada by była strasznie owce mieć i po halach je pasać. Najładniejsza była z siostr, ale węższa i słabsza.

I byłoby wszystko dobrze. Tak się stało, że zlecieli na grabież ku wsiom za pogody. Tymczasem napadał śnieg i tropy po nich zostały. Wybrali się ludzie w pogoń za śladem, wicher jednak straszny przyszedł, drzewa łamał. więc wrócili. Jeden tylko śmiały strzelec, rodem ze Sławkowa. uparł się iść, a uparł się tym więcej, że go tropy dziwiły, bo jedne stopy chłopskie, ale inne drobne, kobiece. Chłop i trzy baby. Na świętego Marcina! Cóż to może być?! Baby za zbójników nastały?!... Nie wiedział on nic o Kopińskim i jego córkach, ale rozumiał, że wicher i tę bandę musiał gdzie zatrzymać. Wziął strzelbę, siekierę i ruszył.

Choć wicher śniegiem ciskał, tropu nie stracił. Tak szedł, jak za dzikiem albo niedźwiedziem. Ale ci, co uciekali, nie ustawali w drodze. Coraz wyżej oni szli w góry.

I mądrzy byli, bo się w kosodrzewinach rozbiegli, każde osobno poszło.

- Śnieg by nas mógł zdradzić - mówił Wodny Kuba. -

"Trza ino dobro ze skrytki zabrać, musime uciekać, skąd my przišli.

To go trapiło, jak tu po śniegach przejść. Którędy przeszli popod Litworowe, nie ma mowy. Ptak by chyba przeleciał. Wiedział on o przejściu poza Garłuchowskim Szczytem, którą łatwiej, ale trzeba było szczyt obejść,

uniżać się ponad Wielką Dolinę. Spotka pogoń, jeżeli ściga, rozbiegła się - może być źle.

- Bedzieme sie bić - mówi Róża.

Rozsiali się w kosodrzewinie, żeby trop zmylić, mieli się przy kolebie zejść. Nie czekać potem nic. niech co chce będzie, w nocy stamtąd wyruszyć. Da się, to ku Wielkiej Dolinie; nie da, to ostrożnie ku lasom się spuścić i lasami popod Tatry drzeć, gdzieś ku niskim przełęczom; ku Orawskim Tatrom, ku Krzywaniowi. W nocy gonić nie będą. Żeby tylko w lesie nie zbłądzić. Ale tu stary

Kuba liczył na Różę. - Ta se wsędej do rady - uspokajał się.

Co do Róży, to ta liczyła, że i trzem chłopom sama dostoi: dwóch z pistoletów, trzeciego ciupagą.

- Dyj i oni zbroje mozom mieć.

- Niegze majom! Ja ta o ik zbroje nie pytam, ino o swojom.

Tymczasem sławkowski strzelec wybrał chłopski trop i za nim szedł. I wyszedł na rówień kamienną koło stawu, na brzeg, gdzie go z koleby nad stawem było widno. Wzięli go

Kopiński z córkami na oko. Patrzeli, czy więcej ludzi nie idzie. Dobra bronieć postanowili do śmierci. Stracić to, co tak krwawo zarobili?! Stopy i ręce kalecząc, po tyłim czasie bez dachu nad głową, mieszkając wśród kamieni, jak zwierzęta dzikie, naraziwszy się tyle razy na schwytanie, na śmierć, po tylu wytrzymałych ulewach, nawałnicach i zimnach?! Na to by to mieli wszystko przetrzymać, żeby Im kto teraz miał krwawą zdobycz, krwawe dobro odebrać?! Czy kiedy jaki gazda, jaki rolnik, który bogaty Galica, Chowaniec czy Para, wylał tyle ciężkiego potu, co oni, natrudził się tyle, na-dźwigał, namęczył?! Nawet Wikta ścisnęła pistolet w ręce, choć się go zawsze dotąd bała.

Ale nikt się nie pojawił pod stawem, a ten człowiek, który przyszedł, widocznie znużony bardzo, porozglądawszy się wokoło i nic nie ujrawszy, siadł pod wielkim głazem, oparty plecami, siedział, rozglądał się, fajkę palił, aż zasnął. Widać było.

Wtedy Róża i Ulka podkraśliły się ku niemu z nożami.

Spał tego.

- Zabić go! - szepnęła Róża.

- Nie! Związać go! Powie nam, czy nas ścigajom.

- Ej, wiera! Ale s cym związać? Ulka pomyślała trochę.

- Spodnicami!

Zdjęły wierzchnie spodnice, skrzyły.

- Do gardła mu nóż przilożem, a ty wiąż! - rzekła Róża.

Pod szpicem noża obudził się strzelec, ale już nie drgnął, tylko oczy otworzył. Szpic noża czuł w skórze na krtani. Ręce mu Ulka wiązała spodnicami w tył na plecach.

- Diabłyście?! - ozwał się, kiedy mu Róża nóż ze skóry wyciągnęła.

- Diabły! Podź!

- Wyrwę się!

- Spróguj!

I Róża przytknęła mu znów nóż do gardła.

- Podź!

Przywiodły go do koleby. Zdumiał się.

Stary chłop przed nim, zarosły jak las, czarny jak torfowisko, tylko mu się włosy białą jak mech siwy na smreku. Przy nim dziewczyna, młoda, ledwie dorosła, z pistoletem w ręku, koło niego dwie wiedźmy młode i ładne, a bujne jak lipy. Spodnicami go związały na śnie i wiedę. W kolebie mieszkają, widno, sprzęt nawet niejaki jest.

Zdumiał się strasznie.

Stary Kuba myślał: udać przed nim, że to nie oni rabowali - ej! na co? Nie uwierzy, a i tak żywy nie może odejść.

- Scigajom nas? - spytał.

- Prawde mów! - rzekła Róża, dotykając strzelcowi twarzy nożem.

- Ustali. Wiatr ich wrócił.

- Dobrze. S cymeście go związały? Spodnicami?

- No.

- Dobrze. Trza poprawić.

Związali strzelcowi ręce i nogi powrozem, przewiązali usta, aby nie krzyknął.

Stary Kuba myślał: albo go zabić od razu, albo też zmusić do niesienia zdobyczy, dokąd się da, a potem zabić. Tak zdecydował.

Ściemniać się jęło i nikt nie nadchodził. W nocy nikt tu nie pójdzie po śniegach świeżych, ślizgich i miękkich.

Wiatr zresztą tropy musiał zawiać bez śladu. Naszła od północy spoza wierchów gęsta, posępna mgła.

Wodnemu Kubie bezpieczniej się wydawało przejść poza Garłuchowski Szczyt ku Polsce, niż zniżać się ku Liptowu, ku niższym przełęczom. Ale nie pamiętał, którądy popod Garłuchowskie Turnie przejść, żeby na przepaście nie trafić.

- Pilnujcie go haw - rzekł - a ja przelece przeżreć, ka puści? Jak noc nie będzie ciemno, w nocy pudzieme, jak be barz ciemno, lem świt. To bieda, ze gmy ciągnom.

- Byście ka nie zaskocyli, tato.

- Bedem skale kład na znak. Ono we mgle hnet pogłupi cłowieka. Hnet zgłupie.

- Wracajcie wartko.

- Ino przeżrem. Pilnujcie tego cłeka.

- O! Jus my go hawok upilnujeme! Lecie, tato, co thu!

- Duhem!

Poszedł.

Pojadły dziewczki. Wikta odwiązała usta strzelcowi, dała i jemu. Śmiały człowiek był, zaczął żartować. Sam się ze siebie śmiał, że się dziewczkom dał wziąć.

- Cóż wy ze mną zrobicie? - spytał.

- Owiążeme ci nogi, pomożes nam dobro nazbijane nieść. Pote cie zabijeme. Tak tata radzili.

- Ej, to mnie przecie nie zabijajcie!

- Zradziłbyś nas!

- Nie zdradzę. Przysięgnę!

- Jako tata ukwalom. tak będzie.

Kiedy mu Wikta dała pojeść, Ulka mu przyniosła flaszkę z wódką i przytknęła do ust; zaraz wstała Róża i przyniosła mu wino.

Wikta mu podłożyła serdak pod głowę; Róża wtedy podsunęła mu drugi pod plecy; zaraz wstała Ulka i przyrzuciła mu czuchą Ojcową nogi od chłodu. Nie zawiązywały mu już ust. Mówiły, żeby im odpowiadał. Słuchały. Jak się jedna spytała, czy mu się chce jeść, zaraz

się druga pośpieszyła spytać, czy mu się nie chce pić, a trzecia była zła.

Przypatrywały mu się zrazu śmiało. Ale potem jedna na drugą poglądała, czy nie widzi. Kiedy się spotkały oczyma na jego twarzy, czerwieniały. Młody był, może miał dwadzieścia pięć lat. Chłop rosły, bujny, ze strzelecka ubrany, jasną miał, młodą brodę, krótko przy twarzy, niebieskie oczy.

Mgły szły gęste, coraz gęściejsze. Począł się i zbliżać wieczór. Wychodziły wyglądać jedna po drugiej; stary nie wracał. Czekwały - nadeszła noc.

Złożyły wiatrę, bo i pewne były, że nikt nie ściga i w takiej mgle ani ognia, ani dymu nie widno.

Opatrzyły strzelcowi dobrze powrozy i legły koło ogniska na sen, strzelca mając między sobą. Usta mu zawiązały. Ojciec przykazał, żeby tak było.

Kiedy się obudziła Róża, mgły nie było, noc jasna.

Tumie czarne nad stawem, staw jak czeluść. Księżyc poświecał z nieba; pół go było.

Cicho.

Uniosła Róża głowę z posłania, patrzy: strzelec, jak był, jednym bokiem przy ogniu, z drugiej strony Ulka, przy nogach Wikta. Róża była mu koło głowy. Tak się jej zdało, że Ulka udaje, że śpi, a Wikta głowę schyliła, kiedy ona swoją podźwignęła. Strasznie się jej blisko obie

siostry wydały strzelca, bliżej, niż kiedy spać legały. Przysunęła się i ona ku niemu.

I powoli zaczęła się ku niemu przybliżać, ale tak musiała robić i Ulka, bo się zetknęły, Róża kolanami z jej głową.

Zadrzemało się Róży.

Budzi się po chwili; znalazła swoje kolana odsunięte oparte o plecy Ulki; wsunęła się i ona prawie całkiem między nią a strzelca. Podnosi głowę: Wikta przyciśnięta do strzelcowych nóg. Strzelec śpi albo udaje.

Szarpnęło Różę. - Co się pchas?! - mówi do Ulki - Pąk sie! -

I trąca ją w ramię.

- Ty sie pąk! - odpowiadała Ulka.

Umilkły. Sapanie jakieś wzdęło pierś Róży; dycha i Ulka, aż jej nozdrza świszczą. Nic nie mówią do siebie, ale się cisną, jedna drugą: Róża Ulkę w ramiona, Ulka Różę plecami w kolana. Odepchnąć się chcą.

A we Wikcinych piersiach ogień. Sunie się, sunie cichutko jak wąż ku strzelcowym nogom, coraz bliżej, coraz bliżej. I słyszy, jak Róża mówi: - Nie pchaj sie! Pąk sie! Pąk sie, kas beła!

- Pąk sie ty! Kajak beła, tamek jest!

- Nieprawda! Mnie zimno!

- I mnie zimno!

- Dociś dREW!

- Sama se dociś! Umilkły.

- Ej! - byk cie nie kopła! - mówi po chwili Róża.

- Abo ja tobie! - odpowiada Ulka.

Znowu umilkły. Sapały, sapały, zdawało się Wikcie, że zasnęły. Zdrzemała się i ona - wtem coś ją potrafiło w twarz. Otwiera oczy - patrzy: Ulka nad strzelcem schylona, prawie leży, ręce na nim trzyma.

Jakaś wściekłość przejęła Wikte. Zerwała się na kolana. krzyczy: Co robis, Ulka?

W tej chwili obudziła się Róża i też się porwała z posłania. Ulka nie zdążyła strzelca puścić - patrzą na siebie.

- Ulka! - odzywa się Róża groźnie.

- Co?! - odpowiada Ulka, a głos jej drży z nabrzmienia w piersiach.

- Ty?!.....

- Cos?!...
- Odeńdzies?!
- A ty jako?!
- Coś f ciała?!
- A ty?!
- Ja go hycieła!
- Ja go wiązała!
- Moześ go ozwiązać fciała?!
- A ty co byś fciała?! A kiebyk go i ozwiązała, to co?!
- Mój jest!
- Taki i mój!
- Twój?!
- Zej to mi go weź!
- Jako bedem fcieć!
- Abo ja!
- Ty?!
- Moze ty?!

Zbliżyły twarze ku sobie - zdawało się Wikcie, że sobie zębami grożą, tak blisko były siebie.

- Idź! - krzyknęła Róża i chwyciła strzelca za ramiona.

- Ty idź! - odkrzyknęła jej Ulka, łapiąc go wpół. Przy blasku ognia zobaczyła Wikta jakiś przewściekły gniew na twarzy Róży. Porwała się ona na nogi, kopnęła Ulkę, aż ta się pochyliła; schwyciła strzelca pod pachy i uniosła go nad ziemię, jakby go odwlec chciała. Chwilę się zdawało Wikcie, że się Ulka rzuci na Różę, ale widocznie się bała; odtrąciła tylko Wiktę z całej siły. Wikta przysiadła od ciosu i skoczyła wściekła na nogi. Kiedy Ulka złapała strzelca za nogi koło kolan, aby go nie dać ciągnąć Róży, Wikta, sama nie wiedząc prawie, co robi, ślepa z uniesienia, objęła go pod uda. Poczęły go ciągnąć, szarpać, każda ku sobie. Z zawiązanych ust strzelca wydobywało się chrapanie, zrazu chciał krzyczeć, potem znać, że jęczał. Ulka, najsilniejsza, darła go za nogi ku sobie. Wikta mimo woli jej pomagała. Targnęły ku sobie Różę jeden krok. dwa, trzy.

- Cyjze bedzie? - stęknęła Ulka.

Róża chciała się zaprzeć nogą o głaz, ale nie zdołała. Znów dwa kroki pociągnęły ją ku sobie siostry. Wtedy krzyknęła: - To se go biercie! - szarpnęła ciało z wysiłkiem ku sobie i z całym zamachem grzmotnęła głową strzelca o kant głazu. Jęk przeraźliwy wydarł się spod szmaty na ustach.

Naokół prysły krew i mózg.

Puszczony spod ramion przez Różę, strzelec runął z rąk Wikty i Ulki. Puścili go przerażone.

- Zabiłaś go! - wrzasnęła Wikta.

- Zabiłaś! - powtórzyła Ulka.

- Zabiłak! - odpowiedziała Róża. - Teraz ze je was?!

Oparła się o głaz tyłem i rękoma, gotowa do walki. Wikta przyklękła przy leżącym strzelcu, zdjęła mu opaskę z ust. Jęknął, ale ledwo, słabo i jakby ostatnim tchem. Ulka skoczyła po nóż i porozcinała powrózki, którymi był związany. Mało co poruszył sobą jeszcze. Musiał skonać.

- Zabiłaś go - szepnęła Ulka.

- Zabiła - powtórzyła Wikta. Klęczały przy nim, jedna z opaską w rękę, druga z nożem, obie pokrwawione.

Róża odwróciła się, stała chwilę nieruchomo, a potem zaczęła jakimś kijem ognisko rozrzucać. Zostały tylko tlejące, przepalone drwa i węgle. Stało się ciemno.

W tej chwili ozwał się z nieopodal głos Wodnego Kuby:

He - he - heu!...

- Tata idom! - drgnęła Ulka.

- Jesteście ta?! Bez cos watre osdskujecie?! - wołał Kuba.

Zbliżając się mówił: - Gmy mie zasły, widziało sie, co przepadnem. Cysto pięknie jek zgłupiał. Tagek seł, jak ślepy. Wyniesło mie psie mięso jedne kasi w takie źleby, co sie widziało, ze juz gwałte hań trza bedzie ostać. A nie widno nika nic; gma i gma. Dobrze mie juz janieli sej-mować z tyk turni fcieli. Pobłądziłęk, zakręcało se mnom... Je cos to haw?! W imię Ojca i Sena!... Kis to sto dia-sków?!... - Nadszedł i zobaczył przy księżycu strzelca na ziemi nieruchomego, a z rozwiązanymi rękoma i nogami.

- Cos sie stało?! Cozeście takie niemowy?!

Chwycił suchą gałąź, przygotowaną na ogień, zatlił ją, rozpalil i poczał patrzeć.

- Łeb ma ozbitom! W imię Ojca i Sena! Wtos to zro-biel? Cy sie ozwiązał i uciekać fciał?

Oglądał go coraz lepiej, mówiąc do siebie: - Odzienie na nim potargane, durkniony je ciemieniem o skałę...



Powrózki noze posprzecinane... nie porozruwane nijako...

Obrócił się do córek: - Cyście go wy ozdarli jak orły?...

Dziewczyny milczały.

- Ze cos zrobieł? Dyj sie sam o skałę nie prasnon ani

sie znika nie sulnon, bo nie miał skąd. Cos zrobieł? Dziewczyny milczały.

Wodny Kuba przywykły był ostro przewodzić w rodzinie, tupnął więc nogą ze złością i krzyknął z gniewem: - Powiecie, weredy jedne, cy nie?!

Dziewczyny stały koło strzelca i milczały. Róża patrzała na ojca bystro otwartymi oczyma, Ulka odwróciła twarz w bok, Wikta wsadziła koniec fartucha w zęby i spuściła głowę. Wodny Kuba stracił resztę cierpliwości, złapał patyk spod ręki i skoczył ku Wikcie.

- Powies lebo nie?! Dyrlago zatracona!

Wikta się przelekła, cofnęła, zasłoniła ręką i krzyknęła ze strachem: - My go zabiely!

Wodny Kuba wstrzymał się, jakby go spod ziemi za pięty chwyciło. Chwilę niemo stał, potem zawołał ze zdumieniem: - Zabielyście?

- Zabiely - powtórzyła Wikta i dodała z trwogą szybko: - Róża go zabiela. Wodny Kuba nie mógł ochłonąć ze zdumienia.

- Jazek zmiertwiał - rzekł. - Zabielyście go? Ale na co? bez co? Cy se sam na spaniu powrózki poozcinał i uciekać fciał? Abo fciał hipnonć do was? Ale dyj przecie związany był co cud! Cyście mu wy ozcieny powrózki?

- My, ale jus na trupie - rzekła Wikta. Wodny Kuba usta otworzył ze zdziwu.

- Hnet byś o rozum prziseł - rzekł. - Toście go związanego umęcyły?! Dziewczyny milczały.

- Bez co?!

Róża poczęła patrzeć w dół, Ulka odwróciła jeszcze więcej twarz, a Wikta wzięła znowu koniec fartucha w usta i spuściła głowę. Wodny Kuba stał przed nimi i patrzył na nie kolejno przy świetle księżyca, który wyszedł z chmur i wisiał na zrębie Batyżowieckich Grani, przedarty i zaiskrzony na ośnieżonych skałach.

- A cozeście go zjeść fciały cy jako? - ozwał się po chwili.

Patrzył na nie. - Hm - rzekł - coż sie tak hańbicie? Głowyscie pospuscały, nie patrzicie do mnie śmiało... Ej! - wrzasnął nagle, znowu wpadając w złość. - Abo

mi tu w te razy powrócić, abo, przy sam Panu Bogu, ja was krotni miliońscyl Tu was porombiem.

Chwycił siekierę we wściekłym gniewie. Wikta i Ulka skoczyły ze strachu, choć jeszcze kroku z miejsca nie ruszył, a Róża ozwała się gardłowo: - Wydrzeć mi go fciały... Beł mój... Bez to...

Wodny Kuba znowu się zdumiał niesłychanie. - Wydrzeć - powtórzył. - Jakos to? Nie rozumiem temu... Jako wydrzeć? Na co?...

- Ulka się ku niemu pchała - rzekła Róża.

- I Wikta tys! - zawołała prędko Ulka.

- I Róża! - krzyknęła Wikta urażona.

- Obie się pchały - rzekła Róża.

- I ty tys! Jesce barzej! - zawołały Ulka i Wikta razem.

- Tyś się pchała pierso! - krzyczała Ulka.

- Ba ty! - odpowiedziała Róża.

- Tyś go hycieła pod pazuhe!

- A ty za nogi!

- Wikta tys!

- Ja ino tak, boście wy ciągły!

- Ty! Tyś ku niemu pierso podjehała! - krzyknęła Róża.

- Baj to! Prawda! - odcięła się Wikta.

- Ona! - krzyknęła Ulka także na Wikte.

- E! Moze?! - broniła się Wikta. - Tyś na nim legała, nie ja!

Wodny Kuba słuchał i cudował się niemo; teraz nagle podniósł głowę, chwycił powietrze w usta, przysiadł na ziemi i zaczął się śmiać: - Ha! Ha! Ha! - aż się rozległo po ciemnej dolinie koło stawu.

- Ha! ha! ha! - śmiał się Wodny Kuba. - Kiz by się i diaboł nazdał! Ha! ha! ha! Toście go ozedrzyć pomiędzy sie fciały! Rany boskie! Pukne! Ratujcie mie świeñci janiółowie!... Pukne od śmiehu!... Ha! ha! ha! Jaze mie kolki prejom... Na mój sto prawdu! Kiz by sie diaboł nazdał, aj nazdał?! Ha! ha! ha!... Ha! ha! ha!...

Siadł na kamieniu i zanosił się od śmiechu.

- E dy... e dy... - począł mówić przerywanym od śmiechu głosem - e dy... trza beło za kolejom... e dy... kabyście go beły ozdarły... na cęści... i tak by sie do równości nie dostało...

zadnej... co potraza... jedna by miała głowę... ha! ha! ha! ha!.. druga nogi... trzecia! ha! ha! ha!... Pukne!... Pukne!... ha! ha! ha!... ha! ha! ha!...

Śmiał się, aż się na prawo i na lewo kołysał.

Róża patrzyła na niego dziko szeroko rozwartymi oczyma, Ulka miała znowu odwróconą twarz, a Wiknę porwał ojca śmiech i zaczęła pokwikiwać dziwnie, nieswoim śmiechem.

Kiedy się Wodny Kuba wyśmiał do syta, oczy z łez otarł, pas na brzuchu poprawił i włosy z ramion odgarnął, wstał z kamienia i jeszcze przerywanym głosem począł mówić: - No... dziewczęta... ale dzień hnet... trza w uciekaca... ścignonby nas wto zatela sukać... juz nas hawok ośpihowali, oslade strzelcowom tyś najdom - - podźme, by my sie ka nie stretneli s kiem...

Spojrzał ku strzelcowi. - Ej! Przidałby sie ten honielnik dobro nieść... No ale ta jako fciało... Musime sie sami jako spomóc... Frysko! Frysko! Zbiera jcie sie! Gajdzice!

Dziewczyny chwyciły się roboty jak ogień; rade snadź, że się już myśl ojca odwraca od strzelca. Ale Wodny Kuba, pakując i wiążąc zdobycze, śmiał się i drwił z nich: - O zackajciez ta, zackajciez końdek... Aleście z Capkowskiego fajtu!... Sydźkie Capkule do hłopa jak

kot do sperki!... O hej!... O zackojciez tys, zackojciez!... Ino zeńdzieme dołu... Terazeście tłuste, piękne... A co-byście sie jesce mnie starego nie hycieły... Ha! ha! ha!...- I znowu śmiać się zaczął, aż wiązać na moment przestał.

- Diabłaście zjadły, aj, zjadły! - powtarzał. - Sakowite rzeczy jek slišał we świecie, ale cosi takie nie. Ale was przinagliło naremnie! Wiera ze tys! Ale przinagliło!

- Jeść se, dziewczki, weźcie - ozwał się, gdy wszystko

było gotowe. - Ty, Ulka, zabier se, boś ty jeśna. No, podźme!...

Stęknął pod workiem, stęknęły i dziewczęta, jedna drugiej ładując na plecy. Mieli iść, kiedy Wodny Kuba wstrzymał się nagle i rzekł: - Wiera! Dałby nam ten!

Po czym szybko zsunął worek z grzbietu, przystąpił

do zabitego strzelca, obrócił go do ziemi i wbił mu nóż pod łopatką do serca.

- No, teraz hybajme co duhu!

## **SOBEK JAWORCARZ JAKI HONOR MIAŁ**

Za wydanie Sobka Jaworcarza nałożonych było dwadzieścia dukatów nagrody. Ale nigdy przenigdy byliby go nie chwycili, gdyby go jego honor nie zgubił.

Ścigali go dzień cały hajducy, strasznie zmęczony był. Odbiegł przecie ścigaczy, ale już ledwie dech łąpał. Świeciło się w jakiejś chałupinie przy drodze w Harkłowej - wszedł.

Zastał babę, chłopą, troje dzieci, dwie dziewczki i chłopaka wyrostka? wieczerzali.

Pana Boga pochwalił, powiada: - Dogoniłek sie drógami bez dzień, a i nie jadek nic, kiebyście mi krapke kwaśnicy dali, widzem, ze jecie, bo mie jaze pali na wnuku. A pote byk se ka lóg do rania.

Czy miał gazda wolę nocować go, czy nie – Sobek głową powałą wsparł - prosił go pięknie na ławie siadać, kwaśnicy pić, ile chce.

Choć Sobek broni, prócz ciupagi, przy sobie nie miał, bo go z nagłą zajęli, pozbierać się z leżenia nie miał czasu, poznał chłop, że to nie bądź jaki będzie włóczęga. Odzienie miał dochodzono, sponiewierane, ale widno było:

fajne. Co był, to był, bać się go chłop nie bał, wiedział, że mu nikt nic nie weźmie, bo nie ma co; biedna była chłopina. Daje tedy Sobkowi kwaśnicy, na szopę go spać zaprasza, ale mu też więcej nie świadczy.

Dziś przyszedł, jutro pójdzie, tyle się będą widzieli. A Sobka aż podsadzało na ławie, bo tego był pewny, że jakby swoje imię powiedział, to tak się stanie, jakby zagrzmiało z pieca. Onże to czternaście karczem żydowskich obrabował, on się z Zamku Orawskiego dwa razy wydostał, on siedmiu huzarów węgierskich pod Hradkiem od dziewcząt, sam jeden, stołkiem drewnianym tylko zbrojny, wypędził, on czterem hajdukom orawskim i z łańcuszków, i oków się wyrwał, targając je jak szpagat; on wreszcie Żyda na Obidowej, który pieniądze miał w ziemi zakopane i zdradzić nie chciał, za brodę i za pejsy do drzewa przybił, a karczmę podpalił, za co właśnie za jego wydanie nagrodęznaczono; on wreszcie tyle koni i wołów ukradł, tylu ludzi pokaleczył i tyle najgłodniejszego zbójeckiej kondycji matu na świecie narobił, że słusznie mógł mniemać, iż jak powie swoje imię, to się tak stanie, jakżeby w izbie z pieca piorun trząsł.

Co zaś spojrział na jedną albo na drugą dziewczynę, to go szydło żgało. I nie wytrzymał w końcu, choć wiedział, że po całej okolicy po wsiach i po miastach o nim obębnowali, i po kościołach z ambon księży wołali; nie wytrzymał i rzekł:

- Ja Jest Sobek Jaworcarzów.

Taki honor bestyja miała.

Jak też powiedział - nie chybił. Chłop fajki do ust nie wraził, tylko rękę zatrzymał, babie łyżka w miskę tyrknęła, dziewczętom oczy w słup stanęły, a chłopak się porwał z miejsca i wyskoczył za drzwi, jakby go kto oparzył. Uciekł.

Wiedział Sobek, co robi; strasznie rad był. Pozierał dookoła.

- Wyście Sobek Jaworcarz? - bąka po chwili chłop.

- Ja.

Już nie na szopę, ale go na pościel zapraszali spać, a sami na szopę iść chcieli, choć strasznie zimna była noc. Ale Sobek sobie w białej izbie posłać kazał - śmiało rozkazywał, prawo czuł - a cieszył się, że się przecie pod dachem wyśpi. Już go trzeci tydzień tropili.

Honorowy człowiek był i swój honor w ludziach przypuszczał. Nie wątpił on, że chłop o nagrodzie za jego wydanie wie. ale gardził myśleć o tym, że go wydać może.

- Przebaccie - rzekł zwyczajnie, wychodząc z izby czarnej.

- Z nicego - odpowiedział chłop i Sobek poszedł do białej izby, legł i zasnął.

A chłop duchem do wójta, wójt duchem po przysiężnych, po chłopów; zebrało się tego kupa, dwunastu albo więcej, obstępować domu nie było co, w okienkach były kraty, weprała się hałastra prosto do izby, gdzie Sobek Jaworcarz spał. Obyczajem zbójcekiem ciupagę on przy sobie położył, ale mu ją po cichu baba spod ręki zawczasu uprzątnęła.

Kiedy ujrzał światło, ludzi, sięgnął ku ciupadze - nie ma - skoczył z pościeli. Ale chytra baba groch po cichutku po podłodze rozsypała. Zaraz poślizgnął się i padł. Przysiedli go i związali.

Tak wzięli w Harklowej za Nowym Targiem Sobka Jaworcarza z Brzegów, spod samych Tatr, przed którego imieniem aż się, mówili, ziemia ugiwała ze strachu, gdzie płynęły Wag, Orawa, Poprad i Dunajec. Przez zdradę chłopską i babską go wzięli. Szeroko słynął.

Kiedy go na wóz wsadzać mieli, żeby do Nowego Targu do starostwa odwieźć, rzekł on do chłopu, co go zdradził:

- Cemuześ mi nie pedział, żeś biedny, a tego świń-stwa, coś mię wej przezradzieli, nie robieli? Byłbyk ci dał i telo. i jesce więcył, kielobyś fciał. Ale wam, kobieto, coście mi grohu pod kyrpce nasuli, to jino do ocy napluć. Wydać - no, po wsiak i po miastak wołali, kazdy prawo miał, mógek i ja sie nie kwalic, cok za jeden! Ej, na mój dusiu! Kieby nie te postronki! Jesce byk tobom, jino byk cie do garzci hycioł, zatracona babo, lepi tyk przisieznyk wyonaceł jako ciupagom! No, ostańcie tu s Pane Boge temcase. Ale sie na was nie bede mścił, bo sie oreł na jastrzębiu jino wte mści, jakby go przy gnieździe spotkał. A wyście ta moim dzieciom nic nie zwyrządźali, a hoćby wto i fciał, to bieda, bo ta po mnie jajko nie w jednym miejscu ostało. Gniazd be po świecie z pół kopy abo więcył. A i haw by moze beło jedno abo i dwa, jino ze sie mi spać fciało.

Rad by był kapelusza na bakier poprawił, ruszył się, tylko że ręce związane miał. Dziwował się wójt i przysiężny, i wszyscy chłopu na tę fantazyję.

- Cłeku! Nie wies, ka jedzies? - powiada wójt.

- Ka jade, widze, a i to wiem, ze dziwno pojade.

- Cemu?

- Bo mie konie bedom ciągly, a woły wiezły.

Taki jednak postrach jeszcze przed nim był, że go za

tę obrazę nikt nie uderzył; owszem, popatrzeni na niego chłopci z adoracją.

I byliby go może puścili, ale się każdy jeden na drugiego oglądał i na nagrodę liczyli. Spodziewali się, że każdy coś dostanie. Bandą też na wóz siedli.

A Sobek Jaworcarz, ledwie ruszyli, zaraz im zaśpiewał na poczekaniu:

*Oćkało mie g... ode nóg do głowy,*

*Tagek musiał jechać w Nowy Targ z Herklowej!...*

Wściekali się, ale go bić nie śmieli; i tak jechali, kląć mu, a on Im w śpiewkach urągał. Ale nim dojechali do Nowego Targu, już mu nic nie mówili podziwiając wewnątrz dusz jego fantazję i geniusz poetycki. On też im przestał urągać, śpiewał, jakby nikogo przy nim nie było:

*Ani tak nie idzie austrijacki Dónaj,  
Jak se hodziel drogom Jaworcarzów śuhaj!  
Ani sie tak gwiazdy no niebie nie świcom,  
Jak on patrzy śmiało popod siubienicom!*

- Ej miły mocny Boże - myśleli chłopci. - Juz on wej nieborak sam sie pod siubienicom widzi!...

I byliby go puścili, bo im samym krzywdy nigdy żadnej nie zrobił, ale się spodziewali choć po dwa cwancygiery za niego w urzędzie dostać.

A choć o chłopie, który go zdradził, myśleli, że "psia wiara", zazdrościli mu jednak dwudziestu dukatów i żalowali, że to nie do nich Pan Bóg Sobka przywiódł, że nie u nich się, kto jest, wyznał.

Tacy som jest ludzie.

Przywieźli go do Nowego Targu, odebrali go w urzędzie, do Nowego Sącza posłali. No i dobrze nie bardzo, dostał Sobek Jaworcarz dwadzieścia lat kryminału.

Bo jak tam jedno do drugiego, tu pokradł, tam pobił. karczmę spalił, wyszło jedno za drugim. Jak mu wzieni wycytować; co i ka, widziało sie, że do wiecora nie skońcom. Telo tego beło.

No i dostał Sobek dwadzieścia lat kryminału. Jeszcze i to ludzie mówili: nie najgorzej - bo mógł dostać dwadzieścia dwa albo i trzy. Ale w pierwszym dniu, czy ci powiedzą dwadzieścia lat, czy dwadzieścia trzy, to tam już wielkiej różnicy nie robi. Choćby ci i pięćdziesiąt lat powiedzieli. Tylko jak ci wsują na całe życie - ę, to już źle. Chłop miał czasem sześćdziesiąt lat, powiedzieli mu: będziesz dwadzieścia lat siedział - ej, to się ta prawda w głowę podrapał, no, ale ta jeszcze było, jako było. Ale dożywotni areszt - o, to już cała bieda. Choćbyś do osiemdziesięci roków miał, kiedy ci powiedzą: na całe życie - to tak, jakby ci na miejscu głowę w trumnę wtusili.

A Sobkowi było dopiero trzydzieści lat, na to se myślał:

Dyć hojbyk i nie uciók, to ta jesce taki nostarsy nie wyńde.

Ale on nie wątpił o sobie.

Zamknęli go we Wiśnickim Zamku. Ej! Wiśnic!

*Koślowie, Koślowie! uylście dobra!  
Teroz sie wam świcom na Wiśnicu ziobra!*

dobrze jest powiedziane, bo kogo tam zaparli, choćby był masny jak niedźwiedź w jesieni, mógł se rachować palcem zebra: jedno, dwa, trzi, kielo ik ta miał. Nie zmylił sie. Matka ci hań mleka na miske nie nalała ani grul z omastom nie wsuła.

Ale Sobek se nie markocił. Wiśnic nie Orawski Zamek, a on i haństela wysył.

Jak zrobił? Krate wypiłował utajonym pilnikiem i skoczył. Kielo ta leciał, to leciał, ale żywy spadł.

On wiedział, że żywy doleci, i to go wej zratowało. Bo to trza wiedzieć: kie chłop ufność straci, wiare do siebie. pocnie medytować, ozmyślować: przódzi kark skręci, jako ten nogę zwichnie, co śmiało przed siebie skoczy. Nie ma lepszych skrzydeł jak śmiałość - z dawna starzy ludzie mawiali. Tak też i on teraz myślał, Sobek Jaworcarz. Kiedy go zamknęli w kaźni, to on sobie śpiewał:

*Zamkli ci mie, zamkli, wartujom mie mocki,  
nic mi haw nie trzeba, ino ciemnej nocki!*

Kiedy Sobka zaparli w areszcie na Wiśniczu, dał on się zaraz poznać, kielo stoi.

Przychodzi raz ku niemu jakiś starszy dozorca - może to było na piąty dzień albo na szósty po przybyciu Sobkowym - z wielkim krzykiem, że Sobek kaźni nie zamiótł i porządków w niej nie zrobił, kiedy na niego wypadła kolej. Chłop był ten dozorca tak wysoki, że go więźniowie nazywali: Wieża. Jeżeli Sobek pod powałę sięgał, to ten by był wnet dachu głową dojechał. Wyzywa i wyzywa, krzyczy: Sobek słucha - nic. Na koniec, kiedy mu już tego krzyku dość było, tak jak stał. podniósł nogę. zamachnął i pac kyrpcem w pysk urzędnika. Ani nie drgnął, tylko mu noga poszła wyżej głowy, jak na zawiasach. Telo zgrabny beł.

Urzędnik buch na ziemię i krew mu się nosem puściła. Okuli Sobka w kajdany na trzy tygodnie. Ale już więcej izby nie zamiatał i porządków w niej nie robił. Wyzwolił się.

I to mu tak zeszło w tym więzieniu: pierwszych dni kilka na poznanomieniu się z towarzyszami i obyczajem więziennym, a potem na myśleniu, kiedy mu też kajdany zdejmą, bo strasznie ciężkie i ciasne były. Przez te całe trzy tygodnie mało co w nich oko zamknął; nie dało.

Wtedy opowiadał swoim towarzyszom różne historie z życia zbójników i ze swego życia. Górale, którzy znali wiele z nich, słuchali z tą satysfakcją, z jaką się słucha znanych, a zdumiewających i podziwu godnych opowiadań. Potakiwali głowami i wypowiedzeniem wielu: "Haj, haj!", "Hej, hej!" Inni słuchali z otwartymi ustami, a sława górali w ogólności, a Sobka szczególnie, rosła w ich duszach od dnia do dnia, od nocy do nocy. Bo Sobek umiał

zawsze swoją własną osobę w słońcu imponujących albo nadzwyczajnych czynów postawić. Przy nikim on mały nie był, nawet przy nieporównanym Janosiku nie. A najchętniej opowiadał o dowodach swej siły i trwodze, jaką wznicał, lub jak go z powodu jego rozumu wysokiego wykształcenia, wyjątkowych talentów: podziwiano i czczono.

Opowiadał więc na przykład, jak zimny, ciężki zwykle dla zbójników, przepędzał. W lecie mu grało. Przespał się gdzie bądź, w lesie, na szopie, gdzie w polanie, w żlebie

wreszcie jakim na mchu albo na płasience trawiastej:

ciepło było. Ale w zimie było gorzej.

(1) Toż to zbójnicy poniewtorzy radzi się zimowali u gazdów? w rzeczy szli za pachółków służyć.

Niek cie Bóg broni takiemu pachółkowi co na despet zwyrządzać! Dałbyj sef hej! Ten by ci podziękował, coby ci trzonowe zęby drugie urosły!

Tak też i Sobek Jaworcarz poszedł był na jedną zimę do Folfosa w Witowie za pachółka.

Ale ze to jakisi leń - myślał Folfos, co go przyjął. - Leży ino na piecu, a robić, pytoj Boże! nie kce nic! Folfos był gazda hruby, ale sobie myśli: Hej, kie ty nic, to i jo nic. Ta lez! Ba!

Nie dawał, ino bryję jałową owsianą - rzeke: ta sie rusys! Ale nic; Jaworcarz na piecu leży, a owsianą bryję je; nie ruszył się.

Folfos by był wnet innego kijem wyrzezał l z chałupy wypędził, ale się tu cosi bał trochę. Pacholek był pod powalę. I tak zeszła zima.

Skoro przyszła wiosna, ruszył się Sobek. Jednego dnia - nie ma pachółka.

Folfos orał w Bieskidzie od Orawy tłok, trójką byczkami.

Sobek przychodzi ku niemu i gwarzy: - Gazdo, to wam źle idzie! Bycki wyprząc i puścić na pase na młake, hej, a pude ja - sprógować...

I poszedł. Wziął za klucz w kolcach i orali. Jeden zagon. drugi l El Przy trzecim stracił Folfos i czapkę, ale nie było jej czasu wziąć spod skiby.

Wtedy się Folfos domyślił dobrze, kogo karmił jałową bryją przez zimę. Ale już było nieskoro.

Poszedł pacholek, co za trzy byczki orał, w las, ku Orawie. Dzień, dwa mija - nic. Zapomniał Folfos.

E. przyszli w lecie, w prawe południe. Było ich czterech. Zabrali do imentu, gdzie co było. A samego Folfosa, choć tam baby jajczały nad nim, złapali, złali wrzącym sadłem goły brzuch. Ino że mu tak powiedział Sobek, kiedy odchodził: - Owce mas, rznij! A owijaj sie skórami. To sie wygois. To za twoje bryje!



Zbójnicy ta na wszystko mieli sposób. I już go więcej Folfos nie widział ani on Folfosa. Nie był jeden drugiego ciekawy.

Inną zimę, coś we dwa lata później, inaczej Sobek spędził. Zasiadł w Zakopanem pod regłami, na Buńdówkach na mrażnicy przy Samkowych owcach. Był tam jak w twierdzy, bo się mrażnica robiła z całych smreków ściętych, nie okrzęsanych z gałęzi. A przy nim się tam obsiadła jego kochanka, Zoślanka, ze Zakopanego.

(2) Sobek był chłop do wszystkiego: mówił na książce jak nic, a na gajdach grał co cud! I ludzie go mieli strasznie za co. Kościoły były precz, to w niedziele schodzili się do Sobka, tam na Buńdówki.

Izba była wielka, piec przykryli chustą i było. Sobek się oblókł w długą po pięty Zojscyną kosulę, wziął książkę do garści i mówił na niej głośno pod piecem a ludzie za nim.

Baby klektały, aż gielcało po izbie.

Śpiewali piosneczki i pieśni nabożne z książki, a kiedy się już to nabożeństwo skończyło, to jedli i pili.

El bo hań u Sobka nie dostał odpustu nikt, jak nie przyniósł gorzałki w dzbanku, sperki albo i masła krużlika.

Wiedzieli już o tym wszyscy, to nieśli, co kto miał, a szli.

Kiedy się już najedli i napili, to zaś tańczyli. Pierwszy zawsze wychodził ze swoją Zoślanką Sobek; a kiedy się oni dość unosili, Sobek siadał na ławę, brał dudy i grał, a ludzie tańczyli.

Nieraz do wtorku to nabożeństwo dociągnęło u Sobka. I niejeden gazda przyszedł z tego odpustu łusy do domu.

Bo Sobek nie żartował: jenoby mu tam był który do

Zoślanki zeznał, brał za huncfuty, za łeb i peu! ś nim w pole, a włosy zostały w garści.

Ten się już żaden nie wracał do izby wygwarzać, tylko szedł pomału do domu, a macał się po łbie.

Nie było po co, bo Sobek żartów nie miał: ale tam gniewu nie było - na drugą niedzielę przyszedł.

Na wiosnę odmierzał Sobek Zoślance płótna na spodnice w lesie od smreka do smreka. To był ryf! (\*)

I poszedł w las.

Tak się zimował Sobek Jaworcarz hoćkie hoćkany.

Na koniec go odkuli i co się nie zrobiło. Przychodzi jeden taki młody oficerek, więźniowie właśnie na dziedzińcu byli, mur dookoła wysoki, i powiada do Sobka: - Jaworcarz! Prawda to, że ty umiesz po murze biegać?

- Prawda! Coz byk nie umiał! - odpowiada Sobek.

- Ile kroków zrobisz?

- Kielo fcem, choćby i śtry.

- Wskoczyłbyś na ten mur?

- Na ten? Ej nie, nie wyskocem.

- A wyleciałbyś?

- Krokami? Wylecem.

Zamyślił się oficerek chwilę, ale to młode było, ciekawe, powiada: - Dasz słowo, że nie uciekniesz, jek wylecisz?

Sobek się ani nie zawahał: - Dam! - powiada.

Kupa przecie ludzi koło niego stała: Lachy, Rusiny, zagórzanie, górale - przed tymi się pokazać, tych w dumę wzbić - a i żołnierzy było dokoła pełno.

- Słowo honoru? Wiesz co honor? - pyta się jeszcze oficerek.

- Honor telo znacy, co honor, wiem - powiada Sobek. - Był u księży pijarów w Podoleńcu cosi ze dwa roki i po łacinie mie ucyli. Miałek księdze ostać, ino sie ta cosi kański stało, co jek haw, hoćjek ta i tak msów

dość naodprawiał na Buńdówkak w Zakopanóm. Nie ucieknem.

- No to leć!

Rozstąpili się ludzie Sobkowi, rozpędził się, skoczył na sążęń wysoko, potem raz, dwa, trzy kroki zrobił, że się tylko ludziom po oczach migło, stanął na murze.

Oniemieli ludzie z podziwu. A Sobek stał na murze i patrzył w świat.

Wszystkim były serca w piersiach. W tej jednej chwili sto myśli leciało przez głowę skazańców. Mógł uciec. Poza murem nie pilnował nikt. Takiego latawca nie dogoniłby nikt. Mógł uciec, gdzie chciał, w góry, na Węgry, gdzie chciał. Był wolny.

Sobek stał i patrzył w świat. Był wolny. Słońce jaskrawo zapadało na niebie.

- Zeskocz! - krzyknął z dołu oficer. Sobek obrócił się ku niemu i stał na murze.

- Słowo! - krzyczał oficer, czerwony z niepokoju i strachu; sam by był więźnia jak umyślnie wypuścić!...

- Wiem - odrzekł Sobek Jaworcarz i zeskoczył na dół pomiędzy więźniów.

Zakołysał się koło niego szmer tłumionych wykrzyków i słów.

On zaś stał pośród ludzi, jakby załsniony tym jaskrawym słońcem, które tam za murem za krawędź ziemi zapadało. Oficer uspokojony i kontent, ręką go po ramieniu klepał, mówił: "Dzielny chłop! Tęgi chłop!" Ludzie pokrzykiwali z podziwu, i nad cudownym czynem zręczności, i nad tym jeszcze więcej, że Sobek na powrót w więzienny dziedziniec zeskoczył; on zaś nie słyszał nic.

Usłyszał dopiero te słowa:

- Dawno siedzi? - Miesiąc. - Wiele mu dali? - Dwadzieścia lat.

- I nie ucik?!

Sobek obejrzał się ku mówiącemu. Mały, sietniakowaty chłop, w górnicę odziany, jaką koło Gdowa noszą, patrzył na niego bladymi oczyma z wyrazem niesłuchanie wzgardliwego zdumienia; patrzył na niego, jak na człowieka, którego głupocie trzeba się aż dziwić, a którym, dla tej niezmiernej głupoty, nie można nie pogardzać. Sobek Jaworcarz zapatrzył się w oczy sietniakowatego

chłopa spod Gdowa. Obstąpili go górale, co na Wiśniczu siedzieli.

- Sobek! Aleś hłop!

- Tego by i Horny Kośła nieboscyk nie zdołał!

- Ani niwtory!

- Som pon oficyr gębe ozwieźli na kwile!

- Moze ci co i podarujom z roków za ten štuke!

- Nie widział tu jesce nik nic takiego!

- Hej! Kiezby tys?!

- Som ka jest tacy ludzie, jako u nas? Co?

- Hej! Ni ma to, jako my, spod hól!

- Ej! ta i u nos jest je ka drugi taki ku Sobkowi? Otoczyli go kołem; było ich pięciu czy sześciu, złodzieje i zbójnicy. Dumni byli z Sobka.

Bełaby s nas ś nim banda! - powiada jeden kościeliszczanin zbójnik do drugiego kościeliszczanina zbójnika.

- Ej wiera! Bełaby!
- Ja myślał, że u nas w Kościeliskach nolepse głopy!
- E, ono sie i ka inendyj trefi. Dyj i Janosik nie był z Kościelisk, ba skądśi ze Spisa.
- Wy! kościeliscanie? A Walcaki u nas w Zakopanym?! Mijałków Jendrek...
- A Nowobilski Walek? Podbrzyźni? z Białki? – E! W Kościeliskak...

\*\*\*

Ciemna noc była: wszyscy spali. Oko wykół, na niebie chmury czarne, nie widać światu nic. Deszcz aż huczał, lic straszna. Czarno w kaźni, tylko Sobek widział dwoje oczu, patrzących weń, sietniakowatego chłopca spod Gdowa. Mordowały go, gdzie się obrócił, patrzyły na niego mocne, wyraźne, uparte.

Sobek się ich wstydził, teraz się już ich i bał. Chłop siedział w innym skrzydle, na drugim końcu gmachu, pewnie spał teraz na pryczy i oczy miał zamknięte, a one tu, przez mury i dziedzińce, patrzyły w Sobkową duszę. Kurczyła się ona i wila pod ich promieniem, kryła się, a uciec nie mogła.

Powstawało ciało wściekle, złe, rozzarte, zrozpaczone, przeciw duszy.

- Coś ty mi uczyniła?! - jęczało. - Coś ty mi uczyniła?!

Nozdrza, nozdrza, które pociągnęły już wolnego powietrza ze światu; oczy, które już poszły poza mur, w świat: jakoby zębów dostawały i gryzły, i szarpały duszę Sob-kową. Dwie blade, wyraźne, uparte źrenice Lacha spod Gdowa topiły się w nią coraz głębiej i głębiej.

Był tam! na murze!... Jeden skok!... Wiatr by go nie dopędził!... Teraz by już był u węgierskiej granicy.

Zdawało się Sobkowi, że mu coś śmiga koło uszu, jakby jego ciupaga własna, okręcona nad głową, puszczona by szalony pęd wirujący z siły, z ochoty, z krwi! Tam, w lesie gdzieś, pod Pośrednim Wierchem albo Dziumbirem, jak rysie przyczajone, siedzą jego towarzysze, bracia. Długowłose, ogromny Jano Sliva z Vihodnej, Jędrak Migać z Bustryku, Józef Papież spod Babiej Góry, Józef Stanik z Kościelisk, Wawrzek Hawraniec z Podspadów. Tam oni siedzą koło watry i śpiewają półgłosami groźnymi na czarnodunajecką nutę zbójecki marsz:

*Hej! idem w las - piórko sie mi migoce!*  
*Hej! idem w las - dudni ziemia, kie krocę!*  
*Ka wywinem ciupazeckom - krew cerwonom wytoce!*  
*Ka obyrtnem siekiereckom - krew mi spod nóg bulkoce!*  
*Ciemnińska noc - ogień lasem prześwieca!*  
*Ciemnińska noc - złe sie złemu zaleca!*  
*Na polanie popod jedle - watra w lesie sie pali;*  
*Cy sie grzejom dziwozony - cy jom carci skrzესali?*  
*"Ty, mlady brat - ty sa s nami stowarzis!*  
*Jak padnie ci - budzies cirnom ziemię gryz,*

*A jak padnie - talarkami, dukatami budzies siał,  
Na kazdy dzień freirećku - kohanećku budzies miał!"  
Hej bratowie! - ja sa ku wam zwerbuję!  
Nie placcie mi - kohanecki leluje!  
Nie placcie mi, siostry moje - jabłonecki bielućkie!  
Nie placcie mi, matko, ojce - golqbecki siwućkie/  
Nie placcie mi - jo se ide zbijać, kraść!  
Za dak mi las - za posłanie mokwa, chraść/  
Jak mi padnie, talorami - dukotami bedem siał!  
A jak padnie, siubienicom - budzie se mnom wiater hwiał!*

Tak oni tam śpiewają półgłosem pieśń, o której nikt nie wie, kiedy i kto ją ułożył, pieśń, od której jodły się chwieją i orły zrywają się śpiące z konarów, i szumią skrzydłami w ciemności, ślepe, gniewne i przerażone. Tak śpiewają tam Sliva z Liptowa, Papież spod Babiej Góry, Stanik z Kościelisk, Hawraniec ze Spiża, Migać z Bustryku z Podhala - tylko im grać na kobzie nie ma kto, bo on, Sobek Jaworcarz, na Wiśniczu. Na Wiśniczu - on, o którym chłopci mówili; Kogo jako kogo, capu dzikiego skorzej za racie do garzci hycis, jako coby Jaworcarzowego Sobka mieli kie dostać!... - On, o którym dziewczki wyzdajały śpiewankę:

*Zaplątał sie sokół w babioletniej sieci,  
Jaworcarzów Sobuś siedem bram przeleci!  
Splątały sokoły w babiem lecie skrzydła,  
Jaworcarzów Sobuś nie da się wziąć nigda!*

On, o którym też dziewczki rady śpiewywały:

*Śnie mój, śnie kohany, cliwo mi przez ciebie,  
Kie sie bez dzień cały nahodze, narobie!  
Śnie mój, śnie kohany, uciekojze w pole!  
Idzie Sobuś z lasa, jo go od cie wole!...*

W oczy mu lunęły góry jak grad nagły na wiosnę, zza grani wydarty. Tu się uplaz zieleni, tam woda gra w stawie, tam owce becza, bielą się, turlikami dzwonią, spizaki, turliki, kłapacze: wszystko dźwięczy, dzwoni, rozbrzmiewa po polanach. Tam juhaski śpiewają, tam juhasi, tam któraś wyska zza wierchu: eeee-he-heu!... tam jej któryś odpowiada spod turni; hoba - hop!... Tam na

kobzach, na gęślach, na puszczalkach wierzbowych, na długich, daleko brzmiących trombitach grają - juhasi, pasterze, wolarze. Tu w szalasie ogień wre: chłopak piętami drobnego krzesze, aż iskry w dach biją. Przytupnął, zaśpiewał:

*Cy jo hłopiec nie młody?  
Cy jo nie mom urody?  
Siwe ocka, corne brwi!  
Pojdze, dziewczce, bo mie mgli!*

Piętą w glinę ubitą, w ziem, a któraś tam dziewczka spod ściany, z kąta:

*A jo tobie rada mom,  
Co mie pytos, to ci dom,*

*Cy barana, cyj koze,  
Cy sie sama poloze...*

Tylko iskry biją w dach, a gęśle brzęczą, jakby się w nich carci okocili!

Tam o jesieni kobiety len na boisku w szopie rafią, śpiewają długie pieśni miłosne, tak też i w zimie przy warsztacie płóciennym. Starzy gazdowie fajki kurzą, opowieści prawią, syczące w ogniu dusze czyścicowe za-żegnują. Wilki od lasu wyją, psy im odpowiadają spod chałup, nagle w nocy niespodzianie hałas, ujadanie, jęk, rozpaczliwe beczenie, rozpaczliwe krzyki i nawoływania: wilki się milczkiem podkraǳły, psa roztargały, pod oborę podkopują. Dopiero z czym kto może: ten ze sajtą płonąca, ten z widłami żelaznymi, który z ciupagą, który z flintą, który z cepami, z czym kto może - na pomoc sąsiadowi! Bitka, psy od sąsiadów co śmielsze, wielkie. liptowskie z kolczastymi obrożami, obces ku wilkom, cepy grzmia, ciupagi śmigają, już i baby, ta z sajtą, ta ze szczypą smolną, ta z kagankiem, z drzwi, z okien świecą, tu chłop wilka widłami przebóǳł, w górę go podniósł i rznął o ziemię, tam wilk chłopu do gardła, a pies na nim jedzie, żre w kark, z grzbietu mięso wydziera. Staraszony, zdeptany śnieg, pobite wilki, pozagryzane psy, pokaleczonych trochę i ludzi - cicha noc gwiazdzista ponad góry, tylko znowu z daleka słyhać wycie, a po chwili po chałupach znowu warsztat płócienny fycrzy i zaśpiewa która Zosia albo Marysia:

*Sadała rybecka, salala za wodom,  
Ale jo nie bedem, hłopcyno, za tobom!...  
Salala rybecka wodom za rybkami,  
Ale jo nie bedem za zakopianami!...*

cieniutko, wysoko, ponętnie, aż się serce w człowieku rwie i wydziera.

Rwie się i wydziera serce w Sobku Jaworcarzu. Wolny był, wolny mógł być! Jeden skok!... I byłby tam...

Wtedy się Sobkowi Jaworcarzowi wydało, że mógłby skoczyć od Wiśnicza po graniczne Karpaty, od Tatr poza liptowskie góry!... Wtedy mu się zdawało, że popłynąłby, śmignąłby przez powietrze łukiem, jak idzie łuk tęczy przez niebo... Wtedy...

Chwycił zębami kratę, począł ją gryźć. Piana z krwią poczęła mu się toczyć z pokaleczonych ust. Głową uderzył w kratę, aż mu skóra popękała na niej i włosy krwią ociekły... rękoma ją szarpał. - Takieek jako oreł haw! Zaparłście miel - szeptał. - A ja mógek wyńjsł A ja mógek uciec!...

Mógł!... mógł!...

Rozpacz wściekła, dzika, wariacka rozpacz zgięła Sobkowi krzyż w kablak, skróciła mu ramiona, zwęzliła palce i kraty pękły. Zapał się, targnął - wyłamał je z okna. Wówczas osłabł na chwilę. Zdawało mu się, że mu przez okno bez krat leca do kaźni całe Tatry i wszystkie chmury z nieba:

*Nie płáćcie mi - jo se ide zbijać, kraść!  
Za dak mi las - za posłanie mokwa, chraść!*

grzmiało z wiatrem w okno.

Sobek spojrział w dół. Wysoko było na dwa piętra, na dole kamieniami brukowany dziedziniec. Wydało mu się, że kamienie pod jego oknem ożyły - czekają żywe, spokojne. Czekają. Wzdrygnął się.

Rozpacz, tęsknota, radość, szal poczęły się w nim łamać ze strachem. Ciało wściekle, rozzarte przed chwilą ciało, poczęło drżeć, wstrzymywać duszę, uniewalniać ją. Sobek zawisł w oknie.

I dziwi - wszystko: góry, towarzysze, swój kraj - poczęły mu ustępować wstecz w ciemność nocną, cofać się, maleć... Zląkł się - nad wszystko się zląkł...

Wtedy blade, aż do pogardy zdziwione oczy sietniakowatego chłopca spod Gdowa zaświeciły Sobkowi Jaworcarzowi wprost w twarz. Hej!... Rzucił głową, wydzwignął się na rękę, wysunął nogi i skoczył. Zabił się.

Taki honor miał.

(1) Autentyczne góralskie opowiadanie przystosowane do tematu.

(2) Również autentyczne przystosowane opowiadanie aż do gwiazdek.

## O WALKU SIETNIAKU

Walek Prascularz ze Zębu sietniak był. Głowę miał wielką jak kadź, na niej włosy rzadkie i żółte, a stojące jak szczeć. Polany miał na tej głowie, bo włosy kępami rosły, a kępami nie. Co tam do spacerowania było, to się mogło do słonka grzać, kiedy chciało, tym więcej że Walek kapelusza nie nosił. Może go i nigdy nie miał.

Gęba wielka, opuchła, blada, jak u topielca, oczy wylupione na wierzch, niebieskobiałe, jak u ryby zaśniętej, wargi wywinięte, grube, obwisłe, czerwonożółte; z warg ciekło. Nos jakiś zarośnięty we środku. Pod gardłem wół, a nie to ino jeden, ale że dwa. Jeden na drugim, jak gołąbki na wiosnę.

Całe ciało pokrzywione, pokręcone, pogarbione, połamane - nie byś tam prostego nie uświadczyl, chyba kij, co się na nim Walek podpierał. Ładny był - nie było co powiedzieć. Potwora i potwora. A jeszcze się i jękał, ledwie krztusił.

Było mu siedm lat, pomiarkowali rodzice, co to będzie za parobek, że tęgi, i wygnali to z domu. Wrócił się. Wybili. Poszedł i znowu wrócił. Wybili znowu. Znowu poszedł i znowu wrócił. Ej, dobili tak, że czysto zdrętwiał. Kawalka skóry na nim całej nie było. Sprzecinali gałęziami het. Naprzódzi go bił ino ojciec, potem go bili ojciec i matka, za trzecim razem wraz i rodzice, i obaj bracia, i siostra. Bili, bili - i już się nie wrócił. Wyleżał za ogrodem pół dnia, w smreczkach pół nocy, i poszedł. Łazł, łazł, aż wylazł, że mu gęsi dali paść. Paść gdzieś w Skrzypnem, potem w Podczerwiennem, w Ratułowie... Pasał, a jak mu się co nie powiodło, bili i wypędzali.

Wędrował, aż znowu gęsi do pasienia znalazł. Nie był już taki zupełnie do niczego - ze sietniaków był najfajniejszy.

Tak wyżył dziesięć lat? już mu ich było siedmnaście.

Paś w lecie, we worek opasterzony, w zimie zebrał w lecie i w zimie w płóciennych gaciach chodził, a nie najedzony był jeszcze nigdy. Mrzygód był i takie było jego przeznaczenie.

Myślał on sobie różne rzeczy. Myślał: Bez co to tys to, co jo jest taki? Co jek komu zrobił i co jek winowaty, co jo je jest taki?... Bo on dobrze musiał snadź wiedzieć: jaki był.

Raz - służył on wtedy u Słodyczków w Ostryszu - widział, że się młody Słodyczka Jędrus, śliczny parobek, długo przezierał w przezieradełku. Wziął on je potem, kiedy Jędrus wyszedł do pola. z okna. i począł się sam sobie przyglądać. - Potwora jek - pomyślał i westchnął.

Była tam dziewczyna także śliczna, siostra Jędrusiowa, Agnisia. Ona paśła krowy, on gęsi. Miała ze czternaście lat. Pasterze krówscy piekli raz ziemniaki i Walek się nabiżył, że mu tam przecie rzuć jaki; bo on z chałupy nie dostawał od gaździny nigdy nic, dobrze jak jeszcze na czczo nie wypędzał z chlewika rano. Podeszedł ku pasterzom, było ich kilkoro, chłopcy i dziewczęta, siedzi i patrzy. To patrzy na ziemniaki, co się pieką, to na Agnisię, co je biczyskiem przewracała w węglach.

Jedli, a on patrzył i łykał. Zbliżyć się nie śmiał, siedział tak o dwa kroki od innych. Na koniec Agnisia wyciągnęła ku niemu rękę z ziemniakiem i mówi: - Ne! - a ten się pochylił ku niej więcej, niż trzeba było, i chuchnęło mu się przy tym z gardła. Czy chciał dmuchnąć na ziemniak zawczasu, że gorący, czy co... A Agnisia rzuciła ziemniak i cofnęła się w tył.

- Cos się stało? - jęknął.

- Bo ci śmierdzi z gęby, co raty! - odpowiedziała. Nie podniósł ziemniaka, odszedł. Zabrali się niedługo i pasterze z krowami, on został jeszcze. Kiedy się oddalili. zbliżył się ku popielisku, szuka, nie znalazł nic, tylko ten ziemniak, który Agnisia rzuciła. Podniósł. Wtem patrzy: Idzie pies. Co zamyślał, dość, że psa zawołał. Wyciąga rękę z ziemniakiem ku niemu i woła: - Na tu! na tu! - Stał pies. Wabi psa ziemniakiem, przywabił ku sobie. Daje mu ziemniak niby, a chyli się ku niemu i chuchnął mu w nozdrza. Pies kichnął, głową skrzył i spojrzał jednym okiem na niego.

- O! to musi śmierdzieć fest! - pomyślał Walek i zadumał się. A w zadumaniu opuścił rękę z ziemniakiem po sobie i pies wyjął mu ziemniak z palców i zjadł. Dopiero Walek w złość - łap za kamień ze ziemi. Pies w nogi i tyle widział jego i ziemniak, tylko się przekonał dokumentnie, że aż pies kicha.

No, już się też więcej ku nikomu z gębą nie pchał. I tak się zrobiło, jakby zaczął gnić. Łaty mu się jakieś wody z uszu, z nosa. z gęby, nawet z oczu, na głowie się porobiły bolaki. wrzody. "Walek kopy siana na polanak ustawio" - śmiały się dzieci. Po całym ciele się też wrzody pękające porobiły, cały był mokry.

Przychodzi w jedno rano Słodyczkula, gaździna, i powiada mu, a głos miała, jak to często między Podhalanki. ostry jak bicz:



- Bier sie , jus nie bees paść gęsi.

- Nie?

- Mom ci dwa razyj godać? - świsnęła mu nad uchem głosem jak biczem.

Walek już dobrze wiedział, że sie pytać dużo nie trza, bo w łeb biją, w brzuch kopią, w plecy popychają, noga. to noga, a kula drewniana, to kula. Poszedł. Idąc myślał. Juści nie bez co ine go wygnali, ino bez te rany. Hej! To ci dopiero śmierdzieć musi!... Bo on sam to i nie tak wiele czuł zarośniętym nosem.

Idzie i wyszedł na taki brzeżek nad potokiem, wysoki. turnisty. a w potoku w dole kamienie nastyrmane, ostre głązy, jeden na drugim. Patrzy dookoła się - majowy był dzień, jasny. W polu robili ludzie, krzatali się, śpiewali. Wesoło było.

Niedaleko była kapliczka; Pan Jezus w niej siedział półnagi, w cierniowej koronie, pokrwawiony, i opierał brodę na ręce.

Przechodzi Walek mimo, spojrzal w kapliczkę, uwidział Pana Jezusa.

Jego tam nie uczył pacierza nikt, ale co nieco wiedział o Panu Bogu. Wiedział i słyszał, że ludzie pacierze mawiają, modlą się , słyszał też. co nieraz o Panu Bogu mówili. Wiedział, że jes, i s hrusba. jaki jest. On ludzi stworzył, Onego trza prosić i dziękować Mu, a chwalić Go i uskarżyć Mu sie można, opowiedzieć mu jedno i drugie, a zwłaszcza strapienie, to pocieszy. Pan Bóg jest ojciec, Pan Jezus syn, ale to do wjedna za jedno.

Stanął Walek sietniak przed Panem Jezusem, patrzy na Niego i powiada:

- Bez cos tak?

I zdawało mu się , że Pan Jezus kiwnął ku niemu głową w koronie i powiada też:

- Bez cos tak?

Widzi Walek, że On też półnagi, pokrwawiony, w cierniach na głowie - i nie wiedział, kogo Pan Jezus myśli? Więc spytał się :

- Ty cy jo?

Ale Pan Jezus nic, tylko, zdawało mu się znowu, kiwnął głową w koronie.

- E, my sie tu, widzem, nie dogodome wielo oba - pomyślał Walek i poszedł.

Stanął nad potokiem na brzegu między krzakami - pogląda. Ogromnie wesoło w polu. Ruchu, śpiewu pełno. Idą koło niego, koło krzaków, parobek i dziewczka. On w kapeluszu na bakier z kostkami, ona z chustką na kark opadłą.

- Walek, kiez przidzies? - pyta się dziewczka.

- Jutro.

- O przijdze dziś, bo juz nie mogem wytrwać.

- Przez cego? - pyta się parobek i śmieje się łotrowsko.

- Ze! - krzyknęła dziewczka i zęby mu pokazała w śmiechu wstydlwym a wyzywającym, białe i ostre jak u kuny. Znać, że jej się to tak wyrwało z piersi chcący nie chcący, co powiedziała.

Parobek ją objął ręką i przygiął nieco ku sobie, przycisnęła się ku niemu, a krok jej zwolnił i ocieżał, jakby jej nogi kto podłamał w kolanach.

Przeszli.

Walek temu parobkowi było na imię, przypadkiem tak samo, jak i jemu. Wałkowi Prascularzowi.

W krzakach siedział Walek Prascularz, jak dziki zwierz, owrzodzony, obolały, cały lepki i mokry. Chciał wyjść ku polom, właściwie bez żadnego celu, ale się wstrzymał. Onieśmiały go zielone pola i ludzie na nich. - Kieby ik nie było, posełbyk - myślał. - I pięknie byś hań wyglondał - dodało mu się w myśli. Tak czuł, że opaskudzi te pola ludziom i że może by się i same pola zielone go wrodziły... Kto wie, może ziemię owradza, kiedy po niej stąpa?...

Wylazł na małą turniczkę nad potoczkiem, siadł, zwiesił nogi i zapatrzył się we wodę.

- Pomiędzy ludzi muszę nie chodzić, bok oćwiara - myślał - s Pane Jezusem jek się dogodać ni mógł. I cos On mi poradzi? Dy je taki biedok, jako i jo. Nawet gaciskók nie mo, a krew się leje po Nim, jak se mnie boloki. Bieda się takiemu o co wprosać, co nawet gaciskók nie mo. Kie w takim odzieniu syn, to ta i ociec wiele więcej nie będzie miał. Zyje se tys ta, Panie Boze, jako mozes, zyj. Ej, a ty, wodo? Cybyś mi tys ty nie poradziła jako w tej biedzie? Jeść się mi fce, worek się zdar, leci se mnie, gaciska się tys lewdy trzimiom, syćko mnie boli, świerbi, całe ciało jak w ogniu i ognite, plugastwo po mnie łązi, fce mnie żywce zezreć, teros, kie jek taki, gęsi mi nik nie do paść, ej wodo, wodo, radźże mi co przecie w tej biedzie, ej siwa wodo, siwa...

I zesunął się przypadkiem z turni, i gruch do wody z brzegu. Kiedy oczy otworzył, myśli: niebo?!

Powała nad nim z sozrębem świetna, święci pomalowani koło ścian, on leży na miękkiej słomie na ziemi, a nad nim oczu dwoje schylonych. Pomyślał: janiół?!

Oczy siwe jak woda w potoku, wielkie, jasne.

- Tereś - słyszy kobiecy głos bezdźwięczny. - Teresia janiółowi - pomyślał.

- Teres, osotał się ta?

- Patrzy, mamó - zadzwoniło nad nim spod oczu siwych.

Pociekawiło go ta anielska mama i ten dzwonek, chce ruszyć głową - e nie, niesposób. Ehe! - przypomniał sobie - spodek we wodę... pobiełek się ...

Ujrzał nad sobą drugie dwoje oczu siwych, ale w zmarszczonej oprawie. Mama janiółowa - poznał.

I spytała się go ta mama janiółowa: - Hłopiec, jakoz ci? zyjes?

Chciał odpowiedzieć - e, nie dało. Charknął tylko, zarzęził.

- Nie bedzie ś niego nic! - usłyszał trzeci głos grubszy, z kąta, i kłęb dymu zobaczył wychodzący, a potem ślina kicła na podłogę, cyknięta ze zębów.

- Janiółów ociec - pomyślał. - Fajke kurzy.

- Stasek, a co by my Komperde Jaśka zawołali, cyby mu co nie pomóg? - słyszy bezdźwięczny głos. - On doktor na sydżko.

- Odpad z turnie - ozwał się grubszy głos - takiego nie bedzies lecył. To przywilija śmierci.

Zrobiło się cicho w izbie; strach spadł na piersi Walkowe.

Śmierć usłyszał. Chciał krzyczeć, wołać: Ratujcie miel nie dajcie mie! - ale uwiązgło mu w gardle, zarzęził tylko.

- To przywilija śmierci - powtórzył grubszy głos. - Takiego lecył nie bedzies. Na wieki nie bedzie zył nik.

Siwe jasne oczy spojrzały z trwogą w oczy Walkowe. A jemu sie przypomniało i tylko sie starał nie chuchnąć, nie chuchnąć, nie chuchnąć...

Usłyszał poważne cupkanie kerpców po podłodze i blisko nad nim zakołysał się dymu kłęb, ślina kicła na podłogę, cyknięta ze zębów, i po pewnej chwili ozwał się grubszy głos.

- On juz zaros umre. Dajcie mu pojeść na dróge. Obrócił wzrok, skąd głos szedł, ale głowy ruszyć nie mógł. nic nie zobaczył.

Siwe, jasne oczy zniknęły. Chciałby je był przytrzymać... Niedługo zobaczył je znowu z innej strony koło siebie i zobaczył twarz i całą postać.

- E dy to dziewcencisko, nie janiół - pomyślał i zamroczyło go. Widział, ale nie mógł nic uskładać w głowie. rozumiał tylko, że nie jest w niebie, że ludzie wkoło...

Obok pojawiła się starsza kobieta, jak ze mgły, zapachniała mu kapusta pod nosem.

Wysilił wzrok: starsza kobieta stała się wyraźniejszą. Kłęczała przy nim na słomie i trzymała mu łyżkę z ciepłą, dymiącą się kapustą przed ustami.

- Pojedz na dróge - mówiła.

- Pojedz na dróge - ozwał się grubszy głos.

- Pojedź na dróge - zadzwoniło ponad nim. I dwoje rąk podparło mu słomę pod głową i dźwignęło ją lekko, ostrożnie, delikatnie.

Święci świecili koło ścian, powała była świetna, sozrąb błyszczał na pośrodku.

- Umiero - usłyszał bezdźwięczny głos.

- To przywilija śmierzci - ozwało się jakby z bardzo daleka.

- Umar - zadzwoniło...

## JAK DZIWNEGO JUHASA ZATAŃCOWAŁO

Dziwny Juhas na fujerze grał, a echo rozlegało się dolinami. Grał z Krzyżnego ku Pięciustawom i ku Pańszczycy. a rozmaite widma słuchały go radośnie.

Kiedy zagrał ciekłą nutę, wraz leciały mgłą osute, kiedy zabrzmiał cięższym głosem, dźwigały się ponad plosem, a kiedy się zaniósł śpiewem, leciały het, nad Tatrów grzbiet, gnały pod słońce, migotłujące, porwane wiatru gibkim powiewem...

I pędziły k'niemu falą, skrzydła im się w słońcu palą, albo w gwiazdy nabijane śmigają het, nad Tatrów grzbiet, w gwiazdach świecące, migotłujące, w obłoków białą wpłynione pianę...

Dziwny Juhas grał z przełęcz, echo mu po zboczach dźwięczy, pędzi, tula się w dolinę, przelata bet, nad Tatrów grzbiet, gdzieś w jeziorze utopione kołysze się na wodnym szkle, przesuwa się po wodnej ćmie - echo rozdzwonione... z fujery.

Rodem był ze Skrzypnego, zwał się Jantek Kudłac, do nich się nazywało do Kułaski, co była ludźmierzanka, matka, spode Tetmajerowskiego dworu, a juhasował w Pańszczycy. Owce pasał.

Hej! Kiedy wyszedł w turnie!... Kiedy wziął grad... Fajerę miał godną, długą! Widziało się, że góry słuchają, że kosodrzewina słucha, że stawek w Pańszczycy i w Pięciu Stawach stawów pięć szkli się od dźwięku. To było granie. Kiela światu byś zeseł, takiego byś drugiego nie słyszał. Co ta Jasiek muzyka był ku niemu! Za nic nie stał! I one, te widma, co popod turnie siedziały, rozmiłowane były w tej grze i leciały, tylko zagrał, skąd które mogło, gdzieby nie było. Mógłbyś powiedzieć: ćmy do światła. To się rojem sypało ze żlebow głębokich, skrytych, spod skał, spod mchów nad czeluściami czarnymi owisłych, z otchłani lasów prawiecznych, z prawiekuistych wód. Sypało się rojem.

Jedne gnały het od Bystrej, od Wołowca długą smugą obłoku nad Pięć Stawów, ponad Zawory; inne gnały od Rówienek z doliny, od cudownych, dzikich turni staroleśniańskiej wieży dwuszczytnej, z podmuchem ciepłym wschodniego wiatru. Szumiała nimi powietrzna wgłąb, a Dziwny Juhas grał na swojej fujerze.

Że się tak zapatrywał w przestrzeń nad sobą, a nie widział wtedy nic i nie słyszał: zwano go Dziwnym, Dziwnym Juhasem. Hej! Nie płacił ku niemu nic żaden muzyka świata...

Te widma, jak posprzylatowały ku niemu, te, co z dalsza, i te, co z bliższa, z Pańszczyckiej Doliny, z Waksmundskiej, spod Miedzianego: to się brały za ręce i tańczyły w koło, hej, a on im dopiero wtedy grał! Wartało słuchać... Rozmaite one były, a on je wszystkie znał.

Były tamoj leśne Ćmy, były tamoj Górne Gmły, były wodne Skróśświethce, były wietrzne Poświsniece, były Takie, co świat złocą, były. Co go kryją nocą, i były. Co go druzgocą; były jasne Błękitówki, były sine Trupiołówki, co leciały z takich stron, gdzie się mord stał, przekroczył zgon.

Były także ciche, blade, uśmiechnięte jak upiory, o olbrzymich, martwych oczach, choć patrzyły z nich jak orły, te, co lecą nie wiadomo skąd?!

Te krążyły mu nad głową, uśmiechały się jak żmije, wyciągały k'niemu szyję, szyje długie, śmigłe, białe, usta blade, półzwęglane od jakowejś żądy w białej w łona, co się w mgłach chowały.

Te krążyły ponad skały wielkim, cichym, równym stadem, wyciągając się na chmurach jak na wielkich, giętkich piórach i ziębiły świat jak gradem.

Gdy leciało stado owe, wiedły zioła podszczytowe, żółty chylił się kozłowiec - widział to Dziwny Juhas.

Hej! Byłyże widma wszeliniejakie, ganiały jedne z popodkładanymi pod głowy zaplecionymi rękami, na wznak na chmurach leżące - inne z rękami ku niebu wyciągniętymi, grzbietem do góry, ze skrzydłami na wiatr, jak ptaki wielkie, z przepaści świata.

Dzień po dniu wychodził Dziwny Juhas grać, na samo Krzyżne. Już stamtąd od południa słysząc było jego fujerę. Żeby bardzo pasł, nie mógłś powiedzieć, ale że tak cudownie grał, to juhasi radzi słuchali, i sam baca nieraz, Bartok Gapka z Maruszyny, owce za niego nawrócił. Miał też zresztą psa luptowiaka, Charnasia, rosłego jak cielę, co, widziało się, ludzki rozum w głowie posiadał. Wszystko on wiedział, co z owcami zrobić, tyle tylko, że doić nie umiał. Nie potrzebował się Kudłac, Dziwny Juhas, o pasienie trapić.

Więc huczały ku niemu doliny. Mógł słuchać, ile chciał.

Dźwigały się posuwiste, przycichłe, a ogromne głosy z dolin, i pięły się ku niemu ku górze, z obu stron - po piargach z cienia północnego od Pańszczy, po jasnych uboczach i kosodrzewinie śpiewnej od południa, od słońca, ze Stawów. Dziwny Juhas słuchał i grał. Bo on nie grał na żadne .nuty - on się na tej fujerze niósł, jakżeby go niebo ciągnęło, jakżeby się rozpiąć chciał, jak ino widno było po niebie. Nieraz to tak dzwoniło z fujery, jakżeby od niej w koniec świata, z końców świata w nią głosy płynęły. Taki był mały, ledwo go znać było na przełęcz z niższa, a tą fujerą swoją, zdało się, cały świat okrążył, het, het, poza Tatry. Tak, powiadali ludzie, wąż Światogłów ziemię wkoło oplata. Leży on na przestrzeni, ogon w pysku trzyma, w ogonie ma kamień czerwony, rubin, wielki jak słońce, w głowie oczy z dwóch zielonych kamieni, wielkich jak dwa miesiące, co się nazywają szmaragdy.

Na głowie ma koronę brylantową, której każdy brylant wielki jest jak Spiska Turnia lodowa i kamienna Łomnica razem, a w pysku zęby straszne, jak zęby kołyszącej się w otchłani świata Wysokiej. Między zębami ogień biega, szczery ogień, podobny do wiekuiście płonącej taśmy piorunu. We środku ziemia. W okręgu węża.

Tak muzyką z fujery oplatał ziemię Dziwny Juhas z przełęczu Krzyżnego.

Podawały mu ją smreki z wąwozów i urwisk i pustki zielone, dalekie, upłazów i uboczy, gdzie się jedynie kozy dzikie snują, podobne do rdzawych owadów skaczących w oddali. Wielki Staw szklął się ku niemu pieśnią, której głębina progów Tatr sięgała. Tam, od rdzenia, od podwalin kamiennych, z trzonu gór, podnosił się chłód niezmiennej martwoty, zastygłości trwałej, i wydobyty na powierzchnię wody, dyszał ku górze, ku górze!... Chwytał on się gry, co z fujery szła, jak zimny nurt rzeczny rozpalonego potoku żelaza, co je z młotowni wyleją. I wraz rozpalona, wichrowa, słoneczna gra chłódła i poczyniała brzmieć dźwiękiem niewysłowionym, jak gdyby złote, świecące ogniem żywym gwiazdy spadające uderzały o lód pieczar wiekuiście zamarzłych.

I co się nie zrobiło! W jedno popołudnie w niedzielę, ku końcu lipca, w upał ogromny, kiedy widma nie wzięły tańczyć koło głowy Dziwnego Juhasa! Z tańca zrobił się wir. A najbardziej, najgwałtowniej, najporywczej poczynają tańczyć te widma, nie wiadomo skąd, co uśmiech mają upiorów. Oczy im rozplonęły jak żagwie, z włosów się wyplatają jaszczurki w okręcie, wylatują za nimi, iskrzące, pędzą jak zagubione wśród wichru płomyki pochodni. Hej! Już bieda było wydażyć i grać. Coraz chyżej, coraz chyżej i bliżej gnają koło Dziwnego Juhasa widma roztańczone. To była jego największa uciecha, to było jego życie, kiedy grał na swojej fujerze, a one, te widma, Poświstnice i Takie, co świat złocą, i Te, co go kryją nocą, i Te, co go druzgocą, leciały ku niemu z przestworów i w miarę jego gry tańcowały. Hej! byłże rad! Boć mu się przecie zdawało, że świat do nóg szcarował, a nawet było tak. Cudowna to musiała być gra, której duchy same słuchały. Cieszył się nią - sobie grał, sobie na wyżynach, na wyniesionym siodle przełęczu, gdzie dumne wierchy gór oparły ramiona, aby spokojnie olbrzymie ciała rozesłać i spać w odęciu wyżyny. Hej! Sobie on grał - tam gdzie wiatr, gnąc się w szyję i łukowe skrzydła wędrownego żurawia, uniżał się ku jeziorom, orłem okrążał szczyty i jak olbrzymi gryf o gradami miecącej grzywie, walił się w gwiazdy i tumaniał ku ziemi. Sobie grał...

Ale teraz strach go jął zdejmować. Roztańczone widma, w szalonym okręcie około jego głowy, coraz bliżej i bliżej, coraz chyżej i bardziej porywczco wirujące, poczęły trącać sobą o jego włosy i twarz. Zdumieli się dwaj Juhasi, co słuchali poniżej pod turnią. Z fujery Dziwnego Juhasa wydierały się tony podobne do wycia olodzonych skał, gdy o nie w zimie nawałnica szalonymi skrzydłami uderza. Nagle fujera przestała brzmieć. Oto porwany w wir tańca, za włosy, ramiona i ręce, Dziwny Juhas, z fujerą w dłoni, kręcił się na przełęczu, zda się, latał w powietrzu. Zdumieli się, przełękli juhasi. Kręcił się, skakał lotem, wirował, podobny do oszalałej wichrem gałęzi, którą trąba powietrzna urwie i na miejscu, rozpostartą, obraca. Kręgi robił coraz szybsze, prędsze i bardziej porywczce. Bo oto wszystkie widma, które do gry jego biegły jak ćmy do światła, ujęły go w swój tan, w tan, który grą swoją wywoływał. A owe, blade, z uśmiechem upiorów, nie wiadomo skąd przyszłe, poczęły zeń ssąć krew, przyczepiając się ustami do jego twarzy, ramion i rąk, roniąc za sobą z rozklebionych włosów płomieniste jaszczurki, jak pochodnie rozchwostywane w żagliki ogniste na wietrze. Dziwny Juhas nie mógł się bronić, nie mógł się zatrzymać. Mgły dostały krzywych pazurów, błękitne obłoki sieciami szponistymi oplatały jego ciało, ze wszech stron, ze wszystkich sfer przestrzeni, spadały na niego płatówiska drapieżne wirów tanecznych,

bezielesnych widm. Chciał się wyrwać, opierać - nie mógł. Piarg usuwał się spod nóg, głązy stały się ślizgie, jakby je powlekl lód. Tańczył po przełęczy, wleczony przemocą, w takt muzyki, która umilkła w fujerze, a grzmiała w przestworze. Już skały ponad nim, doliny i jeziora pod nim, poczęły się kłębić w potworne koło ruchu, w chaos straszliwy. Mózg poczał pękać w głowie Dziwnego Juhasa, serce nie mogło wydażyć bić. Gine! - odezwało się przed nim.

Własne widma! Własne widma! I te, i te - co przyszły - skąd?...

Wyczarowane grą, w taniec zakłete... we własny takt... Nagle fujera pękła w ręku Dziwnego Juhasa, a on sam zatoczył się i runął głową w dół ku Pięciu Stawom, na upłaz, z upłazu w zleb, na głązy, na dół, na dół, aż mózg pryskał po kantach kamiennych i krew bluzgała jak iskry z główki ciśniętej z góry.

- Is! Is! Co sie stało?! Spad! Na ten hań strone spad! - krzyknął przerażony jeden juhas do drugiego, z tych, co słuchali i patrzeli pod turnią.

- Raty! Tak jakby go cosi zdmuhło! - odkrzyknął drugi przerażony.

- Wiera! Ale co? Dyj hań nik nie beł przy nim!

- Wto wie? Moze beł, ino nam sie widzieć nie dało - odrzekł drugi. Pomilczeli chwilę.

- Ze coz by hań mogło i być? - ozwał się pierwszy z przestachem.

- Złe.

Po czym obaj poczęli uciekać na dół po piargach ku pańszczyckim szalasom, trzymając kapelusze w rękach, aby im nie pospadały w koźlich susach, a z trwogi podnosiły się im włosy na głowach.

## ON

Olbrzymi, czarny niedźwiedź, urodzony i uchowany w ciemnosmreczyńskim borze pod Hrubym Wierchem, w puszczy, gdzie słońce tylko po wierchowcach świerków świeciło, nie mogąc przebić dachu splątanych ze sobą konarów i gałęzi, pod którym przemykały się w pogoni za sarną i jeleniem hordy krwawych wilków, torowały sobie drogę potężnymi łbami odyńce, a po którego wiązaniach ślizgał się cichy, zgubny ryś o złotawej sierci: pewnego wiosennego dnia usłyszał głosy nigdy dotąd nie słyszane. Zdumiony stanął i słuchał. Były to miarowe ciosy, twarde i głuche, budzące suche echo po sobie. Posuwały się od doliny w górę. I niedługo zadziwionym oczom niedźwiedzia ukazali się ludzie z siekierami w rękach, odrębujący na lewo i prawo gałęzie odwiecznych smreków, przez co czynił się za nimi długi chodnik. Było ich kilku, przez plecy mieli łuki i strzały w plecionych z łyka kołczanach oraz sakwy z pożywieniem, u pasa proce i woreczki z kamykami. Gniewnym, strasznym okiem patrzył na nich niedźwiedź. Chciałby się był rzucić na nich, poszarpać ich i rozmieść po prostu na wiatr, a jednak jakaś trwoga zatrzymywała go w oddaleniu. A gdy poczęli posuwać

się ku niemu bliżej, wydał z piersi pomruk zły i groźny, ale cofnął się w gąszcz, zaszył w nim i siadł, podnosząc kufę do góry i wietrząc.

Już w parę dni potem, chodnikiem przez cały las przeciętym. na polanę, gdzie rosły wysokie szczawy górskie. szerokich liści łopuchy i mnóstwo kwiatów i ziół, tak że polanka mieniła się błękitnym, żółtym, czerwonym, fioletowym i zielonym kolorem, przypędzili ludzie stada owiec i wołów, a wielkich, jak wilki i do wilków podobnych z wejrzenia siedm białych kudłatych psów w kolczatych obrożach szło obok lub za nimi. Natychmiast z głazów poczęto klecić jatę, na głazach pozbijano żerdzie i pokrycie umoszczono z żerde i odartych łup drzewnych, a na wierzchu poukładano ciężkie kamienie od wiatru.

Naokoło polany uczyniła się pustka. Pasające się tam dotychczas sarny i jelenie popierzczały, wilki podchodziły gęstwiną, nęczone widokiem owiec i wołów, ale bały się psów, zawsze czujnych juhasów, zbrojnych w daleko sięgające łuki i proce, i ostre ciupagi i noże, a przede wszystkim ognia błyskającego we dnie i w nocy z jaty, który nigdy nie gasnął. I dzikie szczeciniaste maciory, które tam żyły uprzednio, szukając bulw ziemnych, stadka swoich warchlaków powodziły daleko i nawet mocne, odważne, a często zuchwałe i napastliwe odyńce nie zbliżały się ku polanie.

Z wysoka, z turni, sponad dwóch stawów, co powyżej w dolinie wiecznie senne leżały, poglądały na nią ciekawe, szybkie kozice, w olbrzymich susach uciekając, gdy juhasi z owcami podwyższali się na upłazach, i tylko jedne orły skalne zakołysały się czasem na rozłożystych skrzydłach w przestrzeni, zaważyły i spadały jak piorun na jagnię, które unosiły ze sobą, o ile nie dosięgła ich prędką, pierzasta strzała, kamień z procy lub śmigła, rzucona przez juhasa ciupaga, warcząca w powietrzu w potężnych kozłach, nigdy niechybna.

Wkrótce poogradzano dla owiec koszary ze stragami, obok pierwszej jaty wyrosło kilka innych, powstał szałas.

Z dala, z kosodrzewin, pozierał ku polanie niedźwiedź. Mieszkało ich tu w Ciemnych Smreczynach kilkanaście. tu się pasły, mnożyły i wychowywały, stąd czyniły wyprawy na owsy zielone w lecie i złociste w jesieni ku wsiom ponad Wagiem, tu przesypiały snem zimowym zimę, przechodząc czasem ku Wierchcichej popod Kopy, ku Rybiemu i w inne doliny, rojne od pobratymców. Panowały niepodzielnie i absolutnie w górach. Łoś o rosochatych łopatach, mieszkający poniżej, zmykał ciężko, gdy tylko na ślad ich łapy natrafił; potworne tury o czołach twardych jak głaz, a sile powodzi, nie pasowały się wysoko i toczyły walki tylko z dolinnymi niedźwiedziami, po lasach. Stare, błyskające długimi kłami odyńce farkały i kłapały zębami, ale przysiadając na zadach pod wykrotem, gotowały się tylko do obrony, nie napadając same, a wilki, gdy bandą szły, a były głodne, mogły być niebezpieczne tylko na nizinie, gdzie drzewa nie rosły. Zresztą wygłodzone i do szaleństwa zuchwałe bywały tylko w zimie, kiedy niedźwiedź dobrze ukryty spał.

Nie było zatem rywala i jedynie miłość wypełniała góry rykiem walczących samców, podobnych do burz walczących. W całych Ciemnych Smreczynach, a może w całych Tatrach, nie było groźniejszego niedźwiedzia. Barki miał jak kloce, łeb jak kępa, sierć czarną, lśniąca, a kiedy się wspiął na zadnie łapy, wyglądał jak drzewo. Najstraszliwszy był ze wszystkich.

On też pierwszy ubił wołu osiadłym na polanie juhasom. Ubił go w biały dzień, zabłąkanego daleko w kosodrzewinach, a uderzył tak potężnie, że wół od jednego zamachu za łeb padł martwy z przetrąconym rdzeniem, nie zdążył nawet ryknąć i zguby jego nawet nie



dostrzeżono na razie. Dopiero zlatujące się na ścierwo orły, sępy, jastrzębie, sokoły i sowy rozliczne sprowadziły juhasów, którzy znaleźli już tylko kości.

Ośmielony napadł na innego wołu, w stadzie. Stado pierzchło w przestachu, nadbiegły jednak z ujadaniem psy, za nimi z krzykiem z ciupagami w rękach wolarze.

Niedźwiedź rozdarł najśmielszego psa, rzucił głazem ku ludziom, ale uciekł.

Od tego czasu zaczęła się walka, bo i inne niedźwiedzie podchodziły pod woły lub napadały owce. Nocami zwłaszcza psy, i juhasi pilnować musieli, gdyż rysie skradały się gęstwiną, a wilki wyły dookoła, odpowiadając zaciekającym się od szczekania owczarkom.

W powietrzu z ptakiem drapieżnym, na ziemi z drapieżnym zwierzem rozpoczęła się walka na zabój. Ale juhasi poznali już, że największe szkody, najśmielsze napady wykonywa ten wielki niedźwiedź czarny, "on".

Jego zaś wściekłość brała na psy i ludzi. Nieraz cały szereg dni przeszedł, że nie dało się ani jednego wołu zwalić, ani jednej owcy porwać. Przypadł niespodziany, wczesny śnieg jesienny, tak gruby, że pokrył krzaki drugich borówek i bruśnic, obłamał i zasypał czerwone gałęzie skorusz, trawy pogrzebał - nastał głód. Większość juhasów z wołami i częścią owiec zeszła do wsi, obiecując sobie powrócić, gdy śnieg staje; zostało tylko paru ze stadem owiec, które zamknięte w koszarze, żywiono nakoszonym za lata sianem. Przy nich były tylko dwa psy.

W noc ciemną i mroźną, pełną wichru ze śniegiem, wypadł "on", jak burza z chmur, z pomroków leśnych, runął jak lawina, urwana w upłazie, na polanę, i gnał jak potok z przewzbranego deszczem jeziora ku koszarowi. Wybiegły naprzeciw niego psy, ale nie zważał na nie, a one też tylko z daleka ujadaly. Jednym susem przesadził płot koszara i gruchnął na zbite w kupę. rozpaczliwie beczące owce.

Prędzej niż pomyśleć można, bił i ciskał na kupę. Nie pił krwi, nie pochłaniał mięsa, tylko bił i bił, grzmotał łapami i ciskał poza siebie. Zapamiętał się w tej rzezi okropnej; mordował i mordował.

Usłyszeli hałas psów i bek owiec juhasi, ale nie mogli biec na ratunek. Pod mokrym śniegiem gasły ze sykiem porwane z ogniska główne, w ciemności bali się zaś przybliżyć, a ich krzyki nie odstraszały niedźwiedzia. "On", "on", powtarzali z rozpaczą, gdy "on" szalał w koszarze, jak szaleje płomień w ciemnej stodole, pełnej słomy i suchego zboża. Gdy przez rozwalony płot owce wydarły się z koszara i wartogłowe ze strachu popędziły na oślep w sto stron, niedźwiedź począł pić z najcieplejszych krew, począł łykać wyszarpywane płaty mięsa z ciekącym od krwi runem. W końcu porwał jedną sztukę i w skokach przepadł w lesie.

Nazajutrz płacz i lament nappełnił polanę. Nie dość, że wyżej trzydziestu owiec pobił "on"; mnóstwo pochwytały wilki, gdy się rozpierzchły, co po śladach poznać było można; mnóstwo zapodziało się tak, że nawet odgadnąć nikt nie mógł, co im drogę zaszło. "On" zrujnował szalał do szczętu, i z płaczem, klątwami, złorzeczeniami i odgrózkami, z resztą żywych i zdrowych owiec, które się zegnać udało, uciekli juhasi do wsi, zamknawszy pobite owce w jednej z jat i obwarowawszy ją, i zaparłszy kołami i głazami, nimby przybyli liczniej po skóry i mięso. Ale "on" czuwał. Tejże samej nocy uderzył na jatę z towarzyszymi, rozeprali głazy, rozmiotli kłoty, koły i żerdzie i wyprawili sobie ucztę, od której krwawych strzępów pełną

była dolina. I gdy w trzy dni później, za ciepła, powrócili wolarze i owczarze popod Hruby Wierch, zastali zdruzgotaną jatę i wszystko mięso pożarte.

- "On"...

- "On"...

Rozzuchwalone tym powodzeniem niedźwiedzie dzień i noc trapiły pasterzy, że wielu się zarzekało, powróciwszy w jesieni do domów, że tam już nie pójda następnej wiosny, a straszna sława rozniosła się kręgiem koło Tatr.

"On" zaś tryumfował. W blasku księżyca gdzieś w uboczach Gołych Wierchów stawał, do czarnego głazu podobny, i patrzył z wysoka na puste doliny. I czuł się jeden potężny i niezrównany, jak halny wiatr albo piorun, którym nic nie wyrówna. I w jesiennym, późnym słońcu przewalał się po aksamitnych, ułożonych upłazach, po ogromnych, błyszczących trawach, podobny do kłody smrekowej, sam jeden najpotężniejszy, jak głusza zimowej nocy albo mróz ranny, który wszystko w łód ścina. I puste, milczące lasy znowu były jego niepodzielnym księstwem. Posępny, kolosalny, uginał barami konary przekraczając potworne, zbutwiałe kłody albo płynął wśród jesiennych wybujałych traw, czerniąc się wśród nich grzbietem, jak ciężko ładowna łódź na ruchomej fali. Wędrówki jego napęlała słodka pamięć klęsk, które zadał, zwycięstwa i pogromu. Królestwo jego, od wieków przez przodków mu przekazane, znowu stało się wyłączną jego własnością. I uderzył, jak skała w szczytach urwana, na wściekłego tura, który się z nizinnych borów popod Krzywań przybłąkał. Ujrzał go tur zbiegającego w dół między wielkimi, starymi, rzadko rosnącymi smrekami, pochylił łeb o strasznym czole i bodących rogach, zaryczał krótko, gardłowo i rozstawił szeroko przednie nogi, zapierając się zadnimi w grunt. Tak stanął, do mostu, na który kra uderza, podobny. Atoli szybciej, niż złamany wichrem smrek na kierz się wali, runął nań niedźwiedź i łapą w kark go uderzył. Bluznęła krew. Potworny bek wyrwał się z gardzieli zwierza i równie, jak dwie lawiny głazów z dwóch przeciwnych skał lecące zetną się z sobą w kotlinie, kamienie spiętrzą się w mury, a huk wypełni przestwory, tak oni z rykiem zwarli się ze sobą. Ale mocne, śmiertelne czoło tura ugodziło w pustkę; niedźwiedź uchylił się i powtórny raz zadał w kark wroga, wyrывая płat mięsa, który odwalił się od kadłuba jak kęsa drzewa piorunem z pnia oddarty. I cios za ciosem ponawiał straszliwy napastnik, unikając ciężkimi, ale szybkimi skokami rogów i czoła byka. Wreszcie ów, uchodząc śmierci, zawrócił i cały czerwony od posoki i olbrzymie jej bluzgi na mchy i gałęzie, o które się ocierał, rzucając, rozpaczliwym biegiem uciekać począł, z tętentem, jak gdyby młoty uderzały w ziemię. Ale stary, milczący las nieruchomo patrzył na tę walkę.

Zaś niedźwiedź zapragnął słońca po boju. Przeszedł więc dolinę Niefcyrki ponad Doliną Młyniczną przez grań od Hrubego Wierchu i tam pod przełęczą, w niezmiernej wysokości, leżąc między progami skalnymi na rozpalonej trawie, grzał się w słońcu, spoglądając w swej dumnej samotni na szeroki kraj ludzki tam nisko... I nie było żadnego więcej zwierzęcia tam, na wysokości. Stadka kozic, gwizdząc na trwogę, pomknęły w szalonych rzutach w niedostępne, czarne krzesanice, ponad im tylko niegroźne otchłanie, i niewielki jastrząb trzepotał skrzydłami w błękitnym powietrzu, czatując na siedmiobarwne, długodziobe motyle skalne.

Nadeszła zima, a z nią zimowy sen. "On" spał pod wykrotem kędyś w Hlińskiej Dolinie, ale ludzie radzili o "nim". Bo żal im było nie powracać na traworodną ciemnosmreczyńską polanę, a przy tym nurtowała ich serca chęć krwawej zemsty. I gdy wiosna nadeszła,

kilkunastu ludzi, dobrze zbrojnych w łuki, noże i topory, z łopatami w ręku i z zębatymi żelazami, zaopatrzonymi w grube łańcuchy, ruszyło wyciętą percią w góry.

Ujrzał ich obudzony już niedźwiedź i znowu chęć w nim zawrzała rzucić się na nich i rozmieść ich po lesie, i znowu jakaś trwoga popchnęła go wstecz, w gęstwinę. A jednak czuł, że cienkiej skoruszyny łatwiej nie łamie, kiedy ją chyli, aby owoce jej pożreć, niż zmiażdżyłby każdego z tych ludzi. I już, już porywała go żądza krwi runąć ku nim i powstrzymywał go jakiś niepojęty lęk. Ha! gdyby który zbliżył się ku niemu, gdyby natarł na niego... Podarty w sztuki okrwawiłby kosodrzewinę... Oko w oko spojrzeć człowiekowi, z bliska, tuż, tuż, to była najnienawistniejsza chęć "jego", najpełniejsza dyszącej krwią zjadłości. Ale natrzeć nie śmiał, czuł jakąś siłę obcą, nieznana, niepojętą w człowieku, mimo że był dla jego ramion jak giętkie gałęzie krzaków malinowych.

I przyszli znów na halę z wołami i z owcami juhasi. Przyszło ich więcej, przypędzili więcej wołów i owiec i psów przyprowadzili dwunastu. A szli z hukaniem, śpiewem i muzyką, napęniając góry dźwiękiem gęśli, brzęczącym beczaniem kobzy, daleko biegnącym świstem piszczałek i rozległym wyciem długich trombit. Szli tak, jakby pragnąc odstraszyć zwierza i naprzód ogłosić zajęcie w posiadanie, zdobycie i utrwalenie swej władzy na ciemnosmreczyńskiej polanie.

Bo ci z nich, którzy przybyli tu uprzednio, pokopali doły głębokie z niezmiernym trudem w skalistej ziemi, poczynili na nich wiązania z nawleczonych gałęzi i konarów i pokryli je mchem, aby stały na zdradzie wilkom, i pozakładali żelaza na niedźwiedzie.

Ale "on" zaraz pierwszego dnia po wygonie wołów w samo południe wypadł z kosodrzewu, ogromnego, siwego wołu upatrzywszy. Wówczas zoczył potwora, zaryczał ze śmiertelnej trwogi i zadarłszy ogon uciekać począł, dognany jednak, mimo wściekłego ataku trzech psów, które nadbiec zdążyły, padł pod ciosami łap nieodpartych. Dwa jeszcze psy biegły z pomocą i siedmiu wolarzy - "on" cofnął się od zdychającego wołu w gęstwinę, ale dał znać, że jest, że panuje, i odpowiedział na tryumfalne wejście w jego królestwo.

Walkę podjął i że nie zesłabł, pokazał.

I w pewną ciemną, dżdżystą noc postanowił ponowić napad w sam środek polany, na koszary z owcami. Aliści nagle przy wyjściu z kosodrzewu straszliwy ból przeszył mu boki i w zadnią nogę wpiły mu się z dwu stron spiczaste, długie, żelazne zęby oklepca. Ryknął boleśnie i szarpał nogę, atoli żelaza nie puściły, a gruby łańcuch i ogromny kłot drzewa z brzękiem, chrzęstem i łoskotem powlekły się za nimi. Rycząc, począł się miotać i szarpać, nie mogąc się uwolnić, nie mogąc cofnąć, bo półkola żelazne, łańcuch i kłot zawadzały o każdą gałąź i każdy sęk kosodrzewiny.

I toczyła się powoli czarna, dżdżysta noc ponad nim, nad jego rykiem strasznym, wyciem przerażonych wilków i zawziętym ujadaniem psów, które oblegały z dala miejsce jego nieszczęścia. Czasem wśród chmur wyrżał posępny, wiszący w otchłani, niebotyczny cień skały, jakby ciekawej: co się dzieje tam na dole, gdzie coś żyje, rodzi się i umiera...

I nastał świt. Białe światło rozlało się po dolinie i natychmiast ludzie wyszli z szałasów z łukami, toporami i maczugami w ręku i ostrożnie, powoli, z ujadającymi psami przed sobą, poczęli podchodzić w górę. I stanęli w zdumieniu, albowiem ujrzeni "jego", bo go poznali po rozmiarach i czarnej sierci, może na jakich ośm wysokości ludzkich, z żelazem, łańcuchem i

kłotem między konarami potężnego smreka, gdzie z bólu, rozpacz i wściekłości szalony wylazł, naokół zaś powyrywane z korzeniami drzewka, pokruszone, podruzgotane, potrzaskane pazurami i zębami gałęzie, pomiażdżone krzaki kosodrzewu, powydzierane z ziemi głazy, ciężkie jak młyńskie kamienie.

Stali i patrzyli zdumieni, nie śmiejąc się zbliżyć.

- "On"...

- "On"...

Wtem jeden pochylił się, podjął kamień, napiął proce i puścił cięciwę. Wnet uczynił to drugi, a inni naciągnęli trzymane w gotowości łuki. Grad strzał i kamieni począł bić w konary, w pień i w niedźwiedzia. Wówczas runął on na dół, aby rzucić się na ludzi, runął krwawy, pokaleczony, z tkwiącymi w ciele kilku pociskami. I poskoczył ku czeredzie napastników. Cofnęły się naprzód psy, zaskomlawszy, i pierzchły, a wraz cofnęli się gwałtownie ludzie. Pozostał tylko jeden wysoki i szeroki w barach góral, ze szpikulcem żelaznym, nasadzonym na grubym drzewcu bukowym. Ten stał, wsparłszy trzon o głąz i nastawiwszy ostrze.

Wlokąc żelaza w podrzutach przypadł ku niemu "on", a gdy już był na kilka kroków, wspiął się, aby łapą przednią w głowę uderzyć, i nabił się na nastawione ostrze pierśmi. I wtenczas z bliska pojrzał w oczy człowieka. Wtem topór ciśnięty przez jednego z juhasów zawarczał w powietrzu i wciął mu się w czaszkę za uszami. Zaraz drugi ugodził go w kark, trzeci w jedną z łap przednich. Także rzucane z ręki kamienie poczęły grzmocić mu w ciało. I zwałił się na bok z ostrzem w piersiach, łamiąc drzewce ciężarem upadku. Człowiek uskoczył, natomiast nadbiegły psy i za nimi ludzie. Dwa rozżarte kundysy wyzionęły życie z głuchym, przeraźliwym jękiem pod "jego" łapą. Strzały jednak, siekiery, maczugi, kamienie, ciskane z coraz bliższa, wytoczyły zeń tyle krwi, że stało mu się ciemno w ślepiach i bezwład opanował mu członki. Widział tylko jak przez mgłę posuwającego się ku niemu owego wysokiego, szerokiego w barach górala, co mu spise pod pierś podstawił, i uczuł wstrząsający całym jego jestestwem straszliwy cios maczugi w czoło, pod którym głowa spłaszczyła mu się na ziemi.

I jeszcze przenikliwy, nie do zniesienia, przeraźliwy ból rozwarł mu ciemne prawie ślepie; to przewalonemu już na wznak drągami jeden z juhasów pruł długim nożem brzuch i wypuszczał wnętrzności. I wtenczas znowu ujrzał ludzi z bliska nad sobą. Ciemne Smreczyny zostały opanowane, a "jego" potworną skórę, rozpiętą na wbitych w ziemię kulikach, suszyło słońce.

## ROSICKA

Był w Ludzimierzu nad Czarnym Dunajcem klasztor, a w nim mnichy, co się nazywali cystersi. Osadził ich tam wojewoda Iwo Cedro, a kiedy klasztor fundował, to mu zza kołnierza diabeł wyglądał, co na obrazie za wielkim ołtarzem w kościele więcej niż półsiedmsta lat przetrwało.

I był w tym klasztorze zakonniczek jeden, młody, nazywał się Augustyn, strasznie gorliwy i na pogaństwo okrutecznie zawzięty. A tu chłopcy w najbliższej nawet okolicy, jak się im

powiedziało: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" - to odpowiadały: Je dy Go ta kfal, jak mas cas...

I powiada raz ten ojciec Augustyn do opata: Ojcze wielbny, Ja pójdę ludzi nawracać.

- A gdzie? - pyta się go opat i po brzuchu się gładzi, bo właśnie łososia jadł.

- W góry.

I pokazał ręką od maruszyńskich wzgórz ku Tatrom. - Eć! - krzyknął opat. - Poszli tam ojcowie Paweł i Jakub i nie wrócili więcej, nie wiemy nawet, Panie świeć nad ich duszą, gdzie ich ciała nie pogrzebane leżą? Wilki ich zjadły albo łotrowie zabili. A może i śmierć męczeńską ponieśli i stąd by chwała na zakon spadła. Już nam i tak dominikanie przyganiają, że mało świętych produkujemy. I kogóż byś ty tam nawracać chciał? Tych zbójów góralskich, pośród których ledwie wytrwać możemy?! Powiedzieć nie ma co: zwierzyna jest, sarny, zające, jelenie, grzyb, ryba, jagoda jest, kuna na futro, jaja czajcze na post, jest, jest - ale niech tu diabeł nawracał Ostać się trudno. Złodziej na złodzieju złodziejem poganiam. Dobrze tyle, że się na klasztor nie śmieją porwać. Na świętą Ku-negundę i świętego Remigiusza patrona! Boskiej Opatrzności kościół, a klasztor sowom i kawkom zostawić!

Szczyrzyc piękne miejsce...

- O, nie godzi się tak, nie godzi się tak, ojcze wielbny! Im cięższa służba, tym większa zasługa! Pozwólcie mi, ojcze wielbny, iść, ja czuję, że mię głos pański woła i że się we mnie duch dźwiga.

I opat mu pozwolił wreszcie. Nie śmiał się głosowi Pańskiemu sprzeciwiać, ale się usprawiedliwiał przed starym kościelnym: Padoł, że się w nim duch dźwiga.

A kościelny: Dźwigać się ta dźwiga, ino nie wiem, ale się to za moich czasów nazywało inacy...

W ranek majowy, w świt pełen woni, przeczystego powietrza i upajającej świeżości, przy wschodzącym słońcu, ruszył ksiądz Augustyn z bramy klasztornej, nic w rękę nie biorąc dla obrony, ani psa z wielkich kudłaczy, które zakon chował, cały na Boską Opatrzność, która go natchnęła, zdany. Dunajec w bród przeszedł i kamieniami ku drugiemu ramieniu wody "pod brzyskiem" szedł.

A potem zaraz zaczynały się już lasy i wśród nich rzadkie osady.

Śpiewając pieśni nabożne, ze skaplerzem na piersiach, z różańcem w ręku, szedł nawracać naród pogański.

Przechodziły mu drogę potwory; wilki, dziki niebywalej wielkości, niedźwiedzie tak ogromne, jak krowy, ale jakoś szczęśliwie między nimi przechodził, ufając.

I pół dnia brnął po lasach, nie napotkawszy ludzi, aż w południe samo posłyszał z gęstwiny i mroku packanie kijanki i śpiew niewieści. Ucieszył się, jedno, że się pracę świętą rozpocząć spodziewał, drugie, że i za widokiem człowieczym stęskniony był, i skierował w stronę skąd głos leciał. I już wyraźnie odróżniał:

"Uwiede, uwiedę, kie pude po wode, nie uwiedem we dnie, ale wiecór pewnie!..."

Spomiędzy drzew zobaczył polanę, na niej kilkanaście okolicznych obór, ogrodzonych ostrokołami, a za ostrokołami widniały ogródki kwietne. Trochę też pola było uprawne, zieleniły się na zagonach owies, nać karpielowa, kapusta. Nad potokiem klęczała młoda, koło siedmnastu lat dziewczyna prała kijanką koszule, których kilka leżało rozciągniętych na brzegu do słońca.

Na głowie miała białą, lnianą chustkę, zawiązaną pod brodę, w koszuli była rozwartej na młodych piersiach, w płótnianej spódnicy, ugiętej tak, że jej po kolana gołe nogi widno było; rękawy też miała wyżej łokcia zagięte. Ksiądz wysunął się z gęstwy.

Dziewczyna na jego widok porwała się znad wody i zamierzyła kijanką do ciosu.

- Niech będzie pochwalony - rzekł ksiądz, a oczy mu mimo woli padły na rozwarcie koszuli.

- Co fces?! - krzyknęła dziewczyna ostro.

- Pana Boga chwale.

- Boga?

- Haj.

Dziewczyna patrzała na zakonnika i rękę z kijanką opuściła wzdłuż biodra. - Jakiś ładny i niezły - myślała.

- Co naw fces? - zapytała łagodniej.

- Z Panem Bogiem przychodzę.

- Bóg nie potrzebuje, cobyś go nosił. On kie fce, to se haw przydzie sam.

Ksiądz zbliżył się ku dziewczynie; ta, widząc jego wysmukłą postać, niepodobną do olbrzymów, którzy ją otaczali, raczej z dobrotliwym politowaniem niż z obawą nań spoglądała.

- Cożeś ty za jeden? Skądeś prziseł? Jeść ci sie nie fce?

- Jagody jadłem w lesie, miałem chleb i ser. Bóg ci zapłać. Idę z klasztoru z Ludzimierza. Boga prawdziwego niosę.

- Je, juzek ci pedziała, że bóg nie pyta, coby go kto nosował. Toś ty z klastoru? Wiem. To ty nie mozes ku dziewczkom hodzić ani baby mieć? Wiem, słyszałak.

- O nie.

- Mój biedoku! Je jakoż ty wysiedzis hań przez ko-hanio? Toś ty moze skróś tego tamstela uciók?

Obraził się ksiądz, ale się wstrzymał i rzekł łagodnie:

- Poganko młoda, kto Panu Bogu, Jego Synowi Najświętszemu i Jego Matce, Marii Pannie, wiarę poślubił: już ten innej miłości nie może znać.

- Jakosi cudnie gadas. Hnet byś mnie z rozumu wywiódł. Jakiz to Bóg, co ma syna? I ta Maryja cy jako jej, to sie nie wydała, kie je pannom? To se jino tak syna z tem Bogem mieli? Ej ha!

- Wszystko ci to wytłomaczę, młoda poganko. Jak ci na imię?

- Mnie? Rosa, ale mnie wołajom Rosicka albo Roska.

- Rosa? Może Róża?

- Jaka ta róża?! Róża kwiat.

- A rosa rosa.

- Je dy bez to. Od rose mnie nazywajom Rosicka.

- Słuchajże, Rosicko, moje dziecko - zaczął ksiądz.

- Dziecko twoje? Je dyś ty jesce smark! Małoś co starsy jako ja!

Zbliżył się ojciec Augustyn ku potokowi i siadł na kamieniu.

- Bolom cie nogi? - spytała Rosicka.

- Dużo szedłem.

- Je to se jino siedz. Ale jeść ci sie nie fce?

- Nie. Słuchajże, Rosicko, moje dziecko w Chrystusie. W cóż ty wierzysz?

- Ja? Zje w coz byk wierzyła? W Pogode i w Psote, w Zielnom i w Kwitnoncom, w Mór i Powicher, w Grad i w Grzmioł. Bogów jest dość, wseliniejakik, a nad syć-kiemi jest Cas.

- W Imię Ojca i - zakrzyknął ojciec Augustyn. - Toś ty poganka prawa?!

I jął się żegnać, jakby chciał złego ducha odegnać.

- Je coz to robis - zapytała zdziwiona dziewczyna - co tak mieles renkom po sobie?

- Zegnam się w Imię Pańskie i diabła od siebie i od ciebie odganiam. Toś ty nic nie słyszała o Bogu chrześcijańskim?

- Jakiz to?

- Który dobre nagradza, a złe karze. Którego chwalić trzeba i prosić Go -

- A zawdy da?...

Zastanowił się ojciec Augustyn.

- Według woli swojej.

- Ja ta jino wte pytam (1), kie wiem, ze nie po próżnicy.

- Który stworzył niebo i piekło.

- Niebo, wiem; a piekło?

- Gdzie dusze przeklętych gorzeją wiecznie.

- A wtoz przeklenty na wieki?

- Ten, co Pana Boga nie czci.

- Ehę? To sie wej rad mści twój Bóg? Ehę! A s cymze mu sie zasługować?

- Trzeba się wyrzec marności światowych.

- Je jakiez to ty marności?

- Które diabeł stworzył.

- Diabeł? Zły? On ta wse człowiekowi blisko. Westchnął ojciec Augustyn, że tu o diable pierwjej słyszeli niż o Panu Jezusie.

- Trzeba dla miłości Boga wyrzec się uciech świata - prawil dalej.

- Jako? Ja by miała nie tańcować pokrony jakiegosi boga? Ze dy nasi to jesce by s nami tańcowali radzi.

- Trzeba ciało umartwiać, pościć, biczować się, we włosiennicy chodzić, na gołej ziemi sypiać.

- Tu mas! - krzyknęła dziewczyna oburzona. - Ja o takim Bogu ani nie kcem słyseć!

Zastanowił się ojciec Augustyn i pomyślał: Sroga to jeszcze poganka i zgoła pojęcia o świętej wierze katolickiej nie ma. Nawrócić i zbawić tę duszę mój obowiązek. Ale poznać ją wpierw trzeba do gruntu, jej błędy i herezje.

I spytał: A twoje bogi jakie?

A dziewczyna zaczęła: Moje bogi som nie jest takie... Ony ta nicego sie wyrzekać nie nakazujom i kiebyś im jino miodu postawił, placka upiók, wian zielony abo kwietny zawiesił, ogień smolny zapalił: to ony jus rade. A nalepso Zielna.



I pół mówić, pół śpiewać zaczęła: Zielna idzie po polanak, po trawnikak, po zagonak, i po lasak idzie carnyk, i po wodak, i po górak... Zielna sieje młode kwiaty, młode ziele, młode drzewka, a we wieńcu hodzi polnym i w obłok sie stroi rada... Uwidzisz ją w młodym słońcu, w małym maju, w wielgim maju, jak se hodzi ponad pola... A dziewczęta jej na pełni wieńce pletom i chram strojom w rozmaite leśne kwiaty, w leśne kwiaty i jagody... W wielgim maju jej na pełni wieńce pletom i chram strojom, chram, co stoi hań pod lasie, pobudowany ze skali... Chram ubierom pięknie w zieleń, we woniącom, w urosonom, od tej rose, co jom miesiąc, co jom miesiąc biały sieje... Pote ogień sie zapali, ogień ze smolnego drzewa, coby dym seł jaz pod hmury, jaz ku niebu, jaze het!... Pote weznom sie za ręce, tańcom, hipcom koło ognia, w wielgim maju, hej na pełni, w ciepłom, cihom, jasnom noc... *i śpiewajom tak:*

*Zielna, Zielna, ty nam daj, coby nam sie darzyło!  
Na zywine, na ludzi coby moru nie było!  
Zielna, Zielna, ty nam daj, scyńścia przynieś cały snop!  
Siej na domy, na pola, pier na lasy, wody krop!  
Zielna, Zielna, my sie dziś cysto pięknie ubrały,  
coby my ci całom noc, caluteńkom śpiewały!...*

A te, co som panny jesce, to sie pote wraz odłącom, zrobiom mniejsze koło w kole i zaś zaśpiewajom tak:

*Hej Zielna, Zielna zielona,  
boginio ulubiona,  
dotknij nam nasyk piersicek,  
dotknij ocy, dotknij licek,  
Zielna, Zielna lubiona!  
Bo my jesce godne twojej  
renki, co w kwiat ziemie stroi,  
Zielna, słońcem sploniona!  
Jesce my z nikim nie spały,  
jesce my jak ten śnieg biały,  
jak ta rosa, jako sreń!  
Jesce mamy wstyd rumiany,  
jasnom różom malowany -  
Zielna, Zielna! To twój dzień!...*

A zatela sie parobcy ka wto może po cihućku poza krzaki przikradajom i pote ku dziewczkom hip! Przerwiom wian, poozruwajom, a dziewczęta z krzykiem w las! Uciekajom, oni goniom, wtory zdole, z ognia hyci smolnom gałąź, to ś niom leci, a świeci se het po lesie. Pełno krzyku, śmiehu, pisku, ognia w lesie - - Zielnej święto! Wtodej wtora nie ucieknie, kie jom złapiom i przisiendom, to jus bedzie ig! Ale ta mało wtora tak ucieka, coby jej zaś nie dostali - - i jest wielgie Zielnej święto, w wielgim maju hej na pełni, noc miłości, święta noc...

Słuchał ojciec Augustyn i zasłuchał się. Bo to było młode i nigdy świata bożego nie widziało. Zasłuchał się i oniemiał.

- Noc miłości, święta noc - - powtórzył.

- Wies ty co - rzekła mu dziewczyna - pomozes mi kosulki moje poozciagać do słonka, coby skły, to ci dam obiad. Ale hań ozciągaj wysy, ka obsukcej, nie haw zaraz przy wodzie.

Nim się ksiądz opatrzył, włożyła mu w ręce obugarść wilgotnych koszulek i - nim pomyślał, rozciągać je zaczął.

Serce mu biło i ręce mu drżały, a w uszach dzwoniło: noc miłości, święta noc...

- A ta, wiesz, ta kosulka, co ma takom korunecke koło syje, to na święto, na zielne... Takom kosulecke to jino ta ma przywilijom oblec, co je jest panna.

- Toś ty panna? - wydarło się zakonniczkowi z piersi.

- Ba jakoz? Panna!

- I na tę świętą noc, noc miłości, tę koszulkę uprałaś?

- I piersy raz. Przadłak na nie płótno i usyłak sama. Bo tak ma być. Kie piętnaście lat dziewczęciu minie, wte jej takom kosulke dajom syć i wyprać. Przódziej nie.

- To ci dopiero piętnaście minęło?

- W lecie. Be niedługo na siedemnasty.

- I pannaś?

- Je coż sie tak cudujesz? Dyjeś ta i ty może jesce panic, hoćjeś ta jus i byciar nie od wcorańsa.

Gorąco się zskonniczkowi zrobiło, a wielkie, szafirowe, pełne światła i iskier oczy Rosicki patrzyły weń ze śmiałym, naiwnym, pytającym uśmiechem.

- No, poozciągali my pieknie. Słonko dogrzywa strasznie. Podźmy ka do cienia legnąć.

Stanął zakonnik, wyprostował się.

- Hybaj! Legnieme hań pod tym jawore... Poszedł. Coś go urzekło. Legł na trawie. A dziewczyna zaczęła się bawić jego skaplerzem, potem różańcem, zdjęła z niego jedno i drugie, a on się nie bronił nic, nic... Potem zaczęła się bawić jego kędzierzawą, młodzieńczą brodą i miękkimi, ciemnymi włosami.

- Ładnyś - rzekła, a piersi jej się wzniosły.

- Ładnyś - powtórzyła.

I dwa silne, gibkie, sprężyste ramiona otoczyły szyję ojca Augustyna.

Tymczasem niedługo cystersi o opuszczeniu Ludzimierza pomyśleć musieli. Rabowano im trzody na paszy, podpalano stodoły. Jak złe duchy wypadali z lasów zbóje, łupili, grabili, szturmowali sam klasztor. Już nie tylko w noc, w biały jasny dzień napadali.

I raz, stojąc na murze klasztornym i patrząc, jak pasterzy rozpędzali napastnicy, zawołał opat: Wszelki duch Pana Boga chwali! Patrzcie no, bracia! Widzicie tego smukłego chłopca tam, na przodzie?! W tym kozuchu, wełną obróconym do góry, ze sękaczem w łapie?! A tam taka

młoda dziewczka koło niego, takż w pałkę zbrojna? Na świętą Kunegundę i świętego Remigiusza patrona! Wzrok mnie nie myli! To brat Augustyn!

- Któregośmy za męczennika mieli?! - krzyknęli księza.

A kościelny zamruczał: Ono sie ta dźwigało, dźwigało, dźwigało...

Potem trapieni ojcowie cystersi przenieśli się do Szczyrzyca.

(1) Wte pytam - wtedy proszę.

## **PUDRASOWEGO KUBY ZMARTWYCHWSTANIE ALBO JAK SIĘ DIABEŁ JAK WESZ NA GRZEBIENIU POSTAWIŁ**

Pudrasów Kuba telo ino, że był prawdziwy Kuba, bo czy był prawdziwy Pudras, tego nie widział nikt. Pisał się Kohut, a wołali go Pudrasowym Kuba, a to bez to; Spotkał raz pleban Kubę, co się im dosyć rzadko trafiało. bo ta Kuba czego innego przódziej pilnował, jako księdza, i chciał se z Kubą co nieco przegwarzyć, jak to zwyczajnie dusz pasterz, żeby wiedział, jakich ma parafian. Kuba pięknie księdza pozdrówkał, bo to był grzeczny chłop i vse, pokiel się nie napił, do rzeczy. Pochwalił ksiądz Pana Boga. Kuba samo to, i pyta się go pleban:

(\*) - Kuba, je ktos cię też stworzył?

A Kuba niewiele myślący: Pudras.

- Cóż ty gadasz?! - mówi ksiądz. - Nie wiesz to, że Pan Bóg ludzi stwarza?

- Ej jegomość, wiecie - powiada Pudras - to beło tak: Sła moja matka niebozycka do Ludźmirza na odpust i za Gubałowskiem zastompił jej wilk. Ale, scyńście, niedaleko beł krziz - hybaj matka nań. Wilk se cupi pod krzize, a matka na krzizie siedzi. A jus beła wydana. Jak siedzi, tak siedzi, a wilk ta tys cupi i cupi. Meśli: Dej ta przecie jak nie ślezes, to zlecis - to se ino siedź. Ja ta casu mam dość, to se naw zackam. Ale co sie nie zrobiło: idzie od Słodycków Pudras, co prawie wte za leśnickiego beł w zakopiańskich lasak, a flinte ma bez ramie. E! - wilkowi sie casu urwało. Zabrał sie - nie cekał nic. A matka niebozycka tys z krziza śleźli - no, i do dziewięci miesięcy ja juz beł gotowy.

- No to co? - powiada ksiądz. - To cię i tak Pan Bóg stworzył,

- Ze dyć, jegomość, jako kcecie, kie ta beł krziz, to ta kajsi niedaleko musiał być i Pan Bóg - mówi Pudras (\*).

I Pudrasowym Kubą był ten Kuba od Kohutów do końca.

Chłop to był świecny, ino że pił. A kiedy się napił, nijakiego pomierkowania nie znał.

Szedł raz ze swoim krewnym, Wojtkiem Kobylakiem z Cichego, skądśi z dalsza, z Węgier, gdzie przy drzewie robił, bo to był syktarz nad syćkich, i wstąpili kęsi .na Orawie do karczmy. Piją, Kuba se przyśpiwuje, jak to on miał zwyczaj, kiedy pił:

*Napij sie gorzałki, jak mos turok jaki,*

*jak nie mos turoka, napij sie z potoka!*

I gwarzą ta o tym i o owym. Od gwary do gwary powiada mu Wojtek:

- To stajanko pola pod lasie wysy młyną po cioce, to sucy mnie, a nie tobie.

A tam Kuba zaraz od śmierci ciotki orał i siał. Zaczerwienił się Kuba od złości i powiada mu: Cóż plecies? Dy to moje, bo mi destamente ciotka zapisali.

- Twoje, boś se wzion, ale ta w destamencie inacy stało.

Wojtek ta był zawsze taki sysoła i sysoła, ale trafił źle; bo na taką zaprzekę Kuba, jak siedział za stołem, gruch go w łeb flaszką, a flaszką była kanciata. do tego pełna; uderzył w skroń i zabił. A pijany strasznie był; kiedy już Wojtek leciał z ławy, jeszcze mu rąbanicą poprawił w ciemię, że aż krew na pośród karczmy skła z głowy. Zwalił Wojtek stół na ziem lecący bez ducha, a Kuba dopiero postrzóg, co nie zrobił. Jak skoczy, jak załamię ręce:

O mój Wojtuś kohany! Cok ci tes zrobieł! Cok ci tys zrobieł! O niescęsno ta wódka! Niescęsno je tys!

Lamenci, a Żyd, co go prawie za szynkfasem nie było, kiedy się to stało, hałas usłyszał i diabli go z komory wywiedli. Kuba, jak był pijany, jak krzyknie: Kiz by to diabli byli, ajby byli, coby się krześcijańska krew oźliwała, a pogańska nie?! Łap za rąbanicę, hip do Żyda, Żyd we drzwi, ale nie zdążył; u progu go Kuba zarąbał. I jak się rozjadł; zabił Żydówkę i troje bachorów żydowskich, zrąbał cysto pięknie stoły, ławy, łóżka, powalał piece, dobrze ścian nie rozniósł. Bo Kuba był chłop niesłaby. I wywyrton się z tego wszystkiego popod karczmą i zamglał.

Karczma była obdalno ode wsi, nie naszedł jakoś nikt i Kuba tak leżał do rania na drugi dzień.

Kiedy się zbudził, dopiero widzi, co sprawił. Leci naprzódzi do Wojtka, obacuje go - darmo. Wojtek nieżywy. Żyd - to samo, i Żydówka, i Żydzięta. Trupy i trupy. Nie doobacował się nikogo.

Niedługo namyślał Kuba: poszedł ku lipie, co hań stała, wyciągnął pasek z portek, założył na gardło i powiesił się.

Dopieroż leci diabeł, co już od dawna na Kubę strzógł, a ledwie je rad. Bo to przecie z takiej duse, co nic nie robiła za życia, ino piła, a biła się, a na koniec pięcioro ludzi, choć ta i Żydów w tym styrok, zamordowała, będzie w piekle by na trzy dni uciecha. Leci on z jednej strony, ale i janioł stróż Kubę z drugiej. A janioł Kubę rad widział, bo mu przedtem przez sto lat za jakomsi karę kazali starych bab pilnować i to mu ino śmierdziało, i cło mu się przy nich strasznie, a z Kubą miał ozrywkę. Przy tym Kuba pięknie śpiewał i janioł go rad słuchał.

- Je trzysta ci w garle dziś! - biadka janioł. - Je coześ ty porobił?! Teli naród wyzabijać! Ja ci tu jus heba nic nie poradze. Diabeł cie weźnie.

I stanon se z boku, nieśmiało, a diabeł widły ryktuje, czeka, tylko dusza z Kubę wylezie. A ta już widziała, że niepeć, i dzierży się ta jeszcze w grzdyce, jako może, ze strachem wielkim.

No ale cóż - coraz ciaśniej, musiała wyjść, co się już ino na końcu języka trzymała, bo ją wypchało. Ale w te razy idzie Pan Jezus ze świętym Pietrempawłem, co właśnie wtedy świat obchodzili. I spostrzegł wisielca, i duchy przy nim, i gwarzy do świętego Pietrapawła: Cosi sie hań stało, podźme zajźreć. Janioł, widzem, po boku, cosi hań źle.

Pan Jezus taki wartki, jako kce, w ocymieniu hań jus bel, a Pieterpaweł tys ta za nim kieniekie, jako zdołał, doleciał.

Pyta się Pan Jezus: Co to?

Diabeł mu sie straszne pieknie pokłonił i gwarzi; Przenajświętsy Panie - tak i tak.

- No, to jego prawo, diablówce - mówi Pan Jezus

i obrócił się ku Świętemu Pietrowi, i powiada: Skoda duse.

- No jużci prawda, skoda - powiada święty Pieterpaweł - ale co robić? Darmo.

Ale janioł, któremu Kubę strasnie luto było, pokłonił się zaś znowu Panu Jezusowi i powiada: Panie Jezu, królu świata! Zabieł ci Pudrasów Kuba Wojtka Kobylaka z Cihego, ale to wódka zrobiła, a wódkę zrobił diabeł. A co tyk Żydów, to zabił tylko od zalu, ze sie krześcijańska, w Twoje przenajświętsze Imie krzczona krew oźlała, a pogańska by sie nie miała oźlać? To ino jedno drugiem wypłacić chciał.

- Hm - zamyślił się Pan Jezus i patrzy na świętego Pietrapawła, bo mu wierzył. A święty jako święty, z diabłem nie będzie trzymał, ino z janiołem. Nie śmie sie nic obezwać, ale ta też nie dokwaluje nic nijako.

Dopiero, kiedy się go Pan Jezus spytał: Coz myślis? -

powiada: Ano, mam po prawdzie rzec, to i to, co ten janioł gwarzi, nie bzdura.

- Hm - kiwie Pan Jezus głowa, a święty Pieterpaweł, kiedy już widzi, że się Chrystus Pan namysłą, zaraz dalej:

Ze wódkę wrodoś diabeł zrobił, no to wiemy, Panie, Ty i ja; a ze Kuba j po pijaności o Twoim przenajświętsym Imieniu myślał, to nie grzyk, ba cnota.

- No to jakoż będzie? - gwarzy Pan Jezus. - Darować mu? Nijakim świecie - ludzi pomordował. A do piekła go dać mi go zał, bo inacej nie jest, ino tyk Żydów pokrony mojego Imienia wybił. Ale wiem, co zrobiem. Kuba zmartwykwstanie i be jesce żył, i dam mu casu odpokutować, I jako se zasłuży, tako mu ta na końcu wyjńdzie.

I trzepnon Pan Jezus w gałąź ręką, gałąź się złamała i Kuba bełł! na ziemię. Pasek popuścił i dusza na języku wisi, a Pan Jezus jej powiada: Duso grzesna, wracaj do ciała - i dusa zaraz śuchła do gardła, a z gardła dalej.

Ale na diabła aż poty wyszły, bo już dawno kolegom obiecował, że ino patrzeć, a duszę Kubę do piekła przyniesie - a tu wstyd. Jak się siepnie!

- Ej, wieraześci! - powiada do świętego Pietrpawła, bo do Pana Jezusa nie śmiał. - Wieraześci! Przepytyjem tys bars pięknie Wasom Niebieskom Osobe, ale ta dusa juz beła tak, jak moja, i to wiera nieładnie i diabłowi wyrządzać! Ja sie haw dość koło niego uzaskakował, kimek go na to przywiód, co zrobiel. Po darmo to sie i mnie pracować nie fce. A jak mi bedom duse spoprzed nosa brać, to nieg se ig pote ten do piekła nosi, co ig biere! Ja sie tu kazdemu nie dam z rozumu wywodzić! Bajto!

I telo był napajedzony, ze kie cupnie kopyte, iskry skurzył.

A święty Pieterpawł jak skocy ku niemu! - A ty huncfucie, opacniaku - krzycy - to ci Pon Jezus za kazdego, co?! To ty nie wies, omełtuku jeden, ze wola Tego, co świat Jego?! A naucys się ty moresu, ty psiakudło, ty bulko wody, ty pół nicego!

I trzask go w pysk!

I byłby go jeszcze nie tak wyonacył, bo się gwałtowni-wie ozeźlił, a naremny je, ale Pan Jezus się ani nie obejrzał, tylko dalej szedł, tak i święty Pieterpawł musiał rad nierad za nim iść. Tylko sie jeszcze za sie oglądał, a co się oglądnał, to diabłu pięść pokaził.

Zostali nad Kubą janioł z diabłem.

- No, toś przegrał prawo - pada janioł.

- Bajtoć! - mówi diabeł. - Nie beła nigda ze psa baranina, ino psina. Dobrego karcyma nie zepsuje, a złego kościół nie naprawi. On ta i tak bedzie mój. Ale ze mie tys ten świenty Pieterpawł wycion w pysk! O dwiesta lat nie odpuchne!

- Dobrze ci tak! - pada janioł. - Nie stawiaj sie jak wes na grzebieniu, kieś nie hłop na to!

Parobski wiater diabeł zrobił i do piekła do Lucypera na skargę się poniósł, a janioł Pudrasowego Kubę skrzesił i Kuba żył pono jeszcze siedmnaście lat kajsi we świecie, bo już do domu nie szedł, boby go ta byli wójcia i przysiężni wypucowali, i pokutował strasznie, i pono kanysi w klasztorze umarł, i dowutnie do nieba poszedł.

(1) Ustęp w gwiazdki zamknięty jest przystosowaniem góralskiego oryginału, który tu się kończy.

# O ZOSI WALCAKÓWNEJ

Ledwo tylko pierwsza żona Johyma Walczaka zza młaki zamknęła oczy, zaraz on się za drugą obzierać począł, będąc chłopem niestarym i gospodarstwo mając hube, które gaździny potrzebowało, i dzieci po nieboszczce zostały, pięcioletnia Zosia i ośmioletni Jaś. Ale macocha, którą skądś ze Skrzypnego wziął, dziewczka młoda i łakoma, wszystko by była chciała dla córki, którą miała z jednym parobkiem ze swojej wsi, zagarnąć i tak źle usposobiła do tych dzieci męża, że całkiem dbać o nie przestał, majątek cały na żonę i jej potomstwo przepisał i tylko tego im wydrzeć nie zdołała, co po matce zostało. Ale tego było dobrze jeszcze lepiej niż ojczyzny, bo pierwszą żonę z okolicznej obory Walczak wziął, od Sobczaków, i to ojcowickę, więc jeszcze i tak bogaci byli niezmiernie.

Byłaby macocha i biła, ale kiedy raz złapała małą Zosię za warkoczyk i w buzię ją uderzyła, a Zosia zaczęła płakać: Jaś sajtą spod pieca tak macochę zdzielił przez rękę, że jej jak martwa opadła. Zawrzała, porwała za puckę i rzuciła się ku Jasiowi, ale ten stał śmiało ze sajtą w rękę, nie ustąpił, a oczy mu się tak zjarzyły, że się przełękała naprawdę. Jak go nie zabijem - pomyślała - to on mnie... A jakby nie teraz, to jak dorośnie...

I nie śmiała go uderzyć, a Jaś do niej wtedy: Wiecie, jakbyście kie jescze tkneni Zosie, to wam syćkie zemby

skałom wybijem, a wasom Jagnisie z kołyski wyjmiem i dom świni zjeść.

I od tego czasu iskrzyła się baba złością na dzieci, wymyślała, przezywała, ale bić nie śmiała; a więcej jeszcze nienawidziła Zosi niż Jasia, za to że była ładniejsza od jej obu córek, tej z parobkiem i drugiej z Walczakiem.

A że dom Johyma zza młaki stał obdalno ode wsi. Jaś i Zosia ze sobą tylko najwięcej byli i strasznie się to rodzeństwo kochało. Mało kto kiedy jedno bez drugiego widział. Jaś by się był dał za Zosię porąbać, a Zosia by się była dla Jasia we wodę cisła.

Tymczasem oni rośli i wyrośli. Jaś na parobka, a Zosia rosła za nim na dziewczkę. Podani byli na siebie jak ulał i ładni, jak to we Walcackim rodzie: chłopcy śmigłe, zgrabne, hardej postawy, noga prosta, stopa mała, tanecznicy pierwsi, a na twarzy przystojni, suchej urody; dziewczki samo to, błękitnych, dużych oczu i różanych ust, jak kwiat.

Pewnego razu do karczmy na Ustupie, gdzie Jaś tańczył, wszedł Capek z Capkówki z obcym chłopem, ogromnej postaci, z włosami dobrze niżej ramion spadającymi, z twarzą w bruzdy pooraną i szeroką rysą od topora przez prawe lico. W mig zrobiło im się miejsce za stołem; uchylił się każdy. Bo to byli dwaj słynni zbójnicy, Izidor Capek z Capkówki, po zbójceku zwany "Koziar", i Maciek Nowobilski, sołtys z Białki, zwany pomiędzy zbójnikami "Prawo", jakby na despet, a między ludźmi "Krzesaty". Siedli za stół i kazali sobie dać gorzałki. Wypił "Prawo" półkwaterek blaszany i obrócił na stole dnem do góry, ale jakoś żaden z siedzących za stołem tego samego nie uczynił. Odwrócił się Maciek z lekkim ruchem lekceważenia i wzrok jego padł na Jaśka Walczaka, który tańczył. A właśnie tańczył on hajduckiego i muzyka grała mu:

*W sirym polu,  
w sirym, polu,*

*stoi lipa zelena;  
spod tej lipy,  
spod tej lipy,  
idzie woda studzena.  
Wto tu wodu,  
wto tu wodu,  
pic budze;  
myrha zienku,  
rnyrha zienku,  
miec budze!*

Popatrzył Maciek mimochodem, ale wnet wzrok mu sie ożywił i na chłopcu zatrzymał. Okiem znawcy śledził on jego ruchy, oglądał naprzód nogi, potem pierś i ramiona, potem głowę. Patrzył i parę razy pokręcił głową. A Maciek Nowobilski "Prawo" głową nie bardzo kręcił, bo on znał świat od Budzyna po Kraków, znał siła narodu, a w tym chłopów, którzy kiedy powstałi, to sie zdawało, że świat ozniesom. A i sam do najprzedniejszych należał, siłę miał wołu, a zręczność i lekkość samy jeszcze i dziś, choć już blisko pięćdziesiąt lat liczył. Więc kiedy on nad Jaśka tańcem głową pokręcił, to to jus wej beł toniec!

I pyta się Capka, wskazując ruchem czoła: Cos to za jeden?

- Johymów Jasiek, za młaki.

- Śwarny hłopiec.

- E dy tu nie mas lepszego, krzesny ojce.

- Kaz mu iść za karcyme. Niek uwazuje, kie dwa razy tyrkne półkwatke w stół.

Jasiek taniec skończył, podsunął się ku niemu Capek i co mu Nowobilski polecił, powiedział. Zabiło i ucieszyło sie Jaśkowe serce, bo że to Krzesaty Nowobilski, nie wiedział, ale imię jego znał i czcił, jak czcić potęgę należy.

I stanął za karczmą przed Nowobilskim, czerwony od wrażenia, choć zawsze blade miał lica, i aż dygotał, tak mu serce biło. A Nowobilski jeszcze raz uważnie mu się przypatrzył, zmierzył okiem jego wzrost wysoki, szerokość ramion, piersi, wcięcie w stanie - i ozwał się:

- Hłopiec, sełbyś se mnom?

- Zje ka?

- Poza bucki.

Zajarzyło się Jaśkowi w oczach. Mało nie oparł się

plecami o ścianę. Takiego honoru w życiu sie nie spodziewał.

- Sełbyś?

A Jasiek uchwycił Krzesatego za rękaw od czuchy i pocałował go niżej łokcia.



- Pude - rzekł.

- Dobrze. Git. No to go ty, Capek, przyryktuj. O pienię dni idzieme. Ciupaga, nozy, piscołce, torba. Co ci hybia, to ci dame. Aleś ty nie z płonego gazdostwa, to ta syćko musis mieć. Odzienie piekne, to, co dziś. Ja ide teraz do Słodycków, bo mnie hań strasznie pieknie pytał kiejsi Józek Słodycka na burse, co jom dziś robiom. Ostań s Pane Boge, Capek. Bydź zdrowy, hłopce. Ale to wiedz: próba bedzie. A ciho!

Jasiek już nie wrócił do karczmy; siadł poza nią na zwałonym pniu, a w głowie mu się zawracało. Werbował go do swojej bandy Maciek Nowobilski, on, charnaś nad charnasie... Jakaż to musi być moc, skoro on samemu Capkowi, który ma już więcej niż czterdzieści lat, a przed którym świat się trzęsie, mówi: ty!... A i próba wstrzymywała mu bicie serca w piersiach.

Przez cztery dni nic Jasiek nie robił, tylko z kim mógł, za pasy szedł, skakał przez płoty i potoki, za psami się uganiał, ciupagą gałęzie w locie obcinał. Zdawało się, że zwariował. - Głupie cy co? - zapytywali się sami siebie ci, co go widzieli skaczącego i biegającego.

- Abo o zbójectwie meśli?

- E, teli majontek ma. Zje po coż by ten seł kraść? Heba by jemu wto ukraść prziseł.

- Hej, ale hłop zdrowy, mocny, to go matura biere. I piątej nocy od widzenia się z "Prawem" zniknął Jasiek i nie powrócił aż we dwa tygodnie. Próbę odbył świetnie.

- Dojńdzie nas wsyćkik w syćkiem - ocenili zbójnicy. - Heba wasej sieły, "Prawo", mieć nie bedzie, bo takom siełom to zaś Pan Bóg z rzadka kogo pozegna.

I przez dwa lata chodził Jasiek ze zbójnikami. Dostał on przydomek "Młako", od tej młaki, co za ich izbami była, zbójnicy go lubili bardzo, choć traktowali trochę z góry, bo wszyscy byli starsi, i najmłodszy, Stasek Mocarny, miał już dwadzieścia siedm lat, a wszyscy wiele dali dowodów męstwa, rozumu, chytrłości i siły, od ośmiu lat związani w bandę pod wodzą Maćka. Z tej bandy, liczącej ludzi sześciu, bo więcej uważał Nowobilski za niedoskonałe, ubył Juro Osterwa, rodem ze Śpiżu, młody kawaler, którego zdradziła jego kochanka, niecna Kaśka z Bustryku. On to ułożył tę gorzką piosnkę:

*Moja freirecka dobrze nie zamglala,  
kie mie przišli łapać, sama powróż dała..*

i tę smutną, tragiczną pieśń, którą powszechnie śpiewali zbójcy:

*Wiedom ze mie, wiedom, coż mi robić bedom?  
Wiedom mie ulicom ku tym siubienicom!  
Matko moja mila, cemuś mnie nie bila?  
Cemuś mie nie bila, robić nie ucyla?  
Matko moja miła, cemuś mnie nie bila?  
Kie mie wiesać pudom, budzies sie hańbila!*

Ale znowu dziewczki, biorąc stronę opuszczonej przez niego, mściwej potem Kaśki, śpiewały:

*Kieby mnie tak było, jako tobie, Juro,  
nosiłabyś ja se za kłabucke pióro!  
Dobrze tobie, chłopce, pod trusim pióreckiem,  
ale mnie niedobrze z małym dzieciątekiem!*

Na jego to miejsce od roku już poszukiwał Maciek Nowobilski zastępcy i znaleźć nie mógł. Nie każdy też, choć i łęgi, i śmiały chłop, miał ochotę ku Maćkowi przystać, bo tam: nogi trza było mieć ze zelaza, u ramion skrzydła, grzibiet ze stali, rence z mosiondzu, a głowę z miedzi z pięci oknami - co znaczyło, że trzeba było być wytrwałym w chodzie jak wilk, szybkim jak jeleń, silnym jak niedźwiedź, a czaszkę mieć nie tylko twardą na wszelkie przygody, ale i na cztery strony świata nie dość było spozierać i być czujnym.

Trapiała się Jaśkiem Zosia. Bo ona była pobożna bardzo i wbrew innym dziewczętom brzydziła się zbójectwem. Michała Stanika, narzeczonego, który się w niej kochał i ku któremu ją serce rwało, że dobrze z piersi nie uciekło w Polany, gdzie Stanik mieszkał, widzieć przedtem na oczy nie chciała, póki kraść nie przestał. Stanik zresztą nigdy prawdziwym zbójnikiem nie był, tylko czasem, kiedy niekiedy, z krewnymi z dwoma Pitoniami i ze Szymkiem z Sikoniówki byczki Orawcom podbierał, a i to ją mierzało, i tego znosić nie mogła. A Jasiek był cały zbójnik i po darmo on ciupagi nie brusił, przy pistoletach krzesiw nie opatrywał, nim z domu ruszył.

Ojciec się do tego nie wrażał, a macocha rada by była tylko, żeby Jasiek nie wrócił, boby wtedy za wszystkie lata, przy pomocy córek, Zosię naprzód dobiła, potem z domu wygnała, a może by się ją i tak czy inac i z majątku wyzuć udało.

I modliła się Zosia dniami i nocami o nawrócenie Jaśka i za jego zbawienie i to jeszcze większą pobożność w niej rodziło. Ale nigdy Jasiek nawet z nią nie mówił, gdzie chodzi. Bolało to Zosię niezmiernie, jednak jej dumne serce nie pozwalało gwary z Jasiem zaczynać. Jego zaś młoda dusza radowała się sławą, jaka koło niego rosła, podziwem i zazdrością, z jakimi nań spoglądali chłopci, uwielbieniem i upragnieniem, z jakim nań patrzyły dziewczki. Jedynym cierniem tej sławy było to, że czuł, że Zosia się martwi, i jeszcze okrutnie - ale się przeprzeć nie mógł.

Ale razu pewnego, jednej nocy czerwcowej, przyśniło się Zosi, że widzi głowę Jaśka toczącą się po skale, od szyi odrąbaną. I przytoczyła się ta głowa pod jej stopy, zatrzymała chwilę i spojrzała na nią, jakby coś powiedzieć chciała, a nie mogła, i potoczyła się od jej nóg w przepaść, i zginęła w ciemnościach.

Ten sen, który nieochybnie złe znaczył, tak przeraził Zosię, że mówić z Jaśkiem postanowiła.

Siedzieli właśnie za izbami, w sobotę pod wieczór, i patrzyli ku górcom. Trawa ich oblała zielona i zieleń się nad nimi olszyny i osiki, jasienie i jawory, co koło domu poza ściany rosły. Niewielki potok szumiał bystro pomiędzy krze, nim w młace zatonął, a na młace niebieskie niezapominajki kwitły kępkami i wiele żółtych i czerwonych kwiatów. Łąki też, jak okiem sięgnąć, jaśniały kwiatami, a złościły się w słońcu radosną zieleńią. I lasy stały młode, wiosenne, ogromne bory, nigdy nie rąbane, gdzie oczy tonęły jak w chmurze. Dopiero z tej wielkiej, cały widnokrąg zaścielającej czerni niezgłębionych borów wynosiły się ku niebu Tatry, jeszcze śniegami gęsto poproszone, bo tego roku długo śnieg leżał, Tatry podobne do niezmiernych zwałów siwego marmuru. Już różowe, fioletowe i złote światła

osypały im głowy i ramiona - już słońce zniżało się na niebie najpierw góry żegnając ogromnym blaskiem.

Tymczasem z drzew brzmiał cudny śpiew drozdów skalnych. które zwykły o świcie i o zachodzie najpiękniej śpiewać, śpiew tak cudny, że rzekłbyś, iż duchy leśne o zielonych, przezroczystych skrzydłach, wisząc na gałęziach, słońcu na chwałę gwizdają.

Jaś i Zosia siedli obok siebie na progu i patrzyli ku góróm. Zosia Jaśka za szyję objęła, drugą rękę na rękę mu położyła i mówi doń: - Nie hojdzę już, Jasiu, więcyl ś niemi, nie hojdzę! O głowę przydzies abo i co gorzyj, o duse, o zbawienie. Mój złociusieńki, mój kohany, nie hojdzę! Cy ci to trza? Biedy, dzieńkować Panu Bogu, na nas nie ma, dziewczki cie i tak rady widzom, samy za tobom ciągnom, je coż ci tys za niewola z wesołemi hodzić? A grzyk! Hej, Jasiu, grzyk i obraza Pana Boga. Wies, jako to wysło strycnemu dziadkowi, Jantoskowi, co dobrym hłopem bywał? Do dziśka nik nie wie, ka głowę położył... Przepad kajsi, jak kamień we wodę, a tak padajom, że go może i złe porwało. Bo ta s tej wesołości zbójeckiej nic! Ku wesołym przistał - padajom, a on ku przeklenty. Dej to krziwda ludzka, złodziejstwo, krew. O mój Jasiu, Jasicku, nie hojdzę tys więcyl ś niemi, nie hojdzę. Bo jus cujem, że dziś a jutro kces iść. Widziałak cie rano nóz cyścić i piscołce opatrzować.

- Je - przerwał jej Jaś - kie ty temu nie rozumies. Dziewka i dziewczka - jedno, a drugie, bo pojedna to by sama za bucki hipla, dziewczkaś śumna, co raty, Walcacka cysta, ale ześ ty jakasi taka, co drugiej takiej nie ma. Nie odnogaś od rodu, bo ci nie mas co prziganić; jyno ze serce w tobie nienaskie. Nijakiej hardości w tobie nie ma. A pote ty temu nie rozumies, jakok ci pedział.

- Zje cemu, Jasiu, zje cemu? Jasiek splótł obie ręce między kolanami i pochylił się naprzód.

- Cemuz ja nie rozumiem, Jasiu? A on pomilczał jeszcze trochę i rzekł:

- He, wies, kiebyś ty jeno raz sprógowała! Kiebyś ty jyno raz poza Tatry przesła, w Luptów! Tam kraj! Tam wino, tam jasno, tam radość! Tam srybło, tam złoto, tam seliniejakie dobro, jyno brać! A pote, kiebyś ty jyno sprógowała...

I poczał Zosi opowiadać o szerokim, nieporównanym, zbójeckim żywocie. Owe przepatrzowania, prześpiegi, gdzie jaki Żyd, kupiec albo bogaty kmieć dudki, złote dukaty, srybelne talary i cwancygiery albo woły, byczki, albo sukno, płótno gdzie w komorze czy w sypancu, czy w piwnicy albo na strychu po Liptowie i Orawie ma - owe podchody i przkradania - owe wrywania krat z okien - owe skoki szalone przez okna na pośród izby i rąbania ciupagą koło sobie, póki drudzy nie wyważyli drzwi - owe walki straszliwe na śmierć i życie.

Raz przyślime pod jedne karcyme na Orawie, ale me se źle obrali dzień, bo me prawie na wesele trefili. Patrzymy - świeci sie , choć noc. Zje kiz to sto satanów, co nie śpiom? Ja sie przykrad popod okna, wracam sie i mó-iem, co jest. Ze hań tego ogawa. A nas, jak zwyczajnie, jyno seści. Wracać sie nam nie kciało, bo me telom dał, jaze za Kubin zaśli, a iść hań jakoz? Narahowałek Żydów z pietnastu, a co bab!

- Wrócime sie - pada Nowobilski.

My sytka ciho, a Capek: Je, krzesny ojce - bo on go tak rad nazywa - krzesny ojce! Wto od strafu umiero, temu bǳzinami dzwoniom. Ja hań ide sam. Ja tys rzeke:

I ja z Capke - i Stasek Mocarnego za mnom. A Nowobilski sie śmieje i pada: Dobre I Git! Ja was ino sprógo-wać kciał, aleście, widzem, hłopy grzecne. Widzieliście mie kie wracać sie? I ruseł naprzód, Capek se przygwizduje na zębak, a Nowobilski przyśpiewuje tak:

*Poprow se, dziewczyno, wionecek na głowie,*

*a jo kapelusek, kie pude ku tobie!*

to my jus wiedzieli, ze hań cosi bedzie. Bo on, ten Nowobilski Krzesaty, to je taki: dziecko, kie na dródze spotka, ugwarzy ś nim, podniesie go na rencak, ubóška, a psa, kota przy nim nie bij i W karcymie sie tys bił nie bedzie, zaraz idzie do pola. Bo taki musi być taki. Ale kie na to przydzie, rence nogi druzga!

Stasek Mocarnego miał hipnonć bez okno, jak sie krate wytardze, ale mu "Prawo" pada: Nie skakaj, bo hań tego bula. Ino prosto we dźwirze i idzieme, ozhuziamie kłot, to puscom, jak som jest zaparte. Zyd, wiem, ze pieniondze w kómorze ma, nie ka inendej. Wlezieme wraz. Ale Mocarny: O mój krzesny ojce - bo my mu ta sytka case tak mówili - nie róbcie mi tys tego, cobyk bez okno nie miał hipnonć i - Hipnem!

- Kie cie przisiendom, bo to ćma.

- Jako fcejom!

- No to se hipnij!

Zajndzieme pod okno, śmiało, Nowobilski miał nowom huste lnianom namoconom, strzelił w okno z piscołca, coby Zydów odegnać, syba w te razy prysła, założył huste, zakręcił - wyjahła krata w pole. Lemze jyno wyjahła, Mocarny obu nogami jus beł na pośród izby. Ja, niewielo pytający, za nim i dobrze, zek obuhe od niego nie dostał, bo wzion śmigać koło sobie, coby nik nie przistompil. A temcase tamci naśli kłot, ozhuziali, beł we dźwirze, wybili i wpadli do izby.

Zydy sie osatały, łap co wtory moze. Zacena sie pucka. Zrazu sie widziało, ze nie przewładamś, bo beło przecie prawie po troje na jednego, Zydówki brzejscom, a bijom co cud, i drapiom, i kśajom.

Ale Capek sie ozeźlił strasnie. Jak krzyknie: Pockajcie, jest tu pług, bedzieme orać! Łapił hrubego Zyda z dłudzaźnom, cyrwonom brzodom za łeb i za portki na rzyci i wzion bić jak cepami, a Zyd miał podkute buty, tos to kie wtorego dopad obcase, to sie ten zaraz skopyrtał na ziem. A kie jus nas popuścili, dopieroz Mocarnego Stasek skakał tak, co ig w brzuchy pientami kopał, bo on ten štuke strasnie rad pokazował. A my drudzy obuhami bili, teli był łom, jak w lesie. I zeprali me ten hałastre na kupe i wegnali do piwnice, prawda, nie syćkik, bo sie ta trzok wcale nie rusało, a jeden nie bardzo. Ino arendarz został. - Daj piniondze - pada Nowobilski. - Nie! - Nie? - Nie! - Je kie nie, to nie. Zezuć go! - krzyknom.

My w mig. Daj kaganek i Nowobilski piók, sadło kapalo z pient, a Żyd sie przyznać nie kciał. Ale sie przyznał na ostatku, w komorze beły pod dylami. Do kości mu ciało Nowobilski

spalił, a fajkę se kurzeł, coby mu nie śmierdziało. I wzieni me piniondze i co ka beło, i idzieme, bo sie juz zrobiło zracno, bo nas ta bitka zbawiła. Ino telo, co Nowobilski skoceł do sopy. siad pod krowe i nadojeł zydzowskim dzieciom, co sie popod ławy pokryły, mleka na rano. A me zaś jesce ściigli arendarza za pejsy i za rękawy do dźwirzy przybić. Idzieme, Capek se przygwizduje na zembak, a Nowobilski przyśpiewuje tak, na takom załośliwom nute:

*Dolina, dolina, na dolinie owies,  
jak sie mos źle wydać, to sie lepi powieś...*

A Mocarny s torbom, co moze cent wazyła, na plecak, tańcy po kamieńcu drobnego, a krew mu sie ciurecke leje z głowy, bo go ta wtorysi godnie zacion. Ino ze na ziem nie kapie, bo na torbie ostaje, to sie ta o to nie starał. Bo o to sło, coby ślaku nie dawać. Ale mu Capek zalal gorzałkom pote i to ustało.

I nie słabyś ty ku takim, co?

I opowiadał o owych ucztach u juhasów na hali, gdzie sie całe barany w mleku w kotłach warzyły, a gorzałka lała strumieniami; owe tańce z juhaskami i noce miłości zapamiętałej - i owe dzikie pustki, gdzie tygodniami nieraz leżeli koło ogniska, w niedostępnych borach, czas skracając śpiewem i opowieściami... A dokoła wolny świat - nic, nic, tylko siła, odwaga, zręczność... Bóg nad nami, a ciupaga i piscolec w garzci... A haw, na dolinak, co? Orba, kośba, drwa z lasu woź - - e!

- Bóg nad wami, ale diabeł przy was - rzekła Zosia.

- Nie. Nowobilski pada tak:

Panu Bogu nie rzec zbójnikowi na zdradzie stać, bo kieby beł sytkim do równości dał, toby tys ta nik nic u drugiego nie sukał. Wilk ji sarne, sarna mek skubie, a strzelec wilka zastrzeli. To jest porzondek boski. A pote co by kował zarobił, kieby zbójnika nie beło? On robi kraty i zamki. A muzyka? Komu by grał i od kogo by dudki wzion? A karcmarz? U jednego sie zrabuje, u drugiego sie przepije. A wiatier halny, co drzewa łamie? Ruk na świecie musi być. Jakby wiatru ani zbójników nie beło, toby sie świat zastał.

- O nie tak, mój Jasiu, nie tak! Nowobilski niesłusnie gada. Pan Bóg sie gniwa i Matka Boska ś nim. A ja cie prosem i zaklinam, na pamięć matki nasej niebozycki, na sytkie świentości, nie hodź ze zbójnikami, nie towarzis ś niemi. Rence ci całowała bede!

I schyliła sie do rąk Jaśkowi, ale on ją odsunął lekko.

- Je ale coz cie tak dziś susy? - spytał.

- O, bok śnisko miała, strasecne śnisko, tyj nocy. Śniło sie mi, jeze sie twoja głowicka potocyla z wirhu wedle mnie do przepaści.

- Bajki!

- Nie bajki, Jasiu, nie bajki! Piekło pod tobom otwarte, diabeł cię weźnie!

- Je to z towarzyszami. Ja ig i hań nie opuszcem. Jeden za sytkik, sytki za jednego. Takie prawo zbójcekie.

- Umrem, Jasiu, skróś tego... I juz by tak nalepsi beło...

I poczęła Zosia płakać ciężkimi łzami. Siedział Jasiek chwilę i powiada:

- Honor daje. O zbójnikowi nik nie powi, j'yno: honorny hłop!

- Je dy ta mas tego honoru dość! Sytki widzom, ze cie za dwa jus roki mało co w doma uświacy, ba jyno hodzis i hodzis. Hyr o tobie jaze na dziedziny!

- Dziewki rade widzom.

- Ony cie ta i przez tego rady bedom widziały. Bo-gatyś i ładnyś. Nie mas równego ku tobie w całym widyku. A Broncia Firkulina jus zdrowa; pedziała mi, ize cię wdzięcznie na sope ku sobie kazdego casu puści. Ino idź.

- E, nie bedzie ta, bedzie ina. Ja tego mam dość. Jak sie mi o co oshodziło, to jyno o tobie.

- Hej Jasiu! Nie kohas mie ty, nie kohas!

- Ja tobie nie? Zej kogoż byk juz węcyl na świecie kohać móg?! Tyś mi jedyna, siostrzycka!

- Nie kohas mie ty, Jasiu, nie kohas, kie mie na po-niewirke kces dać!

- Ze jako?

- Bo jakbyś ty ka przepad, to mie macocha bedzie bić.

- Tobie?!

- Włosy mi wytardze, lica mł podrapie i do pola mie wyzenie, z rodzzonego domu, z ojczyzny...

- Dałby ja jej! Na strzępki byk ożniósł!

- Pokiel jeś żyw. Ale wies: zbójnikowi dziś a jutro. Ty o duse przydzies, a ja o dole. Bedzies widział, to ani tobie, ani mnie nie minie.

Zwiesił Jasiek głowę ku ziemi.

- To jest prawda - zaczął po chwili niskim głosem - to jest prawda. Wesoło, ale niepewne. Cłek nika nie prze-śpiecny. Kiela dobryk hłopów wygineno... Za mojej pamięci jus zgineni Mardułowcie, Franek i Wojtek, zginon Symek Tyrała, zginon Maciek Kubiorek, Janko Nowobilski, z Maćkowej bandy Osterwa ze Śpisa, a jescze prendzej Franek Budz, co go na Orawie hłopi powiązanego potela bili, jaze zabili. Zginon ta kiejsi i z naskiej famieliji jakisi Jendrek Walcak, co go nazywali "Senk" abo "Mara". A kie Capek zacnie opowiadać! Kościami dobryk hłopów - pada - co ig obiesili po Mikułasie, po Nowym Targu, na Zamkak, a co ig zastrzelili abo i kołami zatłukli, tobyś móg - pada - Dónajec wyburkować! To jest prawda! I kieby ja zginon, to ty - -

- O mnie nic! Tu o twoje zbawienie idzie!

- A mnie drogsa twoja dola, jako moje zbawienie. Kie se pomyśle, to jaze mie mgli... Jakbyś ty na poniewierke ludziom miała iść... Wode ka nosić abo drwa rom-bać... O raty, raty!

I wtulił głowę między ręce.

Długą chwilę siedzieli bez słowa, aż Jasiek rzekł:

- Przisienganyk.

- Jakaz to ta przisienga? Komu?

- Przed nabitym piscołce z odwiedzionym kurkiem:

na wierność towarzisom. na posłuseństwo charnasiowi. Zosia plasnęła w ręce.

- Przed piscołcem, ale przed krzizem nie!

- Je, ale co przisienga, to przisienga. Nie przed krzize stary Stękała diabłu sie podpisał, ze mu grunt da za to, co mu pietnaście lat orał, kosił i zwoził bedzie, a pote dzieci wycenściował konający, to wies, co sie robiło. Dom kciał diabeł oskurzyć, telo brojeł, a do komina krzicał:

To moje gazdostwo, bo ja na to pietnaście rók słuzeł i wiernie!i Iścizna wasa, ale grunt mój!i Ja se haw bede iskry siał i płomień zbierał! Lewdy ze go świenconom wodom odegnali.

- No, no. Ale ja mom rade. Ino staj! Pudzieme do Ludźmirza do Matki Boskiej Cudownej. Ona cie hań ozgrzesy.

- Ozgrzesy?

- Ozgrzesy i ozwiąze.

- A tobie jus nie bedzie macohy bojno?

- O nie! Nigda! S tobom ja wsędy! śmiała! Pomyślał jeszcze Jasiek chwilę: No, to podź! - powiada.

- O mój Jasiu! - zawołała Zosia i uwiesiła mu sie na szyi.

I nim sie wybrali, siedzieli jeszcze chwilę przy sobie, oparci o sie głowami, a na Tatry padał mrok.

- Kie majom przyńść?

- Jutro.

- No to lećmy.

- No to lećmy. Jus na jutro nie bedzies ik, ba mój i Boski. Na rano zalecime, wysłuchas sie, na sumie bedzieme. Wstaj!

Wziął Jasiak pistolety za pas i ciupagę do garści od wilka, bo choć to lato było, ale noc, a Zośka wzięła skaplerz, jakby złe w pustkach zastąpiło, i poszli.

Wyspowiadać sie Jasiak nie mógł, bo ksiądz był chory, nawet mszy miało nie być tej niedzieli. Wówczas wzięła Zośka Jasia za rękę, w kościele jeszcze prawie nikogo nie było, tylko kościelny go otworzył i poszedł do domu, powiodła przed ołtarz, uklękła z nim i kazawszy mu złożyć ręce jak do pacierza, sama je złożyła tak samo i mówiła, a on powtarzał za nią:

Jo - Jasiak Walcak - ślubujem Ci, Panie Boze, Ojcie świata - Tobie, Panie Jezu - Synu - Tobie, Duhu Święty - a nowięcyj Tobie - Matko Boza - Maryjo Panno - co jus zbójował - dłuzy nie bede - i odstompiem towarzistwa ze zbójnikami - dziś i na wiecne - casy. Ty zaś - Maryjo, Matko Boza - ozwiąz przisiengę - cok jom słożył - przed piscołce - na wierność towarzisom - i posłuseństwo charnasiowi. - I przebac mi grzyhy moje - i zbaw duse mojom - na wieki wieków. - Jamen.

Pomodliła sie Zosia gorąco, Jasiak tam też, co wiedział, to pedział, dukata on, talara ona kościelnemu na ofiarę dali i poszli.

Nie mówili przez drogę nic i nic nie jedli, choć dużo więcej niż dwie mile tam i znowu z powrotem wierchami i dolinami pomiędzy nie biegli. Zosia sie modliła, a Jasiak ze zwieszoną głową obok niej szedł.

Nareszcie ona sie do niego odezwała:

- Zal ci?

- Dobrze mi serce nie puknie!

- To większa zasługa przed Boge.

Po chwili mówi Jasiak ze łzami w głosie:

- Jus teraz moje zycie za nic! Nie warce nic!

- Uwidzis! Teraz bedzie dopiro łaski Pana Jezusowej godne.

Przyszli do domu. Napili sie mleka, zjedli kukielki, co ją na półce Zosia miała i że zmęczeni i niewyspani byli, legli na pościel, a w jednej izbie sypiali. I choć był jeszcze dzień i słońce wysoko, posnęli i spali aż do wieczora.

Wieczór sie Zośka obudziła: ciemno, czarne chmury niebo zakryły, oko wykoł. Jasiak spał.

Uklękła Zośka na pościeli, żeby jeszcze Matce Boskiej za nawrócenie brata podziękować, wtem zabrzmiało pukanie w szybką okienną.

Wzdrygnęła sie .



Drugi raz zapukano - silniej.

Trzeci raz zabręczczała szyba pod palcami i jakiś głos gruby, tęgi zapytał:

- Młako! Zyjes ta cy spis? Zbudził sie Jasiek.

- Co?!...

- Zyjes? - zapytał ten sam głos.

- Nowobilski! Prawo! Přišli po mnie!

- No to niegze ta! - rzekła Zosia spokojnie. - Tys jus nie ik. Nie obzywaj sie nic.

- Młako! Cy cie nie ma w doma? Jageś jest - wstaj! Głos był tak tęgi i rozkazujący, że Zosia usłyszała, że się Jasiek na równe nogi z łóżka zerwał.

- Jasiu! - krzyknęła. Ale Jasiek skoczył ku oknu.

- Wy? - zapytał.

- No myl - odpowiedziano mu niecierpliwie. - Cys nas nie cekał? Dyjeś wiedział, ze přińdzieme. Gotowyś?

Jasiek zawahał sie chwilę - krew zalała mu głowę. Ubrany był, bo w ubraniu legł. Skoczył w kąt izby, gdzie ciupagę, nóż, pistolety i opasek z całym przyrządem, prochem, kulami, jak to zbójnik, przysposobiony miał, złapał torbę, kapelusz i czuchę z kołka i wypadł przez drzwi.

- Jasiu! - jęknęła Zosia, biegnąc za nim. Ale on krzyknął ku towarzyszom: uciekajcie!

Ci też, nie pytając o przyczynę, zaczęli biec jak dziki spłoszone.

- Co sie stało? - pyta Nowobilski Jaśka. - Wtoz cie goni?

- Siostra!

- Siostra? E jakoz to? Co kiepkujes?

- Nie kiepkujem nijako. Pote wam powiem!

Ale Zosia nie goniła Jaśka. Z wyciągniętymi przed siebie rękami padła zemdlona w progu izby i tak leżała długo, że już oni popod Kościeliska szli, nim oprzytomniała.

Zawlekła sie na powrót do izby, osunęła sie na kolana przy łóżku i zaczęła zawodzić po cichu i szlochać.

Całą noc do rana i cały dzień przetrwała tak, przy łóżku swoim klęcząc, i ofiarowywała Matce Boskiej życie swoje i młodość, i miłość do Michała Stanika z Polan, i majątek, i zdrowie, i wszystko, byle śle tylko nad Jaśkiem zmiłowała, nawróciła go, grzechy, i ten najstraszniejszy, złamanie ślubu, przebaczyła.

Nadszedł wieczór i noc. I wtedy nagle przed oczyma Zosi pojawiła się postać Jaśka, w poszarpanej odzieży, blada i krwawa i jak gdyby nie mogąc mówić, ręką na nią kiwnęła. Krzyknęła Zosia: Wselki duk! - i zerwała się z ziemi, żegnając się krzyżem świętym, ale postać posunęła się ku drzwiom i znów kiwnęła ręką.

Jasiu!

Tyś?!

Jasiu! Bracieli Bracisku najmilejsy!

Po raz trzeci widmo kiwnęło ręką i znikło we drzwiach.

Jasiu! Kaz idziesz? Co nic nie mówis?! - krzyknęła Zośka, wypadając za nim.

I szła za bratem przez pole, w las - - dalej i dalej, wołając od czasu do czasu: Jasiu! Bracisku!...

Las, który знаła, skończył się, a zaczęły się bory przepastne. W ciemności szła, a widmo ją wiodło przez gęstwę, przez kłody spróchniałe, odwieczne, przez maliniaki i głogi, wiodło pośród przemykających sarn i kun leśnych. Aż gdy ledwo, ledwo począł wynikać mokry, biały świt, dowiodło ją na pochyłą polankę, między skałki wapienne.

Tam rozkrzyżowała Zosia ręce i z zamarłym wrzaskiem na ustach stanęła u wyjścia pomiędzy drzew. Na polance, na rośnej trawie, leżał Jaśka trup. W ręce trzymał ciupagę. Leżał sam jeden, samiutki. Kapelusz mu się potoczył niżej, uboczą.

- Jasiu!

Przypadła Zosia ku niemu, dźwignęła ciężką, zimną głowę. Oczy miał półotwarte, zaszkłone. W piersi mały otwór i pod nim zakrzepłe trzy strużki krwi.

Wszystko to zapisała pieśń:

*Zabili Jasicka na zielonych łukak,  
cemuz sie nie bronil, miał ciupazke w rukak?  
Zabili Janicka w zielonej ubocy,  
jino sie od niego kapelusek tocy!  
Zabili Janicka między turnickami,  
leje sie krew ś niego trzoma potockami!...*

Runęła Zosia na ciało i całować je jęła - oczy, twarz, piersi...

I zdawało jej się, że się jęczenie wydobywa z ziemi.

Zrozumiała ona, że to dusza Jasia się męczy, i krzyknęła: Matko Boska Ludzimirska Cudowna! Sytko ci dam, jyno cobyk duse brata zbawić mogła i - I z piersi jej, ze samego serca, wyleciały trzy białe gołębice: wiara, nadzieja i miłość.

Trzy białe gołębice, które mieszkają w każdym młodym sercu...

Strzelcy orawscy, co tam szli, znaleźli ich oboje; chłopca nieżywego i nad nim dziewczynę piękną, nie mówiącą nic i jakby nie słyszącą. Obejrzelisi pistolety Jasia - nie wystrzelone były. Nie ze swojej broni zginął. Pomodlili się krótko, zabrali broń, a ciało pochowali pod wykrotem, kamieni na kopiec naniósłszy. A dziewczynie dali poznać, żeby tu siedziała, aż powrócą wieczorem, to ją do wsi zabiorą. Ale gdy wrócili, nie znaleźli jej w tym miejscu na polance, tylko na kopcu z kamieni znaleźli kwiaty leśne.

## KU NIEBU

Szła Hanka, co ją nazywali "Po Faktorce" albo "Faktorcyzna", że to po Faktorowego Jaśka Wikcie sierota została, przez Skupniów Upłaz, a wiatry taki dął, że się widziało, że ją zruści do doliny, w Olcysko. Zimno było, że choć i serdak miała jaki taki, i chustkę na nim nienajgorszą, po każdej kosteczce mróz się mrowił. Po niebie kłębiły się i kotłowały śniegowe chmury, przez które przeziarało słońce jakby przez ołowianą blachę, całkiem bez blasku i jakby martwe. Naokół była pustka wszędy okrutna i szum taki gnał przez góry od wiatru, że aż lęk piersi ścisnął, bobyś tak pedział, że całe Tatry jęcom.

Bo ono ta i wto wie jako jest? Kie weźnie wiatry duć, to się widzi, że sytkie nieboscyki, jakie ka ino po górach leżom, płacom i narzykajom. A jest haw tego niemało, a żadnego tu ksiondz nie pobłogosławił, ba kula, ciupaga abo i niedźwiedź. A kiela się przecie i samyk wybiło - ten odpad z turnie, tego śnieg zabił, pojednego wanta w łeb wyciena, co się ka u wirhu urwała, i po nim. Ze dy tu góry nie od dzisia, a ludzie tyż nie od wcorańsa. To ma wto jęceć.

Ale choć strach i późna jesień, i kurniawa, i mróz, szła Hanka Faktorcyzna przed siebie.

Żeby ją kto był spotkał, przeżegnałby się, bo to tak szło jak duch. I cudowałby się, po co idzie w te góry, w tę pustać, w ten szum? Tam już nie mieszka nikt, tylko strach na cię warknie, śmierć ku tobie zęby wyszczerzy, niemoc cię przysiędzie i duszę dasz. Albo się wróć, albo się już nigdy nie wrócisz. Zasuje cię śnieg, że tylko jeden Bóg, który wszystko widzi, będzie znał, gdzie się podziała. Nie zobaczysz ty już więcej trawy zielonej ani jasnego zboża, ani wody siwej, tylko idź dalej... Jak słup lodu leżeć będziesz pod śniegiem, aż cię na wiosnę orły i puchacze na strzepy podrą i kości twoje rozniosą, że jedna o drugiej nie będzie wiedziała. Po cóż ty tam idziesz, dziewczę? Bój się Boga, nie chodź

Tak by jej był powiedział, kto by ją był spotkał, ale jej już spotkać nie miał kto. Koziarze flinty na ścianach powiesili, a ponieważ i w halach pod skałą zimuje, bo w te śniegi już się iść za kozami nie chce. I też nie bardzo śmiało, bo kto zbyt dośmiela i kręci światem, tego często za zbytnią zuchwałość Pan Bóg ukarze. A oprócz koziarzy nie wchodzi się górami jesienią nikt.

Ale Hanka właśnie rada, że jej nikt pytać o nic nie będzie, że w tej pustyni, choć lęk, sama jedna.

Bo po co idzie? Ucieka. - Ucieka, byle dalej, byle przepaść. Złości ona nie ma w sercu, ale ból i żal okrutny. On jest temu winowaty, on, Wojtek Mrowca, z Olce, nikt inny.

Złości do niego nie ma Hanka - tylko żal, żal niewysłowny i niewypowiedziany. Telo bośkał, telo obejmował, ściskał, tulił a przysięgał, że ją będzie brał, aż się po jego woli stało; bo się w nim zakochała Hanka tak, że świata bożego nie widziała poza nim, a na sam jego głos drzenie jej szło po ciele.

A kiedy ją już Wojtek Mrowca dostał, niedługo tego trwało, a kiedy mu o ślubie wspomniała, odpowiedział:

Ze cożeś ty, głupia, meślala, że ja haw bedem takiego dziada, jakoś ty, brał? Ja jest parobek jak sie patrzy i gazdowski syn, mam pod trzydzieści korcy pola, konie, krowy, owce, a ty co? Telo jacy, co na sobie. Kogo zekcem, tego weznem.

Pogardził nią, bo sierota, jak to sierota; mało co po rodzicach zostało, a i co zostało, świat zabrał.

Zakłuło Hankę w sercu, mówi: - Wojtuś, dziecko będzie...

- Toś sie mogła nie przespować.

Jeszcze bardziej Hankę w serce zakłuło, po tej miłości, za tyle kochania...

Mówi: - Twoje...

A Wojtek Mrowca: - Abo ja ta wiem? Dy u Zyda służys, moze ta i nie katolik będzie...

Tu Hanka dobrze nie spadła na ziem. Nie powiedziała nic, ani słowa. Wbiegła do kuchni, do tej żydowskiej, gdzie służyć musiała, porwała chustkę na się, żeby między ludźmi ramionami ze serdaka w mróz nie świecić, i nie patrząc już nawet, czy Wojtek stoi, czy nie stoi, poczęła przed siebie iść.

Pasała ona krowy przy Gąsienicowych Stawach, u bogatego gazdy, Stachonia, służąc, i tam szła mimowiednie;

oczy ją prowadziły, a nogi niosły. Tam się też z Wojtkiem zalubili, na Hanczyne nieszczęście. Pasał on tam owce, kierdel cały, miał ich wyżej pięćdziesięciu, a same swoje. Oczy miał ku temu niebieskie, lica czerwone, śmigły był jak jodła - nieporada było takiego nie zakochać.

I z uboczy spod Magury popatrzała Hanka na czerniące się w śniegach szalasy. Przystanęła.

Miły mocny Boże! Tu jej bywało dobrze! Stąd z Wawrzkową Broncią, z Hanusią Zojscanki, z Agnieszką od Bednarza szły z krowami na Zielone, pod Kościelec, pod Mechy, pokładły się nieraz twarzami do słońka, śpiewały... A słońko tam chodziło po zieleni takie jasne, aż radość była patrzeć... Gdzie się obrócić: krowy - cisawe, czarne, łaciate, stąd i stąd dzwonią, a hań, wysoko, w upłazkach, Wojtkowe owce się bielą, a Wojtek przy nich leży i śpiewa.

A ile razy zaśpiewał:

*Zieleńże sie, zieleń, ty zielono równi,  
ty moja dziewczyno, przechodze sie po niej!*

to ona mu odpowiadała:

*Z tamtej strony wody stoi chłopiec młody,  
kieby mi go dali, pościłabyk środy,  
środy byk pościła, piątki byk susyla,  
kie mi go nie dadzom, tobyk sie zabiła...*

A kiedy on zaśpiewał:

*Nie bój sie, Hanicko, zradzenia mojego,  
jakby ja cie zradził, mnie by Bóg samego!*

to ona mu odpowiadała:

*Ani mie, ani mie ten Wojtuś nie minie,  
co owiecki pasie po kosodrzewinie!...*

A inne dziewczęta to jej śpiewowały często:

*Poznać tys to, poznać, wto kogo rad widzi,  
z daleka sie śmieje, z bliska sie go wstydzi!..*

A echo się głosiło po Kościelcu i każdy kwiat się śmiał. Albo kiedy stary Tomek Michalcyn w szałasie na kobzie zagrał, a Wojtek skoczył do tańca! Już mu tam inna dziewczka nie boczkowała, tylko ona. A inne to go tylko oczami chciały zjeść.

A wieczorami, a najmilej było, kiedy wielki deszcz na polu lał, to obsiedli watrę w szałasie, zawatarniak gruby się tlił, smolne sajty smrekowe iskrami siały, a Tomek Michalcyn jał bajki pleść - wtedy ona tuliła się ze strachu przed smokami i czarownicami pod pachę Wojtka, on zaś ją obejmował ramieniem, przyciskał do boku - dobrze jej serce z piersi nie wyskakiwało. A kiedy, korzystając z cienia, usta do ust przykleił: świat ginon... Milszy jej też był niż gwiazdy, niż słońce na niebie, w pacierzu jej się plątał w myśli - może temu diabeł stał na zdradzie.

Miły, mocny Bożel było, nie było? Czy się śniło tylko w nocnej godzinie?...

I zeszła ku szałasom; nie percią, bo tej śladu nie było - śniegiem.

To była ta szopa, gdzie ona dojne krowy zapierała na noc; tam - to był ten szałas, gdzie on spawał - a tam ten szałas bacowski, gdzie się wszyscy schadzali, gdzie Tomek Michalcyn bajki plótł i na kobzie brzęczał.

Poszła dalej.

Minęła szałas, ku Zielonemu szła. Coś ją parło naprzód, gnało. Co? To ten ból straszny, jadowity ją gnał.

- "Może ta i nie katolik będzie, abo ja ta wiem? U Zyda służysz" - huczało jej w uszach.

Wiatr dał coraz mocniej, aż dech odimało. Zadyмка zasłoniła świat. W pomroku śnieżnym nabiegły na nią kozice od Liliowego - jedna, dwie, trzy - pięć ich Hanka naliczyła.

Zrazu wbiły się w śnieg, nie czuły nic, wiatr mącił i poznać nie mogły - potem się obróciły nazad i przepadły w zamroczy jak duchy.

A Hanka mimowiednie skierowała się za nimi i poczęła się wspinać ku Liliowemu.

Jakieś czerwone światła, jak iskry z watry, ogniki jakieś jarzące jeły jej latać przed oczyma. Zrazu z daleka, potem coraz bliższe i coraz gęstsze, i czerwiejsze - niby krwawy deszcz. I jeło ją przejmować dotkliwe zimno, takie, jakiego nie zaznała nigdy, choć zmęczona była, bo szła i szła. Dziwny też szum zadzwonił jej w głowie i coś ją zapiekło w mózg, jakby kliniec rozpalony kto weń wraził. Przystanęła. Mrok, głusza, pustka okrutna. Czasem zamajaczyła w kurniawie ściana czy ubocz, ale nawet poznać nie można było, czy to się nie zdaje tylko. Tak jakby się świat zapadł w zawieję śniegową.

Z bliska tylko widać było obmarzłe, obielone krzaki kosodrzewiny, w które wiatr tumany kurzawy śnieżnej ciskał, a czasem słońce przemglało w górze, jak przez blachy ołowiane, martwe, dalekie...

Wto wie, jakie ta dziecko będzie, czy katolik?... i Hanka znów ruszyła dalej.

Wybiedowała ja się, oj wybiedowała - myślała - wybiedowała za syćkik ludzi... Od maleńkości sama jedna na świecie, w służbie... Głód, zimno, bili... Poniewierał, wto kciał i wto nie kciał. A kiek przecie za wolom boskom dorosła, ze mie jus przecie by telo nie krziwdził świat, tu jek! O raty, raty! O raty! raty...

Tak lamentując w duszy strapionej, pięła się w śniegu.

Ka idem? - zapytała sama siebie myślą.

Ka mie ocy poniesom - odpowiedziała sobie.

Stracem się?...

Stracem sie!

I znowu zapiekło ją w mózgu, ale więcej. A wraz jej się wydało, że dzwony daleko biją i jakby ksiądz śpiewał, jak nad trumną matki na pogrzebie, kiedy ją spuszczali do grobu. Coś się w niej zaczęło sprzeczać ze sobą: hawek jest cy hań? Cyk na pogrzebie matki, cy idem do Lilijowego?

A poza mną co? Jest hań jaka wieś? Ludzie? Domy?...

Nogi jej się zaplątały, noc zajrzała do oczu, w głowie huczał szum jak wichur pomiędzy skały. Poczęła się chwiać, słać na lewo i prawo i wszystko koło niej, majaczące w zamroczy, ściany i ubocz, poczęły się chwiać i słać ku niej. Chmura śniegowa, Tatry, wiatr poczęły ją cisnąć i giąć. Podobny ucisk spadł jej na piersi i ramiona, jak podczas odpustu w Matkę Boską Różańcową w ludzimierskim kościele, gdzie się tysiące ludu schodzi. Matka Boska stoi tam w ołtarzu, w złotej koronie na głowie, z Panem Jezusem na ręku. Płaszcz ma

niebieski i różane lica, gwiazdy pod nogami. - Zdrowaś Maryja, łaskiś pełna, Pan s Tobom - poczęła Hanka szeptać.

I w tej chwili jakaś jasność zakołysała się ponad nią, w mgławicach jasność blada i jakby utopiona w śniegu.

Hanka drgnęła. - Zje coż to hań?!

A światłość stała się wyraźniejsza i jakby bliższa, tylko zawsze była jakoby w śniegu, co się tumanił, utopiona.

Przelekła się Hanka i zasłupilo ją. Rozpostarła ręce, przechyliła się w tył i usta z przestrachu rozwarła, w które śnieg zimny i wilgotny uderzył. Nie umiała nic pomyśleć od lęku i serce w niej zamarło, a wtem ze światłości owej wyszedł głos cichy i bardzo słodki:

- Hanuś, nie bój się...

Hanka zadysgotała, a głos ozwał się znowu:

- Pódź!

- Ka? - szepnęła Hanka. Głos odpowiedział:

- Ku niebu.

I we światłości, w mgławicy zamajaczyła jakby złota korona i niebieski płaszcz, i niebieskie oczy, i różana twarz - blado, ledwie widzialnie.

- Tyś to jest, Pani Janielska? - szepnęła Hanka.

Ale głos nie odpowiedział, tylko światłość poczęła się posuwać naprzód ku Lilijowemu.

I Hanka poszła za nią.

Nowe siły jakoby wstąpiły w nią; szumieć jej w głowie przestało i zimno mniej gryzło. Tonęła w śnieżycy, idąc ku Lilijowemu.

Ale wkrótce znów jej się nogi zaczęły plątać, czerwone iskry poczęły się zesypywać przed oczyma, zahuczało w głowie i niemoc ogarnęła ją taka, że prawie stóp poruszać nie mogła.

- Pani, siadłabyś se - szepnęła.

- No to se siednij - odrzekł cichy głos ze światłości. Hanka usiadła pod wielkim głazem, który ją nieco od wichru zachylił, oparła się on plecami i wyciągnęła nogi. A światłość rozwiała się gdzieś w śnieżycy, znikła...

- Pani, kazeście?

Ale z zamroczy śnieżnej nie odpowiedziało nic. Chciała krzyknąć - nie mogła. Na ręce i na nogi zwały jej się ciężary ogromne, a dreszcze poczęły przenikać przez szpik jej kości.

Oddech począł się rwać, oczy przestały widzieć, uszy słyszeć. W mózgu stała się próżnia straszna, płomienna. Czuła tylko, że śnieg na nią pada, wilgotny, nieustanny, zasypuje jej kolana, piersi, ramiona, twarz. Zrobiło jej się cieplej - duszno - po chwili zaczął ją morzyć jakby sen.

- Usnem - pomyślała.

Wtem świat się cały pogрузił w noc, spod Pośredniej i Skrajnej Turni z przerażającym wyciem wichur śmignął chmurami ostrych, bolesnych kawałków lodu i walił w przestrzeń olbrzymie płaty śniegu, rozbijając je, że się rozlatywały jak pióra głuszcza, porwanego przez orła. Koło Hanki utworzył się wir śniegowy, to ją odmiatało do pasa, to zasypowało po ramiona, po usta, a ciepła krew poczęła jej się sączyć z twarzy i szyi, ciętych lodem.

- Śmierć! - błysło jej w głowie i pochwycił ją taki strach, że się chciała porwać na nogi, wstać, uciekać!

- Dołu i dołu i Do wsil Do ludzi...

Uciekała od nich, hen, precz, chciała się zapodziać, zatracić, ale nie myślała o śmierci - szła i szła, aby dalej od światu iść, bez wiedzy, a tylko z okrutnym bólem w sercu...

- Dołu! Dołu! Do ludzi!...

Ale ciało nie mogło się już podnieść? z trudem, z ostatnim wysiłkiem próbowała się Hanka podźwignąć, ale na próżno.

I jęk strachu, rozpacz, obłąkanego przerażenia, za-rzeził jej w piersi, a palce kurczowo poczęły grzebać śnieg.

- Raty! Raty!...

Wtem na chmurze śniegowej, w niewidnym, nieustannym mroku, zamajaczyła światłość błada, tak że ledwie poznawalna, ale jakby bliska, tuż nad Hanką. I w światłości tej pojawiła się jakby korona złota i pod nią twarz jak miód i oczy jak kwiaty. I wydało się nawet Hance, że ręka czyjaś dotyka jej ramienia.

I z chmury śniegowej i z tej pojawy ozwał się cichy i słodki głos:

- Podź!

- Ka? - szepnęła Hanka.

- Ku niebu. Daj renke - rzekła Matka Boska. I Hanka podała jej rękę i poszła.

## **JAKIE JEST SERCE MATKI ALBO KIEDY ANIOŁ PŁAKAŁ**



Była biedna gdowa Sobuśka i syna miała jednego Sobka, na którego nigdy inaczej nie wołała, tylko Sobuś, i nikt go też już inaczej we wsi nie nazwał. Sobuś, Sobuś, a Sobuś był gorszy psa. Złe to było jako dziecko, a kiedy zaczął parobczyć, zeźlił się jak pies. A najgorszy był dla matki. Nigdy jej dobrego słowa nie powiedział, ba ciągiem przezywał, popychał, poszturkiwał, czasem zbił na kwaśne jabłko, a wymagał od niej roboty wszelinięjakiej koło siebie, sam robiąc tyle, co nic. Ledwie tam oborał, obsiał i obkosił ten kęserek pola, co mieli, a resztę: rób, matka! Nieraz piętą potracił, że nie dość fryśka. A to niebożatko obstarne już było, kopę lat i siedm miało, to taka ci wartka nie będzie, bo nie da rady. Ale się to nie użaliło, nie uskarżyło nigdy, ino zawsze "Sobuś, Sobuś, mój Sobuś", a od pracy aż się zgibała we dwoje.

Sobek się nie żenił; jedno dziewczki się go bały, nierade go widziały skróś tej złości dla matki najwięcej, drugie, że i on sam bardzo do tego nie ciągnął. Ino se chciał kucharkę wziąć, coby go opiała i jeść ugotowała. I upatrzył se taką jedną i ona się zgodziła, ale se wtedy pomyślał:

Po co mi teraz matka w chałupie? Na sto diabłów! Stara jest, ledwie łązi, ledwie robi. Kaśka zrobi wszystko, jesce nie telo lepiej, a i wygodę będę z nią miał. Po co mam darmozjada żywić? Wyzenem matke do pola, niek ta idzie, ka kce!

Jaki Sobek, taka Kaśka. I ona mu też mówiła: Wyzeń matcysko, wyzeń matcysko... Co ci ś niej?! Ino zre! - Bo chciała być sama ino w chałupie ze Sobkiem, żeby jej nikt inny nie gawędził po izbie, a co naganobi, żeby tylko jej było. W jedną noc, w zimie to było, przed Gody, Sobek nie lega na pościel nic, tylko siedzi na ławie. Matka se upościelała, jako ta mogła, na ziemi pod piecem, bo tylko jedna pościel w chałupie była i na niej Sobek spawał; leży cichutko, a modli się, bo widzi - kaganiec się świecił - że Sobek zły. - Coz bedzie, coz bedzie?... szepce sobie w duszy, bo gorszy jeszcze był teraz niżli przedtem.

Wtem Sobek mówi z ławy:

- Matka! wstaj!

Zbiera się to niebożatko, bo się ani spytać nie śmiała: na co - wstaje.

- Warcej!

- Zaraz, zaraz, Sobusicku... Cos kces?

- Przinieście wody. Pić sie mi kce.

- Je dy je jest przecie w konewce.

- Ni ma! - zaśmiał się Sobek i kopnął konewkę, że aż na matkę woda chlusła. - Jest je, co? - mówi.

Matka się zapaską odziała, bierze konewkę za ucho.

Zimno było co cud, a ślizgo; po wodę trza było ku potoku iść, dość obdalno. Przyniosła.

Ledwo, że postawiła koło ławy, Sobek kopnął drugi raz w konewkę i wodę całą wychlusnął.

Przerażona popatrzała na niego matka.

- Brudna beła, nie cysta. Przynieście jeszcze raz. Nic nie powiedziała, przyniosła, a on trzeci raz to samo.

W izbie już pełno wody się nalało, że Sobek na ławie nogi

wyciągnął, a matka we wodzie boso stała.

- I ta beła brudna... Icie, matka, jeszcze po inom...

- Sobuś, dyj hań zimno... ja boske...

- To się matka obuj!

- Jakoż się obujem, synku ostomilsy? Kyrpcy ni mom nijakik, a te kapcátka stare, cók je przecie jakosi pomiędzy hałupy nasła i jako tako pozesywała, mokre całé - - we wodzie lezom...

Bo on jej nie kupił nigdy nic. Co miała, to albo ze starości leciało z niej, albo kto darował, bo mu się jej luto stało, albo znalazła, jak i te kapce.

- To idź matke boske - mówi Sobek.

- Sobuś...

- To się wam jus ani telo posługować nie kce?! - krzyknął Sobek. - A zryć tobyście zarli?! Co! Hybaj matka po wodę! W te razy!

- A nie oźlejes zaś znowa?

- A jak oźlejem, to co? Cyk haw nie pan? No?! I jeszcze raz poszła, i jeszcze raz przyniosła wody, i znowu on konewkę na izbę wylał.

- Samo taka, jak i hańty, brudna. Matka, icie po wodę!

Wtedy stara Sobuśka, trzęsąca się cała od mrozu, padła przed nim na kolana, na wodę na izbie nie zważając, bo już widziała, że do czegoś złego zamierza. A on ją odtrącił od siebie nogą i mówi;

- Idziecie po wodę? Nie?!

- Sobuś!

- Ja wiem, zek Sobek i jako mie wołajom! - wrzasnął Sobek. - Nie potrzebujecie mi syćko przybacować! A kie się wam posługować nie kce, to do pola!

- Sobuś!...

- Do pola, mówiem! Mnie tu takik łachmandów nie trza, co ś nik nijakiej wygody nie ma. Przidzie Kaśka od Kurosa, to bedzie. A wy sie biercie z izby, prec!

- Sobuś, dej noc, zimno...

- Do pola!

- Umarznem...

- Ciepłicie, kie we wodzie klęcycie.

- Dziecko moje! Wykarmitak cie...

- Ba!

- Temi piersiami -

- A jakiemiście kcieli?! Do pola!

- To mnie jus tak wyganas?

- Tak!

- A jutro mi przyńść podzwolis?

- Nigda! Przidzie Kaśka! Darmozjadów mi nie trza.

- To sie jus mam we świecie stracić?

- Strać sie, matka, ka kces! Hoćby w g.....! Objęła mu nogi rękami i usta do kolan przycisnąć chciała, ale on ją kopnął, że aż z jękiem na podłogę, w tę wodę zimną na izbie wznak padła. Byłaby może zemdląła, żeby nie ta woda właśnie. Poznała, że tu śpasów ni mas. Pozbierała, co tam miała, a było tego jak pięść, we węzelek, przychodzi ku Sobkowi, co ciągiem na ławie z wyciągniętymi nogami siedział, i powiada:

- Dajze sie mi pobośkać, synecku mój, hoć mie jus tak nierad widzis... dziecko moje...

Ale Sobek jak się siepnie w tył, jak wrzaśnie: Mnie tu wasego "bośkania nie trza! Przidzie haw Kaśka od Kurosa, to mie ubośka, kielo mi sie be kciało! Do pola, dzia-dulo zatracona! Bo jak nie?!

I złapał za garnek odrutowany, co na stole stał.

Wyszła Sobuśka cichutko w pole, tylko się ode drzwi jeszcze popatrzyła na Sobka i uśmiechnęła do niego przez łyzy.

Ciemno, kapce, co je wdziała, mokrzuteńkie, zimno, nie wie, gdzie iść.

- Pudem ka, na hałupy, zapukam do okna, moze mie przecie puscom, nie tu, to ka inendej - myśli.

Bajtoć! Ze tobyk musiała pedzieć, ze mie Sobuś wygnał z domu, toby na niego pomstowali, a to przecie dziecko...

Pudem do światu, stracem sie...

Pan Bóg dobry, to mi sie ta nie da długo plątać po-między ludziami.

Idzie, kielza po lodzie, w śniegu grzęźnie, idzie...

A Sobkowa chałupa na boku stała, na łące, i bardzo daleko do niej widać było. Toż to obejrzy się Sobuśka, widzi, w chałupie jasno w oknie.

- Nie śpi, kagańca nie zaduhnon - myśli. Nie śpi dziecko... I pić sie mu kce, a wody nijakiej ni ma... Sam po nie nie pudzie, bo zimno i ćma... A pić sie mu kce... Kiebyk mu jom przyniesła... Jest putnia na oborze, wypłucem cysto pieknie, postawieni przy dźwirzak, dźwirze ino tyle uhylem, co mu powiem: Synku, mas wode, jakbyś pić kciał - i pude. Nie bede ta jus długo kusić światu, nie...

I jak myśli, tak robi. Wróciła, do obory cichutko weszła, putnię do potoku zanosła, raz, drugi i trzeci wypłukała i czystej wody Sobkowi pod drzwi przyniosła, i wtedy padła przy niej martwa.

I wtedy to wej janiół, co po jej duse prziseł, płakał.

## **ZIMOWE PANNY ALBO O MAĆKU, KTÓRY PRZEPADŁ W GÓRACH**

Maciek Scyrbularz juhasem był całe życie, aż póki go chorość nie chwyciła. Coś mu się stało w nuku, czy od gonienia po halach, czy od boskiego dopustu, serce się w nim zepsuło. Rado nierado trzeba było juhasienia zaprzestać, bo chodzić po górach nie dało. I Maciek Scyrbularz, co wprzód jak w czerwcu w hale wyszedł, to z nich aż w październiku, po jesieniowisku, wracał, bo nawet na zbiórki do domu nie szedł, tylko z wołami na hali zostawał; co przez ten cały czas rzadko kiedy, a czasem i wcale do domu nie zleciał: siedzieć musiał jak baba stara, w chałupie albo koło chałupy. I siedział tak już lat dwadzieścia, i było mu sześćdziesiąt lat.

I przyszedł pewien majowy dzień, dzień tak ciepły, jak bywa w lipcu. Jakiś wiatr cudowny, pachnący od Tatr wiał. Wyszedł Maciek przed chałupę i patrzy, a wiatr wdycha do piersi.

Hej Boze, Boze!...

I począł przed siebie iść...

- Począł iść, albowiem wiatr cudowny i pachnący, co od Tatr wiał, począł go ciągnąć ku sobie.

W piersi Maćka powstało pragnienie zanurzenia się w nim, jakby we wodzie, która nęci, gdy członki są znużone i ciało słabe - wykąpiesz się: zaraz ci lepiej.

Szedł Maciek Scyrbularz i jakoś iść mógł. Ten ból nieznosny w sercu, który mu wspinać się pod górę przeszkadzał, nie dawał się czuć.

Ileż to się Maciek naklął, a ile ze siebie naśmiał! On, góral, w górach urodzony, on juhas, chłopiec dobry, jak pies wartki, on, co się "nie czuł idąc": nie mógł się wspinać pod górę!... Śmiał się sam sobie, kłął, a czasem i płakał. Ej - nie czasem, ba często. Siadł gdzie w lesie, w ustronnym miejscu, gdzie go nikt widzieć ani słyszeć nie mógł, to tak płakał, co cud! Tam owce idą do upłazu, tam kozy skaczą po piargu, pies zagania, oblatuje, a on, juhas nad juhasy, w chałupie siedzi... I ludzie mu dość dokuczyli. Mało kto brał na uwagę, że chory - ale przezywali go "dziadem" i nawet jakaś pogarda do niego się przyczepiła. Bo to jest w naturze ludzkiej gardzić słabszym. Ślepy, chromy, niemocny, tak jak i ubogi, nie czystą litość budzą, ale bolesną litościwą pogardę czy bolesną pogardliwą litość.

Tak i Maciek.

I nie miał on użalić się komu, co zawsze ulgę przynosi. Jedno, że nie miał baby ani dzieci, drugie, że i pies, Śpiewak, zdechł był już ze starości dawno. Ten pies, Śpiewak, który z nim razem dwanaście lat owce pasał, jeszcze je ze Staszkiem Cudzikowego Jantka pasł rok, ale potem już i on łązić nie mógł, bo mu władzę w zadnich nogach odejmować poczęło. Odwiódł tedy Cudzik psa do Maćka i tam jeszcze dwa lata, do piętnastu lat życia, pies przebywał. I patrzył on na Maćka, przy nogach mu leżąc, zamglawionymi oczyma, a Maciek fajkę palił, na ławie siedział i mówił.

Mówił rozmaicie, a czasem nad psem płakał. Ludzie się i śmiali temu, i litowali, a często umyślnie słuchać podchodzili.

- Is, is, Maciek ze pse gada...

- Pockoj, cy mu tys pies nie odpowie... Ale pies nie odpowiadał, tylko słuchał, jak Maciek prawił czasem i prawił...

- Spiewok, bacys, kie my na upłazie wysy Zielonej Skały zamierkli z owcami? Ej, wtej beło! Jarka się zabiła... Nie daj Panie Boże zejść, telo sie ciemno zrobiło...

Spiewok, kie to beło, co cie wilk przysiad? Jakosi ku końcu Mihalskiego miesiąca abo z końca października na jesieniowisku. Zaroz my sie juz pote redykali dołu, du domu. Ten by ci beł dał, ino telo dobrze, co cie wej kolce na karku wybroniły... Ale ze to beł wilk! Posukać takiego... Boś ta i ty słaby nie bywał...

Spiewok, kielo to bedzie lat, kie my nawóz wozowali na saniak i przysuło nas? Be trzydzieści abo pięć trzydzieści roków... Konia, sanie, zmierwiło pięknie. Zniedobacka śnieg sie urwał, a takie zorowce u wirhu w lesie beły, nie utrzymały. Hej, kie hlusło! Kieby nie ty, jus byk tu dzisiok nie beł. Zamglalek do znaku! bełbyk umarz. Aleś mie ty grzał i zratowiskoś mi dał godne, cok sie przecie osatał i du domu jek sie zwłók. Prowda - ta Przez nowozu, przez konia i przez sonecek. Ale ta cłek beł młody, je to ta zaraz hnedziutki zdrowy beł...

Śpiewok, bacys, kie sie Jano Zatrenciański owce kraść na naskom hale iść zabrał? To beł hłop! Nie mas dziś takiego ani z tej tu strony Tatrów, ani z hajntej. Beła wtedy bójka! Boś ty zacuł i zescekał. Hybaj jo do pola, Jędrek brat, Walek Marduła. A oni przišli trzójmi, samo tak, jako i nas belo. Hej kieby nie ty i nie Bystra, nie byliby my rady dali! Jano jus pod kosare beł. nie nazdał sie, ze sie ku owcom obidwa wrócicie, bo ten drugi juhas luptowski holofił wysy w lesie, cobyście ku niemu leciały. Aleś ty beł wse mądry, a jesce nie tak Bystra. Toście se pomysleli: Je niegze ta holofi po lesie, kielo fce, dej hań nic naskiego nie mas, a nom trza owce opiekunować zatela. Nie nazdał sie Jano, jako mu wyjńdzie. Uciekać jus casu nie belo. Zrobiła się bitka. Hej kieby nie wy, pieski, nie beliby my się obegnali, bo to beły chłopcy strahotne i zajadliwe... Jesce jo hań mom na głowie złób, co mie Jano rafnon skałom...

Śpiewak słuchał i patrzył zamglawionymi od starości oczami na Maćka. I póki pies żył, jeszcze było jako tako Maćkowi, ale gdy zdechł, już nie było do kogo mówić. Bo z innymi juhasami, z tymi, co z nim wraz pasali, a już się tak, jak i on, postarzeli, ani z nowymi, młodszyimi, radzić o górach Maciek nie chciał. Owszem, uciekał od takiej rozmowy, zamykał się w swoim domu, a potem było słychać klątwy i łkanie.

I tak się Maciek zawzięł, że nawet na koniu podjechać ku góróm nie chciał, bo konia chował.

Kie nie, to nie! Nie fce Pon Bóg, cobyk hań węcyl seł, ze j to Mu hań nie pudel Heba po śmierci.

Ale nigdy jeszcze nie wiał od Tatr taki cudowny, pachnący wiatr. I Maciek poczał iść przed siebie, nie zaparłszy nawet chałupy na zaporę.

I wszedł w las, co domu jego niedaleko był, a tu woda ze źródła bije, czysta, rzeźwa i ogromna. Napił się jej Maciek, przykłęknąwszy, ręką - zimna była jak lód. Od tej wody coś dziwnego w nim się stało. Jakby zatęgło, zalodniało w nim wewnątrz i jakby zalodziła się w nim głowa. Coś jasnego, ostrego, świetlanego wypełniło mu ciemię. - Cyk słońce we łbie dostał, cy co? - pomyślał.

I niesłychana jasność strzeliła mu przez oczy. Wszystko, każda trawa, każda gałązka nabrała wyrazistości po prostu kryształnej. - Tak jak kieby mi gwiazdy do ocy wprawił - myślał.

I serce go nie bolało wcale, że szedł, i nawet nie pamiętał o tym, że chory był i łązić nie mógł od lat dwudziestu.

Gdy minął las, południe było. Olbrzymie upłazy zielone już jaśniały pośród smreków na turniach. A gdy minął upłaz, wydobył się na zwał kamienny, a za tym zwałem zieleniała znów do słońca jakoby łączka, potokiem przerwana na dwie nierówne części, mały skrawek i większą płasienkę. I głazy potężne leżały nad potokiem, a gdy Maciek dotknął ich ręką, uczuł, że są ciepłe od słońca.

Naówczas legł on na głazie, twarzą ku niemu, i całować go poczał, i rękoma obejmować, ogarniać. Łzy jako groch poczęły mu padać spod powiek na ten głaz twardy i od wieków nieruchomo tam spoczywający, gdy się przed wiekami u wierchu urwał. Zapamiętał się Maciek zupełnie. Dwadzieścia lat tęsknoty i żalu przywarło go do tego głazu.

To wszystko jest na nowo, na nowo, na nowo!... I nigdy nie było dwudziestu lat tęsknoty, choroby, niewoli... Nigdy Maciek Scyrbularz nie był nazywany "dziadem" nigdy nie przestał

owiec paść, po upłazach chodzić... Nigdy nie siedział w chałupie, we wsi, w dolinie, kiedy inni wyganiałi z wiosną, nigdy się nie żalił nad sobą, nie płakał, nie narzekał w duszy strapionej i smutnej... Nigdy mu u nóg nie leżał Śpiewak tak samo niemocny, tak samo niedołężny, jak on... To wszystko było tylko straszne, bolesne, ciężkie śnisko...

A potem się odwrócił twarzą ku niebu i rozpostarł szeroko ramiona...

Ponad nim skały ogromne, białe od śniegów i czarne, gdzie śniegi spłynęły, i - niebo, niebieskie, złotobłękitne, pełne blasku i białych, lotnych, pierzastych obłoków, chmurek i mgieł...

Cud Pana Boga...

I powstał Maciek z głazu, i zaczerpnął wody z potoku, a jasność jego myśli i wzroku pomnożyła się.

- Dubelt telo widzem, co prendzej - pomyślał.

I przedziwne on tam ujrzał, ten stary chłop, zjawisko.

Bo opowiadał mu, gdy był młodym chłopcem jeszcze, Andrysz Michna z Kotelnicy, któremu już wówczas blisko sto lat było, o zimowych pannach, które się raz widzieć dało jego ujkowi, Szymonowi Michnie Pietrowskiemu, w górach, kiedy wyzierać poszedł, czy już śniegi tajały i czy już czas wyganiać?

A był wtedy Andrysz Michna młodym chłopcem, kiedy mu to ujek Johym opowiedział...

Zimowe panny przylatują z wiatrem, z chmurami śnieżnymi od tego morza, co gdzieś daleko jest, a nigdy nie odmarza. Białe są takie, jak śnieg, twarze białe, usta białe, tylko oczy im się świecą jak szron o świcie, a włosy mają jak srebrzone. Suknie na nich białe, długie, tak się koło ciała owijające, jak pajęczyna jesienna czasem koło smreka młodego na gałęziach. Kiedy spadną na Tatry z chmurami, a dzieje się to zazwyczaj w nocy, w noc księżycową, podczas pełni, zaraz biorą się za ręce i poczynają tańczyć wielkim kołem po halach, upłazach, dolinach i zamrzniętych stawach, podobnie jak po lodach morskich tańczyły. Kto je zobaczy, niech ucieka; kto by je podpatrywał, nijako mu dobrze nie wyjdzie. Urzekną go tak, że albo spadnie i zabije się, albo oślepie, albo nogę złamie i więcej w góry nie pójdzie. Nie jednego miejsca się trzymają, ale przelatują z wiatrem przez granie i przełęcz z doliny do doliny, czasem się rozbijając na drobne stada, a czasem zbiwszy w wielką gromadę. Wtedy bywa ich tak dużo, że się bieli w oczach od nich. Mały stawek w Pięciu Stawach cały wieńcem okołą. Czasem tak jakby wiatr którą oderwał z łańcucha, podleci w górę, zachyboce się w powietrzu i znowu na dół, do łańcucha spadnie.

Igrają tak po górach aż do wiosny. Śpią, jak im przyjdzie ochota, na graniach, gdzie najzimniej, a jedzą ten lód koło wodospadów, na który słońce świeci. Tak im słońce gotuje strawę. Gdy śniegi zaczną topnieć, chwytają się wiatru i lecą ku morzu.

Wzięły się te zimowe panny, jak bardzo starzy ludzie mówią, tak: A był klasztor gdzieś pod górami, ale gdzie, już nie wiadomo. Było w nim sześćdziesiąt mniszek i wszystkie je zaraza jednego dnia i jednej godziny pobiła, a świątobliwe były bardzo. T leciał anioł niosący we worku z takiego płótna, co się z tej pajęczyny, co się na trawie jesienią o świcie ścięło, samo

uprzędić, bo takie jest anielskie płótno, ode wsi modlitwę sierocą do nieba, a unieskorzył, bo się ta sierota długo modliła. Leci, a tu widzi sześćdziesiąt białych duszyczek, jak czekają, zęby je aniołowie do nieba zabrali - cały kerdel, jak owiec. - Je - myśli anioł - coż haw majom biedarstwa marznąć - zima była - a cekać, jo ig haw zaweznem do nieba. Ino w co, bo choć ta o worek w klastorze by nie było biedy, ale duse bodaś w jakim nie poniesie. Ale była na kaplicy chorongiew z Matkom Boskom, pilno janioł sjon ten chorongiew z dahu, związał, jako ta móg, na prędkości, powsypał duse weń, zarucił bez drugie ramie i leci. Jak leci, tak leci, przyleciał ku Tatrom. Tu sie z telim brzemieniem ciężko dźwignąć, bo i tyk dus było przecie kiela, i ta sierota płakała, kie sie modliła, a te łzy były ciężkie jak ołów - a tu noc i miesiąc sie prawie krył za wirchy, i hmyry sły ciemne, śniegowe. - Coż bedem robił? - gwarzy janioł sam do siebie. - Nocował w górak nie bedem, bo zimno i kurniawa idzie - zle. Jak zaś bedem leciał pomału, zamierknem do znaku i zabłądzem po ćmie, bo to góry wielgie i strasne. Siejdzte pote ka pod skałom, kim sie ta zrobi zracno ku rantu, a jesce byk móg i zdrzymnąć, to sie mi wtory worek tulnie do doliny. Ale kiebyk - pado - jedno ostawił, toz to mi zlekce na ramieniu, to polecem wartko, a kiebyk ino góry minon, oho! tok jus hłop! Sowam ka pod wantom, to se zaś jutro wezne. Ale co tu ostawić? Cy duse tyk umarłych mnisecek, cy te modlitwy sieroce? Ostawiem duse? Cy se nie bedom markocić, ze ik zaroz do nieba nie niesem? Ostawiem modlitwy? Cy zaś nie przydzie diaboł, bo on ta vse cunjny, cy mi pote nie ozwiąze worka i nie ozpiere tyk paciorków po dolinie jak perły - i zbierajze ig pote dwa dni abo i trzi, a modlitwy sieroczej nie zahubis ani jednej i syćko Panu Bogu odnieść trza w porzondku. To święto rzec!

Sculgnon palicami. bo kłopot! Ale se ozmyśluje i namysłał tak: Je dy ta duse jako duse. Jeden dzień wieczności mniej, to tak jak nic. A kiebyk sieroczej modlitwy pilno Panu Bogu nie doniós, On jom ta, hoć i noc, by kielo telo z hrusba zaroz w kancelaryji osprzepatruje, jedno, ze nań gwiazdy za hmurami bedom świecić, drugie, ze ta jus nierad tego śpi, bo stary, a tej haw, jak Pan Bóg nie zratuje, to tys na ozaist niwto iny. A ze zgryzionego serca ta modlitwa, kie je tako ciężko. Ostawiem duse. Diaboł tu nie przystompi, bo tu Matka Boska.

I sjon chorongiew z dusami z ramienia, i sował do koliby pod wante godnom, a z tem drugim worckem zniós sie hore i wartko góry minon, jesce miesiąc kramcik świecił, i do nieba na droge mlecnom trefił, a potem to sie mu jus leciało fajnie, bo jom dobrze znał.

Ale sie wej nie naspodział, co sie stanie. Diaboł vse študer. Lemze janioł chorongwie z dusami odbióg, pada do wiatru, bo oni kumotrowie: O mój ślicny, piekny, cyby tys przecie jako janiolowi na despet nie zrobić? Ostawił se duse w kolibie pod wantom, cyby mu ig nie puścić? Ino ze som jest do chorongwie święconej zawiązane, mnie ku nim nieporada iść, ale ty mozes. Lejdzte wartko a puść mu je, jako kurecki z kojca. Jo - pado - prawa do nig ni mom, ale niegze sie by nasuko!

Wiater na to jak na lato. Kie duchnie! Do razu sie chorongiew ozwiązała, a duse hybaj w pole! Jedna za drugom, jako gołębje spod strzehy. I ozieciało sie to, bo to było ciekawe. Wiater sie cuduje, ze to tego teli kerdel, diaboł sie ino zaśmiał, skrzesał rogami iskry ze skały i stracił sie wereda kajsi. Do ziemie wjechał.

Wiater sie ucudował i ku morzu zamarzłemu sie brał, bo jus wiesna sła, a to był wiater zimowy. A te duse woła jom ku niemu: Kies ty taki dobry był, coś nas na slebode z tej hań koliby, ka nom dość ciasno siedzieć było, puściel, je to my jus z tobom wolemy i weź nas. Bedzieme ci tańcować, to ci sie nie be telo kotwić drogami. A to wiera, ni ma dziwoty nijakiej, ze sie im tańcować kciało, bo to były dziewcenciska młode, hoj i mni-ski, a w



klosterze tańcował nie bedzies. Modlić sie jus tys nie beło o co, bo jus pomarły, a tu sie ino o śmierć dobrom cłek modli. I wzion je wiater, i poleciał ś niemi ku morzu zamarzłemu.

Przileci na drugi dzień janioł lem świt - naloż chorongiew, ale dus nie naloż. - O krotni miliońscy! Dwók diaskók jeś ty zjadła a jeś zjadła, kieś sie ty ozwiązała - pado jej. - Je kaz jo ig najdem, te duse?... Leci po wirchak - nie daj Panie Boże, nie widzi nic. Poskrobał sie za łeb, nakłoń do stu dziadów i myśli se tak: Ka posły, to posły, to jako kciały. Chorongiew odniesem, skąd jek jom wzion, wcora nik nie widział, cok jom sjimał, bo beła ćma, a dziś ta tys jesce nik światu nie obzierał, bo bars rano, to ta ani nie bedzie nik wiedział, jako beło. Powiesem, ka prendzej bewała, i telo. A o duse sie więcyl starał nie bedem. Wto ig ta najdzie, nieg se ig pozgania do kupy i do nieba odniesie.

I poleciał rad, bo to był ciężar i zucony do tego nie beł. Bo to sie z tysiąca trefi tele duse na roz nieść, do wojny go zaś nie komenderowali jesce nigda, bo to był Janioł młody i jino mu ta po wsiak kazowali robić służbę, takom lekom.

I stały sie z tych dusz zimowe panny.

Gdzie wiatr zimowy leciał, tam one z nim. Na zamarzłym morzu cło im sie strąsnie za swoimi stronami, to sie niesły w jesieni ku góróm, zaś kiedy szło ku wiośnie, to znów wracały z wiatrem na morze, bo on im był za opiekuna i już sie z nim rozstać nie chciały. I wiatr był rad, i one były rade. Wiatr grał, a one tańcowały.

Tylko broń Boże, żeby je kto podpatrzeć chciał. Zaraz się mściły.

Te tedy zimowe panny ujrzał Maciek Scyrbularzów przed sobą.

Było to w Pięciu Stawach Polskich, już pod zachód. Maciek sie wydobył na groblę od Wielkiego Stawu z Roztoki koło wielkiej Siklawy. Staw zamarznięty, a zimowe panny tańczą po nim kołem.

Zlął sie strasznie i cofnąć chciał, żeby go nie dostrzegły, bo wiedział, co mu grozi. Ale mu żał było, bo cud Boski było patrzeć! Lód, cienki już, zazieleniał, poczerwieniał i pozłocił sie od słońca, a one też czerwono, złoto i zielono sie mieniły. Zapatrzył sie. One zaś nie widziały go, tylko tańczyły kołem. I nagle stara matura ogarnęła Maćka Scyrbularza. Był i on tancerz za młodu, rad sie nosił, a za dziewczką, co mu beczkowała, jak kogut naokoło po izbie dreptał, przytupując, ręką w ziemię plaskając... Razem z chodzeniem po górach skończył sie i taniec. Eh! A to było! Jak muzykę usłyszał, to nogi same skakały pod nim! A potem, jak muzykę usłyszał, to mu sie gardło ścisnęło, bo niesposób było ani dwa razy podskoczyć. A tu co sie natanął w tych Pięciu Stawach. Oczy stały mu sie tak bystre, że widział nieledwie każdy kamień na uboczach po Wołoszynie. Wszędzie tam po tych uboczach tańcowały przy owcach jego lekkie kierzce. Tańcowały przy muzyce i bez muzyki, przy piszczałce albo oktawkach albo i bez. Tańcował pod Opalonem, tańcował po Krzyżnem, pod Walentkową, pod Liptowskimi Murami, nad Stawem Pod Kołem, na Spiglasowych Perciach... Jak gwizdnął po juhaska, to dolina jękała...

*Sto se jedna, sto se dwie,  
stoi baca u jedle,  
bo mu owiec chybiło,  
zamirków sie zwysyło...*

Hej! Przy Sam Bohu! Stara matura ogarnęła Maćka Scyrbularza. I nimbyś słowo powiedział, znalazł się on w kole zimowych panien, pod ręce im wpadłszy.

I na zielonej, złotawej szybie stawu, pod którą, znać było straszną, przepastną wodę, stał Maciek z rozwianymi, siwymi włosami, przytupywał i przygwizdywał, a zimowe panny szalały kręgiem, jak obłok w kotlinie wiatrem kręcony.

Wtem zaszumiało i zawyło. Zimowe panny stumanily się, zmieszały, skłębiły w chmurę i wzbiły się w powietrze ponad Pustą Dolinę ku Zawratowi, ku północy. Zamigotało jeszcze, zabieliło się. zamajaczyło i znikło. Jak czar.

Został Maciek sam na Wielkim Stawie, na lodzie.

Strasliwy, przenikający, dojmujący ból przeszył mu serce. Maciek się aż skurczył i przygiął. Chwyciło go osłabienie takie, że legł na lodzie.

- Jesce roz w zyciu góry widzem, jescek roz w zyciu tończył... Hybaj, śmiertecko...

## SZCZEPAN BEZ ZIEMI

- Hej! Dziadu! Jo dziad! Wiera! Ckaj! Uwidzisz dziada! Ej ha! Wielgomożny pani Dziadu! Wiera! Is!Is! Is! Ckaj!

Tak krzyczał sam do siebie Szczepan Głombik, kręcąc się po tej jedynej izbie, jaką miał. Żona jego i dwoje dzieci siedzieli koło pieca, w którym się paliły liście i patyki spod śniegu dobyte. Ziąb był w izbie taki, co strach.

Szczepana Głombika dom o jednej izbie ledwie że się nie stykał dachem z chałupą Jakuba Głombika. A była to obora okoliczna, izby, stajnia końska i krówska, chlew, stodoła. Gazdowstwo hrube, maśne.

Tak siedzieli obok siebie, jeden przy drugim, biedny do przepadnięcia Szczepan Głombik i bogacz Jakub Głombik i jeszcze jak na złość jednako się nazywali.

- Kón i kón - mawiał Jakub Głombik - pies i pies. A jeden kón słonko, drugi ku sumarowi, choć to nikcemne stworzenie, jesce ani telo nie płaci. A pies? Jeden - baran, drugi ino prawie skałom zabić - zgnity flak. Tak to wej Ponbog daje.

Tak mawiał, pykając z fajki, pojedzony i napity, do czarnej czuchy odziały Jakub Głombik, a nienawidził go w białej, obdartej, kusej guńce kulący się Szczepan.

- On to rodzina, przyjaciel, a cłeku gorzyj wilka - syczał przez zęby biedny Szczepan.

- Rodzina? - mawiał Jakub Głombik, spluwając przez zęby na pośród izby od niechcenia. - Je ta i strzebla łososiowi rodzina. Bajto!

Byli przyjaciele czy nie byli, chyba by to jeden pleban z metryk wiedział, tylko to, że kościoła, więc i plebani! tam nie było.

Jakub Głombik miał pod pięćdziesiąt korcy owsa, siał jarzec, żyto, grule sadił, siano zbierał, u niego we zbiórki tak, jak do dworu. Fury jechały jak domy. Wołów chował sześć, konie trzy, a co krów, świń, owiec, kóz, seli-jakiego statku, to ani nie wypędziane rzeczy!

A u Szczepana komar na oknie, a pajęczyna w kącie, to całe gazdowstwo. Nie tylko krowy, owcy, ale nawet kozy nie było. Ze zarobku żyli, jak się trafił.

- U mnie tego roku telo pęk, co ludzie na świecie! - mawiał Jakub Głombik. - Musiały się sytkie od Scepana przenieść, bo hań jus i na nie było głodno...

Tak szydził Jakub Głombik, a Szczepan się wściekał.

Ale czy był zarobek, czy nie było zarobku, nigdy on do Jakuba poń nie poszedł, ani się upytał nie dał.

Nieraz rzekł Jakub Głombik do swej córki Wikty:

Wikta, idze do Scepona, niek haw przidzie drow urombać, dostanie wiecerzom i dwa dudki - albo: Wikta, przeskknij do Scepona, nieg jego baba przidzie z motykom grule okopować; dostanie poëdnnie i jesce ta co do podółka - ale nigdy ani Szczepan, ani jego żona na robotę i zarobek do Jakuba nie poszli.

I Szczepan tylko nieraz wychodzi na brzyzek, popod las, i patrzył na Jakubowy majątek - na te niezmierne, nieprzebrane bogactwa. Ten las, co za nim, za plecami stał, to Jakubowy las ten brzyzek, co na nim siedział, i za wodą u stóp pastwi-sko - to Jakubowe; a potem te pola, te role; owsy, jarzec, żyto, grule w rządki skopane, karpiele - - het, het, kielo wideku, bez mała sytko Jakubowe i Jakubowe...

Tela ziem! Tela ziem!

Patrzył na nią Szczepan Głombik łakomo, a nie tylko łakomo, ale i z miłością niewysłowioną, nieogarniętą. Wylatywała mu do niej dusza. Byłby ją całował, tulił do piersi, ten ziem nadrogsom - - gdyby nie była Jakubowa.

- Ja jest przez ziemie! Ja jest przez ziemie! - wyło mu w sercu. A nieraz i głośno tak jęknął i stąd go nazwano: Scepon przez Ziemie. Ziemia, ziemia! Ziem! Rola!

- Dałbyś za ziemie babe? Dałbyk! Dałbyś za ziemie dzieci? Dałbyk! Dałbyś za ziemie duse?... Myślał Szczepan, dopowiedzieć nie śmiał.

A Jakub w tej ziemi owiniony, jak chore prosię do kozucha. Jak pstrąg albo lipień w baniorze, tak się Jakub w ziemi swojej nurzać mógł.

Orba, kośba, młóćba - dzwięczały te cudne wyrazy bezziemnemu Szczepanowi w uszach, a Jakub to się tak do nich przyzwyczaił, że ich już ani nie słyszał. Z roku na rok orał, kosił, młocków najmował.

- Ziem! Ziem! - szeptał do siebie Szczepan i głaskał dłońmi brzyszek koło siebie, choć nie swój, a Jakub zatęla poglądał, jako mu schodzi, albo na czeladź swarzył, że nie dość dobrze posługują.

- Ziem! Ziem! - szeptał do siebie Szczepan. - Ja, kiebyk Pane Boge był, tobyk nie w niebie, ba na ziemi bywał. Haw byk se miał królestwo swoje. Za pługe byk bodzieł, świenci by roi poganiać musieli. Je coż byk hań lepszego w tym niebie nalaz? Siałbyk, orał, skrudlił, a potę kosieł, do stodoły wioz, młócieł - gazdowałbyk se ino Nie pytałbyk, coby mi janiółowie sytko śpiśwali, ba coby se mnom w polu robili jak parobcy. Sopy byk se postawił tele zwyżć, jak Tatry, pierun by mi ziem pokładał a halny wiatery by mi do stodoły nosieł. A powodziom byk se po młakak potraw zbierował. Hej, to by beło!

Ziem! Ziem! Kiebyk jom miał, tobyk o zbawienie nie stał! Kieby choć stajanie, choć pół stajania, choć ćwierć choć telo, cobyś kapeluse przykrył!... A tu nic i nic!...

Z drogiej duse pragnem, ale darmo. Ja jest Scepon przez Ziemie...

Ale Szczepan był robotnik nad robotnika. Kiedy się do roboty najał, kiedy się do orania czy koszenia wziął, to nie tak, ale kiebyś mu jeszcze piantom renke przycynił. Dwóch tyle nie zorało, trzech nie skosiło, co on sam.

A kiedy snopki wziął wiązać, to tylko fyrcały ponad nim na wóz.

Toteż strasznie go radzi pytali do roboty i nieraz to i pięć dudków bez dzień zarobił.

Jednego razu, kiedy Jakub Głombik żyto pokoszone wiązał, przyszła ogromna, czarna chmura od Golców i ulewą groziła. Uwijała się czeladź Jakubowa, co starsza, Wikta, Hiacyntka i Staszek, uwijał się sam Jakub i jego żona, parobcy i dziewczki posługowacki, ale już Jakub widział, że przed deszczem powiązać nie zdole.

Było to blisko domu, a Szczepan prawiucó roboty nijakiej nie miał i na progu, fajkę kurzący, siedział.

- Wikta! - krzyknął Jakub. - Scepon hań, lejdze ku niemu, nieg haw duhem przidom obidwa z babom, siałny reński dostanom, coby jino wiązać pomogli.

Poleciała Wikta - wróciła, że Szczepan nie chce.

Naówczas przyłożył dłonie do ust Jakub Głombik i krzyknął: Scepon!

Szczepan drgnął, ale się z progu nie ruszył, tylko również dłonie do ust przyłożył i zapytał: Ze co?

- Hybajcie haw i z babom!

- Ze na co?

- Snopki wiązać pomóc!

- Bajto!

- Siałny reński wam dam!

- Ećl

- Po siałhemu po reńskiemu na kozde!

- Sowoj se ik kasi!

Jakub Głombik się wstrząsnął, ale udał, że nie zauważył ani obelgi, ani że mu Szczepan nie podwoił, i krzyczał dalej:

- Idziecie?

- Nie!

- Cemu?

- Bo sie nam nie fce!

Głombik odjął dłonie od ust i wargi mu zadygotały, ale się opanował.

- Jesce wam po pół cwancygiera dorucem, na kozde-go! - krzyknął znowu.

A Szczepan Głombik wziął sprzed progu suche łajno końskie, co je Głombikowy koń tamtędy przechodząc zostawił, i rzucając je w stronę Jakuba, odkrzyknął:

- A ja wam zaś to!

Tego już było Jakubowi za wiele. Wrzasnął tedy niebywałym głosem z pasją:

- Dziadu!

Bo to było krótkie, a mieściło wszystko. Szczepan porwał się z progu, ale uczuł się bezsilny, szukał w głowie i co znalazł, to wywołał:

- Wielgomożny pan!

Na tym się rozmowa skończyła. Przyszła lejba straszna, oberwanie chmury i Jakubowego żyta pół zmarniało, a Szczepan nie zarobił dwóch siałnych reńskich i cwan-cygiera.

Od tego czasu nienawiść między sąsiadami wzrosła do niebywałych rozmiarów.

- Wies, Kaśka, dziadował mi! Dziadem mie nazwał! - powtarzał Szczepan do żony. - Ty mi jino dziaduj! Jo ci haw udiadujem! Wielgomożny pan!....

A Jakub co przeszedł koło Szczepana, to przez zęby warknął: Dziad!

I zdarzyło się przed jesienią, że parobek ogień zaproszył w stajni u Jakuba i płomień buchnął. Ale to było po południu, ludzie do ratunku skoczyli, wody było dość. a Szczepan szalał na dachu na stajni. Siekierą rąbał, rękami darł, wodę lał, za siedmi hłopów stanon.

- No wiecie - rzekł wójt Pęksa do Jakuba Głom-bika, kiedy pożar już ugaszono bez wielkiej szkody - sytka my wam pomogli, ale kieby nie haw Scepon, to nie wiem, jako by wysło. Bodaś kozdemu takiego sonsiada! Przez ziemie je, ale z rącyskami! Jus co, jak co, nifto iny, jino on ten ogień zagasił. Nadgrode mu trza dać i jesce nie bodaśjakom, ba honornom.

- Zej dy nieg se biere, co fce - odpowiedział Jakub Głombik. - Hojby i krowe. A Szczepan się uklonił kapeluszem Jakubowi i odrzekł: - Dziad dzieńkuje wielgomoznemu panu, co sie przy jego ogniu zagrzał.

- Zej dyć nie zimno - zaśmiał się któryś z chłopów.

- Nie zimno? - podchwycił Szczepan. - Ale ono moze być zimno. I przechyliwszy kapelusz na bakier, odszedł dumnie ku izbie.

A chłopci mówili między sobą: - Cudny tys to cłek! Nie ratował, coby się telo o sobie, o swój dom bał, bo ciučko, wiatru ni mas, a stajnia ku niemu nie blisko. Dzień, móg wiedzieć, ize sie teli, niewielgi ogień zatysi. Nierad was widzi, Jakubie, to wiecie. Jinsy, zazrośny, toby wolał, cobyście wy kielom telom skode mieli.

- Je, Scepon przez Ziemie ta nikomu na posprzec nie stanie, to dobry cłek - rzekł któryś gazda. - A co Jakuba nierad widzi, no to ta kazdy cos! kajsi ma. No a kie krowy nie fciał, to mu heba nie potrzebne.

Wszyscy się zaśmiali na ten dowcip i Szczepanową biedę.

Chciał być od tego czasu Jakub Głombik w zgodzie i przyjaźni ze Szczepanem, ale Szczepan z nim nie chciał. Kłaniał się "wielgomoznemu panu", a raz po raz w izbie przed babą powtarzał: Dziadem mię nazwał! Wiera dziad! Ckaj!

I przyszła zima. W jandwencie zaraz straszne mrozy ścisnęły. Zamarzły wody, nawet studnie pomarzły. Ludzie lód na wodę topili.

W taką straszną noc, kiedy każdy głowę do kożucha owinał i spał, a zdawało się, że się od zimna światło gwiazd ścina, nad pełną zboża stodołą Jakuba Głombika buchnął płomień, a płomień to był od razu wielki.

Nie spostrzegł nikt, bo nawet psy do sieni pozapierali, i płomień rozlał się na cały dach, a potem przelał i na izby mieszkalne.

Już stodoła cała w ogniu stała, płonęło suche zboże i siano i wtedy dopiero Szczepan Głombik jął krzyczeć:

Wstajcie! wstajcie! Gore!

Ledwie się doburzył na oknach, że się Głombikowie pobudzili, powylatywali i parobcy ze stajni, dziewczki, dzieci - krzyk! lament!

Wody kropli - lód i lód.

Od strasznej łuny poocykali się i dalsi sąsiedzi, a płomień przerzucił się na Szczepanową chałupę. Ale tamci, nie śpiący, pouprzątali się z niej z łachami w mig.

Krzyk! Lament! Rozpacz! Wszystko, co Jakub Głombik miał, dom, stodoła, stajnia, zboże, siano, wozy, konie, woły, krowy, świnie, owce, nawet kury i gęsi: spaliło się wszystko. Spaliły się i pieniądze, jakie pod dylami w białej izbie były.

Została mu tylko zaskorupiała pod lodem ziem.

Trzymał się Jakub Głombik za głowę i nie dbając na mróz, w bieliźnie i w kożuchu tylko naprędcie porwanym z pościeli, na skamieniałym pniaku, na którym się drzewo rąbywało, na pogorzelisku siedział.

A Szczepan Głombik, któremu się także izba spaliła, przystąpił ku niemu, trącił go w ramię i rzekł: Dziadu! Wstaj!

Ocknął się Jakub Głombik i błędnymi, nie widzącymi oczyma popatrzał na Szczepana.

Szczepan zaś mówił dalej: Wstaj, dziadu! Bier torbę i kij! Pudzieme po pytaniu wraz!

Jakub Głombik nie rozumiał, co Szczepan do niego mówi.

A Szczepan mówił dalej: Podź, dziadu! Pudzieme do wielgomożnego pana, do Jakuba Głombika, co nam co podaruje.

Dopiero wtedy Jakub Głombik począł potrząsać głową i cicho jęczeć: Hej, hej, hej! Hej, hej, hej!

A kiedy Szczepan, przewiesiwszy torbę przez plecy i takąż torbę zawiesiwszy babie, z dwojgiem swoich dzieci, jako pogorzelcy, ruszyli po prośbie we świat, mówił do żony: Is, Kaśka, teroz my dziady, ale i oni

- Hej raty ludzie na świecie! Hej raty ludzie na świecie! - biadała żona.

- Nie jojc. Bieda na nas, ale i na niego. Coz mu teroz z tej ziemie, kielo jej ta ma? Ani cym zasiać, bo zarno spalone, ani cym obrobić, bo woły, konie wagieli, ani za co kupić, bo piniondze zuzeli. On skapie.

- Hej raty ludzie na świecie! Hej raty ludzie na świecie! - biadała Szczepanowa, nie wiadomo czy więcej nad swoim losem, czy nad Jakubowym. - Ale skąd się wej ogień wzion? W takom noc? We mróz?

- Je dy kieby seę moja izba nie spaliła, toby pedzieli, że ja podpaleł - rzekł Szczepan.

- Jesce by cie byli, Panie broń, do hereštu zaparli! - jęknęła Szczepanowa.

A Szczepan popatrzał, że dzieci dość naprzód idą, przystanął przed żoną, podniósł głowę do góry i rzekł z dumą:

- A podpaleł ja!

- Selki duk Pana Boga kfali! - krzyknęła Szczepanowa przerażona, żegnając się krzyżem świętym.

- A podpołej jo - powtórzył z dumą Szczepan.

- Je coześ ty zrobiel, nieszczęśniku?!

- A nie dziadował mi to? Ze on tele majątki miał, a ja przez ziemie beł? Ziemie jek mu wydrzeć ni móg - ziemie jino jeden Ponbóg wydre powodziom. Ale jek se gadał i przy tobie jek gadał: ckaj. I coż mu ta teraz z tyk majątków, z tyk ról? Heba będzie lód po nik zbierał i śnieg i warzył to, a jad? I wiesz, co będzie? On teraz musi za hojco ziem przedawać, bo to przecie ig dwoje, dzie-cysków ośmioro, a tu ani ka siedzieć, ani co zryć. Za hojco! Mało co s tego przy nim ostanie!

Szczepanowa popatrzała na męża zdumionymi oczami.

- Scepon! Je dyjeś ty przecie z końca jesieni telo bronieł Jakuba od ognia, co cud!

- He! - potrząsnął Szczepan z dumą głową. - Ja se go fciał na lepsy cas sować! Wtedej jesce w stodole nie beło nic, zyto beło w stołkak na polu, jarce, owsy w polu! A pote ludzie by sie pirwy zlecieli ratować, nie w takom noc, we mrozy.

Aniby go przez hałupy telo nie dokucyło za ciepła. Ja, se go sował! Na dobry cas! Spaliło sie moje, inacy ni mogło być. Jedno: blisko, drugie: teraz nie powie nik, co ja podpaleł. Marznijmy my, ale niegze marznie i on! He! Kanyz ta teraz rosada, parządka, cebulka, marhew, pietrusecka, cosnocek? Kanyz jangresek, porzicka? Nie bee miał wto o nie stać, bo trza będzie o moskalicek po hałupak pytać. He, he, he! Spaliło i moje, nie bedem w hereście gnić. Niegze ta! My biedy zwyczajni, ale on - bogac! Nad nami beł dziórawy daf, ale nad nim! Popaliły sie mirtecki, jabcownicki, rózycki, panicki po donickak. He, he, he! Nie zał mi mojej izby, kie on przez izbów! Ani telo! Nie ciężka mi ta torba, kie on s torbom! Grunta ostały, ostała ziem - ale lepsi beło nigda nic nie mieć, jako sie wyprzedać musieć i pote na swoje nie swoje pozierać. Ej ha! To nowieńksy ból! Od tego serce puka! Ckaj! Wielgomozny pan! Dziadowałeś mi! Wiera! A teroześ sam dziad! Ckaj! Dziadul He, he, he!...

## O WOJTKU CUDAKU

Wojtek ta jako Wojtek. Z drogi nic nie powie, ale tys ta za jego drógom nie ujedzie...

Pada mu siostra: Zeń się! - a on jej: Ja ci sie haw bedem zenieł, kie pachnieł...

Pado mu szwagier: Wojtek, zje dyćbyk sie przecie ozenie! - Wojtek zaś: Dajciez pokój, swoku, buki cyrwieniom!

Jedno tak na wiosnę, drugie na jesień. I coż mu powiesz? Z drogi nic nie pedział - na wiosne pachnie, na jesieni liście na bukach żółkną, a potem czerwienieją.

Dla Wojtka był cały świat. Był on tak, jako to ów zbójnik Nowobilski, co se rad śpiewał:



*Hejze ino, ino jedź,  
bo jo lepszy jako kmieć,  
a u kmiecia dzieci som,  
a jo chłopiec ino som!*

Bo u Wojtka nie było baby ani dzieci nie było. Miał Wojtek siostrę i ta się wydała, a oprócz tego małą chałupkę o jednej izbinie i bardzo mało pola. Ale że Wojtek był dość fajnie urośniony, niesłaby i zdatny, byłby się mógł przyżenić do gruntu, bo go i wdowy majątne, i dziewczki posażne chciały, ale on nie chciał.

To mu na wiosnę pachło, to w jesieni buki po reglach czerwieniały - nie miał on czasu o takich rzeczach, jak żeńba, myśleć.

Wojtek se juhasił, bacą bywał, na stryzki gwizdał, a w zimie ta wyżył jako tako z tego okrawka pola, co miał, i z tego, co przy owcach zarobił. Dużo mu nie trza było, bo nie pił.

Ino się siostra i szwagier, uczciwy chłop był, martwili, bo co ś nim będzie? A siostra się wydała dosyć obdalno do innej wsi, o pięć mil, dzieci było huk, to się i o brata starać nie mogła. Co sie razy spotkali, to zaraz do Wojtka: Zeń sie i zeń sie! - a Wojtek ta zawsze swoje i swoje.

Zeń się - wiera! A najgorzej jesień.

Listki drżą na gałęziach - osiki, olsze, skorusze, jawory, jasionie, buki... Żółkną, czerwienieją, spadają...

Wojtek dobrze wie, co gadają drzewa...

*Mój Wojtecku, mój Wojtecku, tracimy liść po listecku, kie nam syćkie liście spadnom, aj,  
budzie nam w zimie biedno, aj, budzie nam w zimie biedno...*

- Zeć! Moje ślicne, piękne! - myśli Wojtek. - Ja wam ig haw nie przitrzimiam na gałęzi... O Boże mój, Boże! Kiedy się jesień rozgarnęła złota, niebieska i czerwieniata, już ty, siostro, ty, szwagrze, Wojtkowi o żeńbie nie radź!

- Swoku - pada mu szwagier, kładąc woreczek na ławie we Wojtkowej izdebce - posłała wam siostra se mnom krapke mąki na moskale i odkaz, cobyście sie przecie zenili. Bo co będzie?

- Jako: co będzie?

- Dyjeście przecie nie nomłodszy. Pięć śtyrdzieści macie.

- Ze dyc wiem.

- No to co będzie? Przidzie starość, a tu, Panie broń, nie ma wto łyżki stawy podać, głowe na wyrku dźwignonć. Staremu a samemu to nie tak. Abo i w horości - samo to.

- Hem - kiwie Wojtek głową - moiściewy! Ma mi baba za usami mrajceć, majom mi dziecyska koło ścian brzejsceć, je! Bajto! Smierć to ino raz, a horość to ta tys nie przez umiar.

Tydzień, dwa tyżnia - aboś zdrów, aboś hań! A tu to i trzidzieści roków pojeden przy babie stęka. Bacycie wy, swoku, Murzańskiego z Gronia?

*Gęsiolecki i basy,  
Murzańskiego to ciesy,  
a kądziolka. wrzecziono,  
bodaj sie to zbeśniło!*

- Zje, kie wam, swoku, jino figle w głowie. Bedziecie załować. Pan Bóg je miłosierny, ale je niewierny. On ciekowi rozum dał, coby se radzieł. Haw ci cłece rozum dajem, ale Mi nie dowierzaj. Strzezonego Pan Bóg strzeze, leniwego kijem rzezę. On ta i was, swoku, wyrzeze, boście leniwy do jego wóle. On cłekowi babe stworzeł, coby mu do pomocy beła.

- Mnie ta w robocie nie przeręcy. Ja, jedno juhas, drugie niestrasny gazda.

- Nie to! Ale cok wam gadał? Starość, a horość.

- Ej ja ta nie s takiego rodu, co długo zyje, a wie to wto pewnie, jako umre? Moze sie ka skała we Woło-synie urwie abo niedźwiedź przy baranie przisiednie, no to nie bedzie długo. Kieby ja wiedział, zebyk długo horować kie miał, no, tobyk ta jesce meślał. Ale to nie pewne, a babsko pewne.

- Coz was tys ta te baby tak omierzły?! Ludzie na świecie!

- Je! Ja se kcem do pola, na wiesne pachnie świat: Wojtek! Orba! Ja se kcem na buki jesieniom wyżreć: -Wojtek! Młocba! A spod tej haw ściany: Tato jeść! a spod tej hań znova: Tato! pić! E! Bodaj was ta s takom robotom! A tu u mnie ciho, cihućko. Kie na pościel legnem, dźwierze uhyłone, bo ja ta z juhasienia zimy zwyczajny, nierad zapieram, kaździučki liś slišem, jak sumi, gwiazdy mi cihućko pedzom: Wojtek! Śpis? Nie śpiem!

Dobry wieczór!

Dobry wieczór!...

- Coz? - pyta się siostra Wojtkowa męża, kiedy do domu wrócił. - Usłuhnon cie?

- W rzyci! - odpowiada mąż.

- Nie fce sie zenić?

- Zeć to cudak i cudak, sama wies! Uciókek haństela, bo sie mi jaze łeb zawracała, kie gadał. To głupie.

- Głupie. Zawdy takie beło - powiada smutno Wojtkowa siostra. - Z małego waryjak i waryjak. Jesień to mu buki cyrwieniom... Nie tak ci pedział?

- Ja ta ani nie rozumiał temu, co radzieł do mnie. Bełby prawie po śmierzci hodzić. Kieby tacy sytka beli, toby sie świat skońceł.

- Odpokutuje on, odpokutuje! - biadkała siostra Wojtkowa. - Zmamił życie, dary boskie, a Bóg mściły. Nie na to psu dajom, coby ożłał. Aleś mu ta może nie napędził, jako trza?

- Je to przecie nie krowa, cobyś jej wiescyce na siłę w owsianym cieście dawała, ba hłop! Cok wiedział, tok pedział. Więcyl nie.

- O! Bedzie tys ś nim biedno kiesi, bedzie...

- Darmo! Z takim cudake nic nie dokazes. Z pajencyny kosule nie uprzedzies, a z huby bryje nie uwarzis.

- No iści, iści - przychwalila Wojtkowa siostra smutno.

A Wojtek ta jako Wojtek.

W lecie pasie, a zresztą po świecie patrzy, po drzewach, po liściach. Na wiosnę się zielem, jaze gra, jesienią tyle kolorów na reglach, aż oczy bołą. Godziny całe Wojtek siedzi przed chałupą i patrzy. A nie przeszkadzał mu nikt, bo chałupa na boku stała, za wsią, w górze przy laskach. Nieraz i miesiąc zeszedł, a nikt się koło niej nie przewinął, bo po co? Pustelnia to była. Mogłeś cejco robić.

Ale Wojtek o to mało dbał, a jak mu się między ludzi chciało, to do wsi zleciał. Jego ta nogi nie bołały. A patrzył se, kielo fciał.

I stroiło mu się to w rozmaite barwy w oczach. Z dnia na dzień liście inaczej świeciły.

Zrazu sie ich chwytala ordzew, rdzewiały jak żelazo, potem sie stawały burakowe, wiśniowe, złociste, potem płowiały, zglewiały od mrozów.

A wokoło r. ich stał smrekowy las, wiecznie ciemnozielony, dopóki go śnieg nie obieleł.

Jeżeli cudnie wyglądała jasna zieleń buków i skoruszy wpośród smreków w lesie, że się czasem zdawało, że lotna mgła zielona na las spadła, to w jesieni dopiero był cud Pana Boga!

- Świecy ze im tys to, świecy, ty pocerwieniate liście, tym hań smrekom! - szeptał do siebie Wojtek. - Teloż, byś dukaty i korale w trawie poodciskował. A jesse nie tak, ale kiebyś gwiazdami polane posiał...

I patrzył.

A kiedy się zimą biało zrobiło, patrzył Wojtek, jak się do słońca las lśni, albo też, kiedy go wicher poomiatał, poznawał Wojtek buki i jawory, które nagie, czarne konary z bieli śniegowej dobyły. I cieszył się, kiedy wicher na wiosnę odął drzewa i słońce z deszczem pierwsze wypustki liści wyprowadzały, kiedy drzewa „kwitły”.

Nieraz tam jeszcze siostra i szwagier o żeńbie przepe-dzieli, ale ta z tych przepowiedni nic nijako nie wyszło.

I żył Wojtek rok po roku, aż się ozniemógł. A oznie-mógł się prawie wte, kiedy dwoje dzieci siostrzanych na łożnice chorowało, i ostał sam. Nikogo przy nim nie było w izbecie. Boby i nawet nie miał kim do siostry posłać.

Leży i leży na pościeli, jeść się nie chce, ale pić do usknięcia. A tu się dźwignąć nieporada, bo nogi jak z powróseł, a wody podać nie ma kto.

Minął dzień, minęła noc, mija drugi dzień - Wojtek leży. Jesień była.

- He! - myśli sobie - kieby przecie haw wto przy mnie beł, lekcej by beło umierać. Trza bedzie, widzem, przez ksiendza za brzyzek...

Bo Wojtek widział, że z nim źle i że ś niego już nic. Leży taki chory i wtedy sobie dopiero myśli:

Mieły Mocny kany! Dobrze - rzeke - padała siostra: zeń siei dobrze - rzeke - padał l szwagier... Zje dyć kiebyk przecie haw babe miał, nie umierałoby sie mi jako psu. Pusto koło mnie, jako koło sałasa w zimie. Eć!

I tak się mu luto samego siebie stało, aż mu płacki w oczach postajały.

W izbie tak cicho, jak w grobie. I ciemno. Wieczór nadchodził, a zapalić kaganka nie miał kto.

Wszystko się stało dziwne.

Ława, dwa stołki, co je Wojtek miał, stół, piec: wszystko się rozmglawiło i jakby ruchome stało.

- Lazom na izbe cy jako? - myślał Wojtek. Okna się w ścianach poczęły chwiać, krzywić, pochylać to na prawo, to na lewo, to w dół, to w górę. A za oknami ćma, mrakota, także fałująca, niby woda w głębi ruchoma.

- Rzekbyś, ześ do Wielkiego Stawu, do środka, z izbom wjechał, a ono kieby wiater wodom ode dna huział...

I coraz słabiej się Wojtkowi czyniło, już mu się nawet pić chcieć ustawało, tylko go straszny smutek brał, że tak samotny umiera.

- He - powtarzał sobie - he, kabyk beł usłuhnnon... Dobrze - rzeke - padała siostra, dobrze - rzeke - padał swagier... Zjedyjek teraz sam, jak suha limba pod siodło... (1)

Wtem przez okno, przez szyby, poczęła się do izby wsuwać czerwona gałąź bukowa. Patrzy Wojtek, a za nią jawor gałęzie wysła, wierba, skorusza...

A przez drzwi się pchają olszyny, osiki, brzezina...

Liście czerwone, żółte, złociste...

I zioła przez próg suną liście - szczaw, bylica, krzewi się fiołowy wrzos...

I szafirowe, małe, jesienne goryczki, co tuż nad ziemią rosną, świecą się przy podłodze i mówią: Icie! icie! i my haw jest!...

Zaczerwieniło się, zazłociło, zakwitło we Wojtkowej izbie.

I tak umarł.

## OCEAN

Diabli wynieśli Jędrzka Mahajcoka z Ratułowa Spod Jedli za ocean do Ameryki. No, prawda, że w domu bieda była, co raty!

Ale Mahajcok chłop już niemłody był i to mu nie szło. Zarobić nie mógł.

Udutkował mu we wsi jeden gazda, co z Ameryki wrócił, że tam i nienajmłodszy człowiek do graj cara przyjdzie, ale to nieprawda.

Żona i dzieci spodziewały się Pod Jedlą, że im tata zza morza by stówkę pošlą, a tu nic. Nie daj Boże robotę znaleźć - gdzie przyjmą, to odpędzą. Słaby, stary.

A wrócić - jak? Kie fenika nie ma.

I poszedł Jędrrek Mahajcok z Ratułowa na brzeg, nad ocean, i zaczął chodzić nad mm.

Pusto było i gwiazdy świeciły. Była letnia noc. Cicho.

Chodzi i rachuje - półtora roku, jak je haw.

Jeść sie mu chce, obdarty chodzi, nieoprany, brudny. A tam kto wie jak? Listu już więcej niż pół roku ani on nie pisał, ani oni nie pisali. On nie miał za co marki kupić, a i oni nie mieć musieli.

Pokarane takie życie!

Bieda tam musiała być i głód - aleby przynajmniej izby były, dach nad głową.

Nie miał gdzie Jędrrek Mahajcok sypiać, nie miał się czym okryć na nocne zimno.

Patrzy na wodę.

Jak jest, tak jest, ale jest dom. Swoi ludzie...

Patrzy na wodę...

Hej, wrócić! Hej, wrócić!...

Ale jak? Za dudek nie zajedzie, a i dudka nie było.

- O wodo, przekłeta wodo! - jęknął Mahajcok i podniósł obie pięści do góry.

A woda była taka spokojna, jak nigdy, jak stawki pod Rohaczami, te małe.

Jeszcze takiego spokojnego oceanu Jędrek Mahajcok nie widział.

O wodo przekłeta!...

Ale ocean ani nie drgnął.

I cok ci zrobiał?! Cok ci zrobiał?! Za coż mie haw trzymies?!...

I cożeś taka niemiłosierna i cok ci wej zrobiał?...

Ani cie przeskoczyć, ani cie przelecieć, ani do tobie wleźć...

Utopis cłeka jak mys, jak kocie młode...

I telo ci cłek stoi, co i mys, co i kot...

I kaześ sie ty wziena taka i skądeś ty?...

Cy cie ziemia wyruciła ze sobie, cy cie niebo zesłało jak mór?...

I coż tys to w tobie siedzi, co nijakiej litości nie mas, nijakiego miłosierdzia...

Dejby mie ziemia zanieśła, hojby i tysiące mil, dejby mie step bez sobie puścił, dejby mie góry co nowyse puściły, cobyk przesł bez nie, a ty nie i nie...

Hej wodo strasna, okrutna - przeklenta!...

A ocean cichy migotał do gwiazd.

Ciepło biło z niego, par.

Jędrek Mahajcok stanął i słuchał. Nie pluskotała fala.

Cichy, wielki, ciepły ocean rozlewał się przed nim w nieskończoność.

Spokojny był, senny, głęboki...

- Hej, wodo!

Je dyć przecie Bóg w tobie miesko, jako i wsędy!... Bo kie je wsędyl, to i w tobie musi być...  
Ba haj...

A kie je w tobie jest, toś ty Boski...

A kies ty Boski, toś nie zły...

Hej, wodo!...

Ze jakoz by to beło, coby Bóg smielowania nad cłowieke nie miał?... Ma. A kie ma, to i ty mas, boś Boski...

Abo sie mi w głowie cosi kajsi maći, abo tak ma być.

Nie zwartogłowiałek ani nie głupiem. Tak musi być.

Bóg dobry, toś i ty dobry, boś Boski...

Ocean bił ciepłem i upajał cichością. Zdawało się, że olbrzymie łono tuli do siebie.

Jędrrek Mahajcok z Ratułowa nie jadł, sam nie wiedział odkąd, a w Ratułowie Pod Jedlom także pewno nie jedli. Zataczał się z nędzy na nogach na brzegu oceanu w Ameryce, a oni się tak samo pewnie zataczali z nędzy na nogach po izbie w Ratułowie.

- Bóg stworzył świat, Bóg dobry, to j świat musi dobry być... Inacy nie moze być...

A woda to świat, jako i ziem...

Kłanek ci, ale ci jus klon nie bedem...

Wierzem ci, jako i ziemece świentyj... Z jednejeście garzci wysły obidwoje, z Boskiej...

Nie ukrzwdzicie cłeka, ba mu podla dobrości seliniejakik obidwoje służyć macie...

Ziemie pierś, a grzibiet wód majom być cłowiekowi za kołyske...

Toz to Jędrrek Mahajcok z Ratułowa hipnon wte w to morze, coby go niesło du domu. Haj.

## **JAK BABA DIABŁA WYONACYŁA**

Ześli sie raz kumotrowie w jeden zimowy wieczór do Jędrzeja Bystrzańskiego, do którego się nazywało do Mrozków, bo jego babka była od Mrózków z Ludzimierza. A jego samego także nazywano Hartazel, bo rad furmanił. Zeszły się chłopcy starawe; sytka wraa parobcyli i radzi się widzieli. Był tam Cios Michał, Stasel Wojtek, Kiecek zwany Piecek, Pokuscarz i paru innych. Z ósmi chłopca. To byli bursianie dawni i siła wraz nadokazowali we świecie. Pili gorzałkę i piwo, które Bystrzański we własnym browarze warzył, i ukwalowali rozmaicie, o tym i o owym. Wtem drzwi się uchylily i u progu ukazał się stary Jasiek Cios, zwany Turniowiec, jak ten ptak, co się w halach turni dzierży, albo Jasicek, bo go tak ośmdziesiąt lat temu matka nazywała, dawny zbójnik, wikręt i obyrtac, strzelec sławny i muzyka, ale se ino na gęsiolkach grawał, które w zawiązanym rękawie czuchy nosił.

- Niek bedzie pokfalony Jezus Hrystus - (rzekł, wsuwając do izby białą głowę i postać trochę schyloną od wieku).

- Niegze bedzie. Na wieki wieków. Jamen. Witajcie, krzesny ojce! Podali sobie ręce.

- Bóg zapłać!

- Siednijciez, krzesny ojce!

- Zeć ta pomału.

- Je coz tys ta na was słyhno, krzesny ojce? Zdrowiście?

- Je nic tys ta takiego. Jesce ta jesce. A wy ta jak lepij?

- Jeć sie ta trzimiemy po końdku, dzieńka Bogu.

- Dziecyska tys ta jako?

- E ta i ony nic nijako.

- Fałaz Bogu. Zima!

- Hej wiera! Zima!

Podsunał Bystrzański pucharek Jasickowi, pozdrowkali do się.

- E, zima! Rencyska mi haw cysto pięknie zglewiały. Selek se drógom, krześnicku, patrzem, na sybak sie jarzy, wstąpiem, meślem se, je dy ta wtosi jest, kie świecom!

- E dobrzeście tys, krzesny ojce, namyślili. Wse was rad witam!

- Ale co ta baba powie, krzesny ojce? Nieskoro w doma bedziecie!

- Je ta teraz dziewki Da sokie nie śpiom, bo zimno.

- Ha, ha, ha!

- Kiela cas jeście haw na nas nie zajżreli. - E ta ono wiecie, krześnicku, tak: rzekomo nika nic, a ono wse cosi kajsi. - Je hłop i hłop. Rób i rób.

- Bajto! Lezał nie bees, jaz na ostatniej pościeli.

- Hej wiera! Dobrze padocie, kumotrze: na ostatniej.

- Aleście tys to, Jędrzeju, pięknego bucka na ogień ścieni!

- O beł piękny! Z naskiego haw, z lasa za wantulami. Ale telo twardy beł, kie my go ścinali, co się widziało, ze go diabli broniom!

- Jeć ta cłek nie wie: co ka? Cळेkeś i cळेk. U Staska Walinej w Podcerwonym beła tako staro, dudławo wierba, to w niej diasek cosi ze trzidzieści rók siadał. Coby sie buków dzierzał, nie słyhowałeł, jednako i to moze być - rzekł Jasicek.



- A moze ta jakie piniondze pod nim bely? - ozwał się Michał Cios. - Nie sukaliście?

- E, nie było hań nic. Jacy skole, bo to we wierna Ale tak wara gadom, przy samej ziemi widziało sie, ze sie go cieślica nie hyci. Bielskiego Symek by wam pedział, bo on hań se mnom był.

- Je ta pojedno drzewo takie kwarde urośnie. Ale wto wie? Trza było sukać.

- E, bań nic znać nie było.

- Ba, wto wie, na cym to takie drzewo rośnie?

- He, abo diasek zacarował tak jino na despet - ozwał się Jasicek. - On ta rad próguje, wto mocniejszy:

hłop cy on?

- He, he, he - rozśmiał się Pokuscarz z zadowoleniem i wszyscy spojrzeli po sobie, i mrugnęli do siebie. - Ze jakoz on to próguje, krzesny ojce?

- Jedź ta rozmaicie. Tak i tak. Ale hłop, jak nie bzdura, to je wse wytrzymalsy.

- Wytrzymalsy je?

- Je kie wiecie co, krzesny ojce, to opowieciez, opowiecie!

- He, he, he - śmiał się naprzód Pokuscarz.

- Jedziek ta kiejsi slisał o tem jedne historyjom od Pietrzakowego Kuby z Ostrysa, be temu z pięćdziesiąt rók, kie my wraz na Luptowie beli, a jemu to zaś opowiadał stary Józusiów Józuś, co mu jus wte może sto lot rabowali, a jesce bacował pod Osobitom.

- Opowieciez, krzesny ojce, opowieciez!

- Hano, było tak. Straśnie hłopa zycie dokucyło, umyślił się objesić. Wzion powrózek, idzie hore dolinom, bo ta kajs i nie prec gór bywał, i co sie nie robi, zastompił mu diasek. Stretneli sie na perci. Hłop sie go ta juz nie prze-lonk, bo co sie taki bedzie bał, co sie objesić idzie, dej ta wie, ze poń janiółowie z kobiałkom nie przilecom, ba diasi z widłami, pado mu: Dobre polednie! - bo to prawie polednie było. Nie bars skoro wej wysel.

- A dobre polednie - odpowiadło mu diabol. - Kaz idziesz?

- Objesić sie.

- Zje bez cos tak?

- He - pado mu ty n hłop - kiebyś ty mojom skóre oblók, tobyś sie ty, rzeke, nie jacy raz, ale trzi razy objesił.

- Je skróś cegoz tak? - pyta sie go diasek.

- E, jino spróguj - pado mu hłop.

- Hu, hu, hu - ośmiał sie diasek. - Jo by twojemu zyciu nie poradziel?!

- E dy jino spróguj! Bees widział. Nie wytrzymies, choćes zły duk.

- Stawmy sie! - pado diabeł. - jo nie od tego. O co stawka?

- Je - pado diabeł - od tobie nic. Tak i tak byś beł mój. A jak nie wytrzymiem, to ci ukozem skarb w tój tu dolinie i nie bees sie potrzebował wiesać, bo wiemy, ze cie ta nie co ine cubrzy, jacy bieda.

Taki wej zakład diabeł robieł, telo pewny beł.

- Dobrze - gwarzi hłop. - Renka?

- Renka!

- No, co mam konać? - pyta diasek, gotowy.

- E tak: Pudzies do mojego domu, ku mojej babie, za mnie.

- Za tobie? E to mnie późno, cok nie ty, ba grzych.

- Nic to. Uzdaj sie na mnie, dyjes przecie diabeł, a odzienie ci ze sobie dam. Ono ta ciepło - prawie wiesna beła - ciupage i krzesiwo mam, watre se beem kład - to ta w gaciak i w kosuli wylezem. Wte, moji ludkowie, hłopy nie takie beły, jak dziś. Mróz beł, jaze wody lodami sły, to se taki rano w gaciak i w kosuli wysył wyzierać, cy ta nie pocieple we świecie? A stał se i dziesięć pacierzy poprzed hałupom abo i więcyl. Nie umar-z. Drzewiej, moji ślicni piekni, hłopy bywały zdrowe. Portki go ta nie grzały, ba krew. Prawda, barana taki zjad, ale tys ta jak baran taki ciepły beł.

Diabeł sie mu usprzipatrzował, tu i tu, ze syćkik stron, wpatrzował sie do hłopa długo nie krótko i pado: moze i to być.

Pote zaś poseł ku takiemu małemu baniorku, w rzecy kałuzy, co han miendzy skole beła, a jemu to za przezieradko stało, i dropie ta cosi kajsi łapami po nurze, tak i tak, jeździ, mehu uskubie, prziloży, to zaś piargu, a coraz, to sie przeżre, i zwyrtnon sie ku hłopu.

- Dobrze?

- Dobrze - śmieje sie hłop. - Jo som teroz nie wiem, wtoryk jo, a wtoryś ty?

Sjon hłop cuhe, kamizelke, jakie to ta wte nosowali, zobuł sie z portek, wyobuł z kerpcy, na ostatek mu i kapelus dał, ostał jino w gaciak i w kosuli, a to - pado diabłu - ukradnij se ka z plota, ka sie susy.

Diabeł kapelus na łeb, poprawieł i pyto sie:

- Nie pozno mie?

- Ka ta?! Je dyś ty przecie diaboł od tego, cobyś ludzi mamił. .

Trzepnon diaboł ogone rad, ze sie mu štuka udała, i pado:

- No to siejdze haw, zakiel się nie wrócę, a o jedzenie i o picie się nie turbuj, bo to tu bedzie. Ale pockaj! Na kiele casy zakład?

A hłop sie śmieje. - Je - radzi doń - nie trza haw woła ani całej świni. Na trzy dni.

Zgłupiał diaboł. - Na trzy dni? - pado. - Je to tak, jak nic. Przegros!

- E - pado hłop. - Beemy widzieć. Jino idź.

Dobrze. Wzion diaboł skałę, tak na seś funtów, duhnon, ogień mu z pyska wyjahał: Tu mas hleb. Upiók. Wzion pote ziemie garzyć, duhnon zaś znova: zrobiła sie štuka, howiedze mieso. Zaś pote puśćieł! wode suhym potoke, bo ji ta nie beło blisko.

No i co sie nie robi, mój diaboł odzienie hłopowe pod pazuhe wzion, kapelus w zemby, coby mu wiater nie porwał, i kajsi ku wsiom na gacie i na kosule poleciał. A hłop przy watrze ostał.

Leci, suko, pilno najść ni móg, ku wieczorowi go zbawiło, kim to, co mu trza beło, z płota kanysi ukrad. A to bez to, ze to jakosi beło po świentak i baby przódzi poprały i powysusowały.

Odział sie w lesie, w Dónajcu jesce kasi przejął, idzie ku hłopowej zagrodzie. A nań jus gaździna cekała, a hłop se gaździnom miał setnom. Babie beło wysy šturdyestu, renka jak rajtok, a pysk jak u psa, telo sceklawy. Dzieci nie miała.

- Kaś beł? - pyta sie go. Nie poznała nic.

- W lesie.

- Coś hań robieł?

- Hodził se i gwizdał - pado diaboł, bo cos sie mu ta babsko widziało? Baba i baba.

Jesce nie dokóńceł, kie w pysk dostał, jaze mu zezwieńcało w usak.

- Edź - meśli se - to haw tak witajom? Ale to nic.

- A nie wies to, bezero - krzicy baba - co teroz wiesna, roboty moc?! To ty se bees po lesie gwizdał?! Cie go! Jaki drózd! Ale dobrze, coś haw. Zbieroj sie, wesele u Walka Łojasa, pytace haw beli. A cobyś tańceł! Bo padajom na tobie sytk: dziad! nieruchajda!

- Je tok treftieł - myśli diaboł - na hipkacke. Je to se ta potąncem kolwicek. - Poseł, ubrał sie pieknie, odzienie nowe hłopowe ze zyrdki sjon, wyzdajał sie. wybryzował, jak to na wesele. Jaze sie sam do siebie ośmiał.

Baba samo to, po świentalnemu, pod stązkami, bo to kajsi pono w Zarze beło, buty zółte, a korole na syji.

- Je to tu na nik biedy nie mas - mešli diaboł. Uzaprzongał konia, siedli, pojebali. Diaboł wióz, to tak kón seł, jaze bahra w kołak zwońiły.

Całom noc musiał diaboł tańczyć. Bo ta nie jino tańceli, ale sie i bawili, to w dziada, to w kota i myske, to zaś i w ryktara, seliniejako, to znowu štajera, polonesa śli i niedźwiedzia trza beło za jínemi pokazować, a co se diaboł fciał siednać, to baba ku niemu: Basommazania!

Stydu mi nie rób! Jus cie i tak ludzie za psie uho nie majom! Dziadu! Delengusie! Tańc!

Kolwicek sie ta jej jus i bał, to seł. Cysto pieknie sie zamordował. Bo ta i naucny nie beł tak. Haj.

Całom noc tak sło, do bieleho rania. - No - mešli se diasek - to nic. Zajedzleme du domu, to sie wyśpiem. To jino roz tak.

Ehę! Zajehali du domu, zodziwja sie ze świentalnego baba, zodziął sie diaboł i na pościel sie pha, a baba nań:

Is! Is! Kazbyś sie phał, psie mieso jedne!! A nie wies to, ze orba w polu! Bier sie! Bo ci haw zapłuznika nik nie upytał!

Przypatrzel sie diasek do baby, ale cóż bees robieł?

Lewdy ta kielo telo pośniadać dała, juz mój diaboł przy pługu. Oro. Jino ze tyz ta moc nie zorał, bo nie zwyczajny beł za pługe hodzić.

Leci baba z połedninom.

- Kiełóś zorał?

- Je to i to.

Jak baba nie weźnie teremtetować! - Hej ty, wietrzny młynie, weredo! Psia kość zatracona! Toś ty jino telo oborać zatela zdołał?!

- Jedyjek ani nie siad - pada diasek.

- Ba coś robieł?! Jeść toś ty piersy! Na to toś hłop! A ku pługowi toś dziecko?! Zarbyś teroz, co?! Jaskółce gniazdo jedno!

I prask garkem o ziem. Wylało sie, co prziniesła.

Ehę! - mešli zaś diaboł. - To tu tak za robote płacom? Ale to nic. Legnem se na łące, jscawu pozujem, to sie mi nie bedzie jeść fciało.

Wiera se tys użył! Do zahodu słonka na roli orać musiał, bo babsko ukazało, pokiela zorać ma, nie beło rady nijakiej.

Idzie wiecór du domu - drwa rąb!

Uzgibał się przy pługu, tu jeszcze nie było trza być. Kościska mu trzeszczały w grzbiecie, ale rąbał, bo się już bał na mój dusiu na ożaiście bał.

Zawołała go na wieczerzom, pojedz ta kasecek, u babi kuchnia nie przestroń, tylko jino, żebyś nie zdeh, meśli się: Teraz się by wyspiem. Baba pacierze mówiła, diasek ta w kancie coś po żydowsku uśwajndrał, w rzeczy ze się modli, legli. On za głopa przy babie. Wyciągnon się, dorobiony był tylko coś cud, oży mróży, mało coś wy sło:

Maciek!

Bo ta temu głopu było Maciek.

- Co?

- Śpis?

- E coż byk robiel? Po fili zaś znova:

- Maciek!

- Co?

- E coż ta śpis tylko?

- Je dy od tego noc. I zaś znova po filece;

- Maciuś!

- Co?

- Jakoz będzie?

- Es cym?

- Es tym.

- Z jakim tym?

- Es tym, po coś się zenieł.

- Ehe! - meśli diaboł. - O to ci idzie! Je - pado - e to mi nie trza było kazować całom noc jedne tańczyć, zaś pote cały dzień orać, a jeszcze i drwa rąbać, a pojeść toś mi dała jak musycy.

A baba noń: E ty węgierska śmierć zatracona, to ty haw jeszcze ze zembami do mnie! Ty niemrawo! Tyrlaku prześlony! Niedomozku! Ty Maciejisko! I obróciła się ku niemu, za łaskom mówięcy, rzyciom.

- No dobrze - meśli diaboł. - Niegdzie się ta gniewa. To nie na długo tyj służby. Nie wysło dwa pacierza, baba: Maciuś!

- Tuk dopiero beł Maciejisko, tujek Maciuś - meśli diasek. - Co tys ta zaś?

- Maciuś - gwarzi baba - pojdze... Dam ci jutro moskolicek z masłem...

I rencami po nim jedzie, nie przebiero nic... Widzi diaboł, ze spać nie do, meśli se: Uląze, babo, dogodzem ci roz, cobyś dała pokój. Wzion i zrobieł, co trza, log, kce spać. Kwilecke ta uspał, zaś znova słisy: Maciuś!

- Je krotni miłońscy! Je co?

A baba doń: Maciuś! Rad byś jeść moskolicek z masłem?

- Je dy go ta jus i tak beem jadł

- Ale jesce nie telo! I ze spyrkom!

Diabłu sie spyрки nie fciało, ale coz bees robieł? Wzion, wyzwyrtał babe drugi roz, no - meśli se - teroz to jus be ciho do rania.

Wtulił pysk w zagłówek, śpi.

A tu nad usyskami: Maciuś!

O! Pokielze tego bedzie?! Wiera tyn hłop dobrze ra-dzieł, ze go dokucyło! Nie obzywo sie nic.

- Maciuś! On nic.

- Maciek! Nic.

- Słsysz?! Nic.

Ale sie diaboł nie naspodział, co sie nie robi. Kie sie baba nie dźwignie na pościeli, kie nie kopnie wysy łydka! Do razu diaboł z pościele na dyle zjahał.

- A ty dziadygo, ty judasie! - krzyczy baba. - Hań siedź, kieś pościele niegodny!

Siad diasek na dylak, bo hań podłogi forztowanyj nie mieli, po boku sie maco, bo sie godnie stłuk spadujący, i meśli se: Haw źle i hań niedobrze... A tu baba w płac! Jojcy! - O jo hudobno, niescyńśliwo, o po coz mie tys ojcowie za cie wydali! A dobrze padała niebozycka stry-na: Nie dejcie Kundy za Maćka, bo to dziad! O raty, raty! O mammo moja!

A tu baba by jus na uwzientego i babkom mogła być, jino ze dzieci nie mieli.

Jak jojcy, tak jojcy, diasek na forztak siedzi, zimno mu, twardo, ozmyśluje, jaze go nagniewało syćko.

- Je cie diabli wzieni! - pado babie. - Tu jedne noc tańc, tu pote cały dzień rób, jedz telo, co nic, a na drugom noc zaś figluj, a pote znova ku pługu?! Je dyby jo sie haw cysto pieknie zdar!

Wzion, sjon kosule, zrucieł gacie napośród izby, hip ku oknu, fuk sparom w pole! Leci ku hłopu, w doline.

Hłopisko se przy watrze lezy, fajkę pokurzuje.

Zacudował sie, kie diabła ujzrał.

- Tuś?

- Hawek - pado diaboł. - Podź pod wante!

- Ze jako? Nie wytrzymies tyk trzok dni? - śmieje sie hłop.

- Podź pod wante - pado .diaboł, nie radzi do niego nic.

- Cyś tak do wyhipka leciał, co ani przegwarzić nie mozes? -- pyto sie hłop.

- E, bracie! - pado mu diasek. - Dobrześ ty padał, co kieby jo na twojim miejscu beł, tobyk sie nie to roz, ale trzi razy objesił! Ani dwie słowie! Stawka twoja! Podź!

Dźwignon się hłop, nie uśli na trzi strzelenia w rumowisku, ale sie juz hłopu całke odmieniło, hoć doline dobrze znał, jakkieby hań nigda nie beł. Przidom ku wancie jednyj, dość godnej, nadniós jom diasek, a pod niom złota, śrybła, seliniejakiego dobra, co cud Pana Boga!

Nabrał hłop, kielo zdołał, worek sie ta jakisi stary kejsi w sałasie naloż, diasek mu go igłom z cetyny i niciom ze smoły poznaprawiał, pozwięzował do niego, co jino móg. I śmieje sie, i powiada diabłowi: No, tok juz od terażnia hłop. Na dzień to se bedem robotnika najmował, a noc to ta jesce ścierpiem. Aleś ty mojego zycia sprógował, aj sprógował!

I poseł se z workem na plecak śmiało ku izbie, a diaboł mu jino krziknon na dróge: Idze ze Syrokim! Je dyby to na trzok diabłów roboty beło prawie!...

## MURZAŃSKI

Ludzie nie zapierali stodoł, bo jeden drugiemu nie wziął, i nie byliby zwrócili uwagi, gdyby nie ślady na śniegu. A zima była twarda. Śniegi na chłopa zwyżć leżały koło chałup, tak że pojeden i bez cały dzień kaganek świecić musiał, taka ćma była w izbie - zwłaszcza z tych gazdów, co w dole, a nie na wysieku wiatrów siedzieli.

- Wiecie - powiada raz Maciek Stękała do Jędrzeja Zwardonia, kiedy się w karczmie na kielusek zeszli - cosi mi w nocy koło stodoły łąziło.

- A i u mnie samo tak - odpowiedział Zwardoń.

- Zje dyć i u mnie beło pozawcorem - odezwał się Kuba Pscelarz.

- Trza by strzec.

- Ale co fce, kie nie kradnie nic?

- Prowda! U mnie tyś nic nie wzieno.

- Ino łązi.

- Ale co przecie fce?

- Jednak trza pilnować. Dobre nie bedzie, ba złe, kle nocami łązuje.

A Murzański, więcej do widma leśnego niż do człowieka podobny, w ręce klaskał, aż grzmiało, i śmiał się, jakby rżał, i tłukł z uciechy kułakiem w brodę, aż mu w gębie wielkie, białe, szerokie, świecące jak u dzika, lęby klapały, a przyśpiewywał sobie:

*Jo se chłopiec taki śmizny,  
kupilek se za gros cizmy,  
a konicka od ryktara  
za dwa dudki przez grajcara!*

Brodę on miał długą, czarną, rozczochraną, takież długie, zwisłe wąsy? wielkie, ciemne oczy, pełne dziwaczego światła; nos jak pałka; wargi grube, wywinięte, sinoczer-wone; włosy czarne, na ramiona opadłe; uszy spiczaste; na piersiach spina okrutna z łańcuszkami, a na szyi długie różańce i skaplerze. Kiedy w karczmie albo na weselu wziął tańczyć, niewypowiedzianie tupać, hipkać, dreptać, a w kółko się obyrtać: to osobno latały świecące oczy, osobno długie włosy, osobno długie ręce, osobno mosiężne łańcuszki u spinki, osobno krótka, wyżej portek, koszula i osobno różańce. Wszystko latało jedno za drugim, z dźwiękiem, brzękiem, furczeniem i błyskaniem, a z białych, świecących zębów wybiegały niepowstrzymanym pędem, z żywiołową nawałnością, jaskrawym, potężnym głosem ciskane śpiewanki jedna za drugą, ścigając się jak piarg w Zawracie, tak że z Murzańskiego tworzył się wir, chaos, cudo niesłychane i niewidziane, zarazem zabawne i przeraźliwe, przykuwające do siebie wzrok i oszałamiające umysł. Stary Krzyś, kiedy mu raz grał w karczmie na Groniu, bał się go i twierdził, że w tym chłopie diabeł siedzi, bo kaby ten takom siele w nogak wzion, a co by mu tak wartko słowa leciały z gęby i co by telo zbacył? I bały się go Zydy, kiedy wśród powodzi przysłów, aforyzmów, okolicznościowych dwuwierszy, zagadek, dowcipów, fraszek, miotanych dookoła jak plewy z młynka, wśród kaskad i katarakt niehumanicznego, końskiego śmiechu, nagle zaryczał, aż się szyby w karczmie zatrzęsły:

*Dej tu. Zydzie, wódki, bo to jus cas krótki!  
Smierztecka za lasem wywija pałasem!...*

A czasem znowu rozległo się żalosne, głębokie:

*Kie mie w doma ni ma, to mie wyzirajom,  
kie du domu przyjnde, za nic mie ni majom!...*

Bo Murzański ho j co zrobił. Drzewa dźwigał, kamienic łamał, konia najdzikszego kuć przytrzymał, wieprza, choć-by był "jak krowa", przy kłuciu; wymłócił, ukosił, do każdej ciężkiej roboty był, a za to nie żądał nic, dostawał mało co albo i nic i jeszcze się z niego śmiano.



Ale teraz Murzański się śmiał. Rechotał na całe lasy. Bo oto w tę twardą zimę sarny po reglach nie cierpiały głodu. Murzański im siano z chłopskich stodół nocami w regle wynosił.

Szedł on raz z lasu, gdzie drzewo spuszczał, i napotkał w głębokich śniegach sarnę tak zgłodzoną, że nie uciekała przed nim. Wziął ją na ramiona i niósł do chałupy, ale mu zdechła na grzbiecie po drodze. Zakopał ją w śnieg i bardzo nad nią płakał.

A potem na drugą noc Pscelarz zobaczył ślady koło swojej szopy na śniegu. Bo Murzański własnego siana nie miał; na swoim kawałeczku sadził tylko grule i owies siał, a konia nie chował.

Wybierał Murzański siano gazdom nocami, w płachtę wiązał i w regle niósł, a pod drzewa na gałęzie młodych smreków, aby kurniawa nie zasypała i nie tak łatwo rozmiotła, kładł. Sarny przychodziły i jadły. Murzański się zaś przypatrywał z niedaleka, zza pniaków, z rozkoszą i szczęściem. I tak samy oswoił, że blisko ku niemu podstępowały, nie bały się, a jedno młode sarnię, taki śpicoczek, z ręki mu siano skubało. Murzański mało nie szalał z radości. Byłby porwał sarniuka na ręce i całował, ale się go przestraszyć i urazić bał.

Murzański zresztą nie tylko sarny, ale wszelkie zwierzęta, ptaki, owady kochał. W las się wszyć, to było mu najmilsze. Wychodził stamtąd umazany borówkami, malinami, poziomkami, co było, z liśćmi poprzyleganymi do twarzy, polepionymi do włosów. Pedziałybyś, leśno stwora, nie cłek. A tam w lesie pomagał on mrówkom patyki do mrowiska znosić, muchy wypłatywał z sieci pajęczych, tonące w Toporowych Stawkach i w bagnach chrząszcze ratował, cały dzień miał co robić. Ludzie tego na szczęście nie widzieli, boby go czysto za wariata byli mieli, a tak mówili tylko, co je jest nie cołke głupi, jino przigłupi, ale rozum ma. Wójtem go nie obieremś - śmiali się chłopci - zreśtom je hłop jak sie patrzy.

Ale odkąd się Murzański losem sarn po reglach zajął, rano po ranu to ten, to ów gazda ślady stóp koło szopy spostrzegał - coś wyraźnie włożyło tam i wyłożyło - i nie mógł zrozumieć, co łązi i po co łązi, kie nic nie biere? Zima była straszna, mrozy ogromne, pilnować się nie chciało - a że nic nie ginęło, uchwalili gazdowie, że niegze ta łązi, kle sie mu tak ulubilo, be cosi głupie abo cosi kajsi Inę, ale nie złe... W sianie ubytku nie tak łatwo spostrzec.

Ale się raz nieszczęście stało: płachta się Murzańskiemu koło Fronkowej szopy rozwiązała i siano się uszło na śnieg. Spostrzegł Fronek rano i wszyscy gazdowie odpadli: siano krada!

Ale wto?

O złodziejowi takim nie slychiwano nigdzie i znikąd. Wtoz by haw siano krad? Wto konie miał, to miał swojego dość, a kto koni nie chował, to na cóz mu to? Postanowili dojść, kto to i co to, i na trzecią noc Józek Bykowski spostrzegł człowieka podsuwającego się ostrożnie ku jego stodoie. Noc była jasna, księżyc świecił - poznał Murzańskiego.

W niemałym zdumieniu poleciał z wiadomością do gazdów. Nie chciano mu wierzyć - zadusiować się musiał, że prawdę mówi.

Uradzili chłopci nic nie przedsiębrać, aż dojdą, co Murzański z sianem robi, bo że go do swojej chałupy nie nosił, to pewne.

Wyśledziwszy, ostrożnie, z daleka dwaj parobcy, synowie Pscelarza, poszli za Murzańskim do lasu i widzieli, jak siano w gałęzie młodych smreków zakładał, niby za drabinę, jak sarny przychodziły i jadły. Miejsce już z dawna znajome musiały mieć.

Kiedy synowie Pscelarza powrócili z tą wiadomością do domu, w dzień sam Pscelarz i dwóch jeszcze gazdów udało się rzecz sprawdzić i oburzenie ich nie miało granic. Śnieg staraszony, bobków pełno, siano powdrypto-wane do śniegu - cud Pana Boga co nie ujrzeli!

Wójt głową pokiwał i oświadczył, że swój urząd zna i swoje robi.

Po południu, kiedy Murzański spał, czterech najtęższych chłopów we wsi weszło do jego chałupy, gdzie sam, nie mając żony ani dzieci, mieszkał. Wstrząsnęli Murzańskim - zbudził się.

Na widok chłopów zaczął się zaraz szeroko śmiać i pytać: co fcom?

Ale chłopci krzyknęli groźnie: Podź! - i wzięli się wiązać Murzańskiemu ręce. Murzański się cieszył. - Be ucieha! Be śmiech! - powtarzał, wyciągając ręce do powrózków.

Wiedziono go przez wieś do wójta. Wieś cała wyległa, a Murzański się śmiał do wszystkich, pokazywał szerokie, białe, świecące zęby, rżał, sypał dowcipami. On wse rad był, kie sie mu ludzie śmiali, kie sie mieli cemu śmiać...

Przyprowadzono go przed chałupę wójta, a tam stall Stękała, Zwardoń, Pscelarz ze synami, Fronek i inni gazdowie.

Wójt rzekł; Murzański! Krodeś siano. Murzański: Hy! hy! hy! - aż w powietrzu zarżało.

- Murzański, tu ni ma śpasów - rzekł wójt. – Po coś krod?

- Zej boby mi sami beli nie dali - odpowiedział Murzański. Zamruczeli chłopci groźnie na tyle bezczelności.

- Na coś brał - zapytał wójt, aby spełnić znamienicie urząd sędziego.

- Sarnom jek nosieł.

- Na co?

- Bo fciały skapać z głodu. Śniegi hrube, wielgie.

- Ludzkieś siano brał.

- Jedyjek swojego nigda ni miał.

- Krodeś.

- Jakok wam pedział - boby nie dali. Hy! hy! hy! Dałby wej wtory? I roześmiał się dookoła.

- Murzański! Tyś jest złodziej, musis być ukorany.

- Jeć-ek nie lo siebie bierował, jino lo sarnów. Figiel bań beło zanieść, w tele śniegi! Hy! hy! hy!

Ale tej bezczelności było za dużo Stękałe. Skoczył ku Murzańskiemu i w pysk go trzasnął.

- Hy, hy! hy! - zaśmiał się Murzański. - Kumendyjo!

- Nie kumendyjo! Psie mieso zatracone! - krzyknął Pscelarz. . - Gadoj! Kiełoś mi siana wyniós?!

- Je kielok jino na grzibiet potrefił.

- Kiełoś jino potrefił! - wrzasnął Pscelarz wściekły. Jeden ze synów Pscelarza przypadł i palnął Murzańskiego palicą przez plecy.

- Kumendyjo! - krzyknął Murzański, wyszczerzając zęby w śmiechu.

- Cłeku! - ozwał się Fronek, chłop stary i mądry. - Cłeku, cy nie rozumies nic? Nie hańbis sie, coś złodziej? Nie straf cię Boskiego sądu?

- Hy! hy! hy! - śmiał się Murzański. - Pon Bóg powi, cok dobrze robiel. Bralek wam, coście mieli, a dawalek sarnom, co ni miały. Kieby na jednego, to nie powiem! Ale jest was haw gazdów piendziesięci takik, co siana majom dość. Zimy twardyj nie be wiencel, jak piendziesion dni, kieby kozdy roz siano do lasa lo sarnów wyniós, toby starcyło. Jo u kozdego nie beł, jacy jino roz. Coz to za tako krziwda? Co hłop na plecy zabiere!

I znouw się rozśmiał końskim rzeniem. Chłopi patrzeli po sobie, wtem wrzasnęła Zwardoniowa;

- I wy, hłopy, takiego gluptoka słuhocie? Niek sie tu zadusiuje, co wiencel na siano nie pudzie!

- Hy! hy! hy! Nie zadusiujem sie nijako! Zaroz dziś pudem, jino sie kumendyjo skończy!

- Wiera! Pudzies! Psiogłowce jeden! - wrzasnęła Zwardoniowa.

- O bo pudem! Moje sarnecki bedom mie hań cekały, jako i kazdom noc. Bedom sie do mnie przypatrzowały, jako im niesem. Nozkami grzebiom, bijom o śnieg. Jo im hań dołek wygrzób we śniegu, bo jedne to se racyj z gałęzie idom sianko skubść, a drugim to siezaś widzi ze ziemecki świentyj zbierać.

- Wicie go! Jesce be sarnom dogodzował! - skrzeczała, przysiadając z oburzenia, Zwardoniowa. - Wicie go! Obraza Pana Boga!

- Obraza Pana Boga! - powtórzyli ci i owi w tłumie.

- He, ludzie - mówił Murzański - kieby sie na was tak wase dzieci patrzyły, jako na mnie te sarny!

- Ej! Psie! - wrzasnęła z kolei Stękalina.

- Kumendyjo! Hy! hy! hy! Baby sie drejom! - śmiał się Murzański.

- Gazdowie! Co haw beemy długo stać? - zakrzyknął nagle Pscelarz. - Zróbmy koniec! Murzański! Bees siano do lasa lo sarnów nosował?

- Beem! Hy! hy! hy!

- A nie bees, psia wiaro jedna! My cie haw oducyme! - krzyknął Pscelarz i wyrwaną z ręki syna palicą w głowę Murzańskiego uderzył, aż mu kapelusz przeciął i krew bluznęła.

Na widok krwi rozjedli się chłopci, a więcej jeszcze baby. Czym kto miał, z krzykiem: My cie haw oducyme! - pięściami, powyrywającymi z płotów kulikami, patykami bito Murzańskiego. Biły i dzieci. Gdy runął na ziemię, kopano go i deptano, a ryczano nad nim: My cie haw oducyme!...

Jeden tylko wyraz: Kumendyjo! Kumendyjo! - z początku krzyczał, potem jęczał Murzański, któremu ręce związane przeszkadzały się zasłaniać.

Kiedy już był podobny do krwawej masy, rozważniejsi chłopci z wołaniem: Nie trza zabić! - ustali sami bić i poczęli rozsuwać bijących, zwłaszcza rozjadłe i pijane z rozżarcia kobiety.

Potem wójt rozkazał czterem chłopom, którzy Murzańskiego przyprowadzili, odnieść go do domu. Że go jednak odnieść było trudno, bo strasznie krwawił, położono osłony na dwoje gnatek, zaprzągnięto konia i dwaj chłopci odwieźli Murzańskiego do chałupy. Cisnęli go na pościel i wyszli.

Przez jedną chwilę Murzańskiego oczy stały się zupełnie jasne, rozumne.

- Wtoz dziś hań sarnom poniesie jeść? - szepnął.

A potem ze strumieniem krwi zarzęził mu z pogruchotanych żeber śmiech: Hy! hy! hy! Kumendyjo!...

## O LUDZKIEJ BIEDZIE

*Nie bójże sie, hłopce, nie bójże sie biedy,  
jak cie bieda suko, ta cie znajdzie wsendy!...*

śpiewał sobie żałośliwym głosem Marcin Mudroń Postrachany, a w takt przykiwywały mu się pomierzwione, jakby powstające ze strachu do góry włosy i wylupione, szeroko rozwarte, jakby w wiecznym przerażeniu, blade-niebieskie oczy. W takt też kiwała się sucha, kanciasta, wybladła, podłużna twarz niebywałej chudości, na cienkiej szyi, w takt kiwało się szczupłe, nikłe, kościane z chudości ciało, ruchliwe i sprężliwe. A kiedy tata tak śpiewał, w takt przyśpiewywały mu dzieci, mała trzyletnia Zosia i mały czteroletni Jaś:

*Nie bójże sie, hłopce, nie bójże sie biedy,  
jak de bieda suko, to de znajdzie usendy!...*

piskliwymi, smutnymi, dziecinnymi głosikami. A wtedy w Marcinie Mudroniu ścisnęło się, krwawiło i płakało serce.

Marcin Mudroń był tak strasznie biedny, że nie tylko w całej wsi, ale w całej okolicy biedniejszego chłopca nie było. A jeszcze mu i baba dzieci nieletnio odumarała.

Marcin Mudroń chodził koło ścian jak błędny. Chwytał się każdej roboty, byle dzieci wyżywić, jako tako wyżywić, przecie jak w zimie ogrzać. A on sam nie pamiętał takiego dnia, kiedy syty był.

Nie pamiętał takiego dnia, odkąd siebie pamiętał. U rodziców, ba, u dziadków, była taka sama bieda, jak u niego.

- Z takiego my jest przeklętego pokolenia! - myślał Marcin Mudroń.

Aż raz w jesieni, kiedy wichur przez dziury w stancyjce Mudroniowej świstała, w Marcinie Postrachanym zadrgało serce.

Wójt, Mikołaj Cisek, zwołał chłopów na radę; przyszedł Mudroń i pokornie stanął poza plecami wszystkich. A było to przed chałupą wójtową, na łączce, po południu w niedzielę.

Wójt, w czarnej bogatej czusze, w nowym kapeluszu z drobnymi kostkami, z ogromną, mosiężną spinką z łańcuszkami u koszuli i w pasie na cztery klamry pod same pachy, popatrzył dookoła siebie, chrząknął i tak się ozwał:

- Moji ludkowie! Zawołalek was haw, bo mam wam coś powiedzieć. Jantoni Rymac przed śmiercią okfariował krowe, cielno, piękno, łaciaty, kto urobi świętego Jantoniego, co by go postawić napośród wsi, haw na brzuchu, niżyl Maciułaska przy Pietrowi przy Pawłoskim. To miejsce się nieboscykowi nolepsi udawało, a mnie, niby wójta, haglekutore swojej wóle obrał. Kie haw święty Jantoni stanie, prziewiezie się ksiendza z miasta, co go poświęci, i będzie. Nieboscyk Jantoni Paćkora, mam powiedzieć Rymac, okfariował na ten figure świętego Jantoniego zdatnom jedle we swoim lesie. Już je nacyhowano. Ten jedle się zetnie, okrzese i prziewiezie, a jest tu haw wtory pomiędzy wami, co by świętego wyrzezać zdołał?

Nie odpowiedział nikt. Któż by się był na taką rzecz porywał? Widywali ludzie figury w kościele w Nowym Targu, na odpuszcie tu i tam, jak gdzie który poszedł, ale jedno, rzadko, bo do kościoła bardzo daleko ześród lasów mieli, drugie, patrzył ten chłop i patrzył, ale jak ta tego świętego czy tę świętą, a choćby Pana Jezusa i Matkę Boską zrobili, to ani myślał. Była figura - dość.

Milczą tedy wszyscy.

- No - odzywa się wójt po chwili - nie masz haw żadnego, co by się na to podjął? Nie odpowiedział nikt.

- Krowa - rzekł wójt - piękna i cielna. A ja som przirucem ku temu dwa korca grul. Wójt, Mikołaj Cisek, był bardzo bogaty.

- Jo dom barana - ozwał się jego brat, Jakub Cisek, również bogacz.

- A jo przycyniem korzec owsa! - zawołał Michał Klamkos.
- Jo pół korca jarcu! - krzyknął Jan Niewiara.
- Jo drugie pół - Kuba Krzysiak.
- Jo prosie! - Michał Malinowski.
- A jo śtuke płótna, bo wiem, ze go ta baba mo!
- Jo dom śrybelnego talara! - zawołał Jasiak Pawlik.
- Je dy to nie ty, jino ten, coś mu wzion! - za-dowcipkował któryś, bo Pawlik był znany złodziej.

Zaśmiali się chłopci i mimo woli wszyscy spojrzeli ku staremu Józkowi Harbutowi, o przydomku Młot, najbogatszemu chłopu na okrag dziesięciu wsi, który nie tylko na wielkim obszarze pola siedział, dwiest a owiec i pięćdziesiąt sztuk hrubego statku chował, ale z pradziada, dziada, ojca i z własnej młodości ze zbójectwa miał mieć beczkę złota w piwnicy, a który jak wiadano, to i owo z duszy splukać pragnął, a przy tym pyszny był.

Patrzeli na niego chłopci, na koniec spytał się Klamkos:

- A wy, Harbut?
- A jo - odpowiedział Harbut, waząc powoli głos w namyśle, aby nie chybić efektu, ale przejść wszelkie oczekiwanie, a przy tym ofiarę godną siebie Panu Bogu złożyć - jo dom dziesięć madziarskich dukatuk.

Wszyscy osłupieli. Cisza zapanowała zupełna.

- No, wto się cuje przy siele? - zapytał wójt. Jednak nikt nie odpowiadał, nikt się nie czuł przy sile, aż nagle spoza pleców wszystkich drżącym, jakąś jakby rozpaczą wypchniętym z gardła głosem krzyknął Marcin Mudroń:

- Jo!
- Wto? Wto?
- Mudroń! Marcin Mudroń! Postrohany! - odpowiedziano.
- Mudroń? Marcin? - zapytał wójt zdziwiony.
- Jo - odpowiedział Mudroń.
- A zdoles ty?

Mudroniowi nie dwojono, na to był za biedny.

- O! Coz by nie zdołał? - krzyknął Pawlik, któremu

Mudronia żał było, że w takiej nędzy żyje. choć go miał

za głupca, bo go kilkakrotnie na złodziejstwo na próżno namawiał. - Cóż by nie zdołał? Zdoła!

- Zdoła! zdoła! - odezwali się ci i owi. - Dójdź Mudroń syćko robuje! Za kowala, za budarza, za druciarza! Zrobi!

- No, iść, kto ma zarobić, to nolepsi, coby Mudroń zarobił - rzekł Klamkos.

- O haj - odparł Jakub Cisek.

- A wy, Harbut, jako padacie?

- Je coż byk miał padać? Niek zrobi, kto chce. Mnie jedność. Temu czy drugiemu dam. Jak Mudroń sprawi, to jego.

- No to wiesz - powiada mu wójt - jutro jedle zetniemy. A czy wolisz robić? U mnie czy przy swojej hałupie?

- O hań, przy hałupie, przy dzieciak - odpowiedział Mudroń.

Chłopi byli radzi. Najpierw radzi byli, że najbiedniejszy, i to jeszcze taki straszny biedak się wspomaga, po wtóre, że taki, co mu i zazdrościć nie ma co, a na koniec, że wierzyli w Mudroniowe talenty. Przy tym radzi byli, że się u nich, we własnej wsi, taki znalazł, co taka rzecz sprawi, że nie trzeba po inym wsiaku o takiego pytać albo aż w mieście, w Nowym Targu, majstra szukać.

- He, Mudroń biedok, ale głowę ma! - mówił Michał Klamkos.

- Bieda go wyuczyła na sytko! - mówił Jakub Cisek.

- Na syćkie sposoby!

- Ej, chłopie, ale ono go wej onacyło, onacyło! Od małućka! Dej go przecie bacem. Mnie już było na śternosty, kie on taki chłopczyk w kosulce ganiał, gaci, przepytuję, mu nie syli, bo nie było s cego, a kie mu w powietrze moskoła kuścik albo grule warzonom rucili, to tak w powietrzu dopad, jak pies. Bo to strasznie głodne, a biedne było.

- No, ale się teraz sprości! To sytko nic. Ale za te dziesięć dukatów Harbutowik to się i pola kupić może. - Ze ba jako?! Kupi! Jeszcze i kęs!

- Skończyła się Mudroniowa bieda.

- Zje dy dobrze.

- To nic, jino Pombóg nieboscyka Rymaca tak wej nadethnon.

- Może? A to wiecie i Harbut dobrze robił, co zbijał, bo kieby nie miał, toby nie dał.

- Sprawiedliwie padacie. Juści widno Pana Boska Opatrzność ku temu wiedła. Kieby Harbut nie kradł, coż by biednemu dał? Kradnij, ale dej! Takie jest Boskie prawo.

- A bo wiera takie!

A Marcin Mudroń chodził jakby w załśnieniu, jakby w tumanie złotym.

Krowa, cielę, dwa korce grul, baran, korzec owsa, dwa po pół korca jarcu, prosię, sztuka płótna, talar i - Marcin Mudroń sam przed sobą nawet prawie wymówić nie śmiał - dziesięć Harbutowych dukatów! Dziesięć dukatów! Madziarskich dukatów!

Mudroń nigdy srybelnego talara, nie dopiero złotego dukata, nie widział - a miał takich dziesięć mieć!... Dziesięć mieć!

Kiedy przyszedł do domu, Jaś i Zosia siedzieli na progu.

- Dzieci! - krzyknął Mudroń. - Beemy mieć krowe, ciele, barana, prosię, dwa korca grul, korzec owsa, dwa po pół korca jarcu, štuke płótna, srybelny talar i dziesięć madziarskich Harbutowych dukatów! Dzieci!

Ale dzieci nie rozumiały nic. Pierwsza Zosia zapytała:

- Co beemy mieć?

Ale Mudroń jej już nie powtórzył, co będą mieli, tylko porwał ją na jedną rękę, Jasia na drugą i zaczął to jedno, to drugie całować i przyciskać do twarzy, na koniec z nieopanowanej radości obrócił się z dziećmi na pięcie i zakrzyczał głośno:

*Powiadajom na mnie, co jo nie mom pola!  
Na Cyrwonym Wirhu połówecka moja!*

I zaczął się śmiać, tupać nogami, podrygiwać, potrząsać głową, aż się Jaś roześmiał, a Zosia, przestraszona, rozplakała.

Mudroń rzucił się na pościel jak pijany, nic nie zważał, że na wieczerzę zjadł jeden zimny ziemniak, bo więcej dla niego nie było. A w nocy śniło mu się, że koło niego tak olbrzymie karpiele rosną, że na szczudłach po nich musi chodzić, takich, na jakich za dawnych czasów, jak ojcowie opowiadali, od osady do osady ludzie chadzowali, bo jeden mieszkał haw, a drugi o mile.

I rano jeszcze taki wesoły się obudził. Jakoś nie zastanawiał się nad tym, jaką to robotę podjął. Huczało mu w głowie to bogactwo, które miał dostać, poza tym na nic w głowie miejsca nie miał.

Chodził jak błędny koło chałupy, nie jadł nic, ledwo tylko zbaczył sobie i dzieciom dać pośniadać.

Nagle przed południem para gniadych wójtowych koni zajechała: na przedniej i na zadniej karze łańcuchami upięty przyjechał okrzesany tram jodłowy na świętego Antoniego.



- Biercie sie zaraz do roboty - mówił parobek wójtów, zrzucając drzewo przed izbą Mudroniową. - Wójt kozeli pedzieć, coby to wartko było.

- Bedzie - odpowiedział Mudroń.

Parobek spiął łańcuchami kary, skoczył na siodłowego, śmignął po naręcznym biczem i ruszył kłusem. Głośno się rozległo jego:

*Skondze idzies, hłopce? Z doliny od koni,  
hoćby od dziewczyny - e! - wtoz mi zabroni?! Hej ha!...*

Przyszędł Jaś i przyszła Zosia, i stanęli sponad kłocem jodłowym. Stanął nad nim także Marcin.

Kloc był ogromny, okrzesany, biały, świeży, pachnący. I dziwnie martwy. Marcin tyle takich kłoców przy budowie widział, tyle się w lesie u ludzi przy drzewie narobił - nigdy nie odebrał tego wrażenia martwoty ze ściętego, okrzesanego, białego pnia, jak teraz.

Chciał go ruszyć nogą, ale się wstrzymał - miał to być przecie święty Antoni. Dotknął go ręką - kłat wydawał się Marcinowi zimniejszy niż wszystkie, których dotychczas dotykał.

Zdjął go jakiś zabobonny lęk, przeszedł nawet dreszcz.

- Nie mas dziwoty nijakiej - pomyślał - dy to przecie świenty...

Patrzył Marcin Mudroń na kloc, a przypominał sobie, gdzie jaką świętą figurę w kościele widział?

A z daleka, z daleka zagrało jeszcze w echu parobkowskie:

*Ani tak nie jidzie austryjacki Dónaj,  
jako dziewce jidzie, kiej jom wiedzie Suhaj! Hej ha.!...*

- Wiera! Temu hań dobrze! - mruknął sam do siebie Mudroń.

A Jaś i Zosia patrzyli na jodłę nieruchomi, aż Jaś zapytał:

- Tato? Co to?

- Świenty be - odpowiedział Mudroń.

- A świenty co?

- Świenty, dziecko, to świenty.

- A - rzekł Jaś z przekonaniem.

- Tato! - odezwała się Zosia.

- Co, dzicie?

- Jeść.

Jeść. A tu w izbie nie było nic. Warzyło się parę grul na obiad, ale jeszcze surowe były. A zresztą nie było nic.

Porwał Marcin Mudroń Zosię na ręce, przycisnął do siebie, a gorące łzy trysnęły mu z oczu.

- O moje biedarstwo! O moja bogacko! - mówił łkając. - Wies, w tym haw kłocie jedłowym majontek leży! Jus nie be Zosia nigda głodna, nie be jej nigda ziuziu, nie be nigda nie odziata! Nigda! Nigda! Nigda!

I zanosił się od płaczu z bólu nad nędzą swych dzieci, rozrzewnienia na myśl o tych dostatkach, którymi je otoczy.

- Tata płako - zauważył Jaś.

- Płako - powtórzyła Zosia.

A Mudroń postawił Zosię na ziemi, skoczył do izby, wygrzebał gdzieś suchy ułomek moskola, wraził jej w garść i począł dalej patrzeć na kłoc jodłowy.

Patrzył, patrzył i nic nie widział... Kieby jeszcze ten parobek zaśpiśwał!... Póki głos choć z daleka dolatał, nie czuł się Marcin tak samotnym z tym świętym, śpiącym w jodłowym drzewie.

- On hań jest, święty Jantoni, ale jako go dostać? He, nie bees ś nim jinacyl robiel, jino jako ze złobe cy z ławom popod ściane... Trza wymierzać i rób...

- Ba - ale jak?

Złób to złób, a ława to ława... Ale haw trza głowe, rence, nogi wyrzezać... Trza sprawić ocy, nos, gembe... A jeszcze to nie tak, ale u świętej osoby... I kieby to ta jeszcze taki święty nie taki, ale to ze samego pirsogo końca świętyk, ze samego przodka... To telo, co święty Jan, bez mała co i święty Józef.

I padł Marcin Mudroń na kolana, prasnął kapelusz z głowy, przeżegnał się i począł się modlić na głos: Panie Jezu, Ojcie świata, de, cobyk przecie tego świętego Jantoniego z tej jedle wykrzesal, i Ty, święty Jantoni, patrónie złodzieji, dospomóz, cobyk Cie przecie telo doprawdziel, coby kozdy doświadcet, ześ to wiera Ty sam, a nie wtory jiny, Jacenty cy Bartłomień. Jamen! Jamen! Jamen!

Po czym wstał, odgarnął z czoła włosy i szepcąc: Nie świenci gorki lepiom, ba zduny - poszedł do izby po cieślicę, po świder, po młotek, piłę, po cały sprzęt, jaki miał, bo sam nie wiedział, co mu do tej roboty może być potrzebne.

I jakieś wiedzenie weń weszło, snadź Pan Jezus i święty Jantoni wysłuchali jego modlitwy, bo począł krzesać.

Na obiad tylko tyle, co skoczył grule odcedzić i dzieciom dał, sam ledwie co do ust włożywszy, a zresztą krzesal, odrzynał piłą, mierzył i karbowal do zachodu słońka.

Zmordowany, dorobiony, zziajany rzucił się na pościel, czyli to, co się pościelą nazywało.

- Dawitna, bo dawitna ta robota, ale donośny koń każdom, i nocieniejsom fure siana rusy... A pote, kie musis, to musis...

Jaś i Zosia spali przytuleni do siebie. Jaś usnął z nadgryzionym ziemniakiem w małej rączce. Skulone dzieci leżały pod lichą płachtą, noc była zimna.

Zdjął ze siebie Marcin Mudroń czuchę, krótką, białą czuchę, gdyż się czym innym nie okrywał, bo nie było, i przyrzucił nią dzieci.

Został w serdaku.

Ale potem zdjął ostrożnie, delikatnie czuszkę z dzieci, a przykrył je serdakiem, żeby im cieplej było pod wełną.

Zaczął mu się dopiero drzemać, kiedy słyszy, dzieci się ruszają.

- Jasiu! - szepce Zosia. Jaś śpi.

- Jasiu! - szepce Zosia głośniej.

- Co? - obudził się Jaś.

- Dejze mi ten grulecte, co jom w rency trzimies.

- Dobrze, ne...

- A jo ci dom ś niej połowecte...

- Dobrze, dej...

Marcin Mudroń zatkał uszy dłońmi i obrócił twarz ku barłogowi, ku ziemi.

- Serce! Strzim! Serce! Strzim! - jęczał Marcin Mudroń w sobie.

Usnął twardo, nie śniło mu się nic, obudził się przed świtaniem, klęknął, pacierz zmówił, obmył się przed izbą, z garka zimnego ziemniaka z wcorajsza wyłowił, delikatnie z dzieci serdak zdjął, bo zimno było jeszcze na polu, a czuchą je znowu przyodział, z okrzosów z jodły ogień rozniecił i śniadanie nastawił, i zaraz do roboty wyszedł.

Kloc mokry od rosy porannej szarzał w mroki: i w mgle. Mgła gęsta przyległa okolicę, na deszcz, który już nawet siompił.

Ale Marcin nie zważał na to. Ujął cieślicę i dalej, podług znaków wywieranych świdrem, krzesać począł.

Siompawica poranna poczęła się powoli, jak to zwykle bywa, przemieniać w lić; puściła się ulewa. Ale Mudroń pracował dalej.

Aż ukazał się w progu Jaś w koszulinie i począł wołać:

- Tato! Tato! Telo dysc rumoli! Pocietz do Izby!

A za nim wychyliła główkę Zosia i zawołała:

- Tato! Telo lumoli! Pocie!

Ale Marcin tylko się uśmiechnął do dzieci i kiwnął ku nim ręką, na znak, aby się cofnęły z progu. Krzesął, a modlił się do świętego Antoniego, żeby ta lejba ustała przecie jako. I od południa nagle wiatr rozgonił chmury, i słońce wyjawilo się na niebo.

Wielka, ogromna radość i otucha wstąpiły w serce Marcina. Ozgajdało się, słonko wysło, święty wysłuchał jego prośby i upytał Pana Boskom Moc o pogodę.

Choć cały ciekący od wody, rzezał i piłował Marcin teraz z podwójną siłą i energią. Już poczęło się wyłaniać to, co mu się przedstawiało jako głowa świętego.

I zeszedł jeszcze dzień jeden i drugi, aż pod noc, na czwarty dzień od zaczęcia roboty, święty Antoni wydał się Mudroniowi skończonym. Trza go było pomalować, a to już będzie łatwo. Włosy na żółto, brwi na czarno, oczy na niebiesko, twarz na różowo, usta na czerwono, odzienie na czarno, ręce i nogi na białe. Zaraz rano po pieniądze na farby do wójta pójdzie i przygotowawszy dzieciom strawę, do miasta po nie polecą.

Tej nocy miał Marcin Mudroń śliczny sen. Zdawało mu się, że święty Antoni przez łąkę jasną, zieloną, pełną kwiatów, jak na wiosnę bywuje, szedł i dwoje jego dzieci za ręce prowadził. Jasia po prawej stronie, Zosię po lewej. Dzieci się do niego uśmiechały, a on, co je z ręki puścił, to je po głowach pogładził. Słońce takie jasne świeciło, jakiego Marcin nigdy nie widział. Była to niedziela cicha i pogodna, a kwitnąca kwiatami. Szedł święty Antoni z dziećmi Mudronia przez łąkę coraz dalej, coraz dalej, aż w jakiś obłok złocisty począł z nimi wnikać, aż zniknął.

Obudził się Marcin Mudroń pełen rzeźwości i wesela. Nauczywszy dzieci, aby od izby nie odchodziły i gdzie jeść mają nagotowane, poszedł do wójta.

Wójt się prawie na oborze kręcił.

- Niek będzie pokfalony! - ozwał się Mudroń, zdejmując pokornie kapelusz.

- Na wieki wieków! Je cos ta? - zapytał wójt wyniośle.

- Swienty gotowy. Sełbyk na farby w Nowy Targ.

- E wiera! Cysto piekniejek o farbuk zabacył! Kielo to trza?

- Cy jo wiem? Trza farby żółtej, cornej, białej, niebieskiej, cyrwonej i różanej. Seści farbów trza.

- Ale moc?

- Je ta jino jacy cornej, na odzienie. Wójt sięgnął za pas, dobył trzy cwancygiery, dał Marcinowi i rzekł:

- No to leć! A jak co zwysys, to oddaj!

- Tak będzie. Ostańcie s Pane Boge! - odpowiedział Marcin, uklonił się wójtowi nisko i ruszył przed się.

Nakupił farb, jakich trzeba było, głód mu kiszki skręcał, ale sobie z domu zapomniał jedzenia wziąć, a choć cwancygiera i trzynaście grajcarzy wyższył, nie śmiał pieniędzy wójtowych ruszyć. A w mieście było tyle obwarzanków, pierników, cukierków dla dzieci!... W samym tym sklepie, gdzie na farby był... Trzy razy Mudroń Szaflarską ulicą wychodził i trzy razy wracał... Na koniec nie mógł się przewalczyć, nie mógł się przełamać - - kupił dzieciom cukierków za dwa dudki wójtowe.

Postanowił to powiedzieć wójtowi i że mu wróci z zarobku ze świętego. Postanawiał to całą drogę, a gdy znowu na oborze wójtowej przed wójtem po południu stanął, brakło mu odwagi.

Wójt się farbom przypatrzył, pokiwał głową, odebrał resztę pieniędzy, cwancygiera, styry dudki i grajcar, ale widząc dziwne pomieszanie Mudronia, zapytał podejrzliwie:

- Kiełós dał?

- Dwa cwancygiery - zawahał się Mudroń - osiem dudków i glajcarz.

- Nie cyganis?

- Nie...

- Jo się ta dowiem u La-ura na drugi pendzialek, w jarmak - rzekł wójt.

Mudroń zadrzał w sobie, ale pomyślał szybko: Do drugiego poniedziałku on będzie miał pieniądze za świętego Antoniego, wójtowi wróci dwa dudki, a jeszcze mu piwa na tym jarmarku kupi, to się zagodzi.

- No idź - ozwał się wójt wyniośle i odwrócił się z poleceniem do parobka.

- S Pane Boge ostańcie! - bąknął Mudroń nieśmiało.

- Boże cie prowadz!

Nie! Nie!... Jak to Zosia wyciągnie obie rączki do tych cukierków, jak to się Jaś do nich roześmieje!... Nie, nie - - niech ta już będzie, co fce, lepiej zrobił, że kupił...

Nie ukradł, ino pożyczyl... Wróci... Jeszcze wójtowi piwa kupi... To tak jakby z lichwą wrócił, a jeszcze s kielom!

I wyciągnęła Zosia rączki do cukierków, i ośmiał się do nich Jaś.

- Doble - mówiła Zosia. - Słodkie - mówił Jaś.

- Tato, to cutieiti? - pytała Zosia.

- Cy sie to sieje i pote rośnie? - pytał Jaś.

A Mudroń im dawał, dawał, aż już nic w papierze nie było.

- Nie ma wiencyl? - spytała sie Zosia.

- Tato, dejciez jesce! - prosił Jaś.

A kiedy Mudroń poszedł do sąsiada garnków parę pożyczyć na gotowanie farb - "Nie ma wiencyl!" - mówiła smutno Zosia, zaś Jaś rozumował: Trza beło dwa abo seś zasiał, toby beły na drugom wiesne urosły...

Mudroń wrócił z garnkami, ugotował farb i nazajutrz od rana malował przez cały dzień świętego Antoniego. Na szczęście pogoda była śliczna i trwała i święty mógł schnąć i na polu.

Na koniec nadszedł ten dzień, kiedy figura wyschła do znaku, i wówczas Mudroń udał się do wójta donieść, że skończył. Było to we środę. Nazajutrz było święto we czwartek i wójt obiecał przyjść obejrzyć świętego.

Jakoż po południu w towarzystwie najdostojniejszych gospodarzy wkroczył wójt w obejście Marcina Mudronia. Kloc, wyobrażający świętego, wykrzesany w jodle, stał podźwignięty na okrągłej podstawie, którą mu Mudroń umyślnie sporządził.

Popatrzał wójt, popatrzeni inni chłopci i nagle ogromny, niepohamowany śmiech wybuchnął z ich szerokich piersi ponad błyszczącymi od mosiężnych klamer pasami. Śmiali się, którzy przyszli, Ciskowie, Klamkosy, Harbuty, śmiali się długo, głośno, rozlegle. A spoza progu izby zza uchylonych drzwi wyjrżeli ku nim przerażeni i zadziwieni Jaś i Zosia i skryli się napowrót.

Kiedy sie gazdowie nareszcie naśmiali do syta i pasów poprawili, zapytał wójt stojącego pod figurą bladego jak trup Mudronia:

- Coz to?

Mudroń, gdy gazdowie zaczęli się śmiać, z początku nic nie rozumiał; pierwsze wybuchy śmiechu nawet wziął za oznaki zadowolenia. Ale teraz już zrozumiał dokładnie:

- Coz to jest?! - zapytał wójt.

Naprzeciwko wspaniałych, potężnych, dobrze uchowanych gazdów, pod wysoką figurą świętego Antoniego, stał mały, chudy, nędzny Mudroń i dygotał na całym ciełe.

- Co to ma być?! - powtórzył po raz trzeci groźnie zapytanie wójt Cisek.

Mudroń chciał sie odezwać, ale mu głos zawiązgł w gardle; mrałknął coś tylko jak niemowa.

- Coześ zasipnon cy co? - zawołał wójt z pasją. - Gadoj! Co je to jest?

- Święty Jantoni - wybełkotał Mudroń.

- Jedlowy kłot pomalowany, nie święty Jantoni, psiawiaro jedna! - huknął wójt. - Ka piniondze, co jek ci dał na farby?! Co?! To jek ci na to dał, cobyś jedlowe kłoty ś niemi farbił, co?!

Mudroń trząsł się i kurczył pod gniewem wójtowym.

- Jedle Rymacowom het zmarnił! - ozwał się brat wójta, Jakub Cisek.

- Ten, co jom nieboscyk na świętego okfiarował! - zawołał Klamkos.

- Po coś się poruwał na to, kie tej robocie nie rozumiesz?! - krzyknął Malinowski.

- Basarkania! Pytał cię wto o to?! - zawołał Krzysiak ze złością.

- Haj! Haj! Pytali my cie, ty gałganie, łotrze, faktorze koński, ty pusta łeb?! - huczeli chłopci.

Marcin Mudroń drżał i myślał, że go będą bić. To ci sami, co tak chętnie ofiarowywali owsa, jarcu, prosię, barana. Mudroń spojrzał ku Harbutowi, bo i on przyszedł, spojrzał ku niemu błagalnie, rozpaczliwie, jak kot, którego chłopaki psom chcą rzucić, patrzy na starsze osoby - Harbut się nie śmiał za innymi. Ale Harbut splunął tfy, machnął ręką, odwrócił się i odszedł.

- Coz będzie? - ozwał się Jakub Cisek.

- Coz by beło? - odpowiedział mu brat, wójt. - Mudroń jedle zapłaci, piniondze za farby mnie wróci, zetnie się jinom jedle w Rymacowym lesie i da się do miasta świętego zrobić. To musi być! To święte!

- Święte! Musi być! - zawołali chłopci. - Wola nieboscykowo! Święto rzec!

- Haj! Haj! Wola nieboscykowo! W destamencie stoi! Mudroń patrzył to na gazdów, to na świętego Antoniego, i świat mu się zawracał w głowie. Wreszcie jęknął:

- Jakos ja jom zapłacem? S cego?... Nie wzruszyły się chłopskie serca, ale zastanowiły się ich mózgi.

- No juści prawda - rzekł Klamkos - s cegoz on zapłaci, kie je dziod?

- No haj - przytwierdził Krzysiak.

A wtedy wójt, Mikołaj Cisek, oświadczył wspaniale:

- To nic. On to odrobi u mnie przy tyk dutkak, co ś niemi na farby poseł. Bo choćbyś mu fciał co wziąć, coz mu weźniesz? A teraz bądź zdrow, dziadu! Skoda haw dłuży i stać!

Wtem wysunęła się zza węgła chałupy Zosia z cukierkiem, z jakimś gdzieś zawieruszonym i na nieszczęście znalezionym, w buzi.

Wójt dojrzał dziecko i cukierek i wskazał ręką obecnym.

- Icie, hiopi - rzekł - Mudroń biedok, biedok, a jego dzieci cukierki zrejom. He - zwrócił się nagle ku Mu-droniowi, jakby mu coś w głowie zaświeciło - he! Cy to pote nie od farbuk?

Mudroń zmartwiał.

- Icie, jako zmiertwiał?! - wołał dalej wójt. - Gadoj, skondeś na cukierki lo dziecysków wzion? Mudroń milczał.

- No - skond?! Ehe! Od farbuk? Psiakryda jedna! Kieloś ukrod, co?!

Nagle z niewiadomej przyczyny wójt stał się jeszcze wspanialszy, niż był zazwyczaj. Przestał krzyczeć i rzekł z potęgą:

- No kieloś ukrod, to twoje. Jino mi już nie przihodź do roboty odrobiać nic, cobyś co jescce wiencyl nie zajon. Naówczas Mudroń rzucił mu się do nóg.

- Panie wójcie, panie wójcie! - skomlał. - Panie wójcie! Na rany boskie! Nicek nie wzion, jino dwa dudki... Dwa dudki jino... Dydziek się przecie spodziwoł mieć s cego wrócić!... Nieg mi darujom, nieg się nie gniwajom! Dy moje dzieci nigda cukierków w gembie ni miały jescce, telo jino, co u inyk dzieci widowały... Panie wójcie! Nieg mi przebacom! Dyjek jo nigda złodzieje nie był ani nie będę!... Trzy razy jek z miasta wyseł, kimek te cukierki kupieł... Panie wójcie! Dyj majom dzieci, to wiedzom, jako to!... Dziecko i dziecko... Dej byś mu krew spod serca dał... Krew spod serca samego! Panie wójcie!... Jo te dwa dudki dubelt telo odrobiem...

Ale wójt z niesmakiem i wzdągliwością się odwrócił, a za nim odwrócili się inni, jak to za wirnością. A Klamkos mruczał z oburzeniem:

- Kieby jescce na hlib, ale na cukierki!...

Odeszli.

A Mudroń został przy jedłowym kłacie klęczący. Wysunęły się zza drzwi dzieci, przybliżyły się ku niemu. On klęczał z włosami postrachanymi, ze zwieszoną głową, zaplótłszy palec od prawej ręki na palec od lewej ręki poniżej brzucha, przy ziemi. Klęczał tak długo, aż ozwał się Jaś:

- Tato!

- Co?

- Ci hłopi telo wom cosi nadrumkali!

- Telo wom nadrumtali! - powtórzyła Zosia. Marcin Mudroń oszalał. Jak był, bez kapelusza, bez czuchy, nie oglądając się na dzieci, począł uciekać od chałupy, biec przed siebie, w las. Pędził coraz dalej, coraz głębiej, pod górę, z góry na dół, przez potoki, przez żleby, przez wykroty, nie patrzył, czy śtyrbno, czy połogo, gnał coraz dalej i dalej. A za nim przez potoki, żleby i wykroty gnała żałość, gnała boleść i rozpacz. Znowu dalej będą go kopać i poniewierać, że dziad, znowu dalej przed wójtową wirnością, przed Harbutowym bogactwem będzie się musiał oszłuszczać, jak głodny pies przed swoim panem, dalej głód, nędza i ziomb



będą go gryzły, wiecznie już, wiecznie, do końca ta okropna trwoga o każde jutro, o każdy dzień... I te upokorzenia straszne I To obchodzenie chałup, to zagłądanie, czy gdzie nie ma roboty jakiej, to wicie się u nóg ludzkich, to przyleganie do nóg, byle tylko wyżyć, byle nie zdechnąć, i z dziećmi... A dzieci, dzieci! Te najnędzniejsze, najbrudniejsze, najuboższe dzieci we wsi, nigdy niesyte, nigdy nie odziate jak się patrzy, zawsze smutne dzieci!... Odepchnięcie, poniewierka, pogarda, wstręt innych dzieci wsiańskich! Dzieci jego, dzieci!...

I teraz nadal czy on robotę jaką znajdzie? Czy może o jakiej nawet myśleć? Zaufanie do siebie zważył, złodziejem został, wiarę w siebie zakopał w ziem, w ziem! Tyle przynajmniej o nim mówili: Postrohany, biedny, ale ci ani cencki nie ukradnie! A teraz...

- No to jek sie juz skońceł - szepnął zapiekłymi wargami. - Od teraznia jus po mnie, a i po dzieciak... Poniewierała mie bieda, teroz mie be poniewierać i poniewierka ludzko... Juz sie sytko załomiło nade mnom... ani ziemie pod mojemu nogami. Zginonek z dusom i z ciało...

Czy sie ze skały ka w żleb, w rumowisko prasnąć?...

Ale hań dzieci, Jaś i Zosia, obidwa...

Takie małe, takie głodne, takie same, nieszczęśliwe. opuszczone... Jaś i Zosia... Jakoz sie to wyhowo? Ka sie to podzieje? Po pytaniu nie pudzie, bo małe, jesce i to zima hnet... Ludzie tego do siebie nie weznom, a jakby wzieni!... Jezus Maryjo! Dyj by zakopali, zabili, doponiewierali tak, co raty na świecie! Dyj by sie to zapłakało, łzami zadawiło, dyj by to pomarło! O Boze, Boze!...

I hań w izbie siedzom same, samiuckie, małe, głodne, zmarznione i płacom, i krzicom: tata! tata!

Kanyzek jest?

Hej! kiele jek dale od hałupy! Dydzieg pod Wantom! A wtorendejek leciał, ani nie wiem!

I wziął sie Marcin Mudroń ku domowi, ku wsi, wprost przez lasy, na łeb na szyję.

Przyleciał już późno w nocy, prawie ku rantu. Wpadł do izby. Dzieci wewlekły na się ojcową czuchę i spały - nie na łóżku, ale na gołej podłodze w kącie, przytulone do siebie ze strachu, jedno przy drugim, że anibyś szpilki nie wraził między nie.

Marcin Mudroń popatrzył na nie - szarzało już w izbie.

A potem gruchnął na kolana z jękiem; Panie Jezu, Ojce świata, Noświentsa Panno Maryjo i Ty, święty Jantoni, patronie złodzieji, dospomóżciez mi! Dospomóżciez mi! Na te dzieci moje Wos zaklinom hań śpionce! Na te dzieci moje!

I zerwał się z podłogi, chwycił narzędzia ciesielskie i skoczył ku figurze świętego Antoniego. Nowa wiara, nowa siła weń wstąpiła. Już wiedział, co było źle, co trzeba poprawić. Nic to, że farby popsuje - jak zobaczą, że je dobrze wyrzezany, to juz bedzie! Pawlik mu na farby da, Pawlik...

W Pawlika wierzył. Nie przyszedł on oglądać świętego Antoniego, bo go wójt nie zawołał.

- He! - myślał Mudroń. - Pawlik, ze jino pierze babom, prosie ka na jarmarku, spyrke ka gazdowi z kumory ukrod, to go nie wołali - a Harbut, co po Luptowie zbijał - gazda!... Tak to wej, tak...

I krzesał. Od nowa. Od cała... W kłocu drewnianym w natchnieniu jakimś poczał wykuwać ludzkie ciało, poczał je czuć pod ręką... Dłutem je wystrugiwał, nożem ostrym wypęczniał... I jakiś jakby las świętych zamajaczył przed nim... Las drzew, las jodeł hrubych, starodawnych, a w każdej święty zaklęty jak żywy... A za sytkie te jedle po dziesięć madziarskich dukatów... Nagle zamroczyło mu się w oczach, w mózgu... Otwarł oczy - wznak był twarzą ku słońcu, które dopiero co wstało, głową na mokrej trawie pod figurą świętego...

Otwarł oczy - wznak był twarzą ku słońcu, które już

było na niebie, na mokrej trawie pod figurą... Dzieci były przy nim...

Otwarł oczy - wznak był twarzą ku słońcu, Zosia stała mu wedle boku z palcem w buzi, a Jaś siedział tuż przy nim z brodą opartą na rękach i patrzył nań wielkimi oczyma.

I usłyszał Mudroń, jak Jaś się pyta:

- Tato, śpicie? Nie śpicie jus?

I znów otwarł oczy. Słońce było prawie w tym samym miejscu, co przedtem, trawa pod głową suchsza, mała Zosia dotykała mu rączką twarzy, płacząc pewno z głodu, a Jaś siedział nad nim, jak pierwej, nieruchomy, z brodą opartą na rękach, i wpatrywał się weń wielkimi oczyma.

- Konam - przemknęło Mudroniowi przez mózg.

Zląkł się straszliwie, chciał się podnieść, dźwignąć na łokciach - - ale ciemno stało mu się w oczach.

Potem usłyszał, ale Jaś dziwnie cicho mówił, snadź do kogoś: Tata lezom i śpiom, od rania...

Zosia płakała.

Kaz tyn świenty Jantoni, co by dzieci na ten hań kwitnoncom łonke wiód?... Za roncyci... Po lewej stronie Zosia, po prawej Jaś... W ten niedziele... We złotom gme... Kajsi het... W radość...

- Serce w nim pukło - poznał nad sobą niezmiernie cichy Pawlika głos. A potem stało się w Marcinie Mudroniu zupełnie cicho.

# SZKIC OPOWIEŚCI O ZWYRTAŁOWI MUZYCE (O ZWYRTALE MUZYKANCIE)

Umarł stary Zwyrtała i dusza jego wybrała się do nieba, z bausami na gębie i ze skrzypcami pod pazuchą. Patrzy: zamknięte.

Myśli se: Burzył na dzwierzak nie bees, bo śpiom. Siadł na słupek popod bramą, siedzi, ale mu się ukotwiło wnet, wyjął skrzypce spod pazuchy, przycisnął zębami kołki, brząknął na strunach, wsparł skrzypce pod lewe ramię pociągnął smyczkiem. Zrazu cichutko, bo się bał obudzić, ale się zagrał, przycisnął mocniej. A jak sobie przygrał, wspomniął sobie babę, co ostała na ziemi, a jak sobie babę wspomniął, zaraz zaśpiewał:

*Bodaj się świećciła kawalerska strona!  
Kany się obejżrem, wsędyl moja zona!...*

Jak zaśpiewał, a głośno, usłyszał zza bramy:

- Któż tam?

- Święty Pieter - pomyślał Zwyrtała, ale odpowiedział śmiało, bo za cysarki za Tereski rajtary go do kilysjeruk zabrały i dwenast rók hań służeł:

- Jo!

- Jaki "jo"?

- Zwyrtała.

- Czego się drzesz?

- Nie drem się nijako, jinok śpiewał.

- Bodaj cie diab - (urwało się) - z takim śpiewaniem! A coś tak późno przyszedł?

- Jedżek ta cosi unieskorzeł, alejek dopiero pod od-wieczerz umar.

- Pod wieczór?! Toś dopiero w pół drogi powinien być!

- He, święty Pietrze, jo wartki, górol.

- A skądżeś ty?

- Z gór.

- Od Nowego Targu?

- Haj.
- Aż jakiej wsi?
- E choć wam powiem, to i tak nie będziecie wiedzieć. Cy to hań znacie?
- Ja wszystko znam. Skądęś?
- Z Muru.
- Jako cię to piszą?
- Galica Maciek.
- A jak cię wołają?
- Zwyrtała.
- A do was się jak nazywa?
- Do Sęcka.
- No to siedzę tam, Sęcku, nim się zrobi dzień. A nie trza hałasować!
- Nie będę. Miejcie dobrom noc!
- No, no! A cicho!

Usiedział chwilę cichutko Maciek Zwyrtała, ale ku raniu trochę ziąb brał, choć to było w samo lato, znowu przybrząknął na skrzypcach.

A tu jakaś główka jedna, druga, trzecia znad bramy.

Aniołki.

- Isz, isz - powiada jeden -- jak to ładnie gra! Jak to Zwyrtała usłyszał, jak puści po strunach smyk, jak zabrzączy na wszystkich czterech na raz marsia:

*Hej Madziar pije, hej Madziar płaci!...*

- Ach, jak ślicznie! Jak pięknie! - zawołały aniołki. - Co to za muzyka taka?

- To ze zbójeckiego.

- Ach ze zbójeckiego, ach ze zbójeckiego! - zaczęły wołać aniołki i klaskać w rączki. - Ach! Jak to ślicznie!

Wtem klucz zazgrzypiał w zamku, brama się otwierała; klucznik niebieski, święty Piotr, w niej stanął.

- Zwyrtała!

- Haw!

- Pójdź!

- Do nieba nie trza pytać! (1)

Ale się w mig rozniosło po niebie, że przyszedł góral, co gra, doniosło się do samego Pana Boga, co rano wstawszy, przed gankiem siedział i fajkę palił. Nie robił nic, bo to była niedziela.

I jeszcze Zwyrtały nie zakwaterowali, przyszedł anioł, ale już nie taki mały w białej koszulce z białymi skrzydełkami, tylko duży, w zbroi srebrnej i z mieczem z płomienia u boku, a skrzydła miał tęczowe, i powiada:

- Zwyrtała!

- Haw!

- Prawda to, że ty umiesz grać?

- Prowda.

- Zbójeckiego?

- Haj.

- Zagrałbyś?

- Ze cemuzbyk ni mioł zagrać? Przed kim?

- Przed Panem Bogiem.

Skrobnął się Zwyrtała za uchem. Ale tylko raz. Galica był, a Galice wse chłopcy były śmiały.

- Zagrom.

- No to pojdze! - powiada anioł z góralska.

- Przepytyjem tys bars pięknie, cy tys beli może kie w holak? - zapytał się Zwyrtała grzecznie. Uśmiechnął się anioł.

- Byłem - powiada.

- Zje kie? Ale prosem przeboczyć, co jek telo śmiały.

- Jak się Polacy z Tatarami bili, w Kościeliskach, do pomocy.

Z niedowierzaniem spojrział Zwyrtała na anioła; młody był - na dwadzieścia lat najwięcej.

Roześmiał się anioł, dorożumiał się, o co chodzi.

- Tu sie w niebie nie starze - mówi.

Zawstydził sie Zwyrtała i odpowiada: - Nieg sie nie cudujom. Kazbyś ta sytkiemu no roz w niebie zrozumiał? Na ziemi nie rozumies, a nie dopiero tu!

- No chodź - rzekł mu anioł i poszedł naprzód. Idzie ulicą, szeroką (ka ta Ludźmirskiej w mieście (2) ku niej! nic nie stoi), po obu stronach domy srebrne, ka śwenci siadajom, aż przyszli przed złoty dom, a przed domem na ganku Pan Bóg. Fajkę pokurzuje.

Pokłonił sie Zwyrtała pięknie, kiwnął mu Pan Bóg głową.

A dookoła aniołowie mali, duzi, archaniołowie w złotych zbrojach, święci, święte i ci inni, co w niebie są, chłopcy, baby, a bab ćma! Zleciało sie to ze syćkik stron na muzykę! Cudecki robiły, tak sie jedna przez drugą pchała, te dusze.

- No - ozwał sie Pan Bóg - Zwyrtała, graj.

A Zwyrtała znowu sie pokłonił Panu Bogu i powiada:

Kłaniam sie najpokornij Ig Miłości Wielkomożnemu Wszechmogącemu Panu, a cy tys nie wiedzom, ni ma tu jakik Podhalańców młodyk w tem niebie?

- Po co?

- Bo kie zatońcy, to sie lepsi gro.

Roześmiał sie Pan Bóg, dał znak aniołom. Polecili dwa, ale wrócili z niczym.

- Jest paru, ale starych - melduje jeden.

- To na nic - powiada Zwyrtała. - Kaby ci ta stary tonceł! A kaz som jest ci młodzi? Bo ta przecie i młodemu sie trefi, co umre.

A święty Jerzy powiada;

- W czyścu by ich szukać potrzeba.

- Ej wiera! Terożeście wej, panosku, dobrze pedzieli! W cyjscu! - powiada Zwyrtała. - Hań bedom! Będzie kerdel! Jedyć wiem: Marduła Jasiek, ten, co go zabił Brzęk spod Łysyńca, przy Howańcowej Bronci, hań; beł złodziej. Matejów Franek hań - obwiesili go w Mikułasie - cysto pięknie styry karcymy na Luptowie zrabował i pozpodpalował, cy ten pote nie będzie w piekle? Majercyk, Pietrzków, co go wóz z rudom na Skupniowym Upłazie przywał, strasnie sie rad bijał - e, kieby ten haw prziseł! Nie było nadeń tonecnika na sto wsi dookoła! Ale Pan Bóg skinał ręką.

- Graj.

- Jakom?

- Zbójckiego.

- Jak zbójckiego, to zbójckiego. Przykręcił Zwyrtała kołki zębami, dostroił, pociągnął smyczkiem, do ostatka wygrał, od

*Hej Janicku, serdecko,  
kaześ podział piórecko,  
cok ci dala?  
A jo jehol do wojny,  
upadło mi do wody,  
duso moja! -*

przez

*Hej baca nas, baca nas. dobryk chłopców na zbój mas! -*

aż do

*bo hań hamernicy tańcujom! -*

wygrał syćko, do imentu.

Pokiwał Pan Bóg głową, zwidziało się Mu, dopiero święci, aniołowie, zbawieni za Nim, e, tak wam powiem, to się już dość nakwalić nie mogli tego Zwyrtałowego grania! A on strasznie rad był, jaze mu się baussy żyżyły.

Hej, ale co! Pan Bóg poszedł do swojego pomieszkania, a tu dopiero święci, święte, janiolowie Zwyrtałe pytać:

Graj! graj! A śpiewać umiesz?

A Zwyrtała nie odpowiedział, tylko zaraz na miętusiańskom nute:

*Kie jo se zaśpiwom napośród polany,  
teloz by zagrały w kościele organy!... -*

a wszyscy na to: Ach! Jak ślicznie! Ach! Jak pięknie!... Tak Zwyrtała gra, śpiewa i co się nie robił Idzie święty Józef, Panjezusów ociec, bez niebo, a tu słyszy duszę śpiewającą, jakomsi dziewczecą duse:

*Dopiro mi było dwanaście miesięcy, już hodzili ku mnie chłopcy śpiwający! -*

śłucha święty Józef, jeszcze się nie nasłuchał, a tu z drugiej strony jakasi męska dusza, basem:

*Kiebyś ty, dziewczyno, nie była rodzina,  
jo by tego zabił, kogo byś lubiła!*

Jeszcze się święty Józef nie osatał, co to, a tu, poznał, z trzeciej strony anielskim tenorem, ale to tak z góry, na moc, jaze hucalo po niebie:

*Pobij Boże, pobij, tego owcaricka,  
co jego owiecki idom do wirsycka!*

Złapał się święty Józef za głowę! - Kiz to sto dziadów?! - pada. - Je coż to takiego?!

Leci ku świętemu Piotrowi, a tu, w tym miejscu, gdzie się dusze zbawione anielskich pieśni uczyć mają, nie archanioł Gabriel po środku ze złotą pałeczką i trąbką stoi, tylko Zwyrtała na krześle siedzi i gra, a koło niego dusze męskie, żeńskie i aniołowie już dość zdatnie chórem:

*Podźmy jus du domu - nocka ciemna, oby nom nie bela - nadaremna, węgierska ślachta -  
piniązki mo, my śwarne hłopoki, to nom ik do/...*

- Chryste Jezu Panie! - krzyknął święty Józef i do świętego Piotra jeszcze warcej się poniósł:  
Co się to robi?!

Przychodzi w te razy archanioł Gabriel i powiada, że nie chce nikt w niebie inaczej śpiewać, tylko po góral-sku. Nawet święta Cecyljo.

- Zwyrtała ich uczy - powiada - cud (3) się robił Nowych pieśni się mieli nauczyć, jutro święto Matki Boskiej Zielnej, nie umie nikt nic!

Przyszła noc, słuchają: stąd i stąd idą góralskie nuty, całe niebo jaz gielcy!

Na rano powiada święty Pieter do archanioła Gabriela:

Tak nie może być. Nie zawołałby pan tego Zwyrtały?

- A dobrze.

Idzie Zwyrtała, gęśle pod pachą: pokłonił się .

- Zwyrtała! - powiada święty Piotr. - Nie poszedłbyś ty gdzie indziej?

- Z haw stela?

- Tak.

- Z nieba.

- Aha!

- Ze ka?

- Ka? - powtórzył święty Piotr. - Toteż to... I zamyślił się.

- A bez coż tak? - pyta się Zwyrtała. - Dej mie haw po śmierci posłali.

- Toteż to właśnie...

- Nie krodek, nie zbijał, nie biel się -



- Wiem, wiem!

- No to co?

- Ale wszyscy w niebie po góralsku śpiewają, odkądś ty tu!

- E! To to to?

- Zwyrtała! - powiada święty Piotr (zatrzymał się). - Hm - z nieba no to gdzie?

A Zwyrtała pomilczała trochę, skrobnała się za uchem i mówi: E, prosem Ig Miłości, o to niek Ig głowa nie boli! Na mnie to ta hojco przistanie! Idem!

- Dokąd?

- Je skondek prziseł.

- Na ziemię?

- Ze ba haj.

- Ja cię myślałem na jaką gwiazdę dać -

- Nie pytomi (4) Nijakik gwiazdów nie trza sukać! Idem hań, dołu.

- Z nieba?

- E, moi ślicni piękni, jo i tam niebo nojdem! Beem se hodziel po lasak, po dolinak grający. Beem strżóg, coby starodowne nuty nie wymarły. Siednie hłopok z gęśłami przy owcak. - zagrom mu cihućko za turnie. Zaśpiewo dziewce za krowami w upłazie - pomogem jej. Pudom starzy gazdowie w las, drzewo ścinać, zabrzęcem im za usami, jako ojcowie grawali.

A nie bedzie nikogo, to bezie woda po potokak, bedora stawy zamarznione, ka wiatr gwizdo lodami, bezie las, mnie sie hań nie ukotwi ani za niebe nie zacnie. Jo kiek zeł, tok nieroz Pana Boga pytał, coby mi po śmierzci jino wiecznie w hołak ostać podzwoleł. Jo o inkse niebo nie sto jem anibyk gór na inacy, hojby mi siedem niebów dawali, nie mieniał!

- No to, Zwyrtała, idź, bobyś nam tu całe niebo zgóralszczył! A nie będziesz se krzywdownał?

A Zwyrtała aż skrzypce ze smyczkiem ku głowie podniósł!

- Mnie hań niebo, ka i serce! - powiada.

I pokłonił się pięknie, i wyszedł za niebieską bramę na gościniec ku Ziemi - noc była. Mleczną Drogą na dół szedł, skrzypce pod pachą niesący, a kiedy sie już na ślebodzie uczuł, krzyknął; Hu ha! - i z góry w nutę uderzył:

*Górol jo se górol spopod samyk Tater!  
Descyk mnie odkompał, odkołyśał wiatr!  
Krzywaniu, Krzywaniu, coś ty tak osowiał?*

*Cy cie śnieg przipróseł, cy cie wietrzyk owiał?  
Hej kozicki, kozicki, wtorédys hadzajom?  
W Dolinie Piorzystej tam one bywajom!  
Janicku, Janicku, sto hromów do tobie,  
po całej dziedzinie idzie hyr o tobie!  
Nie wstycie sie , ludzie, macie zbója w rodzie,  
zbójnik pudzie w niebo na samiúćkim przedzie/...*

I szedł dalej Zwyrtała śpiewający Drogą Mleczną w dół, aż zeszedł ku szczytom na skalne perci i wstał w głębinę Tatr.

- (1) prosić.
- (2) W Nowym Targu.
- (3) Nadzwyczajne rzeczy
- (4) Nie proszę, nie chcę.

## ZA SYTKO

Przychodzi do mnie mój spółnik, Francisek Walos, i pado mi tak: Hłopi sie zbirajom, ksiądz wikaryji Kmiotowic i organisty Jandrusikiewicz wołajom na to i fcom wieść. Ze rzędu z Widnia pisma przisly na doliny, tamci hłopi panów mordujom i rabujom, bo im starostowie poozpisowali, ze ig panowie mieli wybić do nogi i grunta im wziąć. Koło Gdowa, koło Bohnie, koło Sąca, koło Tarnowa krew sie leje. Za rannego ślalcica, cy to bedzie i wto iny ze dworu, coby ino do pańskiego odzienia odziały był, płacom w starostwak po pięć reńskich, za zabitego po dziesięć. Krziwda sie strasna i zbrodnia dzieje - krzicał ksiądz Kmiotowic z ambony - bo panowie sie gotowali na Austryjom, a z Austryje ig własnyk hłopów na nik zwyrтли. Pado ksiądz Kmiotowic; Hybajmy sie łączyć s temi, co sie proci Austryje dźwignonć fcom, hybajmy bronić niewynyk, bo co wto kie był winowaty, to je jest teroz, za tem raze, przez winy! Wiem, zeście na tym kozaniu nie byli, to nie wiecie.

A jo na tym kozaniu nie beł, bok strasnie syna chorego miał, na łóżnice. Ku temu baba mi w połogu leżała, Bóg dał dwoje od razu, a jesce było troje, takiego drobiazgu. A bieda u nas była w hałupie taka, co jus dokumentnie, z prawdy pedzieć, nie było co do gęby włożyć. A tu i zima twarda - i po drwa do lasu nie miał wto iść, widziało sie , co jus ino skapać. A Francisek mi radzieł: Biercie kose, Bartłomieniu, hybajcie s nami, Polskom bronić, pado organisty. A jo mu na to tak:

Wies ty, Franek, co? Kiebyś mie ty w Luptów abo i do Polski ka pozywał, ka na jakim karcyme abo na jaki pański dwór, coby my haństela piniondze, a jeść i pić przinieśli, choć to grzych, weru na mój sto prawdu, jo by s tobom seł! Bo kie Ponbóg o mnie zabacył, to co jo mam o Nim pamiętać?! Syn, wies, nostarsy, ten, co mi robić pomagał, ino, ino; baba leży, przez mleka je, bo skąd, a tu do dwoje przy cykak - a hańto troje ino płace, bo sie mu jeść

fce. Krowy w oborze nie ma, świni w hlewie nie ma - nie trza ci gadać, bo wies. Ostatnio bieda na mnie! I jo ci haw mom kose brać i pod Gdów kajsi cy pod Tarnów iść?! Wieraześci! Powiedz mi tak:

Bartek, podź! Krew nam spod obuhów jak woda śknie, caski łupać bedziemy, z brzuhów dobro wydremy, ale sie twoje dzieci najedzom - to pude! Ludziom wziąć, sobie dać - pude! Ale nieg sie nie ino Galicyjo, ale świat cały wali - je wtoz tu do mnie s tej Galicyje prziseł na moje biede zazirać - co? Beł tu kie jaki pon spod Gdowa cy spod Tarnowa? Prziniós mojemu synowi łyżke rosółu, mojej babie krapke mąki, moim dzieciom hleba? Jageś go widział, to powiedz!

Poskrobał sie Francisek w głowe, markotno sie mu stało, bo wiedział, ze prowde mówiem, a i luto mu mnie beło, bo i on hudobny beł. Poskrobał sie i gwarzi: Zol s tobie sie obzywo, boleść. Jo ci sie , bracie, nie cudujem. Ino ze to... Kiebyś beł słyśał, co ksiądz Kmietowic z ambony krzicał, jako pote do nas przed plebanijom organisty Jandrusikewic radzieł... Kiebyś był słyśał...

Spar coło na ręcak - jaze mu ciężko beło od myśli, co mu je ksiądz i organisty w głowe nakładli, a jo tys głowe na ręcak spar, bo i mnie ciężko od myśli beło, hej, widziało sie mi wte jesce nie tak, jako jemu. I tak myślimy oba, jaze mój spółnik wstaje i pado:

No. to byǳcie zdrowi, Bartłomieniu, jo ide.

- S temi hłopami, co idom?

- S temi.

- A baba, dzieci?

- Jako fcom. Hań mnie woła... Ostańcie z Pane Boge!

- Boze prowadz!

Dali my se renke, poseł. To beło rano, wcas. W polednie wysełek jo przed hałupe, bok jus ani wysiedzieć nie móg. Płac, jęk, głód, nędza, co jus nie tak, ale sie widziało, co ostatnio godzina przychodzi. Stojem przed izbom, słońce świeciło, patrzem - błysło! Idom hłopi z kosami, nascy haw ze wsi, Hohołowianie, a na przodku ksiądz wiksryji Kmietowic i organisty Jandrusikewic z krzizami, Jandrusikewic przy sabli, a Mahajców Pieter z horengwiom.

Idom, banda cało, mijajom mie. A jo stoje poprzed izbom i patrzem. Patrzem, patrzem, kie mie nie hyci drgowka! Zedrzelek telo co cud, zmaciło mi w ocał. Kie mię cosi nie hyci za krztoń, za serce I Kie nie ryknie cost se mnie, nie płac, ale tak, jak kiebyś wej krwiom płakał! A ci idom, tako cyniawa, hłop przy hłopie, sami nascy, haw z Hohołowa. Ani jo sie nie nazdał, co robiem, hipno-nek w izbe, łapiem cieślice, cok jom miał, cuhe na kamizelke, krzicem do baby:

- Idem!

- Ka? - pyto sie.

- Pod Gdow, pod Tarnów, ka hłopi nasy idom, bronić Polskom od Austryje!... Nie dokończył - dźwignęła się na pościeli, woła:

- A coż jo? A coż dzieci?

- Bóg nad wami!

- A syn?

- Nig skapie! To darmo! Jo muszę iść, wszyscy idom! Ino teli jeszcze skrzyłała: - Bartek! - ale tak, jak kiebyś kure rżon - jo już był w sieni!

Ostawił sytko, biedę, głód, chorobę, śmierć i miłowanie - lece!

- Tuż?! - pyta się Franciszek, kiedy go doleciał.

- Tu! - padł mu.

Scisnęli się za rene - hej, ono było ostatni raz. Zastąpili nim Cornodónajanie z filancamo, jogry, urzędnicy z miasta, ze rzędu przysła: Nie puścić Hoholowianowi Zrobiła sie bitka. Leja, Wawrzek, z wyżniego końca z Dónajca, zaciął ciupagom do głowy - Franciszek spadł na ziemię, nie wstał więcej.

A mnie wzieni, związali, pojechał potem ze zwiandarami w Nowy Targ, potem do Sąca, potem na Spilberg. Haniek w hereście wysiedział trzytyry roku. Kiedy wrócił, wieście, co jek naloż? Nalożek syna pod ziemią, dwoje dzieci pod ziemią, dom Żyd wzion, a baba kejsi we świat s tym dwojgiem, bo to umrzeć nie chciało, i s tym jednym, co wyżyło, posła, nigdy jek się nie dowiedział, ka? Teli jek naloż. Ale mi nie żal - co jek chciał wte, kiedy w izbę hipnon, to mi do końca życia zapłaciło za sytko!

## ŚPIĄCY RYCERZE

**(JAKBY O NICH CHŁOP OPOWIEDZIEĆ POWINIEN)**

O zaśpionym rycerzu opowiada jom, że ma być kasi zaśpionym w Giewoncie. Konie hań stojom przy żłobku, bo i g hań widział kowal, Fakła, co i g kuł. Bo się im podkowy psujom i przekuwać i g trzeba.

Janiół po tego Fakła do wsi, w Kościeliska, chodził kielka razy za jego żywobycia.

Jest hań grota niezmierna, ciemna, ino się kaganki świecom po ścianach. Ci rycerze śpiom, a co dziesięć lat to starszy pomiędzy nimi podźwiguje głowę i pyta się janiół, co i g pilnuje:

- Czy już czas?

I sytko rycerze podźwiguje głowę w hełmak żelazny, ale janiół odpowiada:

- Nie. Spijcie. I śpiom dalej.

Nad niemi jest skała wielga i głęboko do ziemie trza iść ku nim. Ino ze hań nie trefi jacy ten, co go janiół pilnujący powiedzie.

Jo se to nieroz myślał o tem i medetujem se, a i Faklek znał i słyszał, jako opowiadał.

Jo se to nieroz myślem i myślem se: Moze to i być. Mozom być zaśpioni rycerze w Giewoncie, bo sytko w Boskiej mocy.

Ale se i to myślem kieniekie, ze wto wie, jako to? Cy som nie jest w naskik hłopskik piersiak zaśpioni śpiący rycerze i cy to pote ta skała, kany śpiom, to nie my?...

## DZIŚ TU CICHÓ

Dziś tu ciho na tej hali, panowie idom, mleko pijom, nić mas jus ani bace, ani juhasów, bo wto ci haw dziś bedzie pas, kie sytko w Amaryke jadom, gazdowie sie podrobnili, owiec nie majom, ale tu bywowało nie tak.

He, drzewiej nie tak beło.

Sałas miłoński stał, samyk dojek sejsto sie pasło, kie baca cytat, skoro do kosara zegnali, beło sie cemu przypatrzeć.

*Sto se jedna, sto se dwie,  
stoi baca u jedle,  
stoi baca pod bućkem,  
cyto owce kłabućkem.  
Z połednia sie shyliło:  
owiecek mu hybiło,  
kaj su jedna, kaj su dwie?  
Stoi baca u jedle.*

Kie jo beł taki nieduzy hłopiec i za honielnika jek, za gońca, służeł, be temu wysy siedemdziesięci roków, beł baca z Bustryku, pisał sie Juro Stopka Brzyskowy, jo haw niemały, ale przy nim dziecko.

Śmiało patrzył do światu. Beł hłop!

Dzisiok ino same dziady. Honorowyk hłopów nie mas.

A beli przy nim juhasi jak byki. Uzdobieroł se takik, jako som, to se spocywający paśli. Im ta nik na zradzie nie stał. Obował sie ig kozdy. Haj.

*Redykał sa Jurik z gronika na gronik,  
ka sa prziredykał, to se zaturlikał...*

Taka o nim nuta sła. Bo ka zasel, to se na fujerze grał, samym luptowskim juhasom pod nos, na grani, i owce, co ś nim przisly, zbercały na turlikak. A beł we Wirhcihej baca nad bace, Jano Bieha z Kokawy, i strasnie go to mierziało, ze sie ig Poloki nie bojom, ba se jesce polski baca na grani na fujerze gra i do doliny mu ku byrkom poziera, a swoje mu na pokusenie podwodzi.

Pado raz do swoik ludzi:

- Pocie, hłopcy, weźcie se buńkosie, idziemy polskiemu bacy, Jurykowi Stopce, na siele owce brać. Cy se tys bedzie jesce pote na grani fujerował?

Przešli bez Liliowe, w prawe połednie przišli.

Hłopi śtyrzej, baca, ten Bleha, piąty.

- Dobre rano! - pado luptowski baca i kapeluse sie mu pokłonił.

- Witajcie! - pado polski baca, a kapeluse samo to. A on jus wiedział, po co hańci przišli.

Ale on sie ig nie bał. Miał juhasów trzok, dwa beli z Ustupu, trzeci Tomek Cajka z Polan. Kie hłop do hłopa wie sposób, e, nieg cie co praśniel jo sie nie bojem, choćby sie cało wieś na mnie zgichła!

- Piekne macie dojki - pado Bieha.

- A piekne, dzieńkować Bogu - gado Stopka.

- Cybyście mi sam nie podarował wtorej?

- A to se wybrakujcie!

I kie śmignie obuhe w łeb! Luptowski baca ino ręce oskrzizował. E - jus beło po nim.

Wies, hłopce, co ci powiem, to ci powiem: łeb sie ozkicła jak grzib, kiebyś go kopnon.

Haj.

Wzieni sie łomać. Franek Gahut z Kotelnice, co młyńskie koło ręcom hamował i hań wtedej wolarzem beł, trombitom grzibietowom kość Luptokowi zgion, a na grzibietowej kości trombite cysto pieknie zdrzyzdzył.

Sytka trzej ci juhasi za bacom pozbyli zycia.

Wzieny ig pasterki z wolarzami. bo sie juhasi nie fcieli s tem babrać, honorne hłopy beły, i wewlekły daleko w kosodrzewine, coby ig liski, orły, sępy, bo ig haw dawno bewała moc, i puhace z miesa ogryzły.

No i nic. Dobrze.

Wysło dwa dni. Pożreme - idzie seć bab od Luptowa.

- Dobrze rano! - padajom, kie sie ku sałasowi nablizyły.

- Witajcie! - pado baco.

- Uciekły nam dwa pieski. Nie widzieliście? - pytajom sie te baby.

- E dyć som jest hań w kosodrzewinie, to se ig weźcie - pado Stopka i ukazał im wej rencom.

Zwyrtneny sie i z płacem nazod ku Liliowemu, do Luptowa, sły.

Nie pedziały nic.

One jus wiedziały, jako padło.

Nie sukały nic.

A to beły matki dwie, jedna ziena, jedna siostra i dwie frairki. Jak Bóg nie fce, to ci włos z głowy nie spadnie. a jak nie, to hojbyś hodziel w zelezie, to cie Pan Bóg nalezie. Zawdy wirhował nie bedzies. Panu Bogu bez rozum nie przejdzies. Bajto! Janosik nie taki beł, a na haku sie w Mikułasie skońceł.

Dziś tu nie tak, panowie mleko pijom, sałasa nie mas, juhasów nie mas, bace nie mas, owiec przez mała tak jak nic, krówsko hala sie zrobiela, same pasterki ino, a i shro-nisecko pobudowane, jedno haw, a drugie przy stawie. Dość fajne.

Ale tu drzewiej beło nie tak,

He mieliły, mocny Boze! Tym nie trza było shronisków, co haw bywowali. Kie na mróz piętami zakrzeszał, to mróz uciók, a hłop ostał.

Bie!

Świat sie odmieniel.

A s tobie, hłopce, co bedzie? Jako ci wyjdzie, to ci wyjdzie, jakbyś miał zajęce sumienie, to sie nie zaberoj nika, ba trza mieć jak niedźwiedź.

Bleha zginon, ale na Duptowie do dziśka gadujom:

Śmiały jak baca z Wirhcihej. Ono ta i cojsi kajsi warce.

Zawdy wirhował nie bedzies, ale coś uwirhował, to twoje.

*Kameraci moi, dyć mie nie niehajcie, pod zielonym stromem tam mie pohowajcie...  
E pod zielonym stromem tam mie pohowajcie!...*

---

Na tle opowiadania Tomka Gadei z Polan

# NOTATKA O POLSKIM CHŁOPIE

Jo kopół rude w Magurze, wte hamry sły w Zakopanem, jaz dudniało po dolinie. Pedzioł mi taki Józek Kulawy, stary hawiorz, i pokozoł mi, kaby miała ruda być i kaby jej miało być godnie. On hań po nie nie seł, bo beł stary. W takim kominie miała być, w śtolni. Jesce ta śtolnia, wiem, do dziś hań nie zasuta.

Lem świt jo sie hań wzion. Nie pedziołek nikomu nic, wlozek w komin, zobzierołek sie co i ka i wzionek sie do kopanio. Kopiem.

Jak kopiem, tak kopiem, widzem, ruda jest i moc jej, a tu sie bestyjstwo uwiezło i gruh! Zegrzmiało tak, jako od pieruna, i zasulo mie po kolana. Dziure, wtoredejek wlaźeł, zasulo do znaku. Cysto pieknie jom zasulo. A ten piorg jedzie na mnie, leci ze ścion jak woda.

Trza beło zginonć. Boby mie beło zasulo wysy i zapucyło.

Wzionek deptać piorg nogami, depcem, depcem, on sie suje wereda, a jo ś niego nogi wydźwigujem tak, jakie-byk po śniegu miękim seł, i wsejek go mioł jyno po kolana. Depcem, depcem, jo sie hań nie pytoł, wtoro godzina? Bo śmierć za mnom stała i coroz to ręcykiem sięgała ku mnie. Cułek jom za plecami, kościsko brzićkie, włosy jek mioł długawe, to sie mi widziało, jeze mnie za nie hyce, ze zadku.

Je, meślem se, wzienabyś mie! Mozek ci się i zwidzioł, młody cłowiek. Śmierć w złym miejscu, w niescencie, pilnij młodego cłeka weźnie jako starego. Ba z babom to se case rady dać ni moze. Baba pies. Ta by sie i śmierci nie dała, kieby diaboł nie pomóg. Ale ten baby i w godzinie śmierci nie opuści. Posłuzy jej.

Jo sie gracem w tej rudzie, rahowołek, ze juz by miało blisko pełednie być. Mnie hań słońce nie świeciło. Ciemno beło, cok ani własnego palca nie widzioł.

Słuhom - cosi puko.

Słuhom jesce, przisłuhujem sie - puko.

Sukajom mie.

Zaświeciła sie mi tako sparecka w skale i pyto sie mi Siecka Maciek, z Łazka pod Gubałówkom, wiem, zeście go znali dobrze, a jo zaroz głos poznoł:

- Z-ije-s hań?

O, kwałaz Bogul Nie zrobis mi ty nic - meślem o śmierci, stójze se hań za grzibietem, stój.

Kujom, kujom kilofami, wykuli dziure i Siecka uwidzioł moje nogi, i dopod mie za nie. Ciągnie. Je dy ta ciąg, jak mozes. Wyjehołek do pół, wyjehołek cały.

Patrzem: świat.



To sie mi, powiem wom, taki jasny dzień widzioł, hoć to ku wieczorowi było, jak nigda. Jo nigda w samo potednie takiego jasnego światu późnij nie oglądoł.

Cud Pana Boga!

- No - pado Siecka - tuś! A cobyś drugi róż hań nie seł, bo my od rania kuli, kim my cię odgrzebli.

Jo im podzieókował, nie pedziołek nic. Wiecór my zlecieli dołu, do homer, popili my piwa s temi, co mie sukali. Bo to belo w towarzistwie i jeden o drugiego stoł. coby my sie porombać dali jeden za drugiego.

Na drugi dzień rano, lem świt, jesce sytka spali, jo juz beł hań.

- W samej tej dziurze?

- W samej tej. Jo sie nie boł. Dostołek ten rude i sytka mi zozrościli. Jo se to nieroz przibacujem i meślem se, ze kiebyk ból duha stracił, jo by haństela beł nie wysel z-iwy. Bez picio, przez jedzenio, bez wideku, tak jako w grobie, jo hań beł kilkanoście godzin i jesce plugastwo piorgem suło na mnie, ani na kwile nie fciało ustać. Ale moziecie wiedzieć, co jo hań nie stracił duha, kie jo sie w drugi dzień w samo to miejsce wrócił.

S cłowieke by nie miało być nika źle, kieby umioł duha utrzymać. Jak cię duk odstompi, to jus nogorse. Jo se to nieroz przibacujem i tagek se uwazował, bok i nieroz ze Sieckom z Maćke o tem radził, zeby trza duha w narodzie utrzymować. Coby nie beł bojący. Wygramodlas sie z bodejscego, ale sie nie bój! Kiebyk beł zginon, no to nic, a kiebyk beł po ten rude nie poseł, toby beła przepadła.

Na tle opowiadania Tomka Gadei z Polan

## BABSKI WYBÓR

Byli w jednej wsi gazdowie bardzo bogaci, mieli syna jedynaka i chcieliby go byli strasznie dobrze ożenić. Ale wybór był trudny, bo się dziewczki pchały jedna przez drugą i każda swoje cnoty przedstawiała.

Aż raz powiada baba do chłopca:

- Wies, Wojtek, tak nie zrobimy nic. Nie poznas cłowieka, ino wtodej, kie nie wiś, ze na niego patrzis. Oblec sie za dziada i pomiendzy hałupy idź - wtora cie dziewczka nolepi obdarzy, s tom nasego Kube ozenime. Bedzie nolepsa.

Zwidziało się to chłopcu, ta babska rada, wdział starą czuchę, łataną portki, wziął na plecy torbę, w rękę kij i poszedł. Rzekomo dziad.

Idzie pomiędzy chałupy, chodził cały dzień, wrócił wieczorem i siada na ławie zmartwiony, a gębę miał z jednej strony spuchniętą.

- No cóż? - pyta się go baba. - Wtoraz ci się na niewiaste udała?

- He - powiada chłop - obiór trudny. Zasełek ku piersej: dała mi spyrki, zasełek ku drugiej: dała mi obrozek świencony, zasełek ku trzeciej: wyprała mi kosule - cos teroz wies? Jedno scodra, drugo nabozna, trzecio robotna - syćkie dobre.

- Hm - mruknęła baba. - Iści ze obiór trudny... Ale coż ci to, co mas gębe spuchnionom?

- E to nic, ani gwary nie warce. Zasełek ku scwortej, dała mi w pysk - powiada chłop.

A baba jak nie skoczy z ławy, jak nie krzyknie:

- E głuptaku jeden! Nie gados nic? I jesce medetujes?! Jedy to tak, jakby ci sam Pon Jezus Przenajświentsy z nieba palcem pokazał!

## BEZ CO SIĘ ŚWIĘCI DOSTALI NA KĘPĘ

Beło dwok hłopów i mieskali przy wodzie, jeden z jednej strony, a drugi z drugiej; ten, co beł na prawo, to sie nazywał Kuba Jamrozik, a ten na lawo Wawrzek Bieńkowski.

A to beło przy wsi, kajsi koło Białego Dónajca.

Ci hłopi mieli grónta koło wody, proci sobie. Kie wody sły, na wiesne, to abo jednemu urwało, a drugiemu przycyniło, abo temu zaś urwało, a hańtemu darowało.

Miał kazdy z tyk dwok gazdów po świentym z drzewa wyrzezanym: Kuba miał świentego Jantoniego, a Wawrzek świentego Jacka.

Kie woda sła, powódź od Tater, to sie oba modlowali: Jamrozik pytał: He, świenty Jantoni, urwijze tys Wawrzkowi, a mnie przycyń!... a Bieńkowski zaś wołał: świenty Jacku, ślicny, piękny, kieby tys Kubowi ubyło. a mnie przyrosło!...

He, cos, prziseł taki rok, co i Kubowi, i Wawrzkowi urwało.

Idzie Kuba ku świentemu Jantoniemu, co na półce stał:

Je cos to robis?!

A Wawrzek samo to we swoim domie.

Pošli po rade, oba wraz, do starego pustelnika, co w lesie nieobdalno mieskał.

Pustelnik pokiwał głowom i pada im:

- Moi śliczni piękni, świenici tys musom uwazować. coby do kłopotu pomiędzy sobom nie przišli. Jeden drugiemu na despet nie fce zrobić.

Hebaby musieli w pośrodku rzeki stać, coby sprawiedliwie wodę dzielili.

- Hy - pada Jamrozik - to nie trudno. Jest hań kępa na samym środku.

- No to ig hań wynieśmy - pada Bieńkowski.

- Nawet im będzie weselej, bo bedom wroz. Wynieśli tyk świentyk i postavili pod daskem, coby na nig nie lało.

- No i jako było?

- Jako było? Sprawiedliwie świenici dzielili: zakiel Kuba i Wawrzek pomarli, kozdemu do równości po półtora morga gróntu wody urwały.

- No wicie! Co świenty rozum, to świenty!

- Zyjdyć to! Nie biadkał juz zoden, ba se przikwalali. jako im ten pustelnik dobrze poradził. Dziś ta jakiesi tamy bijom, cosi kajsi, wodę ucom, coby wiedziała, jako ma iść, a drzewiej to se hłop wiedział i ze świentami sam poradzić, i Pon Bóg go nie opuścił.

- Nie opuścił...

## O PANU JEZUSIE I ZBÓJNIKACH

Seł raz Pon Jezus ze świentym Pietrem Pawłem bez las i spotkali ig zbójnicy. To było kajsi w górak, na Luptowie cy kajsi.

- Nieg będzie pofalony - powiada Pon Jezus i uklonił się kapelusem.

- Niegze będzie na wieki wieków. Jamen - pado har-naś zbójecki, heršt. - Ka idziecie?

Kciał Pon Jezus cosi rzec, ale mu świenty Pieter Paweł nie dał, ba pilno gwarzy: Po pytaniu.

Ze to niby po prośbie, wiecie, śli.

A to bez to, bo widział torby, a łakomy był, jako to z biednego stanu, choć i świenty.

Przypatrzył się do nik obu harnaś dobrze i pado;

- Podźcie s nami.

I obrócił się do swoik towarzysów, i gwarzy:

- Ten stary będzie dobry torbę nosić i drwa rąbać, a ten młody ogień kłaść i posługować koło jadła.

I pyta się: Idziecie?

Skrobnon się święty Pieter za uchem, bo poznał, że to zbójnicy, zbrój na niego był, flinty, ciupagi, nie rzecz mu się to widziało, jako świętemu, że zbójnikami chodzić, a jeszcze s Panem Jezusem wraz. Ale się ta moc za uchem nie skrobał, bo się bał, i patrzy do Pana Jezusa: Co będzie?

A Pon Jezus kiwnon głowom i pada:

- Dobrze.

Straśnie się to cudnie świętemu Pietrowi Pawłowi zdało, ale się przeciwieć nie śmiał. Jedno się zbójników bał, drugie Pana Jezusa słuchać musiał.

Zaraz mu torbę na plecy przypięni, a Pon Jezus ino sakwę z chleba dostał. Mało mieli jeść, bo z daleka śli.

Idom.

Uśli kęs drogi, gorąc piók, polegali zbójnikowie do cienia i pospali się.

Gwarzy święty Pieter Paweł do Pana Jezusa:

- Uciekajmy, bo jeszcze do kłopotu przy nim przydzieme!

Ale Pon Jezus kiwnon głowom, że nie.

Kie się zbójnicy pobudzili, idom dalej. A było tyk zbójników trzok.

Ku wieczorowi poceno hybiać jedzenia. Bo ta i Pon Jezus co nieco zjad, a święty Pieter Paweł się nie żałował. Jeść się sytkim fciało, co jaze marli od głodu idący.

A tu patrzom - leży pod drzewem stary człowiek.

- Coż ci to? - pyta się harnaś.

- Głodnyk jest - pado ten stary.

I ten zbójnik dał mu swój kawołek hieba ostatni, co go jeszcze sowany miał.

Idom dalej, bez pola, pocon prać grad z lodem, a zimno przysło takie co cud!

Patrzom: zaś dziecko małe w polu płace.

- O coż płaczes? - pyta się go drugi zbójnik.

- Zimno mi. i ten drugi zbójnik sjon ze sobie kozuch i odział to dziecko, i w kosuli ino ostał, jaze go trzęsło.

Idomz zaś znova dalej, patrzom: dom gore. Dzieci płacom, wołajom: mammo! mammo!

I trzeci z tyk zbójników hipnon w ogień i wyniós dzieciom matke spośród płomienia, jaze włosy osmendziel.

Pošli dalej i zašli do jednej karcymy przenocować. A tam ig kacmarka poznała i posłała odkaz do wójta, do ryktara. Przyleciał wójt z przysięznymi i z ludziami - i tyk zbójników powiązali. A ś niemi i Pana Jezusa z Pietrem Pawłem.

Wyprowadzili ig z karcymy, zawiedli ku śpiklerzowi gromadzkiemu i hań ig zawarli.

Świenty Pieter Paweł wzion płakać i godo po cihu do Pana Jezusa:

- No nie padałek Ci, Panie Jezu, ze jesce przy tyk hucfutak do kłopotu przydzieme? No to my juz w nim. Cos teroz bedzie?

A Pon Jezus nie mówi nic, ino palcem po ziemi pisał.

Na drugi dzień rano wójt i przysięzni tyk zbójników i Pana Jezusa z Pietrem Pawłem do miasta na wozie zawieźli. Do sądu.

Obstompiły ig ziandary w sądzie, hajducy węgierscy, i powiedli do sądowej sale, a tam na stolcak siedzieli sędziowie.

Było ig samo tak, jak i tyk zbójników, trzok.

- Wyście kradli? - pyta sie nostarsy sędzia.

- My.

- Wyście podpalali?

- My.

- Wyście zabijali?

- My.

A o Pana Jezusa i świentego Pietra Pawła sie nie pytał, bo ci zbójnicy zaroz pedzieli, ize ig ino po drodze ze sobom zajeni i ze musieli ś niemi iść kcęcy nie kcęcy.

- Co im sądzić? - pyto sie ten nostarsy sędzia sędziego po prawej rency.

A ten niewiele myślęcy pado:

- Smierzć.

- Co im sędzić? - pyta się ten starszy sędzia sędziego po ławej rency.

A ten niewiele myślący pado:

- Śmierć.

- Wy trze będziecie wisieć - pada starszy sędzia do zbrojników - a wy dwa możecie iść do domu - zaś się obyrtnon do Pana Jezusa i Pietra Pawia.

Święty Pieter Paweł się zaraz z ławy porwał, iść gotowy, ale Pon Jezus się shylił i po podłodze palce pisał.

- Coż pises? - spytał się go główny sędzia. A oni nie poznali nic, że to Pon Jezus, ani ci sędziowie, ani niwto iny.

- Pisem was wyrok - pado Pon Jezus.

- Jakoz to nas wyrok sędziowski po kurzu po podłodze palce pises?!

A Pon Jezus dźwignon głowę i rzók:

- Coś wczora wieczór zrobiel?

Zbladnon ten sędzia, jaze zbieł na twarzy, a Pon Jezus powiada:

- Głodnegoś kije ode drzwi twoik odegnął. Pojżreli na niego jego dwa kolegowie i sytk w Izbie, a Pon Jezus zaś się do tego po prawej rency obywo:

- Coś wczora wieczór zrobiel?

Zbladnon ten sędzia, jaze zbieł na twarzy, a Pon Jezus powiada:

- Dziecko małe jeś bił, jaze krwiom zesło. Pojżrał na niego jego kolega i sytk w izbie, a Pon Jezus obrócił się do tego po ławej rency i gwarzy:

- Coś wczora wieczór zrobiel? Zbladnon ten sędzia, jaze zbieł na twarzy, a Pon Jezus powiada:

- Matke jeś własnóm z domu wygnał.

Pojżreli na niego sytk w izbie.

I stało się ciho w izbie sądowej, co jaz muhy brzęceć było słyhać.

A Pon Jezus wte stanon na nogi i obyrtnon się ku świętemu Pietrowi, i pado:

- Podźme tustela.

I światło mu ponad głowom zagorzało, a ci zbrojnicy piersi Go poznali, że jest Pon Jezus, i padli na kolana, wołający:

- Panie Jezu, Ojcie świata, pożegnaj (1) nas! I Pon Jezus krziz nad niemi uczynił, a oni się zamienili w trzy drzewa jabłonne.

Pote zaraz ze świętym Pietrem Pawłem zniknon. I zrozumieli ludzie, że tu Bóg był, i zburzili ten sądowy dom, żeby w nim już nik więcej po Panu Jezusowi nie sądził, a przed jabłonnymi drzewami postawili krziz i on do dziś hań stoi. A tyk trzok sędziów wygnali z miasta. Tak wej bywowało drzewiej - ale teraz ani zbójników nie masz, ani Pon Jezus po świecie nie hoduje.

(1) pożegnaj – pobłogosław

## SZYMEK KRZYŚ

Umarł Krzyś. "Nasz Krzyś umar, już dziś tydzień, jak leży w grobie".

Tak prosto i krótko doniesiono mi o śmierci Krzysia z Zakopanego.

Szkoda cię, Krzysiu... Któż tak, jak ty, kochał starodawne nuty, które według twego wyrażenia "w złoto oprawić"; któż tak, jak ty, miłował starodawne pieśni i starodawną chwałę podhalańską... Któż tak, jak ty, czuł bezwiednie, ile było Homera i jaka homeryckość była w dawnych chłopach pod halami... Któż tak, jak ty, lubił i umiał grać po staroświecku na skrzypcach...

Szkoda cię, Krzysiu...

W śniegi, kurniawy i mrozy trzaskające i w cudowne dni pogodnego lata czy jesieni, cośmy się to nie nawłoczyli popod Tatry! Nie zastanowiły nas ani zaspas po uszy końskie, ani noce ciemne wśród lasów, ani bezdroża, gdyśmy się na małych sankach w głąb regli wbili. I nigdy nie opuściła Krzysia wierna mu do siódmego krzyżyka parobska "fantazyja", artystyczna ochota i ciekawość do wszystkiego i szekspirowski, nieopłacony humor. Staro-świecki stary, pierwotny humor wychowanych na swobodzie i w zdrowym życiu chłopów zmarł z Krzysiem w Zakopanem bodaj zupełnie. Gdy czytam siedemnastowieczny *Ogród fraszek* Wacława Potockiego, to mi się czasem zdaje, że słyszę Krzysia. Ta sama zwięzłość, rubaszość, podobny żart - podobny zresztą język.

Krzyś w Zakopanem mieszkał, miał dom gościnny, "panów woził", ale cywilizacja nie przylepiła na nim ani jednego swego wytartego liczmanu, nie starła zeń ani jednej łuszczyki rodnej, dawnej kultury. Krzyś zanadto był wbity w pamięć o "dawnych czasach" i zanadto pierwotny, aby cokolwiek nowego i obcego doń przylgnąć zdołało. Włóczył się za młodu światami, chodził na roboty do Pesztu, ale tam przede wszystkim grał, a "dziewki to za nim snurem sły, a wina cyrwonego to zawdy konewkom mógł pić"; chodził na roboty "do koleje", na Liptów, ale tam znowu przede wszystkim grawał Gadejom, Matejom, Mocarnym i innym honornym chłopom, którzy co nieco na taczkach ziemi na wały kolejowe wożili, a więcej po

Liptowie "za swojemi interesami wandrowali"... Krzyś młodość przegrał na skrzypcach i prześpiewał. A "hłopy wte były strahotne i ohotne". "Kie taki wzion tańczyć, to tańczył całom noc. Kiz byś mu diasi zdołał wygrać?" "Basisty przy Krzysiowi" wiązał kawałek drzewa pod podeszwę do kierzca, a kiedy się już chłopci "ka na weselu abo w karcymie" podochočili, "to doś beło, kies mu ta coby jino smycke po strunak zgrzipnon, a Wojtek tero drewno po dylak łupkał, to tak seł głowom po powale, bo sie mu widziało, ze mu jus tak pieknie gramy. A to hłopy beły nie takie, jak dziś! Hłopy beły zdrowe! Za konia taki siole miał! Hłopy beły wielgie, śmiałe!"

Mały, drobny, sucherlawy Krzyś, olśniony w młodości siłą i śmiałością tych chłopów, pozostał w tym olśnieniu do końca. Mówiło się z Krzysiem o wszystkim. Książ, oprócz tego, gdy z "Panem Bogiem" jechał, był dla niego przede wszystkim figurą mającą gospodynię, nawet o "ojcu świętym" mówił bez osobliwego namaszczenia, bez osobliwego też przejścia o "cysarzu" - ale za to raz pod Kościeliskami na drodze stoi wysoki, smukły, stary chłop. Spojrzał na nas - czysty orzeł drapieżny. Krzyś nachyla się do mnie i szepce uroczyście z przejściem;

"Panie, Izydór Mateja..."

Stary zbójnik, syn słynnego Janicka Matei, brat jeszcze słynniejszego Wojtka i godnych jego Jaśka i Józka. Podobnie za czasów Samuela i Krzysztofa Zborowskich musiał drobny szlachcic wymieniać nazwisko: Zborowski.

Wielkiej, żywej epopei homeryckiej dawnej podha-lańszczyzny ubył z Krzysiem jeden z ostatnich świadków, bo jej konania jeszcze wczesną młodością zasięgnął, a zarazem jeden z ostatnich, którzy ją we krwi mieli. Krzyś nie opowiadał "panom" - Krzyś współżył pamięcią. Uwielbiał, podziwiał, wspominał i opowiadał. Jego opowiadania były tym różne od opowiadań np. takiego Sabala, że Krzyś przede wszystkim sam był pod urokiem i podziw swój słuchaczowi chciał wszczepić. Taki Sabala działał osobiście - "Sabala zaśpiewał, Krzywań mu odpędził, bo o jego sprawie nik inny nie wiedział" - był herosem; podobnie herosami, choć tylko myśliwskimi, byli Maciek Sieczka lub żyjący jeszcze Tatar Szymon (1). Opowiadanie kogoś, który sam czegoś dokonywał, inny ma charakter, jak tego, który czyjaś chwałę głosi, Krzyś nie miał się nigdy innego "rzemiosła", jak paszenia owiec, roboty we fabryce w Peszcie czy przy kolei, gazdowania na roli i muzyki - natomiast był poetą nieświadomym przez artystyczną wrażliwość swej natury. Pracował jak wszyscy, ale żył myślą w jedynym u nas do niedawna jeszcze świecie eposu.

Religia też, której go nauczano, ani dokumenta cywilizacji, które w Zakopanem widział, nie osłabiły w nim ani na włos całej najpierwotniejszej wiary; dla niego dziwożony rzeczywiście mieszkający niegdyś w uspiszku powyżej Bielskich Grót, diabły funkcjonowały bezpośrednio, nadprzyrodzone moce, poza tymi, których Kościół dozwala, brały udział w życiu na ziemi, zwierzęta miały przeczucia i widzenia, "cosi" było potęgą świata. Krzyś był bezwiednym poetą zamarłego rycerstwa i zamierającego pogaństwa na Podhalu i dlatego był nieopłaconym, nieoszacowanym jego skarbem.

A mnie ubył ostatni między góralami przyjaciel. Gdy z powodu zdrowia w latach ostatnich musiałem zaniechać wycieczek w Tatry, wędrowaliśmy Krzysiom wózkami czy sankami popod Tatry. Bywały w tych wędrowkach takie chwile, które zarówno mnie, jak jemu, pozostawały na zawsze w pamięci. Czy owo cudowne odsłonięcie się z mgieł śnieżnych Łomnicy od Kieżmarku, czy owo umycie się ranne na świtanie w jesieni w potoku ze



Staroleśnej Doliny, podobne do obmycia się w jakimś Świętego Zdrowia zdroju, czy ów wjazd zimowy do Doliny Chochołowskiej, gdy złotem słońce ją zalało, a na zdymsku, w oślepiającej oświacie słońca, w południe tak jasne, błękitne i pogodne, że ubezwładniające, dziewięć sarn się pasło, jak w dniu stworzenia, w "bezludziu, prawie bez trwogi...

I ów las spiski, rozśpiewany ptakami, jak w Biblii.... I owa noc w głuchym, strasznym borze wśród śniegów, w przepaści pustynnej... I owa nasza wspólna, nieujęta, nieobjęta miłość ku górcom, w których najpiękniejsze śpią nasze lata...

Wszystko to już skończone, mój stary Krzysiu, nie pojedziemy więcej ani "na Śpis", ani "ku Orawie". Przyszło ci "odpytać" świat i pożegnać się z nim. Co kogo obchodzi twoja śmierć? Tysiące starych chłopów umierają co dzień i jest to rzecz tak naturalna i pospolita, jak opad liści jesienią. Ale że moje *Podhale* jest książką, w którą ja wszystko, co w Tatrach znalazłem i czułem, zamykam: więc i twojej pamięci, opowiadaczowi ich homeryckiej przeszłości, grajku we wicherze urodzonych nut i śpiewaku przedwiecznych pieśni, a mój stary przyjacielu, te kilka kart poświęcam.

(1) Szymon Tatar już zmarł